



Do zobaczenia w Barcelonie

Anna B. Kann

„Fantastycznie przedstawiona Barcelona i genialne opisy flamenco. Historia pełna napiętności i południowego żaru bijącego z każdej strony. Gorąco polecam”.

Paula Klich, autorka bloga
mojswiat-szelestkart.blogspot.com

Pascal

Anna B. Kann

**Do zobaczenia
w Barcelonie**

Pascal

Teo, dziękując za rozmowy i flamenco...

CZEŚĆ PIERWSZA

*Taka jest siła prawdopodobieństwa:
każdy odnajduje cząstkę siebie.*

Rozdział pierwszy

Ewa

W samolocie usiadła z dala od grupy i wyjęła z torby laptop, by dokończyć raport dla firmy. Taki był warunek: inaczej nie dostałaby urlopu. Chciała więc mieć to jak najszybciej z głowy, przestać myśleć o obowiązkach, odpocząć, skupić się na sprawach w tym momencie najważniejszych. To nie miały być zwykłe wakacje – to miały być wakacje w Barcelonie.

Wcisnęła przycisk „on” w komputerze. Na ekranie pojawiło się zdjęcie córek. Specjalnie je tam umieściła, by „nie zapomnieć się w pracy”. Tak mówiła wszystkim, którzy pytali.

Zazwyczaj ludzie jako tapetę umieszczają uspokajające widoczki, motylki, rybki albo zostawiają czyste niebieskie tło, by łatwiej wyszukiwać zapisane na pulpicie pliki, ona jednak potrzebowała „przypominacza” – żeby w swej skłonności do emocjonalnego zatracania się w życiu pamiętać o punktach stałych: domu, dzieciach.

Patrzyła teraz na swoje córki siedzące na trawniku w ogrodzie i coraz bardziej czuła się jak uciekinierka. Nikogo przecież nie uprzedziła o swoich planach, że to może być podróż bez powrotu, w jedną stronę. Usprawiedliwiała się, oczywiście. Zdradą Jacka, niespełnieniem, zmęczeniem, rozczarowaniem. I chociaż wiedziała, że ma moralne prawo do tego, co mogło się wydarzyć, a nawet do ostatecznego zamknięcia kilkunastu wspólnych lat, to jednak wzbraniała się przed takim myśleniem, ciągle łudziła się, że tego nie będzie musiała robić, że wbrew logice zdarzy się jakiś cud, zadzwoni telefon, przyjdzie esemes, że Jacek – mimo wszystko – wykona ruch, który na nowo pozwoli jej znaleźć sens w dalszym trwaniu obok niego, umotywuje kolejną próbę odbudowywania leżącego w gruzach życia. Bo przecież ciągle wszystko było możliwe. Wierzyła w to. Kilka razy próbowała nawet z nim o tym rozmawiać, podsuwając różne pomysły, różne strategie, przykłady znajomych, którym się udało stworzyć nowy układ rodzinny, zbudowany na zasadach wyłącznie przyjacielskich. Ale on uważał, że w życiu najważniejsza jest namiętność i jeśli ona umiera, to znika też powód bycia razem.

Bała się przyszłości. Potwornie. Myśl o ewentualnej przeprowadzce wręcz ją paraliżowała. Z drugiej strony jednak nie chciała nieustannie tkwić w zawieszaniu, przyglądając się mijającemu czasowi, czekając na to, co i tak nie chciało nastąpić. Zmiany musiały nadejść. W Barcelonie miała się przekonać, czy potrafi wszystko zacząć jeszcze raz, inaczej, ostatecznie zatrzasnąc na siłę przez siebie uchylaną furtkę, przestać uciekać od decyzji, żyć. Po prostu żyć i cieszyć się tym, co przynosi kolejny dzień. Nie chciała już planów. Przekonała się dawno temu, że nic nie jest dane raz na zawsze, że ważne jest tu i teraz. Przyszłość może się nie zdarzyć.

Zamknęła oczy, wspomnienia jak zwykle zaczęły przepływać bez kontroli, mieszając się ze sobą, tak jakby wszystko działo się jednocześnie, jakby żadne odległości czasowe nie istniały. Poddawała się temu z oporami, bo zmuszało ją to do rewidowania przeszłości, nieprzerwanego układania od nowa minionych wydarzeń w ciągi przyczynowo-skutkowe. Za każdym razem coraz wyraźniej zdawała sobie sprawę, że punktu, w jakim się dziś znalazła, nie można było w żaden sposób ominąć. To było niczym przeznaczenie. Wszystko ku niemu zmierzało. Od kilku lat. Ona czegoś nie zauważyła, on czegoś nie powiedział... Powoli oddalali się od siebie. Rósł mur, nierozwiązane problemy olbrzymiały. I w końcu musiało pęknąć. Jak wrzód. Tak dzisiaj o tym myślała. Że

winni byli oboje. Przeczyli siebie.

Teraz przypomniała sobie, jak któregoś razu, dwa lata temu, Jacek wrócił późnym popołudniem do domu i od razu, z drinkiem w jednej ręce, gazetą w drugiej, rozsiadł się na kanapie w salonie. Był piątek. Od dawna rozmawiali o tym, by gdzieś wyjść, spotkać się z ludźmi, których oboje lubią, ale ciągle to się nie udawało, bo przychodził z pracy zbyt zmęczony. Przekładali więc terminy z tygodnia na tydzień – i tak minęły pewnie ze dwa miesiące, tym razem jednak solennie obiecywał, że stanie się, jak ona chce, że choćby padał na nos, ten wieczór się uda, będzie prezentem dla niej za wszystkie biznesowe spotkania w domu, których szczerze nie cierpiała, a które przygotowywała i w których siłą rzeczy uczestniczyła. Od dawna właśnie tak wyglądało ich życie: raz w tygodniu oficjalna kolacja, reszta dni we względnej ciszy, bez obcych.

Weszła z kieliszkiem wina do pokoju i głośno, by zwrócić na siebie uwagę, usadowiła się w fotelu naprzeciwko. Włączyła telewizor, zaczęła nerwowo skakać po kanałach, ale Jacek nie reagował, całkowicie pochłonięty lekturą. Notowaniami giełdowymi. Dotarło do niej, że z wcześniejszych planów nic nie będzie. Nie wytrzymała:

– Boże, człowieku, zrób coś ze sobą! Nie można całego życia przesiedzieć na kanapie, przebieć, przeżreć! Coś mi obiecałeś. Jurek z Bašką znowu idą się pobawić. A my co? A my mamy tylko te koszarne kolacje z kolejnymi twoimi ważnymi klientami. Ja tak nie mogę! Rozumiesz? Nie chcę żyć jak emerytka, dla której jedyną rozrywką jest krzyżówka w głupiej gazecie lub durnowaty film w telewizji! Jestem jeszcze młoda!!! – krzyczała i jednocześnie dziwiła się, że to robi, bo przecież dotąd wszystko spokojnie znosiła.

Pichciła, dekorowała, serwowała, polewała wino. No właśnie: dużo wina. Za każdym razem o jedną lampkę za dużo. Ale – jak mówiła – na trzeźwo „nie rozbieriesz”. Na trzeźwo to te półmiski dawno wywaliłaby przez okno do ogrodu, panią X potraktowała sosem od pieczenia, a pana Y zmieszała z sałatką w sosie winegret. Tak bardzo nie znosiła tych spotkań, uśmiechów i rozmów, które w żaden sposób nie powinny zdenerwować gości ani – broń Boże! – wprawić w jakiegokolwiek zakłopotanie. Konsternację mogło wywołać pytanie o poglądy polityczne, stosunek do Kościoła, gender, autostrady, stadiony, program w telewizji. Jednym słowem, kolacja zawsze była tańcem na polu minowym. Należało być delikatnym, bardzo delikatnym, bo taki klient to worek pieniędzy, to kolejny urządzony kawałek domu, a ten wymagał jeszcze sporych nakładów, jak nieustannie przypominał Jacek. Nie wolno było więc ryzykować. Miała ogród, o którym marzyła, piękne łazienki, w tym jedną tylko dla siebie, wielką kuchnię z jadalnią, salon z kominkiem, pięć sypialni, garderobę i własny gabinet... Tak, było o co dbać! Uśmiech numer siedem i do przodu!

Dom pojawił się po wielu latach ich wspólnego życia, dopiero wtedy, kiedy Jacek zdecydował się otworzyć własną kancelarię adwokacką. Namawiał, by zrobić z tego interes rodzinny, ale nie chciała się na to zgodzić. Uważała, że w dobie powracających kryzysów ekonomicznych jej posada w państwowej firmie, nie najlepiej płatna, ale z gwarancjami skarbu państwa, jest absolutnie niezbędnym zabezpieczeniem. Poza tym, gdyby pracowała w jego kancelarii, kto zająłby się przygotowywaniem tych ważnych kolacji? Dziećmi? I co miałyby z życia? Tyle, co on! Wieczory na kanapie, bo na nic więcej nie znalazłaby już sił. A tak, mogła sobie pozwolić chociażby na to, by dwa razy w tygodniu znikać na kilka godzin w zupełnie innym świecie, w którym w cichym zachwycie słuchało się gitarzysty i śpiewaka. Ich utwory miały w sobie żarliwość modlitwy, sprawiały, że dusza topniała, realny świat przestawał mieć znaczenie... Muzyka wprawiała w trans, dreszcze przebiegały po plecach, a po jakimś czasie ręce zaczynały wybijać rytm, nogi szukać odpowiednich kroków, ciało naprężać się i kołysać... Flamenco. Jej flamenco. Jej prywatny azyl.

Początkowo rodzina i przyjaciele słuchali z niedowierzaniem opowieści o warsztatach, na które się zapisala, o zajęciach, w których uczestniczyła. Myśleli, że to chwilowy kaprys pani po czterdziestce. Ze spokojem czekali na rozwój wypadków. Ale ją coraz mocniej to wciągało. Zamówiła przez internet buty i spódnice. Otoczyła się książkami, zaczęła się uczyć hiszpańskiego, żeby – jak powtarzała – lepiej zrozumieć filozofię flamenco. Bo dla niej stawało się ono sposobem na życie. W końcu wszyscy musieli przyjąć do wiadomości, że to „sprawa poważna”, pogodzić się z tym, że ma swoje „święte godziny”, jak czasami mówili z przekąsem, swoją osobną półkę z płytami i krąg znajomych, z którymi jeździ na koncerty. Świat, z którego sami się wykluczyli, twierdząc,

że to zupełnie nie ich klimaty.

Dzięki flamenco odnalazła w sobie piękno, poczuła się kimś wyjątkowym. Obudziła energię, dzięki której czuła, że może przenosić góry, że nie ma dla niej rzeczy niemożliwych. Nauczyła się dumnie nosić głowę, przestała tłamsić emocje, wściekała się i śmiała całą sobą, bez zahamowań. Jedynie na mężowskich spotkaniach cichła i z grzecznym uśmiechem wzorowej pani domu piła czerwone wino. Ale w myślach i tak rozliczała rytmy kolejnych *palos*¹⁾: *un-dos-tres, cuatro-cinco-seis, siete-ochó, nueve-diez, un-dos, un-dos-tres...*²⁾ Powtarzała je w sposób, w jaki inni, w chwilach zdenerwowania, liczyli do dziesięciu. I tylko dzięki temu pani X i pan Y mogli spokojnie zjadać to, co podawała na tych traumatycznych dla niej kolacjach.

1) *Palos* – z hiszp. styl; najczęściej występuje w liczbie mnogiej, ponieważ niemal każdy styl we flamenco składa się z różnych, w pewnym sensie osobnych części.

2) *Un-dos-tres...* – jeden-dwa-trzy, cztery-pięć-sześć, siedem-osiem, dziewięć-dziesięć, jeden-dwa, jeden-dwa-trzy... – charakterystyczne liczenie rytmu we flamenco; podkreślenie jest zaznaczeniem części akcentowanej; akcenty, obok metrum i tempa, decydują o nazwie stylu.

Jacek, kiedy mu wykrzyczała swoje żale, powiedział ze spokojem:

– Myślałem, że to lubisz. Jeśli to cię tak męczy, mogę spotykać się z klientami gdzie indziej. Nie ma żadnego problemu. Może nawet tak będzie lepiej. Dom jednak krępuje...

No i tak zrobił. Zwolnił ją z obowiązku przygotowywania sałatek i sosów. Rytualne biesiady wyprowadził z domu. Wtedy też ostentacyjnie przestała w nich uczestniczyć. I nie czekała po nocach na jego powroty, tym bardziej że coraz częściej zjawiał się nad ranem. Tłumaczyła to sobie miejscem, które nie zobowiązywało do określonych zachowań. Knajpa jest jednak knajpą. Można sobie na więcej pozwolić...

Silniki samolotu cicho warczały, monotony błękit za oknami działał jak tabletki nasenne. Z zamyślenia wyrwała ją koleżanka, stawiając na otwartym stoliku kubek z kawą. Rozejrzała się dokoła. Dziewczyny paplały, śmiejąc się i zastanawiając się nad tym, co przyniosą najbliższe dni. Nie mogły uwierzyć, że się udało: dla większości z nich to były pierwsze wakacje bez rodzin, bez mężów, bez dzieci. I do tego jeszcze warsztaty z Paco. Co chwila któraś wykrzykiwała: „Ewo, to dzięki tobie!” i przesyłała całusa. Przeglądały przewodniki, przerzucały się nazwami miejsc, które „koniecznie trzeba odwiedzić”, jak nieustannie podkreślały. Wydawało się im, że o Barcelonie wiedziały już wszystko i ta wyprawa miała właściwie tylko potwierdzić ich wyobrażenia. Opracowały dokładnie trasy zwiedzania. Teraz przekonywały sobie nawzajem, że jeśli wybiorą się do położonej wzdłuż plaży Barcelonety, koniecznie powinny zobaczyć z bliska złotą rybę Franka O. Gehry’ego, a jak już tam dojdą, to również zajrzeć do Portu Olimpijskiego, w którym cumują jachty ze wszystkich stron świata. A może wcześniej zwiedzić Akwarium, popatrzeć z bliska na rekiny? Jeżeli trasa pod hasłem „Gaudi”, to oczywiście Sagrada Família, ale to wieczorem, kiedy światła wydobywają cały jej tajemny urok, a wcześniej chociażby Casa Milá, Casa Batlló i Casa Calvet. Następnego dnia obowiązkowo pałac Güell przy La Rambla³⁾ i park Güell. Nie do pominięcia było Muzeum Picassa, Fundacja Miró, liczący sto lat park rozrywki Tibidabo, Pałac Muzyki, przejażdżka kolejką linową Montjuïc. No i należało jeszcze znaleźć czas na to wszystko, czego nie opisano w przewodnikach, a co nazywały „smakowaniem miasta”... Tu liczyły na przypadek i pomoc Paco, ich nauczyciela. Tylko jak to zmieścić w dwóch tygodniach?!

3) La Rambla (także Las Ramblas) – najśłynniejsza ulica Barcelony; obsadzona platanami aleja przepelniona turystami, ulicznymi grajkami, kuglarzami i mimami.

Dziewczyny miały rację: rzeczywiście, wszystko działało się dzięki Ewie. To ona wpadła na pomysł wakacji w Barcelonie połączonych z lekcjami flamenco, zarezerwowała bilety na samolot, znalazła hotel. Ale teraz nie była w stanie uczestniczyć w tej zbiorowej ekscytacji. Cieszyła się, oczywiście. Też zakreśliła w przewodniku miejsca, które chciała zobaczyć. Ciągle jednak myślała o ostatnich sprzeczkach z Jackiem, o tym, jak źle się rozstali, ile goryczy w niej narosło. Zastanawiała się, czy przypadkiem sama wszystkiego podświadomie nie prowokowała...

Przypomniała sobie swoje urodziny sprzed półtora roku. Nawet nie złożył jej życzeń. Jeszcze niczego się nie domyślała, więc po prostu, czując się urażona, pod wieczór wypomniała mu to, a potem tama się przerwała – nie ominęła żadnego uchybienia, żadnego zapomnienia, żadnego draśnięcia. Nawet tego, że nie zdobył się, by chociaż raz zobaczyć, jak tańczy, jak sobie radzi na scenie. Miała do niego żal. Jej koleżanki po koncertach dostawały kwiaty od mężów, a ona tylko od przyjaciółki. Nie potrafiła zrozumieć, dlaczego nigdy nie było go stać na choćby taki mały gest, odrobinę uprzejmości, najzwyczajniejsze w świecie docenienie jej wysiłku. Rozplakała się. Ale on nic nie zrobił, nie przeprosił. Uznał, że przesadza, histeryzuje i może jest przed miesiączką. Tak powiedział: „Zbliży ci się menstruacja czy co?!”. I jakby nic się nie stało, wyszedł. Na kolejne spotkanie z kolejnym ważnym klientem.

Od dłuższego czasu nie układało się między nimi najlepiej. Wiadomo, dawna namiętność z latami zniknęła, a nadmiar pracy dokonał reszty: nie mieli siły na celebrowanie swojego życia. I jakoś to życie powoli zaczęło odwracać się do nich plecami. Nie tylko już nie wychodzili dokądkolwiek z własnej inicjatywy w piątkowe czy sobotnie wieczory, ale nawet nie czytali tych samych książek, nie oglądali tych samych filmów jak wcześniej. Przy stole komentowali wyłącznie bieżące wydarzenia domowe i te opisywane w codziennej prasie, oglądane w telewizyjnych wiadomościach. Szukała ciągle usprawiedliwień. Tłumaczyła w myślach każdą jego niezręczność. Lekceważyła zmiany. Aż w końcu stało się...

Była zimowa sobota. Usiadła w gabinecie i włączyła komputer. Popijając kawę, czekała aż „osobiste ustawienia” zainstalują się na pulpicie. Uśmiechała się do siebie, miała wrażenie, że ostatnio mniej się kłócili z Jackiem, że jakoś zaczęło się od nowa między nimi w miarę układać. Całe przedpołudnie krzątała się po domu i dopiero po wspólnym obiedzie planowała zająć się swoimi sprawami. Zaczęła, jak zawsze, od skrzynki mailowej. Za jej plecami mąż szykował się do wyjścia.

– Dokąd idziesz? – zapytała, nie odrywając wzroku od pulpitu.

– Ach, muszę jeszcze coś sprawdzić w kancelarii. Jutro, pamiętasz, mam spotkanie z klientem. Za godzinę będę z powrotem.

– To może kino wieczorem?

– Nie, nie mam dziś ochoty.

– W porządku...

Trzask zamykanych drzwi, za chwilę otworzyła się brama i na podjazd wytoczył się samochód. Powoli opuszczał posesję. Przez chwilę patrzyła za nim, noc gęstniała za oknem, poczekała, aż w ciemności zniknęły światła i powróciła do przerwanego zajęcia. Kilka listów usunęła jako spam, kilka przeczytała. Zabrała się do pisania odpowiedzi. Trwało to godzinę, może półtorej. Wysłała. Poszła do kuchni po coś do picia. Wróciła z lampką wina i zajrzała ponownie do odebranych wiadomości. Zobaczyła maila od Jacka. Lekko zaskoczona otworzyła. Kieliszek wypadł jej z ręki i roztrzaskał się o podłogę. Nie zauważyła, że przy okazji wino poplamilo jej sukienkę.

Ewo,

wyjeżdżam na parę dni. Wrócę prawdopodobnie we wtorek. Muszę pomóc mojej dawnej przyjaciółce. Trzy miesiące temu przypadkowo natrafiliśmy na siebie w internecie. Najpierw, jak to zwykle bywa, wspomnienia o starych czasach, potem coraz bardziej osobiste sprawy, aż w końcu wzajemne zainteresowanie. Mój wyjazd dwa tygodnie temu to były wspólne wakacje. Teraz potrzebuje mnie w bardzo poważnej sprawie. Nie chcę kombinować, dlatego Ci o tym piszę. Jakoś do tej pory udawało nam się żyć obok siebie, może zostać, jak było. Porozmawiamy, jak wrócę.

Przepraszam.

Jacek

Przeczytała jeszcze raz. I jeszcze.

„Boże – pomyślała – ja wiem, do kogo pojechał! To na pewno kobieta, o której mówił mi raz jeden przed ślubem... Dziewczyna z Bałut, Goška! Przypadkiem? W internecie? Kiedy się nie jest na żadnym portalu społecznościowym? On jej szukał... Nie, nie – to ona jego! Przecież po dwudziestu latach mała jest szansa na zachowanie panińskiego nazwiska... Urządziła normalne polowanie na faceta. I co teraz?! Informacja mailem?! Co za tchórz! Nie miał odwagi powiedzieć mi tego, patrząc prosto w oczy. Boże drogi... czym na to zasłużyłam?! Trzy miesiące z nią, a ze mną piętnaście lat, dzieci... O mało nie umarłam, rodząc. I to wszystko jest nieważne? Jak on to sobie wyobraża? «Może zostać, jak było»... czyli jak? Tu sobie żyjemy, a on jeździ do niej? Ja do prania, a ona do kochania? Nie, ktoś zwariował. A obietnice? A przyrzeczenia? Co on jej naopowiadał, że zgodziła się na romans? Że... jestem potworem?! Albo... co ona jemu wmówiła?».

Łzy ciekły, chociaż je wstrzymywała. To nie był szloch zranionej kobiety, one płynęły z bezsilności. Z żalu za zmarnowanym życiem, za nagle otrzymaną „nic-nie-ważnością”.

Wrócił po trzech dniach. Nie przeproszał. Naprawdę wierzył, że można żyć na dwa domy. Zresztą przyznał się, że wcześniej też ją zdradzał. Ale to było tylko cielesne, jak mówił. Przy okazji kolacji w knajpach. Teraz natomiast wróciła namiętność, o jakiej każdy marzy, i on nie chce z tego zrezygnować. Kocha.

Ze względu na dzieci postanowili żyć na razie w separacji. Dać sobie czas i „wolną rękę”. Jeśli uznają, że nowe związki są warte rozvodu, to złożą wniosek w sądzie. Oczywiście wierzył, że i ona szybko kogoś spotka i na nowo się zakocha, życzył jej tego szczerze. „Przecież jesteś atrakcyjną kobietą!” – powtarzał przy każdej rozmowie.

No i w jakimś sensie tak właśnie się stało. Tyle tylko, że kiedy teraz leciała do Barcelony, po romansie Jacka zostało wyłącznie wspomnienie. Nadal jednak żyli osobno. Jakoś nie potrafili podać sobie rąk na zgodę, spojrzeć uważnie w oczy, uśmiechnąć się. Nawet powiedzieć „do widzenia”, kiedy pakowała walizkę do taksówki. Nie zaproponował, że odwiezie ją na lotnisko. Nic nie mówił.

Jeszcze przed jej podróżą do Barcelony córki wyjechały do dziadków. Czy orientowały się w domowej sytuacji? Próbowali z Jackiem zachowywać się przy nich, jakby nic się nie stało. Od dawna niewiele czasu spędzali całą rodziną. Pilnowali tylko wspólnych wakacji i takie mieli właśnie za sobą. O swoich sprawach rozmawiali w ogrodzie albo późną nocą, kiedy dziewczynki spały. Nie podnosili na siebie głosu, nie było awantur. Możliwe, że niedającą się ukryć wzmożoną oziębłość traktowały jako „przejściowe kłopoty rodziców”. Zresztą, Jacek wcześniej też nie był zbyt wylewny w okazywaniu uczuć, może więc i tej zmiany nie dostrzegały. W każdym razie na swój wyjazd do dziadków pakowały się uśmiechnięte, a żegnając się, przytulały do nich tak mocno jak zawsze i zapewniały, że są ich „najukochańszymi rodzicami”, za którymi będą „bardzo, bardzo tęsknić”. Jak to dzieci.

Paco poznała dwa miesiące po mailu komunikującym jej o romansie męża. Na swoich pierwszych hiszpańskich warsztatach w Poznaniu. To był, mimo dramatycznych domowych okoliczności, niezwykle czas. Właśnie wtedy na dobre zakochała się we flamenco. Rzuciła się na nie z zachłannością, która ją samą zadziwiła. Jakby jej życie od tego zależało.

Szkoła, w której od trzech lat się uczyła, nie chciała zniechęcać nowych uczniów, więc flamenco – jak się okazało z perspektywy czasu – było leciutkie, niestawiające zbyt wielkich wymagań. Ale żeby się o tym przekonać, musiała w końcu odważyć się na konfrontację z nauczycielem z Hiszpanii. Bardzo się tego obawiała. Miała świadomość, że jeśli w Polsce uchodziła za średnio zaawansowaną, to wedle skali hiszpańskiej mogła się znajdować dopiero na początku drogi.

Przed samymi warsztatami ćwiczyła w domu codziennie przez kilka godzin, by chociaż kondycyjnie dać radę temu spotkaniu. Już po pierwszych zajęciach dotarło do niej, że będzie trudno, że wiele jeszcze musi się nauczyć, ale wiedziała też, że nie odpuści, że flamenco znalazło się w jej krwiobiegu. Tańcząc, musiała wyłączyć myślenie o sprawach osobistych, domowych, skupić się na wykonywanych ruchach, a to przynosiło psychiczny odpoczynek. Oczyszczało. Dodawało sił na kolejne dni.

Paco był artystą. Sztukę czuł każdym nerwem. Żeby się porozumieć, nie potrzebowali znajomości polskiego, angielskiego czy hiszpańskiego. W zupełności wystarczyły oczy, ruch, intonacja wypowiedzianych zdań. A do tego uczył w sposób magiczny. Cierpliwie pokazywał każdy krok tyle razy, aż wszyscy potrafili go bezbłędnie powtórzyć. I opowiadał. O tańcu. Jego historię, specyfikę, sypał nazwiskami wykonawców, tłumaczył *letry*⁴⁾, intencje gestów, kroków, podpowiadał możliwe interpretacje. I patrzył. Chyba w tym tkwiła największa tajemnica jego lekcji: w uwadze, jaką skupiał na uczniach. Samym spojrzeniem mobilizował ich do pracy. W konsekwencji każdy dawał z siebie więcej, niż podejrzewał, że może dać. Wychodzili z zajęć, ledwo trzymając się na nogach ze zmęczenia, ale szczęśliwi, bo z poczuciem dobrze wykorzystanego czasu i przekroczenia kolejnego kręgu wtajemniczenia. To mógł być maleńki szczegół, detal podkreślający ruch, nadający całemu tańcowi ową niezwykłą lekkość, która skrywała wcześniejszą ciężką pracę.

4) *letra* – tekst piosenki

Poza tym Paco uwodził. To działało się poza jego kontrolą. Taki miał styl bycia. Szybko zapamiętywał imiona uczących się kobiet, każdej przy powitaniu poświęcał osobną chwilę, pytając o samopoczucie, dzieci, mężów, narzeczonych. Nic więc dziwnego, że potem każda czuła się wyjątkowo, każda miała wrażenie, że uśmiecha się wyłącznie do niej, że wyłącznie ją obserwuje, że jest nią zainteresowany nie tylko jako nauczyciel. Po zajęciach, pod prysznicem, w szatni, coraz śmielej kreśliły jego portret intymny. Jawił się jako kochanek doskonały, czuły i namiętny, bo przecież taki artysta musiał być mistrzem także w łóżku.

Ile o nim marzyło? Trzy czwarte grupy? A może i więcej. A ona? Ona, o osiem lat starsza od niego, kobieta dojrzała i doświadczona, według siebie z kilkoma kilogramami za dużo, o urodzie niezbyt wielkiej? Nawet nie próbowała. Owszem, było porozumienie między nimi i do tego ten niezwykły błysk w oczach, kiedy dostrzegali siebie na sali, ale traktowała to wyłącznie w kategoriach zachwyty dla sztuki, dla starań, dla pracy. Nie czuła się kimś wyjątkowym, dawno przestała o sobie myśleć jako o osobie, która może wzbudzać męskie zainteresowanie. Jak mówiła, stała się coraz bardziej „przezroczysta” dla świata. Może dlatego flamenco tak ją zainteresowało? Bo przypominało jej o własnej kobiecości, kazało uważnie przyjrzeć się sobie, zaakceptować zmarszczki i zmieniające się ciało?

Kiedy trzeciego dnia zajęć spotkali się prywatnie po raz pierwszy, był po kilku drinkach. Zatrzymał ją przy wejściu do klubu warsztatowego i głośno powiedział, jak bardzo lubi z nią pracować i obserwować jej szybkie, co podkreślił z naciskiem, postępy. Zaryzykował, nie był pewien, na ile Ewa zna hiszpański. Chyba się zaczerwieniła. W każdym razie poczuła się speszona jak nastolatka. Coś bąknęła, że przy takim nauczycielu to normalne i chciała odejść, ale on chwycił ją za rękę, przytrzymał i wyszeptał: *Querida Eva, Evita*⁵⁾... Musnął wargami jej policzek i spojrzał głęboko w oczy. Była tak zaskoczona, że powiedziała tylko bez sensu *gracias*⁶⁾ i uciekła. Spanikowana zapomniała o zaplanowanym spotkaniu z koleżankami, a potem długo snuła się po pustoszejących ulicach, próbując się uspokoić i wytłumaczyć sobie całą tę sytuację. Uznała, że to wszystko przez alkohol, bo przecież nic innego nie mogło być... Nazajutrz ponownie umówiła się ze znajomymi w tym samym miejscu.

5) *Querida*... – Kochana Ewa, Ewunia...

6) *gracias* – dziękuję

Paco stał przy barze jak poprzednio, z kimś rozmawiał. Kiedy podeszła, by kupić piwo, odwrócił się do niej z radosnym „cześć”. Potem przyciągnął ją do siebie i cicho powiedział: *Te quiero, Eva. Te quiero mucho. Todavía tenemos solo unos días...*⁷⁾ Udała, że nie rozumie. Uśmiechnęła się, wzięła szklankę i wróciła do swojego towarzystwa. Tym razem niczego na alkohol zwalić nie mogła...

7) *Te quiero*... – Pragnę cię, Ewo. Mocno pragnę. Mamy jeszcze tylko kilka dni...

Trzeciego wieczoru przyłączył się do jej grupy, usiadł naprzeciwko. Nic nie mówił, nie-

uważnie słuchał tłumaczki, intensywnie wpatrywał się w twarz Ewy. Kiedy dziewczyny poszły po-
tańczyć, zostali sami przy stoliku. Przysiadł się bliżej, wziął jej dłoń, podniósł do ust i między jed-
nym a drugim pocałunkiem poprosił, by wyszła razem z nim z klubu. Nie wie, dlaczego się zgodzi-
ła. Z powodu jego uporu? Własnej ciekawości? Marzeń, które się pojawiły? Chęci zemsty na Jac-
ku? Potrzeby potwierdzenia własnej atrakcyjności, tak boleśnie zakwestionowanej w domu? W każ-
dym razie znaleźli się w hotelu. Poddała się „magii chwili”, jak to później w myślach nazywała.
Kochali się w skupieniu. I nie przy flamenco, jak można by było przypuszczać, ale przy tangach
Diego El Cigali, w których ciągle powracał wątek odchodzącej miłości.

Paco rzeczywiście był artystą. Namiętym i delikatnym. Uważnym i oddanym. Subtelnie
dającym wyraz swojemu zachwytowi nad kobiecym ciałem.

Potem była kolejna noc. I jeszcze jedna. I następna. Coraz lepiej czuli się ze sobą, coraz
większa intymność ich łączyła. Coraz mniej wstydu dzieliło. Ale ona i tak nie chciała myśleć o tym
inaczej niż „zauroczenie, chwila szaleństwa”.

W końcu warsztaty się skończyły. Wyjeżdżała przekonana, że to finał tej historii, ale po kil-
ku dniach zaczęły przychodzić maile. I odtąd otrzymywała je codziennie. Każdego dnia uwodził ją
tak, jak pierwszej nocy. Powoli, cierpliwie, delikatnie... Zrobiło się z tego półtora roku romansu
na odległość. Kto by przypuszczał? Ich ponowne spotkanie po kilku miesiącach było tak krótkie, że
czasu wystarczyło tylko na spojrzenie sobie w oczy, na kilka zdań, na krótki pocałunek. To właśnie
wtedy postanowiła namówić dziewczyny na wyjazd do Barcelony. I teraz leciały. A ją dopadły
wszystkie wątpliwości i rozpaczliwie pragnęła, by Jacek zawrócił ją z tej drogi... Bała się, że tym
razem nie znajdzie dla siebie przekonującej wymówki, by oddalić podjęcie decyzji, której od mie-
sięcy oczekiwał Paco. Bo dawał jej to wszystko, o czym kobieta marzy w snach, i ciągle błagał,
by zaryzykowała dalsze życie właśnie z nim... Ale, jak powtarzała, przecież to były tylko słowa.
A co będzie, jeśli w bezpośrednich kontaktach nie znajdzie w nim tej oczekiwanej bliskości? Jeżeli
kochają tylko wyobrażenia o sobie? Tak, to chyba był główny powód strachu – strach przed rozczar-
owaniem.

Samolot wylądował. Spakowała laptop, zła, że jednak nie napisała raportu i będzie musiała
się z nim męczyć w hotelu. Wyszła na płytę lotniska w Gironie. Oślepiło ją słońce. Włączyła ko-
mórkę. Miała jedną wiadomość. Ale nie od Jacka, tylko od Paco – pytał, czy już doleciały. Odebrały
bagaze z hali przylotów i stanęły w długiej kolejce do autobusu jadącego do Barcelony. Miało im
to zająć dwie godziny, zajęło prawie cztery. Kierowca co chwila zwalniał lub się zatrzymywał.
Mieszkańcy Barcelony wracali z urlopów, z weekendu. Nieprzerwany sznur samochodów ciągnął
się przed nimi i za nimi. Dobrze, że chociaż krajobraz za oknami był piękny. W niemym zachwycie
oglądały mijane domy, drzewa, gdzieś na horyzoncie majaczyło morze. Słońce chyliło się ku zacho-
dowi, barwiąc wszystko na czerwono, jak na kiczowatej pocztówce. W końcu zobaczyły słynny
wieżowiec przypominający cygaro – Torre Agbar. Były wreszcie w Barcelonie. Po kolejnych kilku-
dziesięciu minutach autobus zatrzymał się na Estació Nord. Czekala je jeszcze podróż metrem z kil-
koma przesiadkami. Najbardziej, jak się okazało, męczący odcinek do pokonania, bo chociaż wzię-
ły walizki na kółkach, w podziemnych korytarzach architektki z jakimś niezrozumiałym upodoba-
niem umieścili mnóstwo schodów bez podjazdów, więc trzeba było wszystko po prostu dźwigać.
Do hotelu dotarły tuż przed północą. Głodne, umęczone, spocone.

Dziewczyny koniecznie chciały jeszcze wypić powitalnego drinka, Ewa jednak już nie miała
na to siły, przeprosiła je i poszła do swojego pokoju. Sprawdziła ponownie telefon – Jacek się nie
odzywał. Wystukała esemes: „Pozdrowienia z Barcelony. Jestem już w hotelu”. Po chwili przyszła
odpowiedź: „OK”. I to wszystko. Nic więcej. Rozżalona padła na łóżko. Mimo separacji, próbowa-
ła cały czas z nim rozmawiać normalnie, inicjować jakieś dyskusje, podtrzymywać kontakt. Wyda-
wało się, że wciągał się w to bez oporów. W ten sposób chciała mu dać do zrozumienia, że zdradę
może zapomnieć, wybaczyć. Suche „OK” jednak zabolalo. Jak policzek. Nagle znowu wyrósł mur
obojętności. Niczym przyzwolenie na jej barcelońskie życie.

„Skoro tak – pomyślała – to trzeba poddać się fali. Widocznie tak miało być. Wszystko jest
po coś...”

Zasnęła, nie wiedząc kiedy.

Obudziło ją pukanie do drzwi. Otworzyła i zobaczyła na progu dość mocno wstawioną Gośkę, najbliższą koleżankę z grupy, jedyną, która wiedziała, że w tej wyprawie chodziło nie tylko o flamenco i zwiedzanie Barcelony.

– Wybacz, nie wiem, która godzina, wracam z tego naszego drinka, co to nie chciałaś przyjść, ale wiesz, było fajnie...

– Wchodź. – Ewa wciągnęła ją do środka. – No, widzę, że było fajnie. Chyba za fajnie nawet.

– No właśnie! Trochę wypiliśmy. Sorry. Już sobie idę. Ewunia, ale co z tobą?

– Nic.

– No, ale nie poszłaś z nami...

– Gosiu, pogadamy rano, dobrze? Idź grzecznie do siebie. Albo – wiesz co? Lepiej śpij dzisiaj tu, ze mną. Bo jeszcze się gdzieś zawieruszysz.

– Mogę? Ewunia, jaka ty jesteś kochana! Nie umiem sobie przypomnieć, jaki jest numer mojego pokoju... Wiesz?

– Dobrze, już dobrze... Idź się umyj, a ja przygotuję łóżko.

Rano obudziła się, zanim zadzwonił budzik. Szybko wzięła prysznic, umyła włosy. Gośka nadal spała jak niemowlę. Delikatnie pociągnęła ją za ramię.

– Ewa?! – Gośka zerwała się i rozejrzała nieprzytomnie wokół siebie. – A co ty tutaj robisz? – zapytała.

– Ja? Ja tu mieszkam. Od wczoraj.

– Ze mną? – Gośka nie przestawała się dziwić.

– Nie, nie z tobą. Sama. Ale w nocy, jak u mnie wylądowałaś, nie miałaś siły iść dalej.

– Aha. Powitanie Barcelony. – Uśmiechnęła się niewinnie. – Fajnie było! Najpierw wypiliśmy butelkę u Marty, a potem poszliśmy do baru na dół. No i... wiesz, ci Hiszpanie to bardzo mili chłopcy. Mieli gest! Nie wiem, ile razy zamawiali drinki. Bardzo fajni! Ale... nie, nie! Nic z tych rzeczy, nie myśl sobie.

– No wiem, że „nic z tych rzeczy”, bo spałaś ze mną!

– No właśnie! A czy to nie czas już na śniadanie? – zapytała, spoglądając na zegarek stojący na nocnej szafce.

– Pewnie tak. Możemy zaraz iść, jeśli jesteś głodna.

– I to jak! Pięć minut, daj mi pięć minut! I coś do przebrania, proszę, chociaż majtki...

A wiesz, że... – zawołała już z łazienki.

Szum wody zagłuszył resztę tego, co mówiła. Ewa spojrzała znowu na komórkę. Serce jej zadrżało, bo światelko w rogu sygnalizowało nadejście wiadomości. Nacisnęła przycisk: *Como estás? Todo bien, Eva? Nuestros clases a las 13. Un beso grande, mi solete. Echo de menos. Paco* 8).

8) *Como estás?...* – Jak się czujesz? Wszystko dobrze, Ewo? Nasze lekcje o 13.00. Mocno całuję, mój promyczku. Tęsknię. Paco.

Poczuła się zawiedziona. Liczyła, że jednak... Czy on niczego nie przeczuwa?! Nie rozumie? Ależ faceci to idioci.

Odłożyła telefon, zabrała się do rozpakowywania walizki. Gośka jednak tak szybko uwinęła się z myciem, że ledwo Ewa wyjęła spódnicę do flamenco, musiała zaspokoić jej ciekawość.

– I co tam? Mów wreszcie!

– Nic. Od wczoraj Jacek się nie odzywa.

– Nie o niego pytam.

– Wiem, wiem. No właśnie dostałam esemes od Paco...

– I...?

– Przypomina, o której mamy lekcję.

– Jasne. Najważniejsze flamenco! No to chodźmy coś zjeść, bo padniemy po drodze. Bluzkę zmienię później...

Kiedy weszły do restauracji, dziewczyny z grupy już biegały między zastawionymi stołami. Jak we wszystkich hotelach świata śniadanie było w formie szwedzkiego bufetu. Od różnorodności

jedzenia można było dostać zawrotu głowy. Półmiski serów, wędlin, na osobnym stole owoce, całe i w kawałkach, obłożone lodem, żeby zachowały dłużej świeżość. Kolejne blaty przeznaczono na ryby, pomidory w różnych postaciach, a było jeszcze miejsce, gdzie kucharze na oczekaniu przyrządzali tortillę z wybranych składników, jajecznicę, kielbaski na ciepło... Oczywiście do tego różne gatunki pieczywa, ciasta, soki do wyboru i koloru, kawa, herbata, wina i *cava*. To je zaskoczyło najbardziej: szampan do śniadania! Tu podawany był wytrawny, choć w ogóle zdarzał się – jak to z szampanami bywa – i półsłodki, i słodki. Jaki by nie był w smaku, hiszpański nie ustępował francuskiemu, zresztą nie mogło być inaczej, skoro robiono go wedle tej samej receptury. Jedyne różnica sprowadzała się do czasu leżakowania i ceny. Kataloński przechowywano w piwnicach krócej, był zdecydowanie tańszy i mniej rozreklamowany.

Chwyciły za kieliszki. Tak właśnie obiecywały sobie jeszcze w kraju: że swoje barcelońskie wakacje rozpoczną, pijąc *cavę*. Wczoraj się nie udało, ale skoro dziś nadarzyła się okazja, nie można jej było przepuścić. Pierwszy toast, drugi... Kiedy wreszcie usiadły na miejscach, kelner postawił im na stole otwarte butelki.

Kawa i *cava*, a obok na talerzach kawałki arbuzów, melonów, ananasów, brzoskwiń i winogrona. Rozum podpowiadał, by zjeść na początek dnia coś bardziej konkretnego, ale nie słuchały go. Owoce, dojrzewające w tutejszym słońcu, a nie w chłodniach supermarketów, dosłownie rozpływały się w ustach. Dziewczyny miały wrażenie, że dotąd w ogóle nie znały ich smaku, delektowały się więc każdym kęsem.

Czuły się fantastycznie, tryskały humorem, miały ochotę spędzić w restauracji cały dzień. Ewa przypomniała im jednak, że są umówione i powinny za chwilę wyruszyć, bo nie wiedzą, ile czasu zajmie im dotarcie na miejsce. Poza tym Hiszpania – jak roztropnie zauważyła – to nie tylko luksusowy hotel z klimatyzacją i nie po to tu przyjechały. No ale zostawić niezupełnie przecież puste butelki to grzech, zanim więc wstały, pospiesznie dopiły szampana do końca.

Większość miała przy sobie stroje do ćwiczeń, mogły prosto od stolików ruszyć do wyjścia. Chwilę poczekały na pozostałe, które po torby musiały pójść do pokoi.

Tuż za drzwiami hotelu zatrzymała je temperatura: nagrzane powietrze nie pozwalało złapać oddechu. Parzyło. Zbliżało się południe, słońce znajdowało się w swojej najwyższej pozycji na niebie. Szampan uderzył do głów. Ewie zrobiło się słabo.

„O matko – pomyślała – jestem kompletnie pijana, mam mroczki przed oczami!”.

Spojrzała na koleżanki, chyba miały podobne problemy.

– Co robimy? – zapytała, siadając na murku oddzielającym trawnik od chodnika.

– Najpierw wejdźmy z powrotem do środka – zaproponowała Gośka. – Tu nie da się myśleć.

Zamówiły kawę w barze. Jedną, drugą, trzecią. Powoli dochodziły do siebie. Ale Ewa ciągle czuła się źle, wiedziała, że o tańczeniu nie ma nawet co marzyć.

– Dziewczyny – odezwała się. – Sorry, wracam do pokoju. Nie dam rady. Przepróście ode mnie Paco.

– Co ty, Ewka?! – zawołały chórem. – Bez ciebie nie idziemy! Nie ma mowy.

– Nie wygłupiajcie się! Po to tu przyjechałyśmy.

– Nie tylko po to. Flamenco poczeka. Ślij mu wiadomość, że lekcje od jutra. My też nie damy rady. Taka prawda, niestety.

– Mam mu napisać, że się upiłyśmy? Przy śniadaniu?

– Skoro podano nam szampana, to nie ma co się dziwić!

– Nie podano, tylko wzięłyśmy – prostowała fakty.

– Nie wzięłybyśmy, gdyby go nie było! – ripostowały.

– Był, ale nie musiałyśmy go pić!

– A co? Służył do ozdoby stołu? Nie my jedno siedziałyśmy z kieliszkami w rękach. Obok nas jacyś Niemcy też pili. I Anglicy!

– Ja nawet widziałam Rosjan – dokończyła wyliczankę Gośka.

– No dobra – skapitulowała Ewa. – Mam mu to napisać?

– Nie! Napisz, że... wczorajsza kolacja nam zaszkodziła.

Wyciągnęła telefon, wystukała wiadomość. Po chwili przyszła odpowiedź: *Tranquilamente*,

*no pasa nada. Nos encontramos mañana a las 10. Paco*⁹⁾.

9) Tranquilamente... – Spokojnie, nic się nie stało. Spotykamy się jutro o 10.00. Paco.

– Okej. Mamy się nie przejmować, nic się nie stało. Jutro spotykamy się o dziesiątej rano – przetłumaczyła.

Oddechnęła z ulgą. Jacek miał jeszcze jedną szansę. Dwadzieścia parę godzin, by ją ocalić. I siebie. Jeśli mu zależało, myślała z narastającym smutkiem.

Siedziała z dziewczynami, ale zupełnie nie wiedziała, o czym rozmawiają. Bała się. Bała się, że Paco za chwilę zadzwoni i nie będzie umiała znaleźć przekonującego kłamstwa, by się z nim dziś nie spotkać. Z drugiej strony, na samą myśl o nim ogarniało ją podniecenie. Właściwie nie wiedziała, czego chce. Zdawała się na przypadek, zamiast sama o sobie decydować. Bardzo ją to denerwowało.

„Nie, nie, nie – przywołała się do porządku – muszę poczekać na Jacka, na jego ruch. Nie mogę tak po prostu wszystkiego unieważnić. Nie jestem taka jak on”.

Wyłączyła telefon. Przeprosiła dziewczyny i wróciła do pokoju. Skończyła rozpakowywać walizkę, wzięła zimny prysznic, po którym poczuła się lepiej, wyjęła laptop.

„Skoro mam wolne, to jakoś skończę ten cholerny raport” – pomyślała.

Odpaliła komputer. Odruchowo włączyła pocztę.

„No tak, telefon wyłączony, to jak Jacek ma się odezwać?” – uprzytomniła sobie.

Pospieszenie skleiła do niego maila. Opisała podróż, hotel i pierwszy dzień, że upał, że szampan, że zostały w hotelu. Odpowiedź przyszła natychmiast. Sucha informacja o sytuacji w domu, że wszystko w porządku i żeby dobrze się bawiła...

– Tak... – powiedziała sama do siebie. – Cud się nie zdarzył. I się nie zdarzy. Szkoda.

Korzystając z hotelowego czajnika, zaparzyła sobie herbatę i zabrała się do pracy. Kiedy skończyła, za oknem słońce dawno było po zachodniej stronie – taka najmniej przez nią lubiana pora: między dniem a nocą. Wszechogarniająca smutna szarość. Rozmyte kontury świata. Spowolnienie życia. Stan zawieszenia.

Pochłonięta pisaniem nawet nie zauważyła, że minął czas obiadu, żołądek nie dopominał się kolacji. Zeszła do hotelowego baru, zamówiła podwójny koniak, usiadła przy stoliku najbardziej oddalonym od wejścia. Próbowiła o niczym nie myśleć. W pewnym momencie jej uwagę zwrócił hałas: jakaś dziewczyna śmiała się bardzo głośno. Spojrzała w tamtą stronę, bo głos wydał jej się znajomy. Przy barze stała Gośka z przystojnym facetem. Coś jej opowiadał, mocno gestykując. Gośka go wyraźnie kokietowała, skupiona na nowej zdobyczy.

„Cała ona. – Ewa uśmiechnęła się do siebie. – Pewnie jutro będzie opowiadać, że nie mogła spać w nocy... No dobra, nie będę zmieniać tego scenariusza – postanowiła po chwili. – Trzeba wyjść stąd, nie zwracając na siebie uwagi”.

Wstała i cichutko przemknęła za plecami przyjaciółki. W pokoju zajrzała do skrzynki mailowej: pięć wiadomości od Paco. Każdą zaczynał tak samo: *Eva, mi solete...10)*, a potem coraz bardziej zaniepokojony pytał, dlaczego nie może się do niej dodzwonić, co się dzieje, że nie odbiera ani komórki, ani telefonu w pokoju, czy mogą się spotkać, czy pozwoli mu przyjść do siebie?

10) Eva, mi solete... – Ewo, mój promyczku...

Odpisała pospieszenie, kłamiąc, że telefon jej padł, a zapomniała ładowarkę, że kiedy dzwonił, pewnie była na spacerze z koleżankami, że wróciła z potwornym bólem głowy, że bardzo go przeprasza, bardzo za nim tęskni, ale dzisiaj nie da rady, bo ciągle źle się czuje, musi wcześniej pójść spać, ale jutro... od jutra wszystko będzie dobrze.

Ledwo wysłała maila, zadzwonił telefon w pokoju:

– *Eva, mi solete, qué pasa?11)*

11) Eva... – Ewo, mój promyczku, co się dzieje?

Jego głos, pełen czułości i z troskaniem... Cały strach przed spotkaniem minął jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Poprosiła, by przyjechał do hotelu.

Pół godziny później otwierała mu drzwi. Stał przed nią piękny jak młody bóg, świeży, pachnący, w ręce trzymał bukiet żółtych róż. Bez słowa przytulili się do siebie. Jakby widzieli się ostatni raz nie rok temu, ale wczoraj. Sycili się sobą spokojnie, delikatnie, uważnie. Jak zawsze. A potem zniknął, zostawił ją w pachnącej nim pościeli, utuloną pocałunkami do snu.

Następnego ranka zjadła porządne śniadanie, już bez szampana, zabrała torbę z butami i spódnicą do tańca, butelkę z wodą, wachlarz, by ratować się przed upałem, wcisnęła kapelusz na głowę i wyruszyła z całą grupą na pierwszą lekcję flamenco w szkole Luisa Duarte przy *carrer*¹²⁾ Aribau.

¹²⁾ *carrer* – (kat.) ulica

Musiały zejść do metra. Teraz jednak nie ciągnęły za sobą walizek na kółkach jak w dniu przyjazdu, pokonywane schody nie były więc problemem. Doskwierało co innego: duchota. Powietrze niemal stało nieruchome. Ubrania natychmiast przykleiły się im do ciała. Na szczęście, na pociąg czekały dosłownie chwilę. Szybko wsiadły do środka i zgodnie z zasłyszonymi radami, mocno przycisnęły torby do siebie. Rozejrzały się uważnie dokoła. Jak w każdym dużym mieście, tak i tu łatwo stracić pieniądze, niekoniecznie podczas wędrówek po sklepach. Zauważyły w sąsiednim wagonie dziwnie wyglądającą grupę, wyraźnie robiącą sztuczny tłum. Jakaś kobieta obok nich zaczęła krzyczeć:

– Uważajcie na torby! Nie dajcie szansy złodziejom! Trzymajcie je blisko! Patrzcie, ilu tu się ich kręci.

Odruchowo zbliżyły się do siebie, tworząc zwarte koło. Ewa stanęła obok Goški, która sprawiała wrażenie mało przytomnej.

– Co ci? – zapytała ją po cichu.

– Nie, nic. Wszystko w porządku – zbyła przyjaciółkę.

– Wyglądasz, jakbyś nie spała całą noc.

– No... bo... rzeczywiście nie spałam. Jakoś nie mogłam – kłamała. – Nie wiem, nowe łóżko czy co? No, kiepska to była noc. Rzeczywiście.

– Kiepska? – Ewa zaczęła się śmiać. – A chociaż wiesz, jak miał na imię?

– Kto?!

– Byłam wieczorem w barze...

– Aha. – Goška spuściła z tonu. – To jeden z tych Hiszpanów, którzy przyczepili się do nas pierwszego wieczoru. Opowiadałam ci. Miły był. Ale nie mów nic dziewczynom, proszę.

– A co? Jeszcze się z nim spotkasz?

– Tak, dzisiaj. Wiesz, też mi się coś od życia należy... – zaczęła wyjaśniać.

– Nie tłumacz się – przerwała jej Ewa. – Tylko uważaj, żeby się nie skończyło jak poprzednio. Wiesz, krwawiące serce to straszny banał.

Pociąg zatrzymał się na ich stacji, szybko przeszły na kolejną linię i po kilku minutach wysiadały wreszcie na Plaça de la Universitat. Czekał je jeszcze jakiś kwadrans na piechotę starymi ulicami. O dziwo, słońce paliło słabiej niż poprzedniego dnia, nawet pojawił się wietrzyk, który przyjemnie schłodził ich rozgrzane w metrze ciała. Zadzierając głowy i komentując architekturę mijanych domów, szły zachwycone wszechobecnym pięknem.

„Jeśli ktoś żyje w takim otoczeniu – pomyślała Ewa, stając przed kamienicą, której wykuszowe okna wypełniały witraże w stylu Tiffany’ego – to nie może być polskim smutasem, ma naturalną potrzebę pięknego życia...”.

Do szkoły wchodziło się przez starą wysoką bramę – taką, która w dawnych czasach mieściła konia z jeźdźcem. Za nią ciągnął się długi mozaikowy korytarz ze szklanym dachem. Tablica na ścianie potwierdzała, że nie pomyliły adresu. Paco czekał przed drzwiami. Widać było, że jest zdenerwowany. Wszystkie po kolei rzuciły się mu w ramiona. Przez kilka minut słychać było tylko na zmianę po polsku i hiszpańsku: „Nie mogę uwierzyć, że tu jestem! *No creo que estoy aquí! Qué bien!*¹³⁾ Jak dobrze! Witaj! *Hola!*”. Nawet popłynęły łzy wzruszenia.

¹³⁾ *No creo...* – Nie wierzę, że tu jestem! Jak dobrze!

Ewa, kiedy przytuliła się do niego, natychmiast zaczęła go pragnąć i znowu nic już nie było ważniejsze od perspektywy kolejnych wspólnych godzin, kolejnych wspólnych dni.

Paco często bywał w Polsce, od sześciu lat kilka razy w roku, ale pierwszy raz przyjmował u siebie całą grupę stamtąd, grupę ze swojej „drugiej ojczyzny”, jak często powtarzał. Wiedział, że przywiodło je tu coś więcej niż tylko chęć zwiedzania Barcelony i uczenia się flamenco – to był inny rodzaj łączących ich więzi. Te dziewczyny traktowały go normalnie – jak przyjaciela, a nie obiekt westchnień miłosnych, co stanowiło miłą odmianę w jego życiu. Bo czuł się już bardzo zmęczony nieustannym uważaniem, by nie pozwolić innym na przekroczenie cienkiej linii łączącej zachwyty z zakochaniem. Miał świadomość, że wiele kobiet postrzegało go nie tylko jako nauczyciela. To wszystko jakoś wpisywało się w jego zawód. Ale przekonał się też, że Polkom przekraczanie uczuciowej granicy przychodziło wyjątkowo łatwo, a jemu trzymanie ich na dystans – bardzo trudno. Wiedział, że prawie każdą mógł mieć na skinienie, ale już tak nie chciał. Z tą grupą było właśnie inaczej. Tak to postrzegał.

Szkoła powstała pół wieku temu. Na jej potrzeby wydzielono część patio w stuletniej kamienicy, całość przykryto szklanym dachem, który stał się gigantycznym oknem. Konstrukcję wzmacniały cztery metalowe słupy. Słońce zaglądało do środka przez cały dzień. Stwarzało to niezwykły klimat, ale stało się też poważnym problemem: klimatyzacja nie potrafiła dostatecznie ochłodzić nagrzaną przestrzeń i w godzinach południowych, przed sją i tuż po niej, trzeba było rezygnować z zajęć. W wyjątkowych sytuacjach uruchamiano dodatkowe wentylatory, rozwijano dach z materiału, wtedy jednak w sali robiło się mrocznie, mało przyjemnie.

Podłoga była drewniana, mocno sfatygowana, ale porządna, z dobrym dźwiękiem. Wokół ścian zamontowano drążki do ćwiczeń, z przodu umieszczono lustra, a przed nimi ustawiono podesty dla nauczycieli i gitarzystów. Dwoje drzwi prowadziło do szatni. Z boku, we wnęce, powstał aneks wypoczynkowy z kanapą, pianinem i metalowymi schodami prowadzącymi nie wiadomo dokąd, bo wieńczące je drzwi pozostawały zamknięte na głucho. Na ścianach wisały stare plakaty przedstawiające założyciela szkoły w czasach jego artystycznej świetności. Był kiedyś jednym z najlepszych tancerzy flamenco w Hiszpanii, teraz tylko formalnie prowadził szkołę – swoim następcą uczynił Paco, który pojawił się tu przed siedmioma laty i szybko dał się poznać nie tylko jako świetny nauczyciel, ale także sprawny menedżer. Sam Luis Duarte, ponadsiedemdziesięcioletni, nie czuł wewnętrznej potrzeby rozwijania szkoły, „ścigania się” z innymi; uważał, że jego nazwisko, jego klasa wystarczą, by przyciągnąć liczbę uczniów konieczną do zapewnienia sobie spokojnego życia.

Paco miał inną koncepcję. Oczywiście wiedział, że to najlepsza szkoła w Barcelonie, ale twierdził, że w dzisiejszych czasach taniec nie może być jedyną ofertą. Świat stawiał na różnorodność propozycji. Konsekwentnie więc dążył do stworzenia tu centrum kultury, z uporem organizował prelekcje, pokazy tańca, koncerty, projekcje filmowe, ukazywał wieloaspektowość flamenco. I jeśli nawet Luisowi nie do końca to się podobało, musiał przyznać chociaż jedno: nastąpiło wyraźne ożywienie, sale pękały w szwach, a wszystko przełożyło się na systematycznie powiększający się dochód. I to był ostateczny argument przemawiający za tym, by kierowanie szkołą pozostawić Paco. Sam, ze spokojnym sumieniem, mógł się teraz skupić na czym innym. Pisał książkę. Wielką Księgę Flamenco. Pochłaniała go bez reszty. Miało to być dzieło epokowe, różniące się od tysiąca podobnych osobistymi wspomnieniami autora oraz biogramami tancerzy uznawanych przez niego za najważniejszych, i to zarówno tych, którzy dawno temu zajęli należne im miejsce w historii, jak i tych ciągle aktywnych na scenie. Swoją stronę miał tu dostać także Paco.

Obok sali ze szklanym dachem znajdowała się mniejsza salka, właściwie dla jednej osoby, ciemna, nieco klaustrofobiczna, bez okna czy chociażby świetlika, dalej – biuro szkoły, kolejna szatnia, toaleta. Wszystko łączył wielki hol, który spokojnie mógł pełnić, w razie potrzeby, funkcję osobnej przestrzeni do ćwiczeń. Ściany pomalowano na biało, ale drzwi, słupy, lamperie, wszystkie dodatki i meble krzyczały jaskrawymi kolorami: niebieskim, czerwonym i żółtym. Czas odcisnął na tym miejscu swoje piętno, co dodawało mu magicznego wymiaru: niemal czuło się zapach klęsk i sukcesów. Klęsk tych, których flamenco nie przyjmowało, a sukcesów tych, którzy zostali otuleni jego aurą.

Paco swoim zagranicznym uczniom często powtarzał: „Może Hiszpanom jest łatwiej wejść we flamenco, bo oddychają nim od dziecka, ale przykład chociażby Japonek świadczy o tym, że flamenco można tańczyć pod każdą szerokością geograficzną – trzeba je tylko pokochać, otworzyć duszę na rytm, na muzykę, na życie”.

Ewa i jej koleżanki słuchały tego z niedowierzaniem, czasami zastanawiały się, czy w ten sposób przypadkiem nie kpi sobie z nich. Przecież przyjęły Hiszpanię do swych serc, ciężko pracowały na lekcjach i w domach, słuchały muzyki godzinami, a ciągle czuły, że flamenco im się wymyka. I nawet nie chodziło o to, że nie nadrobią czasu i nie dorównają Hiszpankom w technice, bo te zwykle zaczynały naukę w dzieciństwie, mając cztery, pięć lat – nie taki był ich cel. One chciały tylko zrozumieć, w czym tkwi tajemnica, dlaczego flamenco tak przyciąga i dlaczego tym, którzy go posmakują, nie pozwala już od siebie odejść. Im dłużej nad tym myślały, tym bardziej obawiały się, że rozwiązanie tej zagadki jest poza ich możliwościami. Zastanawiały się, dyskutowały i ciągle nic. Pytane przez innych, o co w tym wszystkim chodzi, wzruszały ramionami i powtarzały: „Musisz sam spróbować, może znajdziesz odpowiedź, to jest pozawerbalne, to jest w duszy”. Ale... czy tak było rzeczywiście? Jak z miłością, kiedy nie wiadomo, jak wytłumaczyć, że się kogoś kocha...

Paco dał im kluczyki do szafek w szatni. Trochę przytłoczyła je historia szkoły, przebierały się więc w ciszy. Po kilku minutach pojawiły się w sali w gwoździkowanych butach¹⁴⁾, długich spódnicach i cienkich topach. Z podpiętymi włosami, żeby nie przeszkadzały, z długimi kolczykami w uszach...

¹⁴⁾ Buty gwoździkowane to nieodzowny element stroju flamenco; zarówno damskie, jak i męskie mają czubki i obcasy obite gwoździami, które następnie się szlifuje, by uzyskać gładką powierzchnię – dzięki nim każdy step ma swój wyraźnie słyszalny dźwięk.

Odkąd zaczęły się uczyć flamenco, bardzo zmieniły się zewnątrznie. Nie tylko wyprostowały plecy i pewniej patrzyły na świat, ale także zapuściły włosy, nauczyły się upinać je na sposób hiszpański, zbierając w mocny węzeł nad karkiem, z upodobaniem też ozdabiały uszy niepraktycznymi, ale bardzo kobiecymi, długimi kolczykami. Gronami, łezkami, wielkimi kołami, ze złota, srebra lub kolorowego plastiku. Czasami wpinały kwiaty we włosy – róże, chryzantemy, goździki... Podobało im się zaznaczanie wyglądem przynależności do niewielkiej społeczności, która niby formowała się w Polsce od trzydziestu lat, lecz ciągle stanowiła grupę bardzo elitarną, liczącą zaledwie kilka tysięcy osób.

Nie tylko taniec je pociągał. Na początku ważniejsza była postawa życiowa, tak inna od obowiązującej w kraju. Miały dość martyrologii pielęgnowanej niemal na każdym kroku, topienia się w smutku i żalu po wszystkich stratach, dużych i małych. Bliższe im było przekonanie, że na rzeczywistość nie ma co się obrażać, że trzeba każdy dzień przeżyć jak najpiękniej, jak najlepiej, bo nie wiadomo, ile ich jeszcze zostało.

Upał szybko zaczął dawać się we znaki. W kącie piętrzyły się butelki z wodą mineralną i ręczniki. Paco włączył muzykę i rozpoczął rozgrzewkę – już to było dla wszystkich nie lada wyzwaniem. Miał zwyczaj każdy utwór zamieniać w spektakl: chciał, by nauczyły się gestami opowiadać o uczuciach, by przestały się wstydić swoich emocji i własnego ciała. Chyba właśnie to było we flamenco dla nich najtrudniejsze. Nie technika, tylko pokazywanie siebie. Wiedział o tym dobrze, zdawał sobie sprawę, jak bardzo uwiera je kulturowy gorset, jak nieustannie, nawet w prywatnych rozmowach, kontrolują swoje uczucia, mimo że z taką łatwością poddają się romansom. Lubił chodzić z nimi do klubów i tam je obserwować. Wtedy, czasami, potrafiły się zapomnieć, dawały się porwać muzyce. Widział, jak rytm je zagarniał, jak pracowały ich biodra, jak ręce odrywały się od ciała, jak po prostu tańczyły. Były – jak mówił – całe flamenco, nawet o tym nie wiedząc. Przywrócenie tego stanu było jego celem, kiedy zaczynał z nimi lekcje.

– *Chicas*¹⁵⁾, to są wasze ręce, wasze piersi, możecie ich dotykać, nic złego przez to się nie dzieje! – powtarzał. – Popatrzcie: gładzicie swoje włosy, jakbyście się czesały. Teraz szyję, przypominacie sobie pocałunki ukochanego. A potem odpychacie go, mówicie mu gestem, by sobie szedł precz... Bądźcie kobietami! Musicie poczuć swoją siłę, przecież możecie z nami zrobić, co tylko

zechcecie!

15) Chicas – dziewczyny

Powoli, bardzo powoli wszystko zaczęło się układać w opowieści o miłości i rozpaczy. Drobnymi krokami biegały w prawo i lewo, zachęcały niewidzialnego kochanka, by zechciał się do nich zbliżyć, wzrokiem, ruchem kokietowały go, a potem, nagle rozzłoszczone, raniły jego uczucia, by w końcu wystukać swoje rozczarowanie w narastających *escobillas*¹⁶⁾ i posągowo zastępnąć w ostatnim akordzie, patrząc wzrokiem zwycięzczyń na otaczający świat.

16) Escobillas (czyt. eskobijas) – element tańca wyróżniający się przyspieszaniem stepów i narastaniem jego mocy.

Dźwięki wybrzmiały. Jeszcze przez moment stały spięte aż do bólu. Po chwili rozluźniły się, na ich twarze powrócił zwyczajny uśmiech. Czuli, że nieprzekraczalna dotąd granica jakimś cudem nareszcie została pokonana. Całe były miłością i nienawiścią, kuszeniem i wzdrganiem, uniesieniem i żalem. Zapomniały o lustrach, o sali, o patrzącym nauczycielu, dały się nieść muzyce zapatrzone wyłącznie w siebie, wsłuchane w siebie i w ochryplą głós śpiewaka, który opowiadał czyjąś historię. To była już ich historia.

– No, dziewczyny, teraz możemy pracować! – zawołał z zadowoleniem Paco. – Zapamiętajcie dobrze te uczucia. Tak ma być zawsze, przy każdym tańcu. Chwila przerwy i jedziemy dalej – zadysponował.

Rozeszły się po sali, przeżywając jeszcze raz w myślach to, co się stało... Wycierały rękami spocone twarze, ramiona, plecy, łączywie piły wodę. Ewa ze zdziwieniem przyglądała się nabrzmiałym żyłom na swoich dłoniach – wyglądały, jakby cały dzień ciężko fizycznie pracowała. Spojrzała na Paco i nagle dopadło ją zniechęcenie.

„Boże drogi – pomyślała – przecież to głupota. Wystarczyło się przytulić, żebym znowu zaczęła o nim marzyć! Jak jakaś nastolatka. Nie mogę na niczym się skupić. Kompletnie bez sensu! Czy w życiu ma chodzić tylko o ciało? Jak my się dogadamy z moim hiszpańskim? A przecież rozmawiać trzeba. Patrzę na niego, a on co? Przez całą lekcję nawet na mnie nie spojrzał... Jakby nie było wczorajszej nocy. Nasycony. Nawet nie przytulił mnie jakoś szczególnie, kiedy witał się z nami. Chyba wyobrażam sobie więcej, niż jest... Czas się obudzić. Póki nie jest za późno. Tak, to nie Jacek ma podjąć decyzję, to muszę zrobić ja. Sama”.

Paco rzeczywiście sprawiał wrażenie, jakby nie zwracał na nią uwagi. No ale tak się kiedyś umówili: że nikt nie ma prawa domyślić się tego, co się dzieje między nimi. Niemal więc ostentacyjnie unikał patrzenia w jej kierunku. Ale widział, wszystko widział. Jej początkowe roztargnienie i jak potem, pewnie nie do końca świadomie, opowiedziała mu o swojej tęsknocie. Trochę był zły za wczorajszy zmarnowany dzień, za kilka godzin, których los ich pozbawił, bo nie mógł się do niej dodzwonić, ale kiedy spotkali się wieczorem, kiedy dziś ją przytulił podczas powitania, stwierdził, że te wszystkie żale nie mają większego znaczenia: pragnął jej, pragnął każdą cząstką swojego ciała, nie przestawał o niej myśleć. I teraz zastanawiał się jedynie, jak bezpiecznie kontynuować z nią spotkania bez świadków, jak ją ostatecznie przekonać, by z nim została.

Pił wodę i przyglądał się grupie. Lubił z nimi pracować. Dziewczyny miały tę zachłanność na taniec, jak kiedyś on sam. Widział, jak się rozwijają, jak coraz lepiej sobie radzą. Pomyślał o szykowanej dla nich niespodziance. Odszedł na bok, sięgnął po telefon na półce i wybrał numer. Mocno gestykułując, coś komuś tłumaczył. Ewa przyglądała mu się z coraz większym poirytowaniem.

„Tyle słów przez te miesiące, a teraz mnie nie ma! Jedna z wielu. No, idiotka ze mnie! Po prostu przywiozłam mu dziewczyny na warsztaty. To wszystko. Organizatorka wycieczki. I jeszcze trochę seksu w bonusie... Tak, co to może zrobić wyobraźnia!”.

Przerwa się przedłużała, dziewczyny coraz głośniejszymi głosami rozmawiały ze sobą.

„Przecież nikogo by nie zdziwiło, gdyby jakoś szczególnie podziękował mi za pomoc w zorganizowaniu warsztatów. Wczoraj «tęsknię, tęsknię», a dzisiaj co?! – Coraz bardziej się nakręcała. – Ile można gadać przez telefon?! To jakaś pomyłka. Po cholere dałam się w to wcią-

gnąć?!”.

Już była gotowa trzasnąć wszystkim i wyjść, ale akurat Paco skończył rozmowę i odwrócił się z uśmiechem do grupy. Był wyraźnie z czegoś zadowolony. Włączył muzykę. Popłynęła *guajira*¹⁷⁾... Jej ukochana *guajira*. Złość w jednej chwili uleciała. Paco puścił do niej oko. Wiedział, że ta muzyka ją rozczula. Wróciły na parkiet. Zmęczenie minęło, ale upał był nie do wytrzymania. Nie potrafiły sobie wyobrazić tańczenia czegokolwiek w takiej temperaturze.

¹⁷⁾ *Guajira* (czyt. *guahira*) – taniec o kubańskich korzeniach, prosty w rytmie, uwodzicielski, najczęściej tańczony z wachlarzem.

– Wiem, że przed przyjazdem tutaj – powiedział, nie zwracając uwagi na cierpienie wypisane na ich twarzach – uczyłyście się w swojej szkole *guajiry*. Chciałbym ją zobaczyć. W skrzyni są wachlarze w różnych rozmiarach, dobierzcie je sobie.

Wachlarze... jeden z najpiękniejszych rekwizytów. *Abanico*¹⁸⁾... Ba, ale jeśli w sklepie w Hiszpanii powiesz, że szukasz *abanico*, dostaniesz do wyboru mnóstwo cieniutkich, małych wachlarzy dla turystów, z malowanymi widoczkami, azurowymi piórami. Taki wachlarz można tylko powiesić na ścianie. Nie zatańczysz z nim. Nie da rady. Jeden raz z werwą machniesz i się rozsypie... Musisz zażyczyć sobie *abanico para bailar* – wachlarza do tańca. Jeśli o taki poprosisz, zostaniesz zasypana porządnie zrobionymi, drewnianymi, w różnych rozmiarach, dobrze pracującymi i mocno zanitowanymi. A jeżeli pokażesz, że umiesz go używać, sprzedawca dorzuci jeszcze gratisowo odpowiedni pokrowiec, by wachlarz bezpiecznie odbywał podróże.

¹⁸⁾ *Abanico* – wachlarz; w Hiszpanii, głównie w Andaluzji, spotyka się jeszcze inną nazwę – *pericón*; dostępne są w różnych rozmiarach, czasami nazwą *pericón* określa się największy wachlarz.

W skrzyni Paco leżały *abanicos* duże, małe i średnie. I takie zupełnie mini. Wszystkie świetnie wykonane. Sięgnęły po średnie i duże. Te pierwsze wzięły dziewczyny mniejszego wzrostu. Chodziło o to, by pióro, czyli złożony wachlarz, nie było dłuższe od przedramienia tancerki. Bo tylko wtedy mógł pięknie pracować, bez nadmiernego obciążania ręki.

Po chwili stanęły na swoich miejscach, przypominając zbierający się do lotu rój motyli. Z głośników popłynęły dźwięki.

Lekko ugięły kolana, głowy uniosły wysoko, wachlarze schowały za paski spódnic, dłonie oparły o uda. Do gitary dołączył śpiewak. Uwodzicielsko ruszyły do przodu. Jeden krok i powolny obrót, drugi krok i znowu obrót. Jakby mówiły: popatrz, jaka jestem piękna! Biodra zaczynają się ciężko ruszać na boki, jak wprawione w ruch potężne dzwony, ręce wędrują ku górze niczym ptaki zrywające się do lotu. Jeszcze jeden niespieszny obrót, jeszcze jedno spojrzenie rzucone w przestrzeń. I nagle... głośny furkot rozkładanego wachlarza, który w parę sekund później zamienia się w palące słońce, a po chwili w łabędzie skrzydło. Dziewczyny suną w lewo i w prawo, kolorowe półkola zasłaniają i odsłaniają ich oczy. I znowu zmiana. Jakby nagle nadeszła burza. Grom stepów, niczym bębniący o ziemię ciężki deszcz, a po chwili znów uspokojenie i zalotne czarowanie urodą. Przybliżają się i oddalają od wyobrazonego kochanka, wzbudzają w nim pożądanie. Wachlarze opływają ich ciała z każdej strony; stają się ich światłem, tłem dla oczu i uśmiechu, podarunkiem serca i biczem gniewu. Kiedy utwór się skończył, na ich czołach kroplił się pot. W ciągu trzech minut przeżyły całą miłość.

– *Bien! Muy bien!*¹⁹⁾ – zawołał z uznaniem Paco i zaczął bić brawo. – Bardzo dobrze! Ale zrobiłyście postępy od naszego pierwszego spotkania! Chyba nawet nie wiecie, jak ogromne. Dobrze, na dzisiaj koniec. Za duży upał. Mam dla was propozycję. – Zwiesił na chwilę głos. – Płacicie tak, jak się umówiliśmy, za dwie godziny zajęć dziennie, ale ponieważ w szkole i tak nic się teraz nie dzieje, kolejne dwie godziny to będzie prezent ode mnie i Luisa Duarte. Co wy na to?

¹⁹⁾ *Bien! Muy bien!* – Dobrze! Bardzo dobrze!

– Żartujesz? – zapytała z niedowierzaniem Ewa. – Dlaczego?

– Bo tak chcę. Przyjmujecie czy nie? Zastanówcie się dobrze, bo to oznacza, że będziecie

miały mniej czasu na zwiedzanie Barcelony.

– Nie, no coś ty! – zaczęły mówić wszystkie naraz. – No pewnie, że przyjmujemy! To niesamowite. Dzięki!

– No to załatwione. Od jutra ostro bierzemy się do roboty: technika, *soleá por bulería, farucca, seguiriyas*²⁰⁾ i trochę flamenco-jazzu. Zgoda? Spotykamy się o dziewiątej rano, żebyśmy skończyli, nim sala zamieni się w piekarnik. A teraz zapraszam na powitalny obiad!

²⁰⁾ Style flamenco, należące do najtrudniejszych, o najbardziej skomplikowanym metrum i akcentowaniu, spokojne w nastroju.

Prędko pobiegły pod prysznic. Oszłomione, bo tego się nie spodziewały. Owszem, po ciachu liczyły, że Paco jakoś się nimi tutaj zajmie, zagospodaruje im czas, ale że taką propozycję im przedstawi – tego w ogóle nie brały pod uwagę. Ewa czuła coraz większy mętlik w głowie. Już nie wiedziała, co o nim myśleć i jak postrzegać siebie w tym wszystkim. W myślach przepraszała go za poprzednie słowa, czuła się głupio sama przed sobą.

– Mam nadzieję, że lubicie *mariscos*²¹⁾ – powiedział, gdy zebrali się w holu.

²¹⁾ *mariscos* – owoce morza

– Tak! – odkrzyknęły chórem.

– W takim razie kierunek: Barceloneta. Tam są zawsze świeże owoce morza. Najpierw musimy dojść do Plaça de Catalunya, potem przejść La Ramblą do Kolumba. To obowiązkowa wycieczka pierwszego dnia. Nie zgubcie się. Na La Rambli są zawsze tłumy i dużo do oglądania. Uważajcie na torby. Złodzieje lubią turystów. Idziemy cały czas prosto. Jakby co – spotykamy się przy Kolumbie. Ewa, pójdziesz ze mną, musimy coś jeszcze omówić! – zarządził, zamknął szkołę i wyszli na ulicę.

Miał na sobie białą batystową koszulę, która podkreślała świeżą opaleniznę i piękną budowę ciała. Czarne włosy, jeszcze mokre, opadały mu na ramiona w niesfornych lokach. Skóra lśniła. Roztaczał orzeźwiający zapach dobrej wody toaletowej. Ewa patrzyła na niego z przyjemnością. I te jego roześmiane oczy. Brązowe... Bardzo chciała przytulić się do niego.

Słońce było już po zachodniej stronie nieba, ale wciąż mocno grzało, do tego budynki oddawały nagromadzone przez cały dzień ciepło – kiedy więc wszyscy znaleźli się na ulicy, czuli, jak ubrania powoli wilgotnieją na ich ciałach. W miarę spokojną okolicę Plaça de la Universitat nagle wypełnił hałaśliwy tłum przemierzający się po La Rambli, jak w kościelnej procesji. Dziewczyny co chwila zatrzymywały się i przyglądały sprzedawcom ptaków, ulicznym portrecistom, żywym rzeźbom. Złoty facet w rozwianym garniturze i z przerzuconym przez ramię krawatem, zmieniający pozycję po wrzuceniu euro do kapelusza położonego na chodniku, zrobił na nich największe wrażenie. W swoim bezruchu był perfekcyjny. Każdy detal stroju miał dopracowany. Nie mogły się na niego napatrzeć. Sąsiednie figury wydawały się niechlujne, wymyślone w pośpiechu. Przez kilka dobrych minut spoglądały na niego jak zaczarowane.

Na linii horyzontu dostrzegły cel wędrownicy: kolumnę odkrywcy Ameryki. Krzysztof Kolumb, odwrócony w stronę morza, wskazywał kierunek swoich wypraw, kierunek dawnych marzeń. Bramę do Nowego Świata. Też tak trochę się czuły: jak odkrywczynie nowego lądu. Zanurzały się w świecie dotąd wyobrażanym, ale zupełnie obcym.

Ewa nie zwracała na nic uwagi. Cały czas jej myśli krążyły wokół Paco. Trzymali się za ręce i usiłowali opierać ludzkiej nawałnicy. W końcu dotarli do skweru w pobliżu umówionego z dziewczynami miejsca. Grupę zostawili daleko za sobą, usiedli na ławce tak blisko siebie, jak to tylko było możliwe. Po wątpliwościach, rozterkach nie został najmniejszy ślad. Chciała już tylko być przy nim, zapomnieć o całym świecie.

– Evita, *mi solete*²²⁾, zamieszkaj od razu ze mną – zaczął Paco bez żadnego wstępu. – Wczoraj było tak wspaniale, tak bardzo za tobą tęsknię, ledwo znikniesz mi z oczu. Po co hotel? Tak będzie przecież prościej...

²²⁾ *mi solete* – mój promyczku

– Paco, a jak ja to wytłumaczę dziewczynom? A jeśli któraś o tym powie Jackowi?

– Eva, jak mam cię błagać? Co cię obchodzą inni? Martwisz się Jackiem? Zapomniałaś, że nie jesteś już jego żoną? Co cię wstrzymuje? O co chodzi?

– Nie, nie, proszę cię – przerwała mu. – Daj mi trochę czasu. Dopiero przyjechałam. Jeszcze jestem pogubiona w tym wszystkim. Będziemy się spotykać. Codziennie. Obiecuję. Ale na lekcję do ciebie muszę wyruszać z hotelu. Z dziewczynami. Nie mogę inaczej. Zrozum!

– Nie rozumiem. Nie wiem, dlaczego „musisz”. Ale dobrze, będzie jak chcesz... Nie będę niczego przyspieszał. Mam nadzieję, że w ciągu tych dwóch tygodni podejmiesz decyzję. Wiesz, na jakiej mi zależy.

Paco wpatrywał się w nią z uwagą i nie wypuszczał jej dłoni ze swojej. Powoli ją podniósł i pocałował.

– Nic więcej nie musisz już mówić. Poczekam. Spójrz mi w oczy. Najważniejsze, że jesteś. Reszta się ułoży. Na pewno.

Jeszcze raz pocałował jej dłoń, od wewnętrznej strony – tak jak kiedyś, dwa lata temu, w klubie. Ewa poczuła dreszcze na plecach. Kątem oka zauważyła zbliżające się dziewczyny. Pośpiesznie wstała z ławki i podeszła do nich. Paco zrobił to samo.

– No, jesteśmy – zawołała Gośka. – Tak pognaliście, że nie mogłyśmy nadążyć za wami! Aż tyle mieliście do obgadania, czy co? Ewka, żałuj, że nie widziałaś, jakie tu są cuda! Złoty zamrożony facet. No coś niesamowitego, mówię ci! A do tego jeszcze... – Gośka wyraźnie się rozkręcała – gościu obok siedzi przy stole, a swoją głowę ma na talerzu...

– Nie lubię tłumów, wiesz o tym. – Ewa ucięła zaczynając się opowieść. – No to którąś dalej, kapitanie? – zwróciła się do Paco.

Uwielbiała opowiadki Gośki, zawsze zabawne i pełne ciekawych spostrzeżeń, ale chciała jeszcze trochę pobyc w atmosferze sprzed chwili, jeszcze raz przemyśleć to, co usłyszała i co sama powiedziała. Też się zdziwiła, że martwi się, jak Jacek by zareagował na wiadomość o jej romansie.

– Teraz odbijemy trochę w lewo. – Paco wyznaczał dalszy ciąg marszruty. – Po drodze pokażę wam przystanek autobusowy do hotelu. A potem... myślę – spojrzał na zegarek – że *cava* już jest dobrze schłodzona.

Po kilku minutach zostawili za sobą huczącą ulicę. Teraz ich uwagę przykuwały jachty i żagłówki zacumowane w porcie. Za plecami mieli góry, przed oczami – morze. Barcelona zapierała im coraz bardziej dech w piersiach. Ewa powtarzała jak mantrę słowa kolegi z pracy: „Uważaj, Barcelona jest niebezpieczna – wiele daje, ale jeszcze więcej zabiera. Tak twierdzą Katalończycy i chyba wiedzą, co mówią”. Sens tego zdania stawał się z każdą minutą coraz bardziej zrozumiały...

Rozdział drugi

Paco

Do Barcelony przyjechał siedem lat temu. Z Madrytu. Uciekał stamtąd. Nigdy nie lubił tego miasta, ale teraz, po odejściu Anny, dłużej już tam nie mógł zostać. Każde spojrzenie na ulice, na domy, każde wyjście ze znajomymi do pubu bolało jak świeża rana. Nie mógł tańczyć, nie mógł jeść, nie mógł spać. Musiał wyjechać. Barcelona zawsze mu się podobała. Lubił jej energię, jej wielorakość, wewnętrzny puls. Pomyślał, że skoro nie jest w stanie występować, to może mógłby uczyć.

Wszystko potoczyło się błyskawicznie, dosłownie w ciągu jednego dnia. Rano odszukał w książce telefonicznej numer szkoły podziwianego przez siebie tancerza, wieczorem pokazał mu, co potrafi, a chwilę później usłyszał, że ma zająć się grupami najbardziej zaawansowanymi. Lekcje zaczynał nazajutrz. Uznał to za dobry znak.

Dzień po dniu, tydzień po tygodniu czuł, że odzyskuje chęć do życia, że odradza się w nim dawna pasja. Zaczął znowu bywać wśród ludzi, myśleć o powrocie na scenę i od nowa słuchać muzyki. Po kilku tygodniach Luis Duarte przyszedł przyjrzeć się jego lekcji. Usiadł w kącie i przez cały czas nie zmienił pozycji nawet o centymetr. Na jego twarzy nie malowały się żadne emocje. Dopiero późnym wieczorem, kiedy omówili już wszystkie bieżące sprawy szkoły, powiedział:

– Uczniowie się skarżą, że za bardzo przykręcasz śrubę. No i to się zgadza. Oni nie są w stanie za tobą nadążyć. Czas, synu, byś sam wrócił do tańca, tylko tak buduje się w naszym zawodzie markę, a przy okazji trochę im odpuszczisz. Myślę też, że powinieneś wziąć jedną grupę początkującą. To cię przyhamuje. Ale i rozwinie, jeśli dalej chcesz uczyć. Wierz mi, nie ma nic wspanialszego, niż widzieć, jak z poczwerek rodzą się motyle! No i dobrze jest przypomnieć sobie, że czasami najprostsze rzeczy są najtrudniejsze.

– Ty tu jesteś szefem. – Paco bez dyskusji przyjął uwagi Luisa.

– Tak, jestem. I jako szef cię informuję, że od jutra, od rana, mała sala jest do twojej wyłącznej dyspozycji. Tu są klucze. Liczę, że niedługo pokażesz mi coś, czego jeszcze nie widziałem.

Luis Duarte dobrze wiedział, że tylko w ten sposób zmusi Paco do pracy nad sobą. Znał się na ludziach, po siedemdziesięciu paru latach życia potrafił błyskawicznie ocenić ich potencjał. Tego chłopaka widział zresztą kiedyś na scenie i nie miał najmniejszych wątpliwości, że los podesłał mu prawdziwy brylant. Nie znał powodów, dla których przerwał karierę i przeniósł się do Barcelony, nie chciał zadawać mu pytań. Ale skoro ktoś taki porzucił scenę, musiało w jego życiu wydarzyć się coś dramatycznego, coś, co zburzyło wiarę w sens dalszej pracy, podcięło skrzydła. Wiedział jednak, że nadszedł czas, by pchnąć Paco do działania. Był pewien, że najdalej za dwa miesiące zobaczy coś naprawdę wspaniałego.

Miał rację.

Paco poczuł przyływ nowej energii. Tej nocy prawie nie spał, a następnego dnia pojawił się w szkole wczesnym rankiem i zaczął ćwiczyć. Pojedyncze stopy stopniowo zmieniały się w coraz bardziej skomplikowane sekwencje. Powtarzał je tak długo, aż stawały się czymś niemal tak naturalnym jak zamiana prawej nogi na lewą, kiedy człowiek, nie myśląc o tym, idzie do przodu. Po raz pierwszy od roku czuł, że rytm i muzyka wypełniają go, unoszą. Wsłuchiwał się w swoje własne myśli, wpatrywał we wspomnienia. Tańczył. Opowiadał o wszystkim, co boli. Tańczył dla Anny. Nareszcie wyrzucił to z siebie.

Usiadł zupełnie bez sił. Twarz miał zlaną potem. Czuł, jakby ktoś zdjął mu z pleców ciężki kamień. Nareszcie był wolny.

Uczył już rok w szkole Luisa, kiedy zadzwonił telefon.

– *Hola*, Paco! Co u ciebie? Jak ci się podoba praca nauczyciela? Słyszałam, że świetnie sobie radzisz. No i widziałam efekty. Niedawno przyszła na przesłuchanie dziewczyna, która mówiła, że właśnie u ciebie doskonaliła flamenco. Bardzo dobra. María Ortega Dorantes. Pamiętasz ją? – zasypała go lawina słów.

Uśmiechnął się. Głos rozpoznał natychmiast. Jego właścicielce wiele zawdzięczał. Inés, a właściwie Agnieszka, Polka, była dyrektorem konserwatorium w Madrycie, przyjęła go do siebie, mimo że miał wtedy już piętnaście lat, i wymyśliła indywidualny tryb nauczania, dzięki któremu szybko nadrobił zaległości i trzy lata później mógł występować w Balcie Hiszpańskiej. Bardzo ciężko z nim pracowała. I podtrzymywała na duchu, kiedy zaczynał wątpić. Właściwie to, kim się stał, zawdzięczał właśnie jej. Pytana, dlaczego tyle dla niego robi, odpowiadała niezmiennie, że kiedy pojawiła się w Hiszpanii, też jej ktoś pomógł, splanca więc tylko dług wdzięczności. Była jego nauczycielką, menedżerem, przyjacielem. I chociaż potem ich drogi się rozeszły i kontaktowali się rzadko, wiedzieli, że zawsze mogą na siebie liczyć.

– Słuchaj, dzwonię do ciebie – mówiła dalej Inés, nie dopuszczając Paco do głosu – bo rozmawiałam wczoraj z moją przyjaciółką z Polski. Od kilku lat organizuje w swoim mieście letnie warsztaty tańca. Zaprasza nauczycieli z różnych stron świata i oni przez półtora tygodnia uczą tańczyć amatorów i profesjonalistów. Chodzi o to, że szuka kogoś od flamenco. Poprzedni instruktor się nie sprawdził. Musztrował Polaków, jakby byli z Hiszpanii i od dziecka tańczyli flamenco. A wiesz, że tak nie można. Flamenco w Polsce tańczy się dopiero od niedawna, ludzie chcą się go uczyć, ale nie jest to dla nich łatwe. Te kursy cieszą się ogromnym zainteresowaniem. Krótko mówiąc: chciałbyś pojechać na dziesięć dni do Polski?

– Jezu, daj pomyśleć! – Paco zaczął się śmiać, kiedy Inés nareszcie zamilkła. – Wiesz, że tobie niczego nie odmówię, ale to trudna decyzja. Oni tam mówią po hiszpańsku? Rozumiem trochę po polsku, ale nigdy w życiu nie nauczę się mówić...

– Paco! – przerwała mu nieco urażona. – To międzynarodowe warsztaty! Polska nie jest jakimś zadupiem! Myślałam, że Anna dobrze ci to kiedyś wytłumaczyła. Będziesz miał *traductora*²³⁾.

23) traductor – tłumacz

– Wiem, że to nie zadupie.

– Pytanie brzmi: czy dasz radę poprowadzić zajęcia z ludźmi, którzy niewiele wiedzą o flamenco, nie znają stepów, nie rozróżniają *palos* i pewnie nie potrafią wyliczyć *compasu*²⁴⁾ dwunastkowego.

24) compas – takt

– Kiedy by to miało być?

– W sierpniu. W drugiej połowie sierpnia.

– Ile dajesz mi czasu do namysłu?

– Kilka godzin. Jutro muszę wiedzieć. Jeśli ty tego nie weźmiesz, będę szukać dalej. Obiecałam kogoś znaleźć. Czasu mam już mało. Ale prawdę mówiąc, nie wyobrażam sobie, żeby ktoś inny miał to robić. Poza tym spodoba ci się. Byłam na tych warsztatach dwa lata temu. Atmosfera jest niesamowita. Przyjeżdżają cudowni ludzie. Takiego entuzjazmu dla tańca już się tu, w Hiszpanii, nie spotyka. Masz wrażenie, że całe miasto wtedy tańczy. Miejsce też przypadnie ci do gustu! – W jej głosie było coraz więcej emocji. – To moje miasto. Poznań – dodała, jakby właśnie ta informacja miała ostatecznie go przekonać.

Paco tego się właśnie obawiał najbardziej: kiedy Inés była o czymś przekonana, potrafiła nakłonić do tego wszystkich. Chciał zachować chociaż pozory niezależności, więc przerwał rozmowę:

– Poczekaj, opowiesz mi o tym innym razem. Zaraz mam zajęcia. Jutro oddzwonię i dam ci odpowiedź. Okej?

– Dobrze. Ale zadzwoń rano. Koniecznie.

Odłożył słuchawkę. Powróciły wspomnienia. Miał nadzieję, że go nie dopadną, spychał je w głąb za każdym razem, kiedy tylko pojawiał się pierwszy sygnał. Tym razem jednak nie miał siły. Inés, Inés, Inés... Na nią nałożył się obraz Anny.

Z odrętwienia wyrwała go Claudia.

– *Profe*, czekamy na ciebie!

– Już, już idę. Zaczynjcie rozgrzewkę same. Dobrze?

Luis miał rację: najwspanialsze chwile w szkole przeżywał z uczniami kursów początkowych. Mieli w sobie najwięcej zapału do pracy i to się jemu też udzielało. Lubił obserwować, jak z lekcji na lekcję coraz mniej w nich zostaje nieporadności, jak coraz śmieiej sobie poczynają na parkiecie. Bez zbędnego gadania wykonywali polecenia, często zostawali po zajęciach, żeby coś jeszcze powtórzyć. Tego w grupach najbardziej zaawansowanych nie było. Tam pojawiali się ludzie, którzy już występowali i przychodzili jedynie korygować jakieś drobne błędy. Dla nich kolejny step był po prostu kolejnym stepem, bez którego można było sobie doskonale poradzić na koncercie. Zblazowani, z dystansem podchodzili do tego, co im proponował, ciągle oczekiwali zaskoczeń i byli przekonani, że klasą są mu równi. Najwięcej czasu zajmowało więc udowodnienie im, że jednak z jakiegoś powodu to on jest nauczycielem, a nie oni. Ale nawet wtedy, kiedy przekonywali się, że mogą sporo u niego podpatrzeć i poprawić własną technikę, i tak o pełną aprobatę było trudno. Odnosił wrażenie, że wręcz się pilnowali, by nie pokazać nadmiaru entuzjazmu dla wspólnej pracy i jego starań. Dlatego dokręcał im śrubę. Trochę mimo woli, a trochę po to, by rozbić ich obezwładniającą obojętność. Pozorną, skoro chodzili na skargi. Nie rozumiał jednak, dlaczego o tym nie rozmawiali z nim. Czasami zadawał też sobie pytanie, po co w ogóle przychodzą, skoro nie po trud i pot, które im serwował? Nie żał im było czasu i pieniędzy? To, czego oczekiwali, mogli sami sobie z łatwością zaaplikować podczas codziennego, normalnego treningu. Do tego nie był im potrzebny. Męczyli się, nie rozumieli. Gdyby nie grupy początkujące, zważyłby w sens swojej pracy w szkole.

Wieczorem, w domu, sięgnął do pudła stojącego w kącie pokoju. Nie zaglądał do niego od przyjazdu do Barcelony. To był jeden ze sposobów ratowania się. Ale telefon Inés uświadomił mu, że może już spokojnie myśleć o przeszłości. Zresztą nie miał wyjścia – jeśli zamierzał jechać do Polski, musiał podnieść wieko.

Na wierzchu leżała nieco wyblakła fotografia Anny: uśmiechniętej dziewczyny tulącej kota. Rozpuszczone włosy przytrzymywane opaską. Czoło odkryte, na nosie piegi. Oczy wielkie, migdałowe, zielone jak wiosenna trawa.

Poznali się dziesięć lat temu, w Madrycie, na koncercie Sary Baras²⁵). Rzadko oglądał kogośkolwiek na scenie, poza nią. Nie tylko dlatego, że znali się prywatnie – po prostu była to jedna z najważniejszych postaci flamenco nuevo²⁶). Precyzyjna i zaskakująca, każdy występ przynosił coś nowego, wyznaczał ścieżki poszukiwań dla wielu tancerzy. Jej koncert nigdy nie ograniczał się do opisu technicznego, to był zawsze prawdziwy spektakl, z przemyślaną fabułą, przejmujący aktorsko. Tańczyło jej ciało, tańczyła jej dusza. Zaczarowywała widzów gestem i spojrzeniem. Towarzyszący jej zespół był mistrzowski. Kiedyś skupił się na obserwowaniu tylko ich i nie mógł wyjść z podziwu nad włożoną pracą, zgraniem, uwagą, z jaką śledzili każdy ruch swojej gwiazdy. Wszystko wyćwiczone do najmniejszego gestu. Na improwizację pozwalali sobie tylko na końcu, przy *Bulerías por Fiesta*²⁷), i wtedy dopiero widać było, jak bardzo jest im wszystkim ze sobą dobrze...

²⁵) Sara Baras – jedna z największych gwiazd współczesnego flamenco, przez wielu uważana za niemającą sobie równych.

²⁶) Flamenco nuevo – nowe flamenco; nazwa odnosi się do współczesnego nurtu, który pojawił się w latach siedemdziesiątych, kiedy to między innymi za sprawą Paco de Lucí nastąpiło odrodzenie flamenco, zaczęło ono wchodzić w dialog z innymi formami muzycznymi, tworzyć swoiste fuzje, często czerpiąc inspiracje z jazzu i world music, a w tańcu – z baletu i tańca klasycznego. Dziś przeciwstawia się je flamenco puro, czystemu, tradycyjnemu, temu, które najbardziej jest widoczne w Jerez.

27) Styl tańca; *Bulerías por Fiesta* jest na ogół żartobliwym zakończeniem koncertu, fiesty, często wykonywanym jedynie przy *jaleo* (okrzykach) i *palmas* (klaskaniu).

Do teatru przyszedł w ostatniej chwili, tuż przed rozpoczęciem występu. Przepraszając wszystkich siedzących, przepychał się pospiesznie przez pół rzędu na swoje miejsce. Po prawej ręce miał starszego pana, po lewej – dziewczynę o jasnorudych, dość długich prostych włosach, ubraną w dzinsy i luźną czarną koszulę. Odkąd ją zauważył, nie był w stanie skupić się na tym, co działo się na scenie. Nie wiedział, kto tańczy i jak tańczy. Próbował nie patrzeć na nią, kątem oka widział jednak niemal wszystkie jej reakcje. W dłoni trzymała żółty wachlarz, ale chociaż na widowni było duszno, ani razu go nie użyła. Z ogromnym skupieniem wpatrywała się w scenę, przygryzając co jakiś czas dolną wargę. Czuł się dziwnie zdenerwowany jej bliskością i cały czas zastanawiał się, co zrobić, żeby dziewczyna nie zniknęła. Kiedy wybuchły końcowe oklaski, nachylił się do niej i zapytał:

– Chcesz ją poznać?

– Kto by nie chciał! – odpowiedziała, kompletnie nie zwracając na niego uwagi.

Entuzjastycznie biła brawo, twarz jej poczerwieniała od gorąca i emocji.

– Ale nie każdy może – zaczął ją ponownie. – Więc?

– No, chcę. – Nareszcie obróciła się do niego, opuściła ręce i z powagą zapytała: – Ale jak?

Zobaczył jej oczy i zdumiał się: były świetliste i zielone. Kocie. Miał wrażenie, że nawet źrenice zwężyły się eliptycznie jak u kota.

– Chodź ze mną za kulisy – szepnął. – Znam ją.

– Każdy tak może powiedzieć.

– Tak, każdy – przyznał. – Ale ja mówię prawdę. Łatwo się przekonasz. Nic nie ryzykujesz.

Jeśli okaże się, że kłamię, po prostu zostawisz mnie i pójdziesz, jeżeli jednak nie – uśmiechnął się – dasz się zaprosić na kolację. Co ty na to?

Przez chwilę przyglądała mu się w skupieniu, jakby badając jego prawdomówność. Wyrażenie wahała się. W końcu powiedziała krótko:

– Okej.

– Paco Bateo Pérez – przedstawił się i wyciągnął rękę.

– Anna Krzeszowska. – Podała mu dłoń, chłodną, drobną i delikatną.

– Jak? – zdziwił się.

– Krzeszowska – powtórzyła, uśmiechając się. – Jestem Polką. To polskie nazwisko.

– Sie... sos... ka? – spróbował wymówić. – Nie, nie umiem.

– Nie przejmuj się. Każdy ma tu z tym problem. Po prostu Anna, Ana.

Trochę czasu upłynęło, nim dotarli za kulisy, bo ludzie z dużym ociąganiem opuszczali teatr, oceniając na gorąco to, co zobaczyli. Oczywiście Sary Baras nie było już za sceną. Na szczęście ktoś wskazał im drogę do jej garderoby. Paco zapukał, drzwi otworzyła Sara. Uśmiechnęła się, serdecznie go ucałowała, uściskała, wypytała, co robi, jak sobie radzi i dopiero wtedy pozwoliła przedstawić sobie Annę. Chwilę porozmawiały o koncercie, o Polsce, której Sara nie знаła, ale sporo o niej słyszała. Na koniec Anna poprosiła ją o autograf na swoim żółtym wachlarzu.

I tak to się zaczęło. Teraz wachlarz leżał w pudle wśród innych drobiazgów, listów i zdjęć.

Listy... Anna lubiła co jakiś czas pisać do niego właśnie nie maile, ale listy. Zawsze piórem. Mówiła, że pióro wymaga więcej wysiłku i starań. To, co się nim zapisuje, jest bardziej przemyślane. Bo długopis zbyt szybko ślizga się po papierze, a słowa, jeśli mają mieć sens, trzeba ważyć. No więc były listy na specjalnie kupowanych papeteriach, zawsze kreślone zielonym atramentem. Jak jej oczy. Pojawiały się nie tylko wtedy, kiedy jedno z nich wyjeżdżało, ale czasami bez okazji, na przykład rano, przy porannej kawie, znajdował kopertę, a w środku kilka zdań. Jak te:

Kochany Paco, mój jedyny!

Słońce obudziło mnie, kiedy jeszcze spałeś. Byłeś odwrócony twarzą do mnie. Uśmiechałeś

się, jakby coś Ci się śniło milego... Może ciągle kochałeś się ze mną? Tak pięknie było wczoraj! Twoje ręce, twoje usta wędrujące po moim ciele, a potem Twój uśmiech, kiedy podajesz mi kieliszek wina... I nawet nie zauważasz, że ręcznik zsunął Ci się z bioder. Jesteś taki piękny! Tak bardzo lubię patrzeć na Ciebie! I wiesz? Uwielbiam zasypiać zaplątana w Twoje ramiona. Czy dzisiaj też tak zasną?

Jesteś najwspanialszym prezentem od Życia. Że też właśnie ja go dostałam. Szczęściara ze mnie!

Wróć szybko do domu. Będę niecierpliwie czekać.

Dobrego dnia, Kochanie!

Ana

Tych kilka zdań sprawiało, że skrzydła mu wyrastały u ramion. Chciało mu się żyć, chciało się pracować, energia go rozpieierała, nawet jeśli w nocy spał o wiele za krótko.

Każdy swój koncert w myślach dedykował Annie. Ci, którzy często go widzieli, po sposobie, w jaki tańczył, domyślali się, że coś dobrego wydarzyło się w jego życiu, wyczuwali tę specyficzną ekscytację, jaka towarzyszy zakochaniu. Przestał chodzić na nocne imprezy. Jeśli Anny nie było na koncercie, wracał do niej, by jak najszybciej ją przytulić. Kiedy rozstawali się na dłużej, nie potrafił radzić sobie z tęsknotą. Godzinami siedział przed telewizorem, przerzucając kanały, albo słuchał muzyki i pilnował się, by nie dzwonić do niej zbyt często. Pamiętał, jak mówiła, że ważne jest, by każde zachowało nieco wolności, by nie udusili siebie nawzajem tą miłością, by mieli własne, osobne przestrzenie. Przyznawał jej rację, ale nie radził sobie z tym. Nieustannie w myślach z nią rozmawiał, każdą napotkaną kobietę do niej porównywał, zastanawiał się, co robi, jaką sukienkę ma na sobie, w jaki sposób upięła włosy. Z każdej podróży przywoził jej jakiś drobiazg: muszelkę, kamyk, zasuszony liść, cokolwiek – coś, co znajdował pod ręką, kiedy dopadały go wspomnienia ich dni i nocy.

Anna pracowała w Madrycie jako tłumaczka literatury hiszpańskiej, co jakiś czas jeździła do Polski. Do wydawnictwa, do swoich rodziców. Na tydzień, dwa, czasami na dłużej. Obiecywał sobie, że w końcu pojedzie razem z nią, prosił więc, by uczyła go polskiego. Codziennie, kiedy tylko byli razem, mozolnie przedzierali się przez zawilności języka. Próbował rozumieć różnicę między tak samo, jak mu się wydawało, brzmiącymi słowami: pies – piec, pracować – prasować, trzy – czy, sześć – cześć... Wymowa wszystkich szeleszczących głosek okazała się barierą nie do pokonania, ale przynajmniej coraz więcej rozumiał. I to już było coś! Nie chciał obciążać jej w przyszłości koniecznością nieustannego tłumaczenia. Zresztą przez język czuł się jeszcze bardziej z nią związany, bliższy jej światu. Miał nadzieję, że z czasem może uda mu się też coś jednak powiedzieć. W końcu ich wspólne życie dopiero się zaczynało. Lekko licząc, mieli przed sobą jakieś pięćdziesiąt lat!

Kiedy wracała z tych swoich wypraw, zresztą nie tylko polskich, zawsze otwierał szampana, którego bardzo lubiła, i szykował jedno z jej ulubionych dań: mule gotowane w białym winie, ze śmietaną, zieloną fasolkę ze skwarkami, *paellę*²⁸) lub coś jeszcze innego, w zależności od tego, jaki esemes znajdował w komórce. Na przykład pisała: „Marzę o ryżu z warzywami” i to oznaczało, że za dwadzieścia cztery godziny będzie w domu. Miał czas, by wszystko przygotować. Najpierw jedli kolację, a potem pół nocy mijało im na opowieściach, oglądaniu zdjęć, których zawsze przywoziła mnóstwo. Starał się tak organizować zajęcia, by nazajutrz mieć czas tylko dla niej. Właściwie jak o tym teraz myślał, celebrowali każdą wspólną chwilę. Jakby coś przeczuwali... Nie, oczywiście bywały też gorsze dni, kiedy burczeli na siebie, niemal pakowali walizki, by się rozstać. Jak w każdym związku. Obydwoje należeli do ludzi wybuchowych. Na szczęście burze tak jak gwałtownie przychodziły, tak i odchodziły. Miały jedną zaletę: musieli po nich przeanalizować powody

złości, coś postanowić i z większą czułością, od nowa, pielęgnować swoje wzajemne relacje. Wszystko to miało swój sens. Wszystko było po coś.

28) *Paella* (czyt. paeja) – tradycyjna potrawa hiszpańska, której podstawą jest ryż z curry, przyrządzany z owocami morza, mięsem czerwonym albo drobiem; bywa też w wersji wegetariańskiej.

W kartonie, pod listami leżały kolejne zdjęcia. Z Polski. Anna ze swoją mamą, Anna ze swoim ojcem, z przyjaciółmi, nad brzegiem morza, w parku...

W końcu, po półtora roku wspólnego życia, latem, pojechali razem w jej rodzinne strony. Dwa tygodnie w Gdańsku. Uprosił ją, by zatrzymali się w hotelu. Wiedział, że mieszkanie jej rodziców nie jest zbyt wielkie, nie chciał ich krępować swoją obecnością. Całe dni spędzali z nimi lub przyjaciółmi Anny, ale potem byli tylko dla siebie. Nikt z jej najbliższego otoczenia nie mówił po hiszpańsku. Starał się nie absorbować sobą ich uwagi, próbował domyślać się, o czym dyskutują, skupiając się na języku ciała. Obserwowanie Polaków było ciekawym doświadczeniem. Odkrył, że są podobni do Hiszpanów: bardzo emocjonalni, żywo gestykulujący podczas głośnych rozmów. Dużo żartowali. Lubili tańczyć, bawić się. Jedyne, do czego nie mógł się przyzwyczaić, to obfite śniadania i pory posiłków: kiedy on miał ochotę na kolację – oni szli już spać, kiedy był w stanie wypić tylko kawę, na stole pojawiał się trzydaniowy obiad. Po kilku dniach wszyscy jednak zaakceptowali jego odmienne zwyczaje. Czuł się tam dobrze. Po tygodniu potrafił z potoku zdań wychwycić pojedyncze słowa, które rozumiał. Po dwóch tygodniach całkiem poważnie zaczął się zastanawiać nad możliwością zamieszkania tam na stałe. Tym bardziej realnego, że z rozmów ze znajomymi Anny wyniknęło, iż w Gdańsku działa jakaś szkoła flamenco, a coraz więcej ludzi zaczyna się uczyć hiszpańskiego. Ze znalezieniem pracy, jak przypuszczał, nie miałby więc problemów. Anna jednak nie myślała o porzuceniu Madrytu. Właściwie, z zawodowego punktu widzenia, nie miałoby to żadnego sensu. Jej praca polegała przecież nie tylko na tłumaczeniu, ale także na wynajdywaniu nowych, ciekawych autorów. Zdecydowanie łatwiej było to robić, mieszkając w Hiszpanii.

Rzeczy wyjęte z pudła zajmowały niemal cały stół. Na dnie leżała już tylko poźółkła, lekko poplamiona gazeta i książka. Przez chwilę wahał się, czy po nie sięgnąć. Wziął kilka głębszych oddechów, podszedł do barku. Nalał sobie whisky i wypił całą niemal duszkiem. Sięgnął jeszcze raz po butelkę. Z pełną szklanką wrócił do stołu.

„Okej – pomyślał – muszę to zrobić. W końcu muszę...”

Wypił kolejny łyk alkoholu, wyjął gazetę, rozłożył ją. Przymknął oczy, podniósł głowę, znowu wyciągnął rękę po szklankę i tym razem bez pośpiechu opróżnił ją do końca. Trochę się uspokoił. W *Kronice wypadków* odnalazł informację o samochodzie na numerach madryckich, który z niewiadomych powodów uderzył w przydrożne drzewo. Kierująca pojazdem kobieta zginęła na miejscu.

Niedługo po powrocie z Gdańska, Anna wsiadła do samochodu i pojechała do Malagi. Miała się tam spotkać z pisarzem, którego powieść akurat tłumaczyła. Chciała z nim porozmawiać, by lepiej zrozumieć tekst, nie mogła sobie poradzić ze znalezieniem najwłaściwszych polskich odpowiedników dla paru hiszpańskich określeń. Coś jeszcze mieli przedyskutować, zastanowić się nad następnym tytułem, gdyby polski wydawca doszedł do wniosku, że warto wprowadzić na rynek jego kolejną książkę. Anna nie była pewna, czy należy w takim wypadku utrzymywać porządek chronologiczny, jak sugerował autor. Raczej skłaniała się ku temu, by w pierwszej kolejności proponować utwory dające gwarancję sukcesu czytelniczego, a luki uzupełniać później, z czasem, kiedy nazwisko pisarza już mocno wpisze się w pamięć i będzie towarem – jak mówiła – poszukiwanym, pożądanym.

W Maladze w tym samym czasie miała się odbyć premiera jego najnowszej książki – Anna została na nią zaproszona jako gość specjalny. Była przekonana, że trafiła na drugiego Eduarda Mendozę albo Carlosa Ruiza Zafóna i do końca życia będzie się zajmować wyłącznie nim. Przypuszczała, że podróż zajmie jej pięć dni, bo chciała przy okazji zwiedzić okolicę.

Jak się okazało, nikogo o tym nie uprzedziwszy, skróciła pobyt. Dlaczego? Paco wówczas nie miał pojęcia. Musiała to być nagła decyzja, bo nie wysłała żadnego esemesa, prosząc, starym

zwyczajem, by na kolację przygotował to czy tamto. Po prostu trzeciego dnia, zaraz po śniadaniu, ruszyła w drogę powrotną. Wieczorem zawiadomiono go o jej śmierci. W telefonie miała zapisany jego numer jako ICE... Nikt nigdy nie dowiedział się, co się stało. Rodzina zabrała jej ciało do Polski. Na pogrzeb nie pojechał. Nie był w stanie. Nie pytał, na jakim cmentarzu spoczęła, nie kontaktował się z nikim. Został mu tylko karton z listami, zdjęciami i żółtym wachlarzem. I kot. Kot Anny. Rudy jak ona. Ten z fotografii... I książka, nad którą pracowała. Podobno ktoś za nią dokończył tłumaczenie. Podobno powieść odniosła sukces w Polsce, wydawnictwo chciało przygotować kolejne tytuły, tak jak sugerowała Anna, ale pisarz, też zbyt mocno poruszony jej śmiercią, nie był w stanie nawiązać współpracy z kimkolwiek innym. Projekt więc odłożono na jakiś czas. Paco powieści nie przeczytał.

Długo nie mógł uwierzyć w to, co się stało. Nie przyjmował do wiadomości, że z tej podróży Anna już nigdy nie powróci. W lodówce cały czas chłodziła się na powitanie jej ulubiona *cava* – Codorníu. Nigdy jej nie otworzył. Zostawił w mieszkaniu, kiedy przeprowadzał się do Barcelony. Bo w końcu posłuchał przyjaciół i opuścił Madryt. Wyparł śmierć Anny z pamięci.

Czasami łapał się na tym, że szukał jej w mijanym tłumie. Wbił sobie do głowy, że Anna odeszła... do kogoś, z kimś, od niego. Tak było łatwiej. Tylko że w Madrycie nie mógł już żyć.

Wrócił myślami do telefonu od Inés. Znowu miałby pojechać do Polski?

„Czy Anna by tego chciała? – zastanawiał się. – Zawsze powtarzała, że wszystko się dzieje w swoim czasie, wtedy, kiedy musi się dziać, kiedy jesteśmy na to gotowi...”

Też próbowała tańczyć flamenco. Dlatego spotkali się na koncercie Sary Baras. Pamiętał, jak pierwszego wieczoru zapytał ją, skąd to zainteresowanie, a ona wyjaśniała, że dzięki flamenco uratowała siebie i zmieniła swój sposób patrzenia na świat. Łatwiej jej było pokonywać zniechęcenie, porażki, wątpliwości, uwierzyła, że jest w stanie skupić się na pracy, cierpliwie czekać na efekty i wyznaczać sobie kolejne cele w życiu. Nareszcie zawierzyła intuicji, przestała się bać swoich emocji, uwierzyła, że i radość, i złość mają jednakowo oczyszczający charakter. Zaczęła się jej podobać niepewność ryzyka. Flamenco było ryzykiem – na początku drogi nie jesteś w stanie przewidzieć, czy i w jakiej kondycji dotrzesz do końca, czy twoje intencje będą czytelne, czy za jego pośrednictwem będziesz umiał coś przekazać innym... Opowiadając o swoim zauroczeniu flamenco, wskazywała na takie jego moce, jakich on sam wcześniej nie dostrzegł. Jego najbardziej fascynowała forma, sztuka, ją – aspekty filozoficzne i terapeutyczne. Przegadali potem na ten temat wiele godzin.

Tak, na pewno namawiałyby go na ten wyjazd.

W sierpniu pojechał więc do Polski. Do Poznania. I było dokładnie tak, jak opowiadała Inés: tłumy ludzi zafascynowanych tańcem, miało się wrażenie, że przez niemal dwa tygodnie całe miasto tańczy. Przecierał oczy ze zdumienia. W centrum ogromny Zamek Cesarski sprzed stu lat, oddany we władanie sztuki, jeszcze starsza Szkoła Baletowa tuż przy Starym Rynku, zaanektowane dla tańca trzy inne szkoły w pobliżu, do tego kluby zamienione w miejsca nieformalnych, nocnych warsztatów. Na ulicach bez trudu rozpoznawało się uczestników zajęć. Wyróżniali się nie tylko wymyślnymi, kolorowymi strojami i wypchanymi plecakami, z których obowiązkowo wystawały butelki wody, ale także uśmiechem i bijącą od nich energią. Ich nieskrywana radość przyciągała wzrok. Nikogo też nie dziwiły grupki ludzi ćwiczących na ulicach nowe kroki i fragmenty choreografii. Przechodnie im kibicowali, robili zdjęcia.

„Centrum dowodzenia” warsztatów umiejscowiono na Koziej, między Farą a Starym Rynkiem, w Szkole Baletowej. Tam swoje niewielkie miejsce miał Polski Teatr Tańca, organizator tych letnich szaleństw. Wokół brukowane uliczki, wewnątrz szkoły renesansowy dziedziniec. Kwadrat przestrzeni jakby odcięty od rzeczywistości... Z każdego uchylonego okna wydobywała się muzyka. Istna kakofonia dźwięków. Jazz, modern, swing, klasyka, flamenco – wszystko się mieszało. Przechodnie zatrzymywali się i ciekawie zaglądali do środka, czasami bili brawo albo – rozpoznając rytm – też zaczęli tańczyć na ulicy.

Paco mieszkał razem z innymi nauczycielami w Hotelu Rzymskim, w połowie drogi między szkołą a zamkiem. W samym centrum miasta. Codziennie w południe stawiał się na spotkania organizacyjne, podczas których omawiano wszystko, co dobrego i złego zdarzyło się w ciągu ostatnich

dwudziestu czterech godzin, dyskutowano o programie Koncertu Mistrzów, jaki miał się odbyć w połowie warsztatów, i Koncercie Finałowym, w czasie którego uczniowie wraz ze swoimi nauczycielami pokazywali, czego nauczyli się w trakcie kursu.

On miał cztery grupy – trzy początkujące, jedną średnio zaawansowaną. Oczywiście już pierwszego dnia przekonał się, że *nivel medio*²⁹⁾ w Polsce znaczy zupełnie co innego niż w Hiszpanii. Tutaj był to po prostu początek drogi, tyle że znajdujący się na niej znali już kilka *marcajes*³⁰⁾, kilka stepów, kręcili niezłe nadgarstkami i jako tako byli osłuchani z flamenco, a przynajmniej z niektórymi *palos*. Grupy początkujące były rzeczywiście początkujące, nie miały pojęcia o krokach, specyfice tańca, ich ruch nie miał w sobie ani swobody, ani gracji. Ale ludzie chcieli pracować, mieli w sobie zapał i energię, które przenosiły się na niego. Każdy dawał z siebie wszystko. Po sześciu godzinach wracał do hotelu bardziej wykończony niż po całym dniu w szkole Luisa. Ale też i szczęśliwy, bo efekty było widać natychmiast, każdego dnia kolejne.

29) *nivel medio* – poziom średni

30) *Marcajes* (czyt. markahes) – przejścia; charakterystyczne dla każdego stylu połączenia kroków oddzielające sekwencje stepów.

Jego szczególną uwagę zwróciła dziewczyna z grupy początkującej, Lidka. Czarnowłosa, czarnooka, jak rodowita *la Gitana*³¹⁾. Świetnie się poruszała, z kocią miękkością i jednocześnie naturalną dumą. Miała w sobie to coś, co sprawiało, że wzrok innych skupiał się właśnie na niej. Bardzo szybko się uczyła, czasami odnosiło się wrażenie, że to nie jest jej pierwszy kontakt z flamenco, ale ona twierdziła, że – owszem – tańczyła, i to dużo, lecz zupełnie coś innego. Gdyby urodziła się w Hiszpanii, na pewno byłaby dziś jedną z najlepszych tancerek. Nie miał co do tego wątpliwości. Łapał się na tym, że z powodu Lidki prowadził inaczej całą grupę: robił wszystko, by przekazać przede wszystkim jej jak najwięcej.

31) *la Gitana* (czyt. la hitana) – Cyganka

Lidka... dziwna dziewczyna. Na zajęciach pewna siebie i wyraźnie kokietująca go, poza sobą zupełnie tracąca rezon. Kilka razy próbował podejść do niej podczas wieczornych fiest. Pozwoliła mu ze sobą zatańczyć dopiero po Koncercie Mistrzów. Sporo wtedy wypili. Może dlatego odpowiedziała na jego zaczepki? W każdym razie od tego momentu spędzali ze sobą dużo czasu, przede wszystkim w klubach.

Była w niej jakaś zagadka. Coś brzmiało fałszywie, wyczuwał jakieś kłamstwo, które jednocześnie odpychało i przyciągało. Kładąc się do łóżka, coraz bardziej uświadamiał sobie swoją samotność. Tęsknił za Anną, bez wątpienia, ale też po prostu za seksem, za kobiecym ciałem. Lidka niechcący uświadomiła mu, że czas żałoby minął. Pociągała go. Każdy taniec z nią był obietnicą czegoś niezwykłego. Na tym się jednak wszystko kończyło. Bała się albo taką strategię przyjęła. Nie był w stanie tego rozszyfrować, ale pragnął jej coraz mocniej.

Ostatniego dnia zajęć, zgodnie z tradycją, niemal wszyscy uczestnicy warsztatów wystąpili na specjalnym koncercie. Pierwszy raz brał udział w czymś takim. Na widowni – znajomi, przyjaciele, rodziny, dziennikarze. Atmosfera święta i wspólnoty. Nieustające owacje i zachwyty. Wszyscy czuli się jak gwiazdy. Nic więc dziwnego, że kiedy grubo po północy koncert się skończył, nikt nie miał ochoty wracać do domu. Wszystkich rozpieęła energia. Chcieli ten swoisty stan nieważkości utrzymać jak najdłużej, poszli do klubu. Połało się piwo, popłynęła muzyka. Lidka w tańcu przytuliła się do Paco i wyraźnie dała mu do zrozumienia, że tym razem na obietnicach się nie skończy. W jej pokoju spełniło się to, czego obydwójce, jak się okazało, pragnęli.

Kiedy następnego dnia wychodził od niej, wstawał świt. Poszedł do hotelu, wykapał się, wypił dwie kawy i punktualnie stawiał się na zajęciach zamykających kurs. Swoim grupom zafundował to, co wszyscy lubią najbardziej – *rumba flamenca*³²⁾, taniec o nieskomplikowanym metrum, za to ze sporą ilością improwizacji i uśmiechu. Nareszcie dziewczyny poczuły, że mogą bawić się muzyką i krokami. Wiedział dobrze, że wyjadą z Poznania z postanowieniem powrotu za rok. Pewnie sporo z nich zapisze się też do szkół flamenco w swoich miastach i już przy tej muzyce, przy

tym tańcu zostanie. Tak to zwykle działa.

32) *Rumba flamenca* – styl tańca pochodzenia kubańskiego, z gatunku *ida y vuelta*, czyli pierwotnie hiszpański, na Kubie zaadaptowany i wzbogacony, i ponownie przyjęty w Hiszpanii.

Lidka podeszła do niego i poprosiła o adres mailowy. Zawahał się. Tego nie brał pod uwagę. Nie chciał się z nikim wiązać. Jeszcze nie. Nawet w taki sposób. Pomyślał jednak, że jeśli zapomni o ostatniej nocy, a Lidkę będzie trzymał na dystans, to może zachowa kontrolę nad jej nauką, a na tym mu zależało; była w niej pasja, chciał jej pomóc się rozwinąć, dalszego romansu nie brał pod uwagę.

Następnego dnia wrócił do Barcelony. Wieczorem zadzwoniła Inés:

– No i jak było?

– Dokładnie tak, jak mówiłaś.

– Coś więcej powiesz?

– A co chciałabyś wiedzieć?

– Paco! Nie drażnij się ze mną. Poznałeś kogoś? Jakąś fajną dziewczynę?

– Mnóstwo fajnych dziewczyn. – Uśmiechnął się, udając, że nie rozumie pytania.

– A jakąś jedną szczególną? – Inés drażyła temat.

– Pytasz o seks czy o miłość? Na miłość jeszcze za wcześnie, a seks – owszem, był.

– No tak, niczego przyspieszać nie można... Chcą, abyś za rok znowu przyjechał. A ty miałbyś ochotę tam wrócić?

– Tak. Fajne doświadczenie. Ciekawe, ilu moich uczniów pojawi się w przyszłym roku...

Dziękuję ci, Inés.

– Nie ma sprawy. Kiedyś jeszcze o tym pogadamy. Niedługo będę w Barcelonie. Odezwę się.

– Okej. To w takim razie prezent odbierzesz sobie sama.

– Prezent? Jaki?

– Niespodzianka. Do zobaczenia!

Długo zastanawiał się, co mogłoby ucieszyć Inés. Przypomniawszy sobie, że Annie brakowało w Hiszpanii tylko jednego – polskich kosmetyków, niedrogich i świetnych, jak twierdziła. Często nawet powtarzała: „Gdyby na przykład taka... – i tu wymieniała kilka nazwisk, których nie zapamiętywał – otworzyła swoją firmę w Paryżu, byłaby tak samo pożądana przez świat jak Dior”. Nie bardzo w to wierzył, ale rzeczywiście, konsekwentnie po każdej podróży do kraju łazienkę wypełniały słoiczki z polskimi kremami. Wyraźnie cierpiała, kiedy zapasy się kończyły i musiała się ratować markami dostępnymi w Madrycie. Nadal pamiętał ich opakowania i takie właśnie kremy przywiózł w prezencie dla Inés. I album ze zdjęciami secesyjnych kamienic Poznania. Bo kiedyś długo mu opowiadała o starej architekturze tego miasta...

Do Poznania wracał odtąd każdego roku. Za drugim razem musiał dość brutalnie wytłumaczyć Lidce, że mogą się przyjaźnić, że jej pomoże, zorganizuje dodatkowe lekcje, ale na tym koniec. Niech nie liczy na nic innego. Tamta noc już się nie powtórzy. Czy zrozumiała? W każdym razie nie próbowała go już uwodzić. Przestała jednak też być tak obiecującą tancerką, jaką się wydawała rok wcześniej. Gdzieś nastąpiła blokada. Owszem, zwracała na siebie uwagę, przeskoczyła do grupy średnio zaawansowanej i radziła sobie tam całkiem nieźle, ale brakowało jej już takiej zażyłości w nauce jak wcześniej. Nie wiedział dlaczego, ale i wołał nie dociekać.

Ciężko pracował w ciągu dnia, dając z siebie maksimum, a wieczorami bawił się. Starał się nie nawiązywać bliższych kontaktów ze swoimi uczennicami, nie chciał powtórzyć błędu z Lidką. Nie unikał ich, ale postawił wyraźną granicę między sferą prywatną a zawodową. Im więcej kobiet przewijało się przez jego życie, tym bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że jeszcze nie chce z żadną być na dłużej. Już nie porównywał ich z Anną, jak na początku, ale i nie próbował bliżej poznać, nie był ciekaw, co myślą, co je fascynuje, jak żyją. Przebywał w ich towarzystwie, bawił się, czasami łądował z nimi w łóżku, ale wszystko bez zobowiązań, bez choćby potencjalnego ciągu dalszego. Potem mówili sobie „do widzenia”, a on wracał do swojej codzienności. Skupił się na pracy. Wymyślał nowe choreografie, występował i uczył. I tak było przez kolejne lata. Wszystko

się zmieniło, kiedy przyjechał do Polski po raz piąty.

Znowu miał grupy początkujące i średnio zaawansowane. Jednej zaproponował *sevillanas*³³), ci, którzy tańczyli dłużej, mieli się uczyć *bulerías* i *seguiriyas*. Po doświadczeniach poprzednich lat podejrzewał, że mniej go zmęczą różne *palos* niż powtarzanie w kółko tego samego. Najbardziej cieszył się na *bulerías*, bo w tej grupie mieli się pojawić w większości ludzie, których znał z poprzednich lat, wiedział więc, czego się spodziewać, mógł zawczasu przygotować w miarę dokładnie cały układ i koncepcję zajęć.

33) Sevillanas (czyt. sewijanas) – styl tańca o prostym *compasie*, przez wielu badaczy niezaliczany do flamenco; wywodzi się z folkloru hiszpańskiego, niemniej ma typowe dla flamenco „ornamenty” – miękkie nadgarstki, elementy stepów, ruch spódnicy; taniec bardzo popularny w całej Hiszpanii, jedyny wykonywany w parach, jedyny o ściśle określonej choreografii.

Dzień rozpoczynał od *sevillanas*. Na lekcję zapisało się ponad dwadzieścia osób. Przywitał się z nimi, przedstawił, poprosił, by się ustawili w kilku rzędach. Zaczął jak zwykle od rozgrzewki. Tuż obok niego stanęła kobieta: nie był w stanie określić jej wieku, równie dobrze mogła mieć trzydzieści, jak i czterdzieści lat, ogromnie skupiona, błyskawicznie reagowała na każdy jego ruch – tańczyli niemal synchronicznie. Biła od niej niezwykła energia. W pewnym momencie złapał jej wzrok w lustrze. Uderzyła go fala gorąca. Ten sam żar w spojrzeniu co u...!

– Niemożliwe, niemożliwe – szepnął kilka razy, nie mogąc oderwać oczu od twarzy kobiety.

Kiedy znowu ich spojrzenia się skrzyżowały, poczuł się, jakby poraził go prąd. Po prostu stanął, wrósł w podłogę. Na szczęście tak mogła się zakończyć pierwsza część zajęć. Chyba nikt nie zorientował się, że to był przypadek. Poszukał nowej płyty w swoim pudełku, dość długo na odtwarzaczu wybierał odpowiedni utwór, jednocześnie próbując się uspokoić. Na niewiele to się zdało – drugą część lekcji prowadził jak automat. Nie mógł powstrzymać się od zerkania na kobietę i coraz bardziej był zdziwiony, że choć fizycznie zupełnie inna, tak mocno przypomina mu Annę. Miał wrażenie, że bije od niej to samo światło.

Przez resztę dnia myślał tylko o niej. Na następnych zajęciach – znowu ją obserwował. Wiedział już, że ma na imię Ewa. Chciał, by ćwiczyła w jego pobliżu i robił wszystko, by tak właśnie było. Szukał jej także poza salą ćwiczeń, wszędzie, gdzie chodził wieczorami, w każdym warsztatowym klubie. Kiedy w końcu ją spotkał, znajdując usprawiedliwienie dla własnej bezczelności w wypitym alkoholu, bez ogródek powiedział, jakie zrobiła na nim wrażenie, jak lubi jej bliskość na zajęciach, jej energię, po czym przyciągnął ją do siebie, musnął ustami jej policzek i szepnął: *Querida Eva*³⁴). Trwało to tylko chwilę, bo speszona wyrwała się i uciekła, ale zdążył poczuć jej zapach. Nagle uświadomił sobie, że podobnych perfum używała Anna. To nie mógł być przypadek. Zaczął rozglądać się za nią w tłumie, ale jej nie znalazł.

34) Querida Eva – Kochana Ewa

Mógł wybiec na miasto i tam szukać, czuł jednak, że choć zostało mało czasu, by ją poznać, by się do niej zbliżyć, nie powinien zanadto przyspieszać biegu wypadków, aby nie stracić szansy na wszystko. Pozostawała nadzieja, że nie będzie omijać klubu.

Pojawiła się następnego wieczoru. Kiedy podeszła do baru, zatrzymał ją i wprost powiedział, że jej pragnie. Tym razem nie uciekła. Dwadzieścia cztery godziny później poszli razem do jego hotelu.

Kochali się tak, jakby znali się od dawna, sycili się swoją obecnością bez wstydu, otwarci na siebie, zamykali się wzajemnie w ramionach. Nie mogli się oderwać od siebie. Niczego jednak sobie nie obiecywali. Przez kolejne noce uczyli się siebie i próbowali zapamiętać.

Kiedy wrócił do Barcelony, zdał sobie sprawę, że znowu kocha. Tylko... co miał zrobić z tą miłością? Ewa była mężatką. Przypuszczał, że jej związek nie był zbyt udany, że tkwiła w nim bardziej z powodu zobowiązań niż uczuć, ale pewności nie miał. Nie rozmawiali o tym za wiele. Były jakieś komplikacje, Ewa unikała tego tematu.

Ale jak miał dalej żyć? Zapomnieć czy walczyć o nią? Po kilku dniach napisał maila. Ostrożnego, sondującego. Takiego, po którym łatwo się wycofać. Odpowiedź przyszła natychmiast.

Dawała mu nadzieję. Z mężem była w separacji.

Odtąd niemal codziennie pisali do siebie. Choćby kilka zdań. O życiu, pracy, tęsknocie, marzeniach. Niczego jej nie obiecywał, nie bardzo potrafił sobie wyobrazić ciąg dalszy tej historii. Cieszył się tym, co ma. Traktował to jak... prezent od Anny. Nie był już sam. Powoli zaprzyjaźniał się z Ewą. Choć to nie było proste, bo nie znała dobrze hiszpańskiego. Musiał uważać na słowa, precyzyjnie się wyrażać. I prosto. Inaczej mail wracał z dopiskiem: *Qué? No entiendo!*³⁵⁾. Cierpliwie tłumaczył jej sens słów, powiedzeń. I pielęgnował wspomnienia.

³⁵⁾ *Qué? No entiendo!* – Co? Nie rozumiem!

Warsztaty w Poznaniu, siłą rzeczy, poszerzyły krąg jego znajomych, zaczął dostawać zaproszenia z różnych miast, nie tylko w Polsce, na koncerty, lekcje, festiwale. Korzystał. Zarabiał, poznawał nowych ludzi. Z Ewą spotkał się dopiero po kilku miesiącach. I to nie w Poznaniu, tylko w Łodzi. Przyjechał ze swoim zespołem jako gwiazda festiwalu, musiał dopilnować przygotowań do koncertu, dla siebie mieli tylko chwilę. To oczywiście wystarczyło, żeby potem, z nową intensywnością, śnił o niej. Wtedy też postanowili, że Ewa przyleci latem do Barcelony.

Rozdział trzeci

Gośka

Na lotnisku była pierwsza. Przyglądała się z socjologicznym zacięciem pojawiającym się po kolei dziewczynom. Większość przyjechała sama, dwie z mężami, za jedną ciągnął się cały rodzinny ogon i tylko ona płakała po przejściu kontroli celnej.

„Tak kocha czy tak się boi?” – zastanawiała się przez chwilę.

Zaczęła się zastanawiać, z jakimi ukrytymi pragnieniami każda z dziewczyn wybiera się do Hiszpanii. Wiele razy rozmawiały o tym, jednak nie wierzyła im do końca, bo powtarzały jak katarynki: „taniec, Gaudi, zabytki...”. Teraz więc z pożegnalnych reakcji próbowała zbudować prawdziwe odpowiedzi. Właściwie tylko w stosunku do Ewki miała pewność: ona jechała podjąć decyzję, gdzie chce żyć dalej, w Polsce czy tam. Ale Marta, Kaśka, Anka, Magda? Czy chodziło im o flamenco z Paco, czy może jednak o Paco bez flamenco? To nie było takie oczywiste. Słyszała, z jakimi emocjami opowiadały o każdym spotkaniu z nim, widziała, jak szukały powodów, by być jak najbliżej niego. Nie, nie – to nie była tylko i wyłącznie fascynacja nauczycielem! Bała się więc, że któraś z nich może chcieć pokrzyżować plany przyjaciółki. Nie złośliwie, bo przecież żadna nie wiedziała, co łączy Ewę z Paco, ale nie miała pojęcia, na ile jest odporny na kobiece wdzięki. Oczywiście głośno wszystkiemu zaprzeczały, mówiły: „nie, skądże – to po prostu fascynujący artysta, można zakochać się w jego tańcu, jednak jako człowiek odpada”... Ale potem, po babsku, licytowały się, ile razy na którą spojrzal. Gośka próbowała studzić ich głowy, tłumaczyła, że on w ten sposób patrzy na każdą w grupie i po prostu genialnie opanował umiejętność takiego im się przyglądania, by każda miała wrażenie, że jest jego jedynym obiektem zainteresowania, ale to absolutnie nic nie znaczy!

– Dziewczyny – mówiła – on jest jak obraz świętego w kościele: gdzie staniesz, tam czujesz jego wzrok. Ale to marketing w czystej postaci! Im bardziej was oczaruje, tym większą ma pewność, że za rok znowu będziecie chciały mieć z nim zajęcia. I to wszystko. Facet nie w ciemną bity.

– Nie opowiadaj – oburzały się. – Przecież widzimy, że nie ze wszystkimi tak gada jak z nami! I nie ze wszystkimi umawia się na piwo! Widziałas przy jego stoliku kogoś poza nami?

– I co? – drażniła się z nimi. – Z każdą z was chce mieć romans? Gdyby wszystkie zajęcia miały się kończyć miłością albo chociaż seksem, to facet nie mógłby normalnie pracować! Padłby z wycieńczenia! – śmiała się.

Oczywiście nie dawały się przekonać, chociaż rozczarowanie faktem, że po warsztatach nie odpisywał na ich maile, w końcu gasiło miłosny zapał. Ale tylko do kolejnego spotkania.

Gośka więc nie bez powodu zastanawiała się, czy roziskrzona oczy koleżanek tłumaczyć bliską perspektywą spotkania z Hiszpanią, czy jednak z przystojnym nauczycielem.

A ona sama?

Paco zdecydowanie nie był w jej guście. No i znała tajemnicę Ewy, z góry zatem wykluczyła zachwyt wykraczający poza salę ćwiczeń i jakiegokolwiek romansowe związki, nawet jednonocne. Poza tym zdążyła już poznać Hiszpanów i Hiszpanię na wiele sposobów. Uśmiechała się na samą myśl o tym. Była chyba najbardziej pod tym względem doświadczoną osobą w grupie. Miała za sobą, jak mówiła, spotkanie i z Hiszpanią przyjacielską, i z Hiszpanią miłosną. Po ostatnim pobycie w tym kraju, przez pół roku dochodziła do siebie. Pakowała nawet walizki, by się przeprowadzać! Szybko przekonała się, że – owszem – było pięknie, było jak w filmie, ale *te quiero*³⁶⁾ znaczy mniej niż *te amo*³⁷⁾ i mimo że wystarczy, jak najbardziej, na kilka upojnych nocy, jednak życia budować na tym nie należy.

36) te quiero – kocham cię (pragnę cię)

37) te amo – kocham cię

Po co więc teraz jechała? No właśnie – po co? Żartowała głośno, że po „gorący romans”, bo... „jak kochać się na plaży, to tylko z Hiszpanem w Hiszpanii”... ale gdzieś głęboko chowała nadzieję, że może jednak spotka się z Agustino, dla którego gotowa była całkiem niedawno wywrócić swój świat do góry nogami. Wysłała do niego wiadomość, kiedy przyjeżdża i na jak długo, w jakim hotelu się zatrzyma. Postanowiła, że więcej nic nie zrobi i nie będzie wypatrywać go na ulicach, w pubach, będzie się normalnie bawić, zwiedzać, szaleć z dziewczynami. Ale mimo to teraz czekała: nerwowo obracała komórkę w dłoni, co chwila sprawdzając, czy nie przegapiła esemesa od niego.

– I co? Napisał? – zapytała cicho Ewa, przysiadając się na ławce.

Miały niepisaną umowę, że o tych swoich sprawach rozmawiają tylko między sobą, z dala od ciekawskich uszu. Korzystały więc z okazji, że reszta grupy rozpierzchnęła się, szukając czegoś atrakcyjnie taniego w sklepach na lotnisku.

– Nie.

– Co zamierzasz?

– Nic. Jak zajmiemy miejsca w samolocie, wyłączę telefon i to będzie koniec tej historii, prawdziwy koniec – odpowiedziała spokojnie Gośka. – Znasz moją teorię: południowcom nie należy wierzyć, hiszpański jest wieloznaczny, słuchaj uważnie słów i nie zapominaj o kontekście, jeśli nie chcesz się przejechać. *Te quiero* – *te amo*... Niby to samo, a sens zupełnie inny.

– Ale jak sama widzisz, czasami ta mądrość na nic się zdaje.

– Niestety, wiem! Wiem też, że – na szczęście – od każdej reguły jest wyjątek. Na to liczę w twoim wypadku. A może i mój los kiedyś się odmieni? Kto wie...

– Pasażerów lotu dziewięć tysięcy sto siedemdziesiąt trzy do Barcelony-Girony prosimy o podejście do wyjścia numer trzy. – Głos z megafonu przywołał je do rzeczywistości.

W samolocie Gośka usiadła, podobnie jak Ewa, z dala od reszty dziewczyn, spojrzała po raz kolejny na wyświetlacz komórki, smutno się uśmiechnęła i nacisnęła przycisk „off”.

Agustina poznała rok temu w Barcelonie. W klubie. Nie był szczególnie przystojny, ale od razu gotowa była iść z nim na koniec świata. Przetąpili całą noc. Nie mogli się od siebie oderwać. Byli tak zdumieni tym spotkaniem, że nie wymienili się telefonami, nie umówili na kawę następnego dnia, nie zrobili dosłownie nic, by nie zgubić się w tłumie. Impreza się skończyła, każde zostało porwane przez swoje towarzystwo, krzyknęli tylko *hasta luego!*³⁸⁾ i zniknęli sobie z oczu. Następnego wieczoru spotkali się jednak w tym samym miejscu. Obydwoje przyszli tu wiedzeni jakimś wewnętrznym przekonaniem, że czeka ich ciąg dalszy, że muszą się jeszcze zobaczyć i to właśnie tam się odnajdą. Pojawili się już bez znajomych, niemal jednocześnie. Po godzinie pojechali do niego. Na wspomnienie tej nocy Gośce ciągle pociły się dłonie. Nie potrafiła o tym opowiadać, powtarzała tylko: „To było jak w kiczowatym filmie” i uśmiechała się jak Mona Lisa. Potem nastąpiły kolejne noce, a kiedy wróciła do domu – dzwonili do siebie, ślali maile, esemesy. Zaczęła poważnie myśleć o przeniesieniu się do Hiszpanii, zastanawiała się, czym mogłaby się tam zająć. Po trzech miesiącach nagle zapadła cisza. Chciała jechać, sprawdzić, co się dzieje. Wysłała list z pytaniem, czy może się u niego zatrzymać. Odpowiedział, że jego narzeczona jest w ciąży... Że ciągle ją pamięta... *Te quiero*, napisał... Ale spotkać się nie mogą i lepiej, żeby nie przyjeżdżała.

38) hasta luego! – na razie!

Wtedy sobie uświadomiła, że słyszała właśnie tylko *te quiero*, i w końcu to do niej dotarło: była jedynie letnim pożądaniem, życie miało zaplanowane z kimś innym. A może – pocieszała się potem – to tylko złośliwy chichot losu? Przecież takie spotkania nie mogą się zdarzać na chwilę! Może narzeczona była też jakąś przygodą, tyle że z konsekwencjami?

Mimo to zrobiła, jak prosił: nie pojechała, przestała pisać do niego z taką częstotliwością jak wcześniej. Od czasu do czasu informowała jedynie, że żyje, ma się dobrze i ciągle jest sama. Chcia-

ła, by zrozumiał, że czeka, by zatęsknił za nią, zaproponował spotkanie. Była zdecydowana zgodzić się na wszystko. Na rolę „tej drugiej” też. Nie była gotowa na rozstanie, za bardzo za nim tęskniła. Ale on milczał. Powoli traciła nadzieję. Postanowiła dać sobie i jemu jeszcze jedną szansę. Ostatni mail, jaki wysłała, był właśnie tym o przyjeździe do Barcelony. Chciała go zobaczyć, chciała się pożegnać. Nic więcej.

Teraz było jej głupio i przykro, a z drugiej strony dziękowała Bogu, że się nie odezwał. Bo przecież znowu by płakała, znowu tęskniła. Zastanawiała się, czego jej było bardziej brak przez ostatnie miesiące: zapachu jego ciała, dotyku dłoni czy słów, które wypowiadał, kiedy ją tulił? Na długie rozmowy szkoda im było czasu, nie miał więc nawet okazji – jak o tym teraz myślała – powiedzieć o swoim stałym związku. Jeśli już wtedy był z kimś. Skupili się na radości bycia razem, wszystko inne po prostu od siebie odsuwali...

Z zamyślenia wyrwała ją kawa, niemal siłą wetknięta do ręki przez Martę. Dziewczyny obok szalały, podniecenie podróżą i wypity alkohol sprawiły, że zachowywały się jak nastolatki. Spojrzała na stojącą obok koleżankę.

„W sumie dobra z niej dziewczyna – pomyślała. – Tylko jakoś szczęścia nie ma. I za dużo sobie wyobraża... Tak jak ja” – skostatowała na koniec.

Postanowiła przyłączyć się do zabawy. Myśli o Agustinie nie mogły popsuć jej urlopu. Leciała do Barcelony, leciała poznać nareszcie to miasto, bo rok temu nie za bardzo się to udało, i tańczyć. Tańczyć z całych sił. Poza tym była Ewka, trzeba było jej pomóc. Obiecała sobie obserwować sytuację i w razie potrzeby wspierać przyjaciółkę w decyzjach, trzeźwo oceniając szanse powodzenia lub ewentualnej klęski.

Kiedy wstała, żeby podejść do dziewczyn, akurat lekko zatrzęsło samolotem i to wystarczyło, by kawa z jej kubka wylała się wprost na spodnie siedzącego obok chłopaka. Otworzył zaspane oczy, spojrzał na plamę i zaczął się śmiać. Gośka stanęła skonsternowana i nie wiedziała, co dalej robić. Wyciągnęła chusteczkę z kieszeni, ale ręka zawisła jej w powietrzu, bo chcąc ratować spodnie sąsiada, musiałaby dotknąć jego intymnych miejsc. Czuła, że się czerwieni z zażenowania. Zaczęła bąkać przeprosiny. Chłopak chwycił ją za rękę i przytrzymał. Zmusił, by spojrzała na niego.

– Spokojnie, nie denerwuj się, nic się nie stało. Nawet śladu nie będzie, bo ta kawa jest mało kawowa... Ale masz piękne oczy! – dodał, zmieniając temat. – Idziesz dalej, czy może w ramach rekompensaty za poparzenie pogadasz ze mną?

– Oj, od razu poparzenie – zachnęła się. – Nie przesadzaj! Kawa nie była gorąca.

Ale grzecznie usiadła, kompletnie zbита z tropu.

– Przepraszam. Nie wiem, dlaczego właśnie mnie takie historie się przytrafiają... – zaczęła się tłumaczyć.

– Często?

– Często.

– To poznajesz mnóstwo ludzi – zażartował.

– Nie wszyscy tak to przyjmują jak ty, więc raczej nie.

– Czyli nareszcie odmiana. Na długo lecisz do Barcelony?

– Dwa tygodnie.

– Wracamy razem – stwierdził.

– Obiecuję, że nie usiądę obok ciebie! – Jak dziecko skrzyżowała palce na znak przysięgi.

– A ja obiecuję, że będę trzymał miejsce dla ciebie, jeśli znajdę się tu pierwszy – powiedział z uśmiechem, który Gośkę po prostu oczarował, i też skrzyżował palce.

Jeszcze nigdy nie widziała tak pięknych białych zębów, jeszcze nigdy żaden mężczyzna nie uśmiechał się tak całym sobą. Serce zaczęło jej łomotać, gdzieś uciekła zwykle towarzysząca jej pewność siebie. A on, patrząc jej prosto w oczy, zaczął pytać o to, co robi, skąd jest, jak zamierza spędzać czas w Barcelonie. Coś pewnie odpowiadała, ale po raz pierwszy w życiu nie była w stanie powtórzyć rozmowy. Wiedziała tylko, że miał piękny głos i na imię Artur. Była tak oszołomiona, że dopiero w drodze do hotelu uświadomiła sobie, że popełniła taki sam błąd, jak w przypadku Agustina: nie poprosiła o numer telefonu. Ale chwilę później pomyślała, że może to i lepiej, bo przecież

nie miała ochoty na żadne zakochanie, jechała na wakacje po przygodę, w grę mógł wchodzić tylko krótki, nic nieznaczący romans. Bez łez i potem tęsknego czekania na maile. Poza tym on też namiętności na nią nie chciał. Przynajmniej niczego takiego nie pamiętała. Jeśli są sobie pisani, to rzeczywiście spotkają się w drodze powrotnej. Tak uspokojona przyłączyła się nareszcie do grupy. Choć jej zwykła żywiołowość jakoś nie dawała znać o sobie.

Na szczęście dziewczyny były na tyle mocno pochłonięte własnymi emocjami, że nie zwróciły uwagi na nagłą zmianę nastroju Goški. Ewka też o nic nie pytała, choć chyba – jak zwykle – wszystkiego się zdołała domyślić. Ślepy by zauważył, że Goška nie mogła oderwać wzroku od tego mężczyzny, a kiedy każde z nich poszło w swoją stronę, co chwila odwracała się pod byle pretekstem, żeby ukradkiem sprawdzić, gdzie jest i czy na nią też patrzy. Na wszelki wypadek, by uniknąć pytań, przechodząc obok Ewy, szepnęła jej do ucha:

– Opowiem ci wszystko, jak sama zrozumiem, co się stało. Na razie mamy wakacje!

I ustawiła się w kolejce do autobusu, który miał je dowieźć do Barcelony. Przez cały ten ostatni odcinek drogi zachowywała bezpieczny dystans wobec grupy. Udawała zainteresowanie krajobrazem zmieniającym się za oknem, a w metrze, na szczęście, wszystkich pochłaniało pilnowanie toreb i przystanków, mogła więc spokojnie pobyc sama ze swoimi myślami.

W hotelu, mimo późnej pory, uznała, że musi się czegoś napić. Bez trudu namówiła dziewczyny na powitalnego drinka. Zaniosły bagaże do swoich pokoi i grzecznie stawiły się u Marty. Prawie wszystkie. Brakowało tylko Ewy i jeszcze jednej – tej, która na lotnisku najbardziej przeżywała rozstanie z rodziną. W szóstkę opróżniły butelkę brandy i zgodnie stwierdziły, że ich pierwsze hiszpańskie wakacje wymagają godniejszego uczczenia, przynajmniej jeszcze jednym kieliszkiem alkoholu, co oznaczało konieczność zejścia do hotelowego baru. Obmyły spocone twarze i poszły. Zamówiły drinki, rozsiadły się w wygodnych fotelach i rozejrzały dokoła. Wokół było sporo ludzi – międzynarodowy gwar, głównie basujący po męsku. Przy stoliku obok zawzięcie dyskutowała grupa młodych Hiszpanów. Popijali piwo, co chwila sięgali po oliwki i orzeszki. W pewnym momencie zainteresowali się dziewczynami, uśmiechnęli do nich, unieśli szklanki z gestem pozdrowienia i wypili ich zdrowie. Niby nic się nie działo, ale kilka minut później kelner przyniósł im kolejne drinki, informując, że to prezent od sąsiadów.

Marta zaczęła przebąkiwać, że nie zaszkodzi skorzystać z okazji i pogadać z chłopakami, bo może wiedzą, gdzie są jakieś fajne kluby salsy i w ogóle dokąd warto wybrać się wieczorem. Dziewczyny obawiały się swojego hiszpańskiego, ale Goška uspokoiła je, że może wszystkim służyć za tłumacza. Jakoś minęła jej ochota na intensywne życie towarzyskie, ciągle nie mogła zapomnieć uśmiechu Artura, ale musiała coś zrobić, żeby o nim nie myśleć. Nim więc dziewczyny podjęły ostateczną decyzję, podeszła do mężczyzn i zaproponowała wspólne spędzenie czasu. Po chwili stoliki zostały połączone.

Obok Goški usiadł José, śniady, ciemnowłosy, ze złotą bransoletą na nadgarstku. Nic nie mówił, ale z nieukrywaniem i coraz większym podziwem słuchał jej translatorskiej ekwilibrystyki. Goška, niczym tłumacz symultaniczny, wszystkim przekładała językowo wszystko, nim skończyli zdanie. Dwoiła się i troiła, by nikt nie musiał czekać zbyt długo na swoją kolej, machinalnie w przerwach sięgając po szklankę z alkoholem. Po trzecim drinku towarzystwo zaczęło dogadywać się już bez jej pośrednictwa. Odprężyla się, wygodniej rozsiadła i spojrzała na José.

– A ty tak zawsze milczysz? – zapytała z udawaną pretensją w głosie.

– Byłaś zajęta, więc nie chciałem ci sobą głowy zawracać.

– Uprzejme. No to teraz nastał czas dla ciebie.

– Świetnie mówisz po hiszpańsku – zaczął.

– Jestem po filologii hiszpańskiej.

– I co robisz?

– Tłumaczę, uczę, tańczę...

– Tańczysz po hiszpańsku?

– Nie wiesz, że można?

– Pierwsze słyszę!

– A flamenco znasz?

– Każdy je zna.

– To jest właśnie tańczenie po hiszpańsku. Nie tylko musisz przebierać nogami, ale jeszcze rozumieć, co *cantaor*³⁹⁾ wyśpiewuje, o co w tym wszystkim chodzi...

³⁹⁾ *cantaor* – śpiewak flamenco

– No proszę! A ja myślałem, że chodzi o stuku-puku obcasami i groźną minę – zażartował. – Tylko się nie obrażaj! – dokończył szybko. – Wiesz, ja bardzo lubię flamenco. Moja siostra tańczy je zawodowo.

– Tak? – Gośka się ożywiła. – Gdzie ją można zobaczyć?

– Teraz? – zastanowił się przez chwilę. – Chyba w Londynie... Nie jestem pewien, musiałbym sprawdzić.

– Szkoda. Tańczy sama – drażyła temat – czy ma zespół?

– Tańczy u Sary Baras.

– Żartujesz? U Sary Baras?! Tej Sary Baras?! Niesamowite. To musi być świetna! Słyszałam, że bardzo trudno jest się dostać do jej zespołu.

– Jest świetna, to prawda. Tańczy od dziecka. I od dziecka występuje. Kiedyś miałem o to pretensje do rodziców. Bo nie miała czasu na naukę, a nie traktowałem tego poważnie, kiedy mówiła, że jej życie to taniec i nic innego nie będzie robić. Wiesz, jestem dużo od niej starszy... A ty?

– Ja? Ja nie tańczę od dziecka. – Uśmiechnęła się. – Nie ma o czym mówić. Myślałam, że ci zaimponuję – zażartowała.

– Zaimponowałaś! Jesteś z Polski i tańczysz flamenco. To znacznie trudniejsze niż być Hiszpanką i tańczyć flamenco.

– Pewnie tak – zgodziła się i zmieniła temat. – A ty czym się zajmujesz?

Szklanka była pusta. Przed Gośką pojawił się kolejny drink. Nareszcie się odprężyła, zaczęła po swojemu kokietować José. Wszystko jednak kontrolowała, chciała, by wieczór na tym się właśnie zakończył. Spojrzała na koleżanki. Miały wyraźnie dość. Trzeba było zbierać się do siebie. Zaczęła wiercić się na fotelu.

– Coś się stało? – zapytał José, wstając, by iść po następne szklanki z alkoholem.

– Jeszcze nic. Ale ja już mam dosyć. Wiesz, lepiej dziś poprzestańmy na tym – zaproponowała. – Może naszą rozmowę dokończymy jutro, kiedy będę mniej zmęczona? To nasz pierwszy wieczór w Barcelonie – dodała przeproszającym tonem.

– Jesteś pewna, że chcesz już iść?

– Tak. Jutro ciężki dzień przede mną. Z flamenco... – westchnęła znacząco.

– Ale jutro się spotkamy? Tak? To możliwe?

– O ósmej?

– Będę.

– Ja też. – Uśmiechnęła się. – Kochani, opuszczam was, padam z nóg. Do zobaczenia! – Nie czekając na reakcję innych, wstała i wyszła.

Czas był najwyższy. Jeszcze jeden drink i byłby problem. Dojście do windy wymagało pewnego wysiłku, miała wrażenie, że znalazła się na pokładzie rozbujanego statku. Wprawiło ją to w rozbawienie. Pomyślała, że musi koniecznie, natychmiast, opowiedzieć Ewie i o Arturze, i o José, i o tym, że jutro spotka się z bardzo przystojnym Hiszpanem, na którego ma zwyczajnie ochotę. Po chwili pukała do drzwi przyjaciółki.

Dopiero po śniadaniu dotarła do swojego pokoju. Nie był taki, jak na zdjęciach reklamujących hotel – okazał się mniejszy i mniej przytulny, ale przecież nie miało to znaczenia, nie zamierzała spędzać w nim zbyt wielu godzin. Najważniejsze, że miał duże, wygodne łóżko, okno dające się otworzyć i klimatyzację, którą można było wyłączyć. Szybko rozpakowała walizkę, przebrała się, zgarnęła do torby rzeczy potrzebne do flamenco i zeszła na dół.

Dziewczyny już czekały. Rozsiadły się na kanapach w pobliżu recepcji. Te, które w nocy razem z nią świętowały początek wakacji, miały niewyraźne miny. Widać było, że żadna nie marzy o lekcji z Paco, tylko o łóżku, wszystkie jednak poderwały się natychmiast z miejsc, kiedy tylko po-

jawiała się Ewa, gotowe, mimo zmęczenia, stawić czoło czekającemu wyzwaniu.

Ledwo jednak wyszły na zewnątrz, palące słońce zmusiło je do powrotu. W dodatku Ewa źle się poczuła. Dziewczyny, w tej sytuacji, postanowiły opóźnić swoją przygodę z flamenco o dzień, a Gośka pomyślała, że los jej wyjątkowo sprzyja. Współczuła Ewie, ale cieszyła się, że spokojnie będzie mogła dojść do siebie po ostatniej nocy. Uzgodziły, że zjedzą obiad gdzieś blisko hotelu, a przy okazji zwiedzą okolicę, i każda powędrowała do siebie.

Spotkały się o trzeciej, nie czując jeszcze głodu. Trochę włóczyły się po ulicach, niczego interesującego nie dostrzegając. Już wiedziały, że życie turystyczne muszą organizować sobie z dala od miejsca noclegu. Zorientowały się, że na dotarcie do szkoły powinny zarezerwować prawie godzinę. W tej sytuacji pozostawało mieć nadzieję, że Paco pozwoli zostawić u siebie torby ze strojami, by oglądając Barcelonę, nie musiały ciągle dźwigać wszystkiego na własnych plecach lub codziennie marnować sporo czasu na powroty do hotelu.

Po dwóch godzinach szwendania się po mieście Gośka zostawiła koleżanki w znalezionej po drodze knajpie i wróciła do hotelu szykować się na spotkanie. W jakimś sklepie kupiła świeżą bagietkę, uznała, że to w zupełności wystarczy za cały obiad, na który zresztą nie miała ochoty. Podgryzała bułkę, żeby coś po prostu wrzucić do brzucha, zanim zacznie tam wlewać kolejne drinki.

Punktualnie o ósmej zeszła do baru. José czekał na nią, popijając *cavę*. Natychmiast podał jej drugi kieliszek i napełnił go szampanem.

– Za nasze spotkanie! – wznosił toast. – Spójrz mi w oczy – dodał z naciskiem. – Wiesz, że w Hiszpanii tak się spełnia toasty?

– Bo inaczej seks nie będzie udany? – zapytała figlarnie, mrużąc oczy.

Rozmowa potoczyła się, jakby byli starymi znajomymi. Gośka śmiała się szczerze z jego dowcipów, on zachwycał się jej opowieściami – zwłaszcza tymi, które dotyczyły odmienności kulturowych obu krajów i wynikających stąd zabawnych nieporozumień. Nie wiadomo kiedy zegar wybił północ, a oni znaleźli się w windzie, a potem w jej pokoju. Wokół było cicho, z włączonego radia sączyła się sentymentalna muzyka – taka, przy której każdy dotyk staje się delikatniejszy i czulszy, i właśnie tak zbliżyli się do siebie. Było jej dobrze. Poddała się chwili. Czerpała z niej wszystko, co najwspanialsze. Po dwóch godzinach José wyszedł, a ona zasnęła z przyklejonym do twarzy uśmiechem. Wiedziała, że „gorący romans” właśnie się zaczął. Mieli przed sobą tydzień. Siedem wieczorów i nocy.

Rozdział czwarty

Marta

– ...*un, dos, tres*⁴⁰⁾... nie, nie tak! Wchodźcie nie po *un*, nie na *dos*, tylko PO *dos*! Jeszcze raz... *un, dos, tres*... nie. Spróbujmy to wyśpiewać: *un-dos-i-tres*... O, właśnie tak, na to „i” jest pierwszy krok... Jeszcze raz! Wszyscy!... Jeszcze raz, śpiewamy!

⁴⁰⁾ *un, dos, tres* – jeden, dwa, trzy

Od kilkunastu minut próbowali, bez sukcesu, wejść w rytm. Nauczyciel jednak nie poddawał się niczym niezrażony, z uśmiechem i benedyktyńską cierpliwością powtarzał z nimi po raz kolejny wszystko od początku. Bardzo się starali, ale im bardziej usiłowali się skoncentrować, tym gorzej wychodziło. Jakaś niewytłumaczalna blokada sprawiała, że tego „i” po *dos* nie mogli uchwycić. Ciągłe ktoś coś robił za wcześnie albo za późno. Sala, choć z otwartymi na oścież oknami, parowała jak sauna. Ich skóra błyszczała od potu, koszulki przyklejały się do ciał mokrymi plamami. W butelkach już brakowało wody, zostały tylko jakieś resztki na ostatni łyk po wszystkim. Wyczuwało się, że większość chce po prostu dotrzeć do końca lekcji, nic więcej.

Marta, mimo że również potwornie zmęczona, z coraz większą złością patrzyła na wszystkich wokół. Czas płynął, kończył się trzeci dzień zajęć na poznańskich warsztatach, a oni nie posuwali się do przodu. Przez półtorej godziny szlifowali wyłącznie pierwszą minutę choreografii i teraz utknęli na rozpoczynającym ją kroku.

Lekcje z Paco wymagały naprawdę niezłej kondycji – zawsze wyciskał z uczniów ostatnie poty. No cóż, mieli tylko dwanaście godzin na przygotowanie tańca i musiało to być zrobione dobrze. Na tym polegały warsztaty: na ciężkiej pracy i pokazie na koniec. Poddawali się narzuconemu rygorowi i bez narzekania po raz kolejny ustawiali do *entrada*⁴¹⁾, żeby sprawdzić, czy są wreszcie w stanie zrobić ją równo i w jednym, określonym momencie wykonać pierwszy ruch. Po kolejnych trzech powtórkach Paco poddał się, pozwolił im tańczyć dalej i w ten sposób zakończył spotkanie. Jak zwykle podziękowali mu oklaskami, rozeszli się po sali, by jeszcze trochę w samotności porozciągąć mięśnie, bo inaczej nazajutrz mogłyby boleśnie dawać się we znaki.

⁴¹⁾ *entrada* – wejście

Marta tradycyjnie ćwiczyła w pobliżu Paco. Za każdym razem miała nadzieję, że uda się jej nawiązać rozmowę. Na ogół otaczał go wianuszek kobiet, dziś jednak żadna nie podeszła. Widocznie wszystkie miały dość. Trzeci dzień zwykle był najgorszy: on się rozkręcał, a oni przeżywali kryzys.

Paco usiadł ciężko na krześle, nie ukrywając zmęczenia. Przetarł rękami spoconą twarz, zamyślił się, po chwili spojrzął na Martę.

- Marta, czy ty masz ze sobą kastaniety? – zapytał.
- Oczywiście! Potrzebujesz? Mogę je pożyczyć, nie ma sprawy.
- Nie, nie... Zastanawiałem się, czy dałabyś radę zagrać *seguiriyas* na koncercie...
- Całą?! – Marta zamarła z przerażenia.
- Nie, dwa, trzy *compasy*. Jeszcze nie wiem. Na samym początku – zaczęła ją uspokajać.
- Ale co? Tylko grałabym na kastanietach? Czy też tańczyła?
- Jedno i drugie. Możemy dzisiaj wieczorem zacząć pracować. Pytanie, czy chcesz?
- Grać i tańczyć? Tak? Nie wiem, czy... – Nie bardzo wierzyła w to, co słyszy.
- Ćwiczyłaś codziennie przez ostatni rok? Tak jak obiecałaś?

– Tak, ale...

– No to dasz radę – uciał dalszą rozmowę i wziął ją za rękę. – Możesz być o siódmej?

Ta ręka zrobiła więcej niż wszystkie słowa. Kiwnęła tylko głową i wybiegła z sali, czując, że zaraz się rozplacze ze szczęścia. I strachu, rzecz jasna. Bo jeśli zawiedzie, więcej nie będzie mogła pokazać mu się na oczy. Najgorsze jednak było to, że wcale nie ćwiczyła tyle, ile powinna, i nie zdążyła tego powiedzieć. Miała pięć wieczorów na opanowanie materiału, pięć wieczorów z Paco. Potrafi?

Wzięła szybki prysznic, ubrała się i pognęła do wynajmowanego mieszkania, z mocnym postanowieniem popracowania z kastanietami przez najbliższe dwie godziny. Nie nadrobi roku, to oczywiste, ale chociaż rozgrzeje palce. Paco zawsze jej powtarzał, że techniki gry nie da się zapomnieć, można co najwyżej wyjść z wprawy.

Kiedy zaczęła się uczyć, szła jak burza. Nie mogła się oderwać od kastanietów. Ćwiczyła i podglądała innych. Marzyła, by kiedyś grać tak jak słynna meksykańska wirtuozka – Lucero Tena, która wykonywała repertuar klasyczny z towarzyszeniem orkiestry symfonicznej, a każdy jej występ nagradzano owacjami na stojąco. No ale potem jakoś zapał minął. Przez ostatni rok zaledwie kilka razy wzięła kastaniety do rąk.

O umówionej godzinie zjawiała się ponownie w szkole. Paco już był w sali, siedział na krześle ustawionym naprzeciwko lustra. Wskazał jej miejsce obok siebie.

– No to co? – zaczął bez zbędnych wstępów. – Pokaż, co potrafisz.

– Tak sama? Bez ciebie? Co mam grać?!

Ze zdenerwowania przez dłuższą chwilę nie udawało się jej dobrze zacisnąć sznureczków na kciukach. To bardzo ważne: muszelki kastanietów powinny lekko odbijać się od siebie, reagować na najłżejsze uderzenie, ale też i nie „fruwać”, bo wtedy wydobywał się dźwięk nieczysty. Paco położył rękę na jej ramieniu.

– Spokojnie, nie denerwuj się, bo nic z tego nie wyjdzie. Zaufaj mi – powiedział, patrząc jej w oczy. – Jeśli nie będziesz czuła się pewnie, zrezygnujemy z tego pomysłu. Na razie to nasza tajemnica, nikt o tym nie wie i wiedzieć nie musi. A teraz rozgrzejemy trochę palce, dobrze? Powtarzaj za mną!

I wystukał na swoich kastanietach pierwszą grę, jak to nazywała. Dołączyła do niego. Lewa ręka wybijała równo rytm, prawa – każdym palcem z osobna wchodziła w kontrę, a na koniec robiła zgrabne „triam” szybkimi czterema uderzeniami po kolei. Zaczęli bardzo powoli, z każdą powtórką coraz mocniej podkręcając tempo. Po pięciu minutach Marta poczuła, że bołą ją ramiona. Paco przerwał.

– Jesteś za bardzo spięta. Rozluźnij przedramię. Jeśli tego nie zrobisz, nie nadążysz za chwilę. Opuść ręce, odpocznij i... zaczynamy jeszcze raz. Dobrze ci idzie! – Uśmiechnął się. – Prawa ręka – komenderował – „ca-re-ti-ya”, piąty–czwarty–trzeci–drugi, lewa – wszystkie razem „tam”. Ciszej... Głośniej... A teraz inaczej... słuchaj rytmu! I podwójne „triam”...

Kastanietami zajęła się trochę z wyrachowania, bo był to doskonały pretekst do częstszych spotkań z Paco. Z czasem jednak zaczęły ją naprawdę fascynować. Dwie muszelki połączone sznurkiem, każda taka para wydająca inne dźwięki. Tylko ignorant tego nie dostrzegał. Lewa ręka wydobywała niższy dźwięk – te kastaniety nazywane są w żargonie „chłopcem”, prawa ręka opiekuje się „dziewczynką”, drewnkami wydającymi nieco wyższy ton i prowadzącymi melodię; żeby się nie pomylić, oznacza się ją niewielkim nacięciem.

Paco pomógł jej kupić profesjonalne kastaniety, podpowiedział, jak o nie dbać. Musiały mieć zawsze ciepło, by wydawać ładny dźwięk, niezależnie od tego, czy były wykonane z drewna, czy z fibry. Trzymała je w specjalnym pokrowcu wyściełanym miękkim filcem i futrem. I nie rozstawała się z nimi nigdy. Jadąc samochodem, kładła je zawsze na siedzeniu obok, przygotowane do szybkiego założenia, bo często na nich ćwiczyła, stojąc w korku.

Dźwięk wydobywający się zza uchylonej szyby przyciągał spojrzenia innych kierowców. Patrzyli na nią z zaciekawieniem, wzrokiem pytali, o co chodzi. Początkowo uśmiechała się przepraszająco, ale w końcu przestała zwracać na nich uwagę. Chciała się szybko uczyć. Jak zawsze. I to było najważniejsze, nie to, co inni o niej pomyśleli. Przez kilka miesięcy wykorzystywała każdą

chwile, by ćwiczyć, i zauważała szybkie postępy. Ale potem entuzjazm nieco opadł: nauczyciel był za daleko, nie miał jej kto motywować do dalszej pracy, podpowiadać kolejne kombinacje metryczne... Nagrywała siebie na DVD, słała płyty do Paco, on oceniał postępy, nagrywał kolejną lekcję, ale brak bezpośredniego kontaktu nie mobilizował dostatecznie i tak jakoś wszystko się rozeszło.

Rozgrzewka zajęła im dobre pół godziny. Paco nieustannie zmieniał rytm i tempo. Kiwał głową z zadowoleniem i komplikował zadania. W końcu zagrał pierwszy *compas de seguiriyas*. Po trzech powtórkach dał znak Marcie, by się przyłączyła...

Seguiriyas od zawsze była dla niej problemem. Rytm, tempo, rozkładane akcenty zniechęcały. Niektóre dziewczyny pomagały sobie precyzyjnym liczeniem, Marta tego nie robiła – polegała na słuchu, na zapamiętanej melodii. W grupie to się udawało, bo kątem oka obserwowała innych, tu – kiedy została sama – okazało się kłęską. Paco jednak cierpliwie powtarzał z nią *compas* i dał jej spokój dopiero wtedy, kiedy kilka razy zagrała go bezbłędnie. Czuła się bardziej wykończona niż po lekcji tańca.

Zamknęli salę, oddali klucz na portierni i wyszli na rozświetlony ulicznymi lampami Stary Rynek. Gęsto rozstawione kawiarniane ogródki szumiały gwarem rozmów. Ktoś gdzieś grał na gitarze, ktoś na flecie, z daleka dobiegał dźwięk akordeonu. Kakofonia dźwięków ogłuszyła ich na chwilę. Stali na ulicy i nie wiedzieli, co dalej robić.

– Paco... – odezwała się w końcu Marta. – Mam ogromną ochotę na piwo, a nie lubię pić sama. Pójdiesz ze mną?

– Dobry pomysł! Gdzie usiądziemy? Ja zapraszam.

– Chodźmy gdzieś dalej. W głowie mi huczy od tego hałasu. Tu, zaraz za rogiem, jest fajna knajpka.

Wśród mijanych ludzi zauważyła dziewczyny ze swoich warsztatów, mimowolnie uśmiechnęła się do nich, one spojrzały zdziwione i natychmiast jedna z nich, Gośka, podeszła.

– Cześć! – powiedziała. – A to niespodzianka. Dokąd idziecie? Bo my szukamy spokojnego miejsca, żeby napić się piwa. Może się przyłączycie?

Nim Marta zdążyła odpowiedzieć, Paco dał się wziąć pod ramię i poprowadzić w kierunku grupy. Nie miał nic przeciwko wspólnemu wieczorowi. Marcie nie pozostało więc nic innego, jak robić dobrą minę do złej gry.

Szybko znaleźli wolny stolik, zajęli miejsca. Obok Paco usadowiła się Gośka, biegle mówiąca po hiszpańsku. Zasypała go pytaniami, jakimiś opowieściami, których sensu Marta nie rozumiała nie tylko dlatego, że zbyt szybko padały poszczególne słowa, ale także z tego powodu, że jej fotel znalazł się w sporej odległości od nich. Paco odpowiadał, śmiał się, widać było, że lubi towarzystwo Gośki. Wkrótce rozmowy zaczęły się toczyć w mniejszych grupach i równolegle, Marta nie była więc w stanie nawet pobieżnie śledzić tego, co działo się po drugiej stronie stołu. Chcąc nie chcąc, dała się porwać dyskusji o niedawno obejrzanym filmie. Uznała wieczór za zmarnowany, pocieszała się tylko perspektywą spotkań, które już zaplanowali.

Scenariusz się powtarzał. Za każdym razem, kiedy wychodzili ze szkoły, w pobliżu spotykali Gośkę i jej koleżanki. Marta nie wiedziała, co o tym myśleć, czy to przypadek, czy nie, ale zapytać nie miała odwagi. Próbowowała wykorzystywać to, co los jej dawał, i konsekwentnie budowała swój obraz „dziewczyny, która zawsze dobrze się bawi”. Czasami wieczór spędzali, gadając, czasami tańcząc w klubie. Tam mogła bezkarnie się przytulić. Chociaż tyle.

Gośka tańczyła z nimi w grupie już któryś rok z rzędu. Nie była specjalnie zdolna, albo może raczej nie za bardzo przykładała się do nauki, ale zwracała na siebie uwagę zawsze dobrym samopoczuciem, skłonnością do żartów i świetnym hiszpańskim. Była po hispanistyce, zawodowo zajmowała się tłumaczeniami, czasami też uczyła, znała nie tylko kastylijski, ale też andaluzyjski. Wszyscy chcieli z nią spędzać wieczory, była duszą towarzystwa, niezmordowaną imprezowiczką. Potrafiła, jak nikt inny w grupie, wyzwać ducha walki, dzięki czemu każdy, kto się z nią zadawał, wierzył, że jest skazany na sukces. Marta też ją lubiła. Jak wszyscy. Nie dziwiła się więc, że i Paco cieszył się, kiedy pojawiała się w pobliżu. Ale – jakkolwiek by na to patrzeć – pokrzyżowała Marcie plany. I tego jej darować nie mogła.

Marta poznała Paco przed trzema laty. Właśnie w Poznaniu, na letnich warsztatach. Wcze-

śniej słyszała od wielu znajomych o jego tańcu i niezwykłych lekcjach. Mówiono o nim „charyzmatyczny artysta”.

Dlaczego jednak zainteresowała się flamenco, nie umiałaby dziś powiedzieć. Może to była potrzeba zmierzenia się z techniką, którą uważano za jedną z najtrudniejszych? Lubiła wyzwania. W każdej dziedzinie. A to było naprawdę wielkie. Bo jeśli doliczono się około siedemdziesięciu *paños*, czyli odrębnych stylów tańca, to ilu lat potrzeba, by je poznać? Ilu, żeby je opanować albo chociaż nauczyć się rozróżniać?

Prawdę mówiąc, trochę dała się nabrać, bo flamenco oglądane na koncertach nie wydawało się aż tak trudne – ot, jakieś stopy, machanie spódnicą, zmarszczona brew tancerki, jakby ją coś bolało... Dopiero pierwsze samodzielne próby zatańczenia czegokolwiek pokazały, że w samą koordynację nóg i rąk trzeba włożyć nadspodziewanie dużo wysiłku, a przecież nie tylko do tego wszystko się sprowadzało! Nauka kręcenia nadgarstkami, układania palców, by nie przypominały rąk robota, wymagała kilku ładnych miesięcy. A technika wachlarza? A inne akcesoria? Życia nie wystarczy!

Zacząła chodzić na lekcje indywidualne, by jak najszybciej przebrnąć przez podstawy. Co-raz bardziej uświadamiała sobie, że znalezienie się w tym świecie to jak trafienie do elitarnego klubu, dla wybrańców. Im lepiej poznawała flamenco, tym częściej myślała, że właśnie tego jej w życiu brakowało: piękna zamkniętego w ruchu, które sprawia, że krew mocniej pulsuje w żyłach. Żaden taniec dotąd tak na nią nie oddziaływał, żadna muzyka. I to było najważniejsze.

Po kilku miesiącach intensywnych ćwiczeń była gotowa, by zapisać się na pierwsze warsztaty z Paco. Znała go wtedy nie tylko z opowieści, lecz także z filmów na YouTube. Bezsprzecznie był mistrzem, gwiazdą. Swoim tańcem czarował. Codziennie zaglądała na portal, by oglądać jego choreografie. Nie potrafiła przestać o nim myśleć. To było jak opętanie. Marzyła, by choć raz mieć go na wyciągnięcie ręki, by choć raz z nim porozmawiać. Była zakochana. Trochę jak nastolatka w hollywoodzkim aktorze. Marzenie o Paco stało się motorem jej działań.

Wiedząc o różnicy poziomów w nauczaniu między szkołami polskimi i hiszpańskimi, postanowiła na warsztatach zacząć wszystko od początku – wybrała grupę podstawową. Wraz z flamenco poznawała język hiszpański. Jadąc do Poznania, czuła, że da sobie radę i nie będzie się stresowała własną nieporadnością. W żadnej dziedzinie.

Na pierwszych lekcjach wpatrywała się w Paco z uwagą, chłonęła każde jego słowo, zapamiętywała każdy gest, ważny i nieważny. Robiła wszystko, by zwrócić na siebie uwagę. Kiedy bycie najlepszą nie przyniosło oczekiwanego rezultatu, zaczęła celowo się mylić i nie radzić sobie z kolejnymi elementami ćwiczeń. Wtedy podchodził do niej i pokazywał powoli każdy ruch, poprawiał jej ręce, ustawiał kręgosłup, zachęcał do kolejnych prób. Kiedy kładł dłonie na jej plecach, czuła, jak przesywa ją prąd. Kolekcjonowała te chwile. Po zajęciach obmyślała sposoby, jak przekazać mu jedną jedyną informację, najważniejszą w tym momencie: chcę ciebie, chcę spotkać się z tobą, poza salą, osobno, nie jak uczennica, spójrz na mnie jak na kobietę.

Zakochiwała się w nim z każdą minutą coraz bardziej. Nic na to nie mogła poradzić. I nie chciała.

Paco w bezpośrednim kontakcie był jeszcze bardziej niezwykły, niż kiedy tańczył przed wielką publicznością. Podejrzewała, że co najmniej trzy czwarte grupy marzyło o nim. Wszystkie dziewczyny łowiły jego wzrok, starały się być jak najbliżej niego. Nieustannie otaczał go ich wianuszek. Na razie więc Marcie musiało wystarczać przypadkowe muskanie jego dłoni, jego zwykła, nauczycielska troska. W końcu jednak coś się zmieniło...

Uczyli się *sevillanas* – tańca, który ortodoksi traktują z lekkim lekceważeniem, twierdząc, że z prawdziwym flamenco ma niewiele wspólnego. Nie zmienia to jednak faktu, że często właśnie od tego tańca rozpoczyna się kursy, albo do niego powraca, kiedy nastaje czas pierwszego mierzenia się z kastanietami. Schemat jest w miarę prosty, a efekt spektakularny. I o to chodzi.

Sevillanas są szalenie popularne w całej Hiszpanii, można je oglądać na fiestach, dyskotekach, ślubach, chrzcinach. Jako jedyny taniec mają ściśle określoną choreografię. Cztery zwrotki, każda inna... No i tańczy się je nie samotnie, ale w układach dwójkowych, z mężczyzną lub drugą kobietą.

Kiedy skończyli się ich uczyć przodem do lustra, w rzędach, Paco postanowił pokazać, jak *sevillanas* wyglądają w parach. Poprosił Martę, by mu partnerowała. Widząc przerażenie w jej oczach, zapewnił, że będzie podpowiadał kroki, a grupie głośno oznajmił:

– Tu nie nogi są ważne, lecz oczy. Dobry partner tak was poprowadzi, że nikt nawet nie zauważy ewentualnej pomyłki. Każdy z was tańcem coś mówi, coś proponuje, rolę drugiej osoby jest odpowiadać. Akcja – reakcja. Jak wszędzie, jak zawsze.

Zaczęli tańczyć. Próbowwała odpowiadać na jego uśmiech, ale trema ją paraliżowała. Czowała się niezdarna, śmieszna. Nie pamiętała, którą rękę podnieść, za którym ramieniem się obrócić, wszystko się plątało. A on wylewnie jej podziękował. Nie mogła w to uwierzyć. Po zajęciach podeszła, by przeprosić. Uśmiechnął się.

– Daj spokój, poszło ci świetnie – powiedział.

– Byłam bardzo zdenerwowana – tłumaczyła się.

– Wiesz, *sevillanas* ma być radością. Jest flirtem. Jeśli nie poczujesz jego ducha, to choćbyś perfekcyjnie знаła choreografię, nie będziesz tańczyć. Dlatego mówiłem wam o oczach. Bo w nich jest wszystko. Reszta to dodatek. Nic więcej.

– No i z oczami jest największy problem...

– Widzę, ale nie rozumiem. Wiesz co, może mi to wytłumaczysz wieczorem? – zaproponował z uśmiechem. – Umówiłem się ze znajomymi. Jeśli masz czas i ochotę, chodź ze mną. Przy okazji poćwiczysz język, bo to sami Hiszpanie.

– Poważnie? Zapraszasz mnie? – nie potrafiła ukryć zaskoczenia.

– Tak, zapraszam. Spotykamy się o ósmej w Domu Wikingów. Wiesz, gdzie jest ta restauracja?

– Na Starym Rynku. Znajdę.

– Okej. Jesteśmy umówieni. – Pocałował ją w oba policzki na do widzenia i poszedł.

Stała i zastanawiała się, czy przypadkiem to wszystko jej się nie przywidziało. Prędko pobięła do szatni, przebrała się, jeszcze szybciej zjadła obiad w pobliskim barze, odwołała wieczorne spotkanie z koleżankami i wróciła do mieszkania, żeby szykować się do wyjścia. Chciała zrobić wrażenie.

Udało jej się wynająć mieszkanie blisko szkoły, w której odbywały się warsztaty. Mikroskopijne, dwadzieścia parę metrów kwadratowych, w sam raz dla jednej osoby. Jeden pokój z wielką rozkładaną kanapą, telewizorem plazmowym, fotelem i niskim stołem. Do tego nowoczesnie wyposażony aneks kuchenny oraz łazienka, całkiem spora jak na taki metraż, z ciemnymi kafelkami, dobrze zaprojektowanym oświetleniem, lustrem na całą ścianę, prysznicem. Wszystko pachniało nowością i luksusem. Rano budziło ją wschodzące słońce, zaglądało przez szczeliny żaluzji. Wieczorem, jeśli zostawiła niezastłonięte okna, do snu kołysał ją księżyc. Wszędzie miała blisko – i na zajęcia, i do klubów, w których spotykało się znajomych z innych grup. Była w centrum zdarzeń, a jednocześnie zachowywała wolność człowieka anonimowego. Koleżanki bardzo jej tego zazdrościły: one spały w okolicznych akademikach, bursach, o nocnych szaleństwach czy spontanicznych romansach mogły tylko marzyć. Marta jednak, mimo tak dogodnych warunków, z wakacyjnej wolności nie korzystała. Czekala. Miała nadzieję, że uda się jej zaprosić tu tego jednego, dla którego zaczęła tańczyć. I teraz czuła, że ta chwila może nastąpić całkiem niedługo.

Kiedy zamknęła za sobą drzwi od mieszkania, zabrała się najpierw do przeglądania zawartości walizki, potem zajęła się porządkami, a na koniec sobą. Maseczki, kompresy na oczy, prysznic gorący i zimny... Makijaż zabrał jej godzinę. Wreszcie, zadowolona z efektu, uznała, że może pokazać się światu. Spojrzała na zegar: ósma trzydzieści. Nie przejęła się tym, wręcz przeciwnie. Spóźniając się, zwróciła na siebie uwagę. Zresztą, pomyślała, Hiszpanie to Hiszpanie, więc na pewno też nie stawiają się punktualnie. Bez pośpiechu szła do Domu Wikingów. Z daleka widziała podświetlone logo lokalu, instynktownie skierowała się w stronę restauracyjnego ogródka.

Zgodnie z jej przypuszczeniami właśnie tam siedzieli Paco i jego przyjaciele. Przywitali się z nią jak ze starą znajomą, posadzili przy stole i na tym ich zainteresowanie się skończyło. Powrócili do przerwanej rozmowy. Z przykrością stwierdziła, że prawie nic nie rozumie. Wszyscy mówili niemal jednocześnie i bardzo szybko. Po kilku minutach zaczęła wychwytywać pojedyncze słowa.

Na tym etapie pozostała do końca wieczoru. Paco nie zwracał na nią większej uwagi. Zrozumiała, że rzeczywiście zafundował jej praktyczną lekcję hiszpańskiego. Nic więcej...

Kelner postawił zamówione wcześniej piwa, zapytał, co podać do jedzenia. Po chwili wszyscy zajęli się swoimi talerzami. Tak przeleciało kilka godzin. Siedziała, uśmiechała się, pytana odpowiadała „tak”, „nie” lub „przepraszam, nie rozumiem”. Próbowwała ratować się angielskim, ale okazało się, że oni z kolei z tym językiem kiepsko sobie radzą. Kelner jeszcze kilka razy donosił piwo, głowa coraz bardziej jej ciążyła. Kiedy więc ktoś zaproponował, by pójść do klubu potańczyć, wymówiła się atakiem migreny.

Wróciła do domu zła na siebie. Jedynym pocieszeniem był fakt, że kilka dziewczyn z grupy widziało ją w tym towarzystwie i nie mogło ukryć zaskoczenia. Przynajmniej tyle. Chcąc nie chcąc, została przypisana do grona „bliskich znajomych Paco”.

I rzeczywiście tak się stało. Zaproszenia na wspólne wieczory pojawiały się codziennie. Czula, że powoli powstaje jakaś niejasno określona więź między nią a Paco. Zaczął się nią w końcu opiekować, tłumaczył powoli to, czego w rozmowach nie rozumiała, trochę opowiadał jej też o sobie. Na nic więcej jednak liczyć nie mogła, to było coraz bardziej jasne. Została więc jego przyjaciółką. Dbała, by zawsze na zajęciach miał kawę, przynosiła dodatkową butelkę wody, tłumaczyła menu, by nie jadł ciągle tego samego, chodziła z nim do klubów, kiedy miał na to ochotę. Była dobra, uśmiechnięta. I zawsze pod ręką.

Koleżanki zaczęły wypytywać ją o różne sprawy związane z Paco. Czasami zaspokajała ich ciekawość, na ogół jednak uśmiechała się tajemniczo i udzielała wymijających odpowiedzi. Chciała uchodzić za osobę dyskretną.

Przez następne dwa lata niewiele się zmieniło. Między warsztatami pisali do siebie. On opowiadał jej o swoich planach, pracy, o marzeniach, fascynacjach. Ona o miłości do flamenco. Któregoś razu napisał jej o kobiecie, którą poznał gdzieś w Polsce. Przestraszyła się. Była tak skupiona na nim, że nie zauważyła zagrożenia! Nawet nie wiedziała, kiedy się pojawiło... Zaczęła rozumieć, że ma coraz mniej czasu. Poleciała na kilka dni do Barcelony. Zapisła się na zajęcia w jego szkole – właśnie wtedy wymyśliła, że chce się uczyć gry na kastanietach. Uważnie go obserwowała, ale zachowywał się zwyczajnie: nie stronił od żartów, od zabawy, od kobiet. Pozwolił sobie nawet na flirt z nią. Wieczorami w klubach się wygłupiali, ktoś z boku mógł pomyśleć, że łączy ich wiele. Odetchnęła z ulgą. Uznała, że ciągle ma szansę.

Nadeszły kolejne wakacje, znowu się spotkali na warsztatach w Poznaniu i wszystko układało się po staremu. A nawet lepiej. Bo wyraźnie ją wyróżniał, a nigdy wcześniej tego nie robił. Oczywiście starała się zasłużyć na pochwały. Propozycja zagrania na kastanietach podczas koncertu cieszyła ją i przerażała jednocześnie. Wiedziała, że musi dobrze wykorzystać czas prób. I robiła to. Z każdym dniem coraz śmielej patrzyła mu w oczy, wkładając w spojrzenie całe swoje uczucie, wierząc, że wreszcie to zauważy, odczuje, zrozumie.

Nadszedł dzień koncertu. Weszli na scenę, ustawili się blisko siebie w jej tylnym rogu. Jeszcze nie zabrzmiały pierwsze akordy, kiedy dość niespodziewanie jedna osoba oderwała się od grupy. Wydłużonym krokiem zaczęła powoli iść w kierunku widzów. Ręce z tyłu. Rozległ się dźwięk kastanietów. Rytm *seguiriyas*. To była Marta. Po pierwszym *compasie* zatrzymała się, wzrok utkwiała gdzieś przed sobą, dłonie przesunęła w kierunku bioder i znowu uderzyła w kastaniety. Czysto, przejmująco. I jeszcze raz, unosząc ramiona, dumnie patrząc ponad głowy widzów. Na kolejnej ciszy grupa rozpięzchła się, wypełniła sobą całą scenę. Zaczęli tańczyć. Ich *seguiriyas* była wściekła, mocna, groźna. To był taniec silnych, demonicznych kobiet i mściwych mężczyzn, zranionych i pamiętających o bólu... Ich stopy były jak krzyk. Kiedy skończyli, na moment zaległa głęboka cisza. A chwilę potem zalała ich fala braw. Za kulisami czekał Paco. Wzruszony, szczęśliwy. Do każdego podchodził osobno, ścisnął, całował, wręczał różę.

Marta stała na końcu. Ciągle jeszcze dygotała z emocji. Nie pamiętała, jak tańczyli, miała nadzieję, że wszystko poszło dobrze. Wiedziała tylko, że jej kastaniety zabrzmiały jak trzeba. Paco zbliżył się do niej.

– Byłaś wspaniała! – szepnął. – Dziękuję ci.

Dał jej różę, jak wszystkim, przytulił. I wtedy ich usta przypadkiem się spotkały, przypad-

kiem połączyły. Trwało to może sekundę, może jej ułamek, ale to wystarczyło, by poczuła się szczęśliwa. Na to czekała. Cierpliwie, długo. Rozdzieliła ich rozentuzjasmowana grupa. Marta nie ruszała się z miejsca, jeszcze przez chwilę smakowała wspomnienie pocałunku. Miał bardzo gorące i delikatne wargi.

Po koncercie, zgodnie z tradycją, wszyscy znaleźli się w klubie. Połało się piwo, połała wódka. Ktoś podszedł do niej, by ją uściskać, ktoś, by pogratulować. Nie zwracała na to uwagi. Szukała Paco. Bawiła się, ale i kontrolowała, nie chciała stracić tej nocy. Alkohol zrobił swoje: po kilku godzinach Paco zaczął ją podrywać. Zaproponowała, by poszli do niej. Ku jej zaskoczeniu przystał na to bez oporów. W mieszkaniu zdała sobie sprawę, że wypił więcej, niż myślała.

Włączyła radio, trafiła akurat na rozczulającą bossa novę. Paco przytulił się do niej, zaczęli się całować. Ale kiedy zrzucili z siebie ubrania, okazało się, że zmęczenie i alkohol zrobiły swoje. Zasnęli, trzymając się za ręce.

Rano obydwójce czuli się niezręcznie. Paco nie był pewien, co zdarzyło się w nocy, wiedział jednak, że nie powinien tu się znaleźć. Zaczął przeproszać Martę. To ją rozzłościło, postanowiła nie mówić mu, że do niczego między nimi nie doszło. Chciała go ukarać za stracone nadzieje, za zmarnowany wysiłek, by zdobyć jeśli nie jego miłość, to choćby chwilowe zainteresowanie.

Ubrał się szybko i wyszedł. Nawet nie wypił kawy, którą przygotowała. Poczula się upokorzona. Łzy popłynęły same.

Warsztaty się skończyły, wszyscy rozjechali się do domów. Przez kilka dni utrzymywała w sobie stan zniechęcenia. Rzuciła w kął kastaniety, schowała głęboko do szafy spódnice i buty. Postanowiła o wszystkim zapomnieć. W swoim rodzinnym mieście zaczęła bywać na imprezach z innymi znajomymi, wybierając ich spośród tych, którzy nie mieli nic wspólnego z flamenco. Po dwóch tygodniach przyszedł jednak mail od Paco. Jak gdyby nigdy nic pytał, co u niej słychać i czy wybiera się na festiwal do Łodzi. I wtedy wszystko wróciło. Ze zdwojoną siłą. Od flamenco nie potrafiła się uwolnić. Od marzeń o Paco też.

Prawda była taka, że im bardziej był niedostępny, tym mocniej go pragnęła. Choćby na chwilę. Byle na wyłączność, tylko dla siebie. Wszystko jedno na jakich warunkach. Przegrana nie wchodziła w rachubę, nie potrafiła sobie tego wyobrazić. Szybko więc zarezerwowała miejsce na warsztatach, wróciła do ćwiczeń i od nowa zaczęła wkuwać słówka hiszpańskie. Po dwóch miesiącach znowu spakowała walizkę.

Tym razem jednak nie miała szans na osobny kontakt z Paco. Od rana do nocy był zajęty albo prowadząc warsztaty, albo opiekując się innymi artystami, którzy przyjechali do Polski za jego namową i czuli się tu nieco zagubieni. Organizował im czas wolny, dbał, by ich lekcje odbywały się w należytych warunkach. Sam też przygotowywał własny występ.

Marta wykorzystywała każdą chwilę, by zamienić z nim choć kilka zdań, ale to rzeczywiście były tylko ułamki czasu. Kiedy więc jedna z dziewczyn zaproponowała, by latem następnego roku lecieć do Barcelony i wykupić w szkole Paco cały kurs, zgłosiła się jako pierwsza. Grupa związała się w ciągu kilku minut. Osiem dziewczyn zwiariowanych na punkcie flamenco. Natychmiast poinformowały o tym Paco, ustalili termin i cenę. W ciągu jednego dnia wszystko było załatwione. Marta zaczęła wyobrazać sobie możliwe scenariusze, postanowiła właśnie wtedy rozwiązać swój problem ostatecznie.

Na dzień przed odlotem do Barcelony usiłowała spakować się do jednej walizki, uwzględniając wszystkie możliwe sytuacje. Uśmiechała się do siebie, przerzucając z jednej sterty na drugą wyjęte z szafy ubrania. Była pewna, że tym razem jej się uda, że wszystko będzie tak, jak chce. Nagle zadzwonił telefon:

– Cześć, Marta. – Ku własnemu zaskoczeniu usłyszała głos Goški. Nie kontaktowały się dotąd ze sobą nawet mailowo, nie było takiej potrzeby. Organizatorem wyprawy była Ewa, to ona pilnowała, by dziewczyny o wszystkim wiedziały, na czas przelały pieniądze i niczego nie zapomniały. Ten telefon był więc cokolwiek dziwny. – Jesteś już spakowana? Bilety na wierzchu? – zapytała.

– Nie, no coś ty! – Marta nieco sztucznie się zaśmiała, podejrzewając, że nie o przyjacielską troskę tu chodzi. – Tonę w stosie ciuchów i zupełnie nie wiem, co zabrać.

– No to nie przesadzaj z tym strojeniem się, to i tak na nic się nie zda.

– Nie rozumiem.

– Domyślam się, jakie masz plany wobec Paco i mówię ci: daj sobie spokój. Jesteś dla niego jedną z wielu. Jak ja, Anka, Magda, Kaśka, jak cała grupa. Nie przeprowadzisz się do Hiszpanii, masz tu swoje życie, więc daj sobie spokój – tłumaczyła rzeczowo Gośka. – Szkoda wakacji.

– Skąd to możesz wiedzieć? Dlaczego mi o tym mówisz? Jakim prawem się wtrącasz? – Marta nie kryła oburzenia.

– Bo cię lubię! Chcę, żebyśmy się dobrze bawiły, a nie leczyły potem zranione serca. Poza tym Paco, według mnie, zainteresował się kimś innym. I nie jest to żadna z nas.

– A co, zwierzał ci się?

– Może... W każdym razie radzę ci: daj sobie spokój... Poważnie. Przemyśl to! Żebyś potem nie płakała... Twoja kolekcja nie ucierpi od braku jednego eksponatu. Zwłaszcza że z łatwością zastąpisz go innym. Do zobaczenia jutro na lotnisku. Pamiętaj, spotykamy się dwie godziny przed odlotem. W strefie wolnocłowej kupimy jakąś wódkę na powitanie Barcelony. Pa!

I już. Rozłączyła się. Marta stała osłupiała z podniesioną słuchawką, miała ochotę krzyknąć z wściekłości, ale nie mogła – za ścianą spała jej matka. Taki telefon! Takie rady! O co chodzi? Usiadła na kanapie i się rozpłakała. Cicho, żeby nikt nie słyszał, żeby nie musiała tłumaczyć...

„Może Gośka ma rację? – pomyślała, wycierając mokre policzki. – Ale przecież... A kolarce? A rozmowy? Listy? A ta noc rok temu? Całowaliśmy się, spaliśmy razem! Grałam na kastanietach... Nie, nie... Gośka się myli. Między nami jest inaczej. Nie jestem jedną z wielu!”. Sięgnęła po leżące na stoliku zdjęcie grupy z ostatnich warsztatów: Paco otoczony wianuszkami dziewczyn jedną ręką przytulał Martę, drugą – Ewę.

„Nikt z nas? To kto?! – zastanawiała się intensywnie. Nikt nie przychodził jej na myśl. – Z nikim nie był tak blisko jak ze mną... Może to sama Gośka? Chyba że jest ktoś w Hiszpanii... Dam radę. I co za bzdura z tą kolekcją!”.

Otarła łzy, wróciła do przeglądania ubrań.

Nazajutrz, z przyklejonym do twarzy uśmiechem stawiała się na lotnisku we Wrocławiu. Serdecznie przywitała się z Gośką i pozostałymi dziewczynami, odprawiła się i poszła buszować po sklepach. Kupiła perfumy, alkohol, czekoladę. Wyjątkowo długo marudziła przy półkach, chciała w ten sposób uniknąć jakichkolwiek rozmów przed podróżą. W samolocie usiadła obok Magdy, jedynej dziewczyny, o której wiedziała na pewno, że nie jest dla niej żadnym zagrożeniem – miała swojego faceta, flamenco interesowało ją wyłącznie jako flamenco, Barcelonę chciała po prostu poznać. Reszta grupy... no, jeszcze Kasia była bezpieczna, ciągle wycierała oczy po pożegnaniu z rodziną, ale inne dziewczyny... Nie była pewna, czy zachowają deklarowaną obojętność na wdzięki Paco. Przyglądała im się z uwagą, zastanawiając się, ile w końcu przeszkód będzie miała do pokonania.

Całą grupą zajęły fotele w środkowej części samolotu. Z dala od nich usiadły tylko Gośka i Ewa. Gośka coś mówiła o bólu głowy, Ewa o dokończeniu jakiegoś raportu dla firmy.

Samolot wystartował, po kilku minutach zamówiły u stewardesy kawę. Każda miała w kieszeni przynajmniej jedną buteleczkę z wódką, dołączyły ją do kubków, wzniosły cichy toast. Potem drugi, trzeci i coraz bardziej zadowolone z życia zaczęły opowiadać o swoich oczekiwaniach związanych z wakacjami. Marta czuła się pozytywnie zaskoczona, bo dziewczyny bardzo serio traktowały tę wyprawę i naprawdę były do niej dobrze przygotowane. Teraz próbowały ustalić kolejność zaplanowanych tras. Przerzucały się hasłami, argumentami, śmiejąc się i co jakiś czas sięgając do kieszeni po kolejne zapasy alkoholu. Stewardesa udawała, że niczego nie widzi. Lot zakończyły, wycierając kapiące im ze śmiechu łzy. Jak małowaty wypuszczone na pierwszą samodzielną wycieczkę. Trochę się uspokoiły w autobusie wiozącym je z Girony do Barcelony, niektóre nawet przespały tę trasę.

Marta cały czas zastanawiała się, jak poprowadzić swoją grę. A co, jeśli Paco jednak nie złapie się na jej wódkę? Zmarnuje swój urlop.

„Może Gośka ma rację? Może powinna działać dwutorowo, znaleźć kogoś «na zastępstwo», na wszelki wypadek? – myślała. – Ruszyć na podbój Hiszpanii razem z dziewczynami i mieć z tego fajne wspomnienia?”.

Tuż przed północą dotarły do hotelu. Każda wzięła swój klucz, Marta zaproponowała, by zostawiły bagaże i przyszły do niej na drinka. Po piętnastu minutach pojawiły się w pokoju niemal wszystkie. Wypiły, co miały do wypicia, a potem zeszły do hotelowego baru. Zaskoczył je tłum i gwar. Marta zwróciła uwagę na grupę Hiszpanów. Jeden bardzo jej się spodobał. Obok nich był wolny stolik, rozsiadły się w fotelach, zamówiły drinki. Jak się okazało, nie ona jedna zainteresowała się mężczyznami. Dziewczyny powstrzymywała jedynie obawa, czy poradzą sobie językowo. Co chwila któraś strzelała oczami w ich kierunku. Oczywiście nie sądziły, że ktoś to zauważy, jakie więc było ich zdziwienie, kiedy po kilku minutach kelner przyniósł im szklanki z alkoholem, mówiąc, że to prezent od panów siedzących przy stoliku obok.

– I co teraz? – zapytała Marta.

– No, jak to co? Jeśli je przyjmiemy, powinniśmy zaprosić i ich do siebie – jasno wyjaśniła sytuację Gośka.

– No przecież pomyślą sobie, Bóg wie co – broniła się Magda.

– Nie przesadzaj. Reszta zależy od ciebie. Drink to nie jest zaproszenie do łóżka – tłumaczyła dalej Gośka. – Ale oczywiście możemy zawołać kelnera i poprosić, aby te szklanki zabrał.

– Dziewczyny – powiedziała ze śmiechem Marta – pamiętacie taki film Kondratiuka *Dziewczyny do wzięcia*? Zachowujemy się jak tamte dziunie!

– Tamte – wtrąciła Ania – to jadły jakieś kremy. I tyle ich zjadły, że resztę nocy w kiblu przesiedziały.

– Ale też dołożyły „ideologię” i nie wiedziały, co dalej zrobić – ciągnęła Marta. – Możemy przecież z nimi posiedzieć tu, w barze, pogadać. Skoro są w hotelu, to pewnie zaraz jadą gdzieś dalej. Może dowiemy się, gdzie są jakieś fajne kluby?

– Ja mogę robić za tłumacza – zadeklarowała się Gośka. – To co? Mam iść po nich? – zapytała, podnosząc się z miejsca i nie czekając już na odpowiedź, podeszła do męskiego stolika. Po chwili, w powiększonym gronie, zaczęli rozmawiać o Polsce i Hiszpanii. Po trzecim drinku wszyscy już radzili sobie sami, a ona mogła się skupić na mężczyźnie, który usiadł obok.

Marta z przyjemnością patrzyła na Manuela – to właśnie na niego zwróciła uwagę, kiedy zeszły na dół. Był wysoki, szczupły, dobrze zbudowany. Miał niski, wibrujący głos i piękny uśmiech. Niestety, był żonaty. Wypolerowana obrączka świeciła na jego serdecznym palcu. Jak się jednak wydawało, nie była dla niego żadnym problemem. Bardzo zręcznie flirtował z Martą i chyba, jak potem o tym myślała, nie miałby nic przeciwko małej przygodzie. Skończyło się jednak tylko na dwugodzinnej biesiadzie, bo każdy deklarował ogrom pracy od samego rana.

Kiedy znalazła się w swoim pokoju, rozpakowała walizkę, wzięła prysznic i znowu zaczęła myśleć o Paco. Bo jeśli Gośka ma rację? Może faktycznie jest kimś zajęty, może szkoda czasu na niego, może lepiej zająć się kimś takim jak Manuel? Przynajmniej od początku wiadomo, o co chodzi, i nikt nie tworzy iluzji.

Przez resztę nocy przewracała się z boku na bok, nerwowo spoglądając na budzik stojący przy łóżku. Wskazówki się przesuwają, a ona z coraz większą złością uświadamiała sobie, że nie będzie miała na nic siły, jeśli nie prześpi chociaż trzech godzin. Ale sen nie przychodził.

O siódmej rano postanowiła przestać walczyć z bezsennością. Wstała, umyła się, ubrała i zeszła do restauracji. Ledwo usiadła przy stoliku, zaczęły się schodzić dziewczyny. Wszystkie wyglądały na zmęczone. Nałożyła sobie do miseczki owoce. Podeszła do stołu z napojami i zauważywszy butelkę *cavy*, sięgnęła po nią. Tej przyjemności nie mogła sobie odmówić. Barcelona kojarzyła jej się z zapachem morza, starych kamieni i katalońskim szampanem. Wypiła kieliszek, rozkoszując się specyficznym smakiem, nalała drugi. Kiedy usiadła ponownie na swoim miejscu, zobaczyła, że wszystkie jej koleżanki sączą to samo. Czas zwolnił swe tempo. Opowiadały o wrażeniach z pierwszej nocy, próbowały opisać smak owoców, które – chociaż im znane – w niczym nie przypominały kupowanych w polskich sklepach, delectowały się winem i kawą. Dopiero sprzątający po śniadaniu kelnerzy uświadomili im ostatecznie, że muszą się zbierać, że szkoła czeka, że czas na flamenco z Paco.

Marta wróciła do pokoju po torbę z rzeczami do tańca. Spojrzała w lustro...

– No tak, sińce pod oczami, twarz szara. Tak świata nie zdobędę – zawyrokowała. – Boże –

westchnęła – żeby zdarzył się jakiś cud i tych zajęć dziś nie było! A może wykręcić się bólem brzucha? Przecież jak mu się taka pokażę, to już na mnie więcej nie spojrzysz! Nie, nie idę dzisiaj! Zejdź na dół i coś wymyśl – postanowiła.

Dziewczyny znalazła w pobliżu recepcji. Widać było, że wiele wysiłku wkładają w to, by utrzymać otwarte oczy. Nawet Kasia, która z nimi wczoraj nie była, wyglądała, jakby całą noc nie spała. Po chwili zjawiała się Ewa. Wyszły przed hotel. I tam dopiero do nich dotarło, jak głupio się zachowały przy śniadaniu, pijąc tyle *cavy*. Upał zwyczajnie zwałił je z nóg. Marcie zakręciło się w głowie, oparła się ciężko o ścianę. Nie wierzyła, że może zrobić chociaż jeden krok. W tym momencie usłyszała, jak Ewa mówi o swoim złym samopoczuciu. Marta słuchała, jak dziewczyny przekonywały Ewę, że bez niej dzisiejsze zajęcia nie mają sensu i że nic się nie stanie, jeśli wszystko zaczną od jutra.

No więc zdarzył się cud! Uśmiechnęła się do siebie z zadowoleniem. Marzyła tylko o łóżku. Czowała, że sen, który w nocy nie przychodził, teraz szybko nią zawładnie.

Ewa powiadomiła Paco o ich decyzji i szybko opuściła grupę. Dziewczyny próbowały się umówić na popołudnie, ale Marta nie czekała na ich ustalenia. Wróciła do swojego pokoju, zasunęła kotary w oknach, wyłączyła telefon i się położyła. Zasnęła natychmiast.

Kiedy się obudziła, słońce było już nisko. Straciła cały dzień. Wstała, doprowadziła się do porządku i postanowiła pojechać do centrum, by samotnie powłóczyć się po ulicach.

Bez problemu trafiła do metra, odnalazła właściwą linię i pół godziny później wysiadła przy Placu Catalunya. Stąd mogła zacząć spacer po La Rambla aż do Kolumba, ale mogła też, skręciwszy w lewo, dojść do Barri Gòtic. Mając jeszcze w pamięci powieści o Barcelonie, których akcja zawsze toczyła się w okolicach średniowiecznej części miasta, postanowiła zobaczyć przede wszystkim katedrę.

Mimo że się ściemniało, wokół było tłoczno. Gwar rozmów mieszał się z muzyką. Każda knajpka wystawiała na ulicy swoje stoliki, nęciła opisami serwowanych potraw. Marta przedzierała się wąskimi uliczkami wśród wolno przesuwających się ludzi, wierząc, że razem z nimi dotrze do miejsca, na którym jej zależało. Nagle znalazła się na placu, z którego wiodły schody do świątyni. Oczywiście już zamkniętej. Ostatni zwiedzający mogli tam wejść o siódmej. Wiedziała, że musi tu przyjść jeszcze raz, bo inaczej nie zobaczy na własne oczy słynnego wewnętrznego dziedzińca, po którym przechadzają się katalońskie gęsi. Jest ich zawsze trzynaście – tyle, ile lat miała w chwili śmierci święta Eulalia, współpatronka Barcelony. Oczywiście gęsi nie były jedynym powodem, dla którego należało zwiedzić katedrę. Architektonicznie odzwierciedlała ona całą historię miasta. To decydowało o jej niezwykłości.

Budowę świątyni rozpoczęto w trzynastym wieku, na miejscu zniszczonego trzy stulecia wcześniej chrześcijańskiego kościoła, który nie wytrzymał najazdu wezyra Kordoby. Ślady tamtej budowli można oglądać w podziemiach. Każda nawa, każda kaplica to osobna historia. Pod głównym ołtarzem mieści się krypta świętej Eulalii. Podobno zworniki umieszczonej tu kopuły są jednym z trzech czakramów Katalonii. A sam grobowiec to czternastowieczne alabastrowe dzieło sztuki. Z jednej z wież rozciąga się widok na całe miasto, jak mówią ci, którzy tam dotarli, absolutnie niezwykły.

Marta wiedziała o tym wszystkim, ale czuła, że właśnie nocny widok katedry i okolicznych knajpek jest jej niezbędnie potrzebny, by poczuć nareszcie Hiszpanię. To było irracjonalne. Bo dlaczego akurat to miejsce? A nie port, plaża czy ratusz? Czy choćby Sagrada Família? Powoli obeszła całą świątynię, zadzierając wysoko głowę, usiadła na schodach prowadzących do głównego wejścia i dopiero poczuła spokój. Wsłuchiwała się w szum miasta. Smakowała jego zapach. Patrzyła zachwyconymi oczami na to, co ją otaczało. Czuła, że jest na swoim miejscu.

Skądś docierała muzyka. Wstała i poszła w jej kierunku. Za ledwie dwie przecznice dalej, na małym placu zobaczyła stojących ludzi. Podeszła bliżej. W jednej części utworzonego kręgu grał zespół, a obok starszy pan ze starszą panią tańczyli tango. Klasycznie, z niewymuszoną elegancją i emocjami, które mówiły o ich długoletniej bliskości. Nie popisywali się. Nie starali się o jakieś wyszukane figury, ale to, jak się poruszali, świadczyło o tym, że tango towarzyszyło im przez znaczną część życia. Obok tańczyły inne pary, mniej pięknie, ale z czułością. Na ich tle ma-

estria starszych państwa jeszcze bardziej stawiała się widoczna. Oni w tańcu rozmawiali. Mówili o ciągle łączącym ich uczuciu.

Marta nie mogła od nich oderwać wzroku. Kiedy muzyka wybrzmiała, pary zastygły w ostatnim pas, ręce same poderwały się do oklasków. Po chwili orkiestra znowu zagrała. Jakiś mężczyzna poprosił ją do tańca. Poczowała się, jakby ktoś umieścił ją w starym filmie. Pół godziny później wszystko się skończyło. Okazało się, że w ten sposób zbierano pieniądze na Dom Diennej Pomocy Społecznej. Do przekazywanego z rąk do rąk koszyka wrzuciła kilka euro.

Poszła dalej uliczką, której nazwy nawet nie przeczytała. Trafiała na kolejny plac: Plaçà Sant Josep Oriol, a stąd na jeszcze dwa: Plaçà del Pi i Placeta del Pi, które otaczają kościół Santa Maria del Pi – piękny przykład katalońskiego gotyku. Ale nie on przykuł jej uwagę. Przed kościołem stały ustawione równo w rzędach stragany. Mimo późnej pory, można tu było kupić kozi ser i miód, świece i szynkę, zioła i przyprawy, kawę, herbatę, artystyczne wyroby rzemieślników. Rzecz niespotykana w Polsce. Ze względu chociażby na usytuowanie. Takie obrazki знаła tylko ze starych fotografii i filmów. Krążyła po placu coraz bardziej uśmiechnięta. Tak, w Barcelonie wszystko było możliwe. Pomyślała, że to dobry znak.

CZEŚĆ DRUGA

Rozdział piąty

Marta

Pierwszy dzień zajęć w szkole nie stworzył szansy na nic więcej poza przywitaniem się z Paco. Całą grupą spędzili kilka godzin – najpierw ćwicząc, potem maszerując po La Ramblí do portu, by w zaprzyjaźnionym, jak się okazało, lokalu zjeść zamówioną kolację. Paco krążył wokół Ewy, co było zrozumiałe, bo to ona wymyśliła i zorganizowała ten wyjazd. Marta szła więc w pewnym oddaleniu od niego, razem z resztą dziewczyn, przyglądając się życiu na ulicy, wsłuchując się w melodię języka. Miała nadzieję, że w restauracji uda jej się usiąść koło Paco, zagadnąć, wysłać sygnał, że jest, że czeka. Gośka jednak skutecznie jej to udaremniła. Jako tłumaczka grupy, zagarnęła go dla siebie, do najbliższego kręgu dopuszczając jedynie Ewę. Dla Marty miejsca obok zabrakło. Usiadła więc naprzeciwko. Patrzyła na niego, na koleżanki i ciągle się zastanawiała, czy to właśnie w tej grupie znajduje się dziewczyna, o której kilka dni wcześniej poinformowała ją Gośka. Nie zauważyła, by kogoś szczególnie wyróżniał. Rozmawiał ze wszystkimi, każdą pytał o jej życie prywatne i wrażenia z pierwszego dnia. Nie, tu rywalki mieć nie mogła.

Nim pojawiły się na stole zamówione dania, kelner przyniósł *cavę*. Trochę jej było za dużo ostatnio, no ale czym innym uczcić pierwsze spotkanie w stolicy Katalonii, jak nie katalońskim szampanem? Wzniesli toast za flamenco, Barcelonę, za spełnienie wakacyjnych marzeń i wrócili do przerwanych rozmów w mniejszych grupach. Po chwili każdy zajął się swoim talerzem. Marta zamówiła gazpacho i *paella con carne*⁴²⁾... Gazpacho było rewelacyjne. Z tym daniem jest jak z polskim bigosem: w każdej restauracji, w każdym domu smakuje inaczej. Tutejsze miało lekko słodkawy posmak, było świetnie doprawione czosnkiem i – co dla niej najważniejsze – grzanki nie pływały w zupie, tylko podano je w osobnej miseczce, podobnie jak posiekane drobno ogórki, cebulę i paprykę. Po takiej zupie uśmiech od razu pojawiał się na twarzy. Tak dobrego gazpacho Marta dotąd nie jadła. *Paella* jednak mocno ją rozczarowała. Mimo że nie był to jej pierwszy pobyt w Barcelonie, wcześniej nigdy tego dania nie próbowała. Wyobrażała je sobie jako coś wyjątkowego – od tak wielu znajomych słyszała zachwyty. Wręcz tęsknili za nim i żalowali, że w Polsce nie da się znaleźć takiego jak w Barcelonie. A tu...

⁴²⁾ *Paella con carne* – *paella* z mięsem.

Kelner postawił przed nią gorącą żeliwną patelnię. Żółty ryż, wymieszany z odrobiną wazzy, dosłownie pływał w tłuszczu, do tego dodano spore kawałki mięsa. Ba, ale jakie! Z kośćmi. Nie podrobione cząstki, jak w polskim gulaszu, tylko w całości, jak leci. Spojrzała na talerze koleżanek: siedząca obok Magda walczyła z pałkami kurczaka zanurzonymi w ryżowej brei, Agnieszka wyciągała widelcem krewetki i palcami obierała je ze skorup. Najlepiej wyszli ci, którzy zamówili mule w winie albo smażonego tuńczyka. Marta stwierdziła, że zdecydowanie tutejsza kuchnia nie jest jej ulubioną. Na szczęście na deser podano *crema catalana*⁴³⁾, co sprawiło, że zapomniała o wcześniejszych przykrych doznaniach. Właśnie wtedy, pod koniec kolacji, Paco powiedział:

⁴³⁾ *Crema catalana* – deser podobny do budyniu, z karmelizowanym cukrem na wierzchu, podawany na zimno lub na ciepło.

– Dziewczyny, mam taką propozycję... Nie wiem, czy po wydłużonych zajęciach ze mną jeszcze będziecie miały ochotę na taniec i kolejne wspólne godziny, ale... hmm... może w piątek poszlibyśmy razem do Los Juanele?

– A co to? – zapytały chórem.

– To jest najstarszy klub flamenco w Barcelonie. Nie każdy tam może wejść, trzeba być z kimś, kto cię wprowadzi. W tym miejscu spotykają się po koncertach wszystkie gwiazdy flamenco. Ale najciekawsze jest to, że grają tam wyłącznie *sevillanas*. Miałybyście okazję zobaczyć, jak to się tańczy naprawdę. I potańczyć, rzecz jasna. Co wy na to?

– Super! Pewnie, że chcemy iść – odpowiedziały wszystkie jednocześnie.

– Jest tylko jeden problem – odezwała się Marta, kiedy gwar nieco ucichł. – Nie wiem, jak dziewczyny, ale ja zupełnie nie pamiętam *sevillanas*, musiałbyś chyba z nami to powtórzyć albo nawet i nauczyć od nowa.

– Oj, tak, Paco, musisz, bo będziemy tylko siedzieć i patrzeć – zaczęły prosić dziewczyny.

– Jeśli to jedyne wasze zmartwienie, to żaden problem. W takim razie w piątek zajęcia z *sevillanas*. A teraz jeszcze raz wypijmy za nasze spotkanie – podniósł kieliszek. – A potem... ktoś może ma ochotę na piwo?

No i tak ten wieczór się skończył, na kilku szklankach piwa. Kiedy opuszczały lokal, dochodziła północ. Paco odprowadził je na przystanek autobusowy. Szli piękną promenadą wzdłuż portu. Na wodzie bujały się oświetlone jachty. Niektóre z nich właściciele zamienili w małe knajpki. Każda miała swój specyficzny styl – jedne przypominały spelunki pirackie, inne romantyczne kafejki, jeszcze inne nawiązywały do postmodernistycznego eklektyzmu, ale wszystkie były pełne ludzi, gwaru, śmiechu, muzyki. Barcelona żyła. Środek nocy niczym nie różnił się od środka dnia. I nigdzie nie było widać oznak końca zabawy.

Marta głośno się zastanawiała, kiedy ci ludzie odpoczywają i jak potem funkcjonują w pracy. Jak to możliwe, by po całej takiej nocy mieć nazajutrz siły do czegośkolwiek? Żadna z dziewczyn nie potrafiła na to odpowiedzieć, a Paco nie mógł, bo przez całą drogę rozmową zajmowała go Gośka.

Wsiadły do autobusu, po półgodzinie znalazły się w hotelu. Żadnej nie chciało się spać. Kolacja wszystkim ciążyła na żołądkach.

– Hej! – zawołała Marta, kiedy odebrały klucze z recepcji. – Ma któraś ochotę na coś mocniejszego przed snem? Ja ciągle czuję tę piekielną *paellę*.

– Ja – odpowiedziała natychmiast Gośka, podnosząc rękę jak w szkole. – To chyba dlatego tak długo tu balują, żeby strawić cholerne jedzenie! Ja też je czuję.

– Idę z wami – zgłosiła się Ewa.

– My też! – Przyłączyły się Ania i Magda.

Zostawiły resztę koleżanek w holu i poszły do baru. Rozejrzały się – akurat zwalniał się stolik. Poznanych dwa dni temu mężczyzn nie zauważyły. Odetchnęły z ulgą. Co jak co, ale na flirtowanie żadna już dziś nie miała ochoty. Usiadły w fotelach. Gośka z Martą poszły po drinki. Wszystkie chciały gin z tonikiem.

– No i co? Co dalej, kobity? – zaczęła Marta. – Tańce i kolacje? Czy coś więcej? Co robimy z tą naszą Barceloną? Przytargałyśmy przewodniki, porobiłyśmy notatki, ale nic z tego na razie nie wynika!

– No, jeszcze mamy naszych Hiszpanów, nie zapominaj o nich – odpowiedziała, śmiejąc się, Gośka.

– Jakich Hiszpanów? – Ewa uśmiechnęła się, że to temat zupełnie jej obcy.

– Ech, no tak, ty nic nie wiesz... – zabrała się do tłumaczenia Magda. – Pierwszej nocy, kiedy się wykręciłaś od powitalnej butelki, poznałyśmy tu, w tym barze, bo butelka to było za mało na powitanie, fajnych facetów. Są do końca tygodnia w hotelu. Jakies biznesy, konferencje... W każdym razie mają wolne wieczory i zgadaliśmy się, że jutro idziemy potańczyć. Salsę. Jak chcesz, możesz pójść z nami.

– No, ale chyba już jesteście dobrani w pary? Więc co ze mną? Która się podzieli swoją zdobyczą? – Ewa zaczęła się śmiać.

– Nie, nie, żadne pary – włączyła się Gośka. – Facetów jest czterech. Wiedzą, że nas jest osiem. Idą te, które chcą. Poza tym, co? Sądziś, że nikt w klubie nie będzie chciał z tobą zatańczyć? Mało to razy tak chodziliśmy? Bez przesady! Chcesz – to idziesz... I tyle! Dla siebie.

– No dobra, dobra. Macie rację, czas zamienić flamenco na coś innego. Chociażby dla higie-

ny psychicznej – zamknęła wątek Ewa.

– A swoją drogą – zaczęła Marta – ciekawe, jak oni tańczą tu salsę? Słyszałam, że nie potrafią się oderwać od flamenco, że czego by didżej nie puszczał, zawsze w końcu tańczą to samo, zaczynają stepować i kręcić nadgarstkami. Salsa – flamenco... no, to może być ciekawe.

Wybuchnęły śmiechem. Dziwna sprawa z tym tańczeniem w Hiszpanii. Niby, jak zapewniał Paco, wcale tu wszyscy nie szaleją na punkcie flamenco, ale fakt, że wszędzie słyszy się jego rytmy, że nawet w hip-hopie rozpoznasz *alegrías* czy *bulerías*, a w klubowym graniu usłyszysz *palmas*⁴⁴), kazał im powątpiewać w słowa Mistrza. Zresztą, jakie on mógł mieć rozeznanie, skoro obracał się tylko wśród ludzi podobnych do siebie i właściwie nie bywał w dyskotekach? A jeśli je odwiedzał, to tańczył właśnie tak, jak to sobie teraz wyobrażały: zawsze z flamencowymi naleciałościami. Widziały go przecież w Poznaniu! Jak miał zatańczyć salsę, nie wiedział, co zrobić z biodrami, sztywniał niczym robot.

⁴⁴) *Palmas* – charakterystyczne dla flamenco wykłaskiwanie rytmu.

Pośmiały się jeszcze trochę, wyobrażając sobie umówiony wieczór, dokończyły drinki i pomaszerowały do windy. Każda wysiadła na swoim piętrze, kolejny dzień się zakończył.

Marta zatrzymała się przed drzwiami. Nie otworzyła ich. Nadal nie miała ochoty na sen. Zjechała ponownie do baru. Ku swojemu zaskoczeniu, przy bufecie zobaczyła Manuela. Był sam. Stała obok...

– Spać nie możesz? – zaczęła go.

– Marta? A co ty tutaj robisz? Już bardzo późno. – Uśmiechnął się.

– To samo co ty. Przyszłam na drinka. Od dawna tu jesteś?

Manuel zamówił dla niej koniak, przesunął się, by miała więcej miejsca przy kontuarze. Mimo to musiała stanąć bardzo blisko, opierając własny bark o jego tors. Poczula ciepło jego ciała. Wzdłuż kręgosłupa przeszły jej ciarki.

– Nie, dopiero przyszedłem. Bardzo długo trwała kolacja. Ale ty chyba też niedawno wróciłaś, skoro właśnie teraz tu jesteś?

– No tak. Też mieliśmy długą kolację. Wiesz... powitanie z Mistrzem! Ale myślałam, że hiszpańskie kolacje są problemem tylko dla nie-Hiszpanów – powiedziała z uśmiechem.

– Mówisz o ilości jedzenia? No, tak... Nasze żołądki rzeczywiście są do tego przyzwyczajone. Ale, wiesz, nie tylko z powodu jedzenia trudno czasami zasnąć...

– Tęsknota za żoną?

– Za żoną?

– No... masz obrączkę.

– Ach, to! – Spojrzał na dłoń i się uśmiechnął. – Nie, to pamiątka po starych czasach. Jakoś nie potrafię jej zdjąć. Ale... od dawna nie jestem żonaty. Od czterech lat.

Marcie zrobiło się lżej na duszy.

„To zmienia postać rzeczy” – pomyślała. Uważniej spojrzała na stojącego przy niej mężczyznę. Poczula jego zapach, używał znajomych perfum... Nagle olśnienie: chyba takich samych jak Paco! Może właśnie to przyciągało ją do Manuela? Że jakoś był podobny? Nie tylko o zapach chodziło, ale też o błysk w oku i uśmiech, sposób poruszania się... Patrzyła na niego i nabierała pewności, że wszystko się tu zdarzy w swoim czasie. Na co tylko będzie miała ochotę. Pod jednym warunkiem: że na to pozwoli. Skoro był samotny, największa przeszkoda zniknęła. Chciała być z nim chociaż dziś. Uśmiechnęła się ciepło. Zdjęła z jego ramienia ledwo widoczny pyłek. Niby przypadkiem dotknęła skóry pod rozpiętą koszulą. Była przyjemnie gładka. Musnął jej czoło wargami. Odstawili puste kieliszki i, nie mówiąc już ani słowa, wyszli z baru, wsiedli do windy i wkrótce otwierali drzwi jego samotnego pokoju.

Następnego dnia, zrelaksowana i pewniejsza siebie, pojechała na kolejną lekcję z Paco, gotowa przystąpić do realizacji planu. Nie, Manuel nie sprawił, że jej uczucia osłabły – on był potrzebny, by potwierdzić kobiecą moc, atrakcyjność. Dzięki niemu była pewna, że każdy mężczyzna, którego zapragnie, będzie jej. To tylko kwestia czasu.

Zastosowała metodę z warsztatów: przestała sobie radzić z nowymi stepami, z nowymi

układami. Paco musiał co chwila do niej podchodzić. A to dotykał jej rąk, a to poprawiał wysokość podbródka, a to asystował przy piruetach, przy których nieustannie traciła równowagę. Raz nawet upadła i musiał jej rozmasować kostkę. Za każdym razem na moment przytrzymywała jego ręce. Nikt w grupie nie mógł się zorientować w tej grze, miała jednak nadzieję, że Paco czyta sygnały. Kiedy więc pod koniec zajęć uśmiechnął się do niej, była pewna, że to porozumienie, znak. Nie spieszyła się. Wiedziała, że tu potrzeba cierpliwości. Znała go przecież od dawna. Postanowiła zmierzać konsekwentnie do celu, ale też korzystać z wakacji.

Wieczorem zeszła do hotelowego holu, by iść do klubu salsy. Jak się okazało, na zabawę miała ochotę tylko połowa grupy, poza nią – Gośka, Ania i Magda. Reszta wymówiła się zmęczeniem.

Zamówili taksówki. Miało to swoje dobre strony, bo zostały komfortowo dowiezione na miejsce, ale i złe, ponieważ nie wiedziały, gdzie się znalazły. Były zdane wyłącznie na swoich partnerów.

Klub nie różnił się od znanych im dyskotek. Miał wielki parkiet na środku, po bokach rzędy stolików i krzeseł. Blisko wejścia – barek. Drugi znajdował się na piętrze, na które wchodziło się po metalowych schodach. Tam, dzięki małym boksom, panowała bardziej kameralna atmosfera. Rozdzielające je parawany były ustawione tak, by sadowiąc się między nimi, móc bez przeszkód obserwować parkiet, ale jednocześnie czuć się skutecznie odizolowanym od innych osób. No i właściwie tam się nie tyle siedziało, ile leżało: niskie stoliki stały w otoczeniu głęboko zapadających się kanap i foteli. Wybrali to miejsce dla siebie. Panowie przynieśli drinki i zaczęła się zabawa. Hałas uniemożliwiał rozmowę, skupili się więc na oglądaniu naprędce organizowanej lekcji salsy. Nauczyciel ustawił wszystkich chętnych w rzędach i zaczął pokazywać kroki. Potem połączył ich w pary, by przećwiczyć układy dwójkowe. Wyglądało na to, że wszyscy kupili ten pomysł, do grupy dołączyli nawet ci, którzy – co było widać – nie stawiali w tym tańcu pierwszych kroków.

Gośka i Marta pozwalały się adorować. Ania i Magda trzymały swoich partnerów na dystans, nie wiedząc, co ze sobą i z nimi zrobić. Otwartość Gośki i Marty stawiała je w niezręcznej sytuacji, obawiały się, że towarzyszący im mężczyźni będą myśleli, że taka jest norma, a nie o ten rodzaj zażyłości im chodziło, przynajmniej nie teraz. Oczywiście nie wiedziały, że ich koleżanki zdążyły już pogłębić swoje relacje. Wszyscy, uśmiechając się, sączyli drinki, ale każdy uśmiech znaczył co innego...

Parkiet coraz bardziej się zapełniał. Do grupy uczniów dołączyli ci, którzy sprawiali wrażenie, jakby salsę tańczyli od urodzenia, i ci, dla których najważniejsze było po prostu poruszanie się w rytm melodii. Niektórzy wplatali w to flamenco, tak jak wcześniej przypuszczała Marta. Były przytupy, ręce jak skrzydła gołębi, ale przecież to nie miało żadnego znaczenia. Ważne było poczucie wspólnoty i wolności, jakie wyzwała muzyka.

Marta dała znak Manuelowi, by zeszli na dół. Rytm ją kołysał. Ledwo znaleźli się na parkiecie, odwróciła się do niego, oparła lewą rękę na jego ramieniu, prawą włożyła mu w dłoń. Poczwała mocny uchwyt, po chwili nogi, biodra zaczęły poruszać się zgodnie z tym, co dyktował gorący rytm. Manuel prowadził ją pewnie. Po kilku krokach dodał obroty, za każdym razem uśmiechem potwierdzając swoje zadowolenie, że los obdarował go taką partnerką. Marta była w swoim żywiole. Uwielbiała dobrze tańczących mężczyzn, uwielbiała, kiedy ją zaskakiwali i kiedy widziała w ich oczach podziw dla własnych umiejętności. A ten rósł z utworu na utwór, bo Manuel bez końca wprowadzał nowe, naprędce wymyślane połączenia kroków, jakby w nadziei, że nie nadąży za nim, że się pomyli, ona jednak kochała takie wyzwania, dotrzymywała mu kroku bez stresu, bez wysiłku. Wiedziała poza tym, że w ruchu ujawnia się jej cała zmysłowość, że w ten sposób przejmuje pałeczkę w tej grze. Nieraz to sprawdzała. Także przy Paco. Zawsze skutek był ten sam: po tańcu mężczyźni jej pragnęli. Nawet ci, którzy wcześniej o tym nie myśleli. A teraz chciała oczarować Manuela. Poprzednia noc rozpaliała nadzieję na ekscytujący romans, z gatunku tych, które wspomina się z wypiekami na policzkach do końca życia. Chciała tego zaznać.

Czarowała go więc i kusiała. Pozwalała się przytulać i pieścić, korzystając z usprawiedliwiającego wszystko tłoku na parkiecie. Co jakiś czas wracali na swoją kanapę na pięterku, sięgali po kolejne drinki. Przytulała się wtedy mocniej i dłużej, wpatrywała w jego oczy i uśmiechem od-

powiadała na jego uśmiech, gestem na jego gest.

Po trzech godzinach poprosiła, by wrócili do hotelu.

– Nie chcesz zaczekać na resztę? – zapytał.

– Nie, nie chcę.

– Przyszliśmy z nimi...

– Naprawdę chcesz cały wieczór spędzić w ich towarzystwie? – Uśmiechnęła się znacząco, figlarnie.

– Zmęczyła cię salsa? – udawał, że nie rozumie propozycji.

– Mnie salsa nigdy nie męczy, ale nie daje mi szansy przytulić się do ciebie tak, jak bym chciała.

– Chcesz się przytulić?

– Głuptasie, nie drocz się ze mną. Dokończ drinka i wracamy. W pokoju mogę ci pokazać kilka nowych kroków.

Wyszli na ulicę. Jak zawsze gwarną mimo ciemnej już nocy. Manuel złapał taksówkę, podał adres hotelu. Wzięli klucze z recepcji i tak jak poprzedniej nocy, Marta znalazła się w jego pokoju. Tym razem jednak nie została do rana. Musiała odpocząć. Mogła to zrobić tylko w swoim łóżku. Długo nie udawało jej się zasnąć. Wspomnienie Manuela wywoływało uśmiech. Czuła jego zapach na całym swoim ciele, każdy centymetr skóry był pokryty jego pocałunkami. Nigdy wcześniej z nikim tak się nie kochała. Było w tym wiele tkliwości i czegoś jeszcze... Tęsknoty? Żalu? Że za późno? Że za wcześnie? Że nie w porę się spotkali? Bo była jakaś tajemnica także po jego stronie. Nie rozmawiali o tym. Czuło się tylko napięcie. Wiedzieli obydwój, że chociaż od początku jest im ze sobą dobrze, ta historia skończy się wraz z upływem tygodnia, kiedy on będzie opuszczał hotel. Kochał się więc z nią tak, by zapamiętać te chwile na długo. Czuła to. I chyba robiła tak samo.

Przez moment zastanawiała się, czy teraz coś się zmieniło w jej stosunku do Paco, czy jest jej nadal niezbędny do szczęścia.

„Gdyby chociaż w połowie okazał się tak czuły jak Manuel – pomyślała. – Nie, nie, Paco jest jedyny, jest artystą – przekonywała siebie. – Kiedy kocha, świat zakochuje się w tobie wraz z nim. Jeśli nie sprawdzę, nigdy się nie przekonam. A Manuel... będzie moją bajką na dobranoc, bajką na jesienne deszczowe dni...”

Kolejny dzień nie przyniósł niczego nowego. Paco nadal był powściągliwy w okazywaniu jej jakichkolwiek uczuć, chociaż przyjmował wszystkie sygnały. Tego była pewna. Nie miała innego wyjścia, jak nadal czekać na swój dzień, a tymczasem biegać do klubów z dziewczynami, zwiedzać Barcelonę i spotykać się z Manuelem. Taki kamuflaż, jak mówiła. O tyle wygodny, że Gośka przestała ją czujnie obserwować. Pewnie myślała, że Paco wywietrzył jej z głowy...

Zwykle więc po zajęciach, nie czekając na koleżanki, brała szybki prysznic, w pobliskim sklepie kupowała bagietkę z szynką i maszerowała oglądać wszystko to, co zaznaczyła wcześniej w przewodniku. Chciała zwiedzać Barcelonę sama, skoro ciągle nie mogła tego robić z Paco.

Któregoś dnia pojechała pociągiem FGC na stację Avinguda Tibidabo, tam przesiadła się do Niebieskiego Tramwaju, który kursuje nieprzerwanie od tysiąc dziewięćset pierwszego roku. Stary, piszczący na zakrętach, z wagonikami otwartymi po bokach... Miał ją zawieźć na górę.

Tibidabo – codziennie oglądany szczyt łańcucha Collserola... Wiedziała, że aby dokładnie zwiedzić tę część Barcelony, potrzebuje co najmniej połowy dnia. Nie miała tyle. Postanowiła włożyć się po okolicy aż do nocy, aż do zapalonych latarni.

Z tramwaju podziwiała eleganckie rezydencje z minionej epoki, wśród których swoje gry toczyli bohaterowie *Cienia wiatru* Carlosa Ruiza Zafóna, książki znanej niemal na pamięć, czytanej wiele razy wtedy, kiedy Barcelona zaczęła być marzeniem. Wysiadła na Plaça Doctor Andreu, zatrzymała się na kawę w restauracji La Venta, popatrzyła na okolicę z wysokości tarasu i poszła w kierunku Chrystusa z rozpostartymi ramionami – jego figura z brązu zdobi szczyt bazyliki Świętego Serca Jezusa, wzniesionej na wysokości pięćset dwunastu metrów, w najwyższym punkcie Barcelony. Stamtąd pomaszerowała do parku rozrywki, głównego celu tej wyprawy, stuletniego obiektu z krzywymi zwierciadłami i diabelskimi młynami, bawiącymi ludzi od początku dwudziestego wieku. Nie mogła się powstrzymać, by nie zwiedzić Muzeum Automatów. Czytała, że znajdu-

jącą się tu kolekcję zabawek mechanicznych chciał w swoim czasie wykupić Walt Disney. Rzeczywiście, wprawiała w zachwyt i zdumienie. Zwłaszcza w połączeniu z informacją o dacie produkcji.

Snula się po uliczkach do wieczora, tak jak sobie obiecała, co jakiś czas powstrzymując westchnienia zachwytu nad widokami roztaczającymi się ze wzgórza i mijanymi po drodze. Musiała komuś o tym powiedzieć. Że jest szczęśliwa, że marzenia się spełniają, że to najpiękniejsze miejsce na świecie... Niewiele się zastanawiając, wyciągnęła telefon i niemal mechanicznie wybrała numer na liście kontaktów. Potem zastanawiała się, jak to było możliwe i czy rzeczywiście nie kontrolowała tego, ale kiedy przycisnęła klawisz połączenia, usłyszała głos Paco. Przez chwilę stała oniemiała ze zdziwienia, uznała to jednak za zrzącenie losu i zaczęła mu opowiadać o swoim wzruszeniu, o wrażeniach z wycieczki na wzgórze. Nagle uświadomiła sobie, że nie wie, jak wrócić. Nie ma pojęcia, gdzie się właściwie znajduje! Spanikowała. Paco poprosił, by odszukała nazwę ulicy. Kiedy mu ją podała, okazało się, że akurat jest niedaleko i chętnie do niej dołączy. Miała poczekać, nie ruszając się z miejsca.

– Jak to się stało? – zastanawiała się po wyłączeniu telefonu. – Dzwonię do niego przez przypadek, on przez przypadek jest niedaleko i przez przypadek ma czas. Dziwne...

Zapadał zmrok, w pobliżu nie było za wiele latarni. Czowała, jak ciemność ją zagarnia. Strome ulice i otoczone wysokimi ogrodzeniami domy wśród gęstych drzew zaczęły przybierać coraz bardziej irracjonalne kształty. Gdzieś z dala ujadaly psy. Okolice stawała się z każdą chwilą coraz bardziej ponura. Przypomniała jej się *Gra anioła Zafóna*. Kolejna książka z serii „lektur obowiązkowych” dla zakochanych w Barcelonie... Wyobraźnia zaczęła niebezpiecznie pracować. Nagle ktoś dotknął jej ramienia. Wzdrygnęła się. Odwróciła. Za nią stał Paco.

– Spokojnie. To tylko ja – powiedział łagodnie, widząc przerażenie w jej oczach.

Przytuliła się w nagłym odruchu, mocno.

– Jak dobrze, że jesteś – wyszeptwała. – Tu jest strasznie! Nie wiem, co bym zrobiła, gdybyś nie przyszedł!

– Na ogół turyści tak daleko się nie zapuszczają. Jak tutaj trafiłaś?

– Nie mam pojęcia. Byłam w bazylice, potem w parku rozrywki, a później szłam zachwycona od domu do domu, patrząc też na Barcelonę w dole. I nie wiem, jak się tu znalazłam. Na ogół jestem ostrożniejsza. Do ciebie też przypadkiem zadzwoniłam... Myślałam, że wybrałam zupełnie inny numer.

– Wiesz, że przypadków nie ma? – Odsunął ją od siebie, trzymając mocno za ramiona. – Chodź, pójdziemy coś zjeść i wypić.

– Tu?!

– Nie, spokojnie, tej okolicy masz już chyba dosyć. W centrum.

Wziął ją za rękę i zeszli uliczką w dół. Szybko odnaleźli metro, wsiedli do pociągu i po kilkunastu minutach byli już na stacji Liceu. Skręcili w prawo i minęli gmach opery. Po chwili w niewielkiej knajpie z tęczową flagą, w jednej z bocznych uliczek, zamawiali pizzę i piwo.

Marta opowiadała mu o swoim zwiedzaniu Barcelony, o oczarowaniu miastem. Paco zrewanżował się opowieścią o swoich pierwszych dniach tutaj. Mówił, że choć wiele lat od tamtego czasu minęło, to wszystko pamięta dokładnie i za każdym razem, kiedy wychodzi na ulicę, nie może uwierzyć, że jest właśnie tu, że Barcelona ciągle go zachwyca i zaskakuje, że stanowi centrum jego świata, zajmuje wyjątkowe miejsce w jego sercu.

– Wiesz, za żadnym miastem – tłumaczył – nawet za moim rodzinnym, nie tęsknię tak jak za nią. Kiedy wyjeżdżam na dłużej – tylko się nie śmieję – zabieram ze sobą jej zdjęcia. Tak jak inni fotografie swoich ukochanych. Mam takie trzy, z którymi się nie rozstaję. Stare zdjęcia, czarno-białe, sprzed wojny... Albo leżą u mnie na stoliku przy łóżku, albo w walizce.

– No, ale ty przecież nie mieszkasz w Barcelonie!

– I tak, i nie. Dom mam rzeczywiście pod Barceloną. To właściwie dalekie przedmieście czy raczej miasteczko satelickie. Tam jest dużo taniej. No i mniej ludzi. A to dla mnie ważne, bo czasami potrzebuję ciszy. Ale mam też mieszkanie tu, niedaleko od tej knajpy. Wynajmuję je. Normalnie w ciągu roku pracuję w tygodniu kilka dni pod rząd, do późna w nocy, a następnego dnia zaczynam wcześniej rano. Wtedy mieszkam tutaj. Nie miałbym siły codziennie dojeżdżać kilkadziesiąt kilome-

trów.

- Duże jest to mieszkanie?
- Nie, coś ty! Pokój z aneksem kuchennym. Dla mnie samego w sam raz.
- Samego? Nic się nie zmieniło? Ciągłe jesteś sam?
- Ciągłe. Tak jest dobrze.
- Nawet na chwilę nikt się nie pojawia?
- Och, na chwilę się pojawia. Wtedy ten jeden pokój też jest wystarczający.
- Nie wierzę...
- W co? Że wystarczający czy że jestem sam?
- Że jesteś sam. Przecież widzę, jak dziewczyny na ciebie patrzą.
- A widzisz, jak ja patrzę?
- Nie...
- Wiesz dobrze, że musi być jednakowo intensywne patrzenie z dwóch stron, by coś się wydarzyło.

Na stole pojawiło się kolejne piwo. Marta pomyślała, że ta informacja o mieszkaniu to zrządzenie losu, szansa dla niej, zastanawiała się, jak dalej poprowadzić rozmowę, by zaprosił ją do siebie. Wiedziała, że Hiszpanie rzadko otwierają drzwi swoich domów przed obcymi. Trzeba być w bardzo zażyłych stosunkach, by móc zobaczyć, jak żyją... Chcąc chronić swoją prywatność, wymyślili te wszystkie typy barów, restauracji, kawiarni, całe życie towarzyskie tam przenieśli. Śniadanie w knajpie, obiad w knajpie, przekąski, kolacje. Można by się zastanawiać, po co im w ogóle domy, równie dobrze mogliby spędzać noce w hotelach.

- Wiesz – w końcu powiedziała wprost – chciałabym zobaczyć tę twoją samotnię.
- Po co? – zdziwił się.
- Bo nigdy nie byłam w hiszpańskim domu.
- Sądzisz, że czymś się różni od polskiego?
- Nie mam pojęcia. Wiem jednak, że do naszych domów każdy może wejść, kiedy chce, prosto z ulicy, a do waszych nie. Do waszych to zaszczyt.
- Tak? No to chodźmy.

Faktycznie mieszkanie Paco znajdowało się blisko, zaledwie jedną przecnicę dalej. W starej kamienicy z kutą bramą i patio, na środku którego ustawiono małą fontannę. Poprowadził ją stromymi schodami na trzecie piętro. Dwoje drzwi – te po prawej wiodły do jego mieszkania. Nie wielki przedpokój z wieszakiem na ubrania, małym lustrem bez ramy i wyplatany krzesłem, pod którym stały jakieś buty. Przejścia do dalszej części nie blokowały żadne drzwi, był tylko ładnie wyprofilowany otwór po nich. Za nim ogromny, jak niemal całe mieszkanie Marty, pokój, z którego jedne drzwi prowadziły do przestronnej garderoby, drugie – do zdumiewająco dużej łazienki czy może raczej pokoju kąpielowego. Między wanną a brodzikiem stał dziewiętnastowieczny szezlong, koło niego stolik zapełniony gazetami, na nich do połowy pełna butelka wina i kieliszek ze śladami używania. Obok leżał wachlarz. Żółty, lekko wpadający w pomarańcz. Wzięła go do ręki, otworzyła, na jednym z piór widniał podpis. Przyjrzała się – „Sara Baras”.

„No, proszę – pomyślała. – Czyżby i ona zwiedzała to miejsce? Ciekawa samotnia”.

Przez otwarte okno wdzierał się szum fontanny. Całość niebiesko-szara, ozdobiona leżącymi niedbale na podłogowych deskach morskimi kamieniami. Tuż za szezlongiem zieleniły się imponujących rozmiarów juki. Jak na typowo męską samotnię miejsce było zbyt romantyczne. Marta zauważyła, że pod jedną ścianą stało sporo nadpalonych świec, na wieszakach wisiały dwa ręczniki i dwa szlafroki. Pomyślała, że Paco chyba często dzieli się swą samotnością z innymi...

Pokój był urządony w zupełnie innym stylu. Minimalistycznym. Jego centralne miejsce zajmowało wielkie łóżko, przykryte czarną, jedwabną kapą. Obok – stojąca smukła lampa z japońskiego papieru. Dwa skórzane, niskie fotele na aluminiowych nogach zostały ustawione w pobliżu okna, rozdzielał je mały stolik z ciemnopopielatym blatem. Wszystko właśnie w takiej tonacji: szaro-czarnej. Na ścianie dwie półki w kolorze o ton ciemniejszym od ścian, z albumami, trzecia – pełna płyt. Pod nią wieża, której wysokie głośniki tak rozstawiono w czterech kątach pokoju, by muzyka wypełniała całą przestrzeń.

Część jadalną odgradzała od sypialnianej niska ścianka z blatem w kolorze stolika. Pełniła funkcję domowego bufetu. Wystroju dopełniały dwa wysokie krzesła barowe. Na blacie wazon z czarnego szkła ze smukłym białym storczykiem.

„Znowu – pomyślała po raz kolejny – dziwny, mało «męski» dodatek w «męskiej» kawalerce...”.

Aneks kuchenny zajmował około piętnastu metrów kwadratowych. Przestrzeń laboratoryjnie czysta. Wszystko pochowane w idealnie dopasowanych do ścian szafkach, na blacie kuchennym stał tylko ekspres do kawy z dwiema filiżankami.

Przyglądała się temu z coraz większym zadziwieniem, bo o tak wyrafinowany gust Paco nie podejrzewała. Była mile zaskoczona, ale też kompletnie już nie wierzyła w jego deklarowany ascetyczny styl życia. Pomyślała sobie, że ktoś, kto tak lubi mieszkać, raczej nie widzi obok siebie kobiety na stałe. Mimo drobiazgów przełamujących surowość formy, to jednak był męski styl. Nie wyobrażała sobie, że nagle ten porządek miałyby zakłócić damskie gadżety, ubrania czy chociażby książki.

Paco jednocześnie obserwował ją i otwierał butelkę czerwonej riojy.

– I co? – zapytał, podając kieliszek wina. – Bardzo inne to moje mieszkanie od tych, które znasz z Polski?

– Bardzo! – Uśmiechnęła się i spojrzała mu w oczy. – U nas samotni mężczyźni tak nie mieszkają. Chyba że są samotni tylko od czasu do czasu. Takie mieszkania w Polsce nazywają garsonierami.

– Ja przecież nie mówiłem, że jestem bez przerwy sam.

– Myślę, że to mieszkanie – ciągnęła, nie spuszczać z niego wzroku – robi wrażenie na tych, którzy się tu pojawiają.

– Robi... – przyznał.

– A jak się już pojawiają, to wychodzą stąd zaraz po kolacji? – przysunęła się bliżej.

– To zależy... – zaczął się bawić kosmykiem jej włosów, wzrokiem omiatał twarz.

– Zależy?

– Zależy od tego, czy chcą wyjść... – Schylił się do jej ust i je pocałował.

Marta, choć o tym marzyła, czuła się zaskoczona. Wydawało jej się, że będzie musiała na taki finał jeszcze długo czekać. Czy noc to sprawiła? Ciepłe światło w pokoju? Wino? Przyjęła ten pocałunek, odwzajemniła, a potem dała się ponieść chwili.

Obudziło ich słońce. Zegar wskazywał siódmą. Przez moment zastanawiała się, gdzie jest. Spojrzała na Paco – przykrył się prześcieradłem, jakby nagle zawstydzony własną nagością. W uśmiechu, który jej posłał, nie było jednak ciepła minionej nocy. Nie wiedziała, co o tym myśleć, powstrzymała jednak własną chęć przytulenia się, zgarnęła ubranie z fotela i pobiegła do łazienki, prosząc po drodze o filiżankę kawy. Usiadła na szezlongu, dotknęła swoich ramion, ciągle czuła zapach Paco na sobie. Była szczęśliwa. Przemysła twarz, uczesała włosy, ubrała się i wróciła do pokoju. Kawa na nią już czekała. Razem z czekoladową magdalenką⁴⁵). Nie rozmawiali. Czuło się jakieś skrępowanie. Marta jednak tym się nie przejmowała. Wiedziała, że musi się pospieszyć, jeśli ma dotrzeć do hotelu i z powrotem do centrum, na zajęcia. W oczach miała ostatnią noc, w głowie – nadzieję, mimo wszystko, na ciąg dalszy. Nie przerywała ciszy. Pomyślała, że Paco musi się oswoić z nową sytuacją. Podziękowała za śniadanie i nie czekając, aż zaproponuje wspólny spacer do metra, wyszła. Dopiero teraz zauważyła, że noc spędziła w pobliżu słynnego Kota z Raval, ogromnej kamiennej rzeźby, podobno przynoszącej szczęście tym, którzy wdrapali się na nią bez niczyjej pomocy. To nie może być proste, zważywszy na cechujące ją krągłości i wysokość. Pomyślała, że następnym razem spróbuje dokonać tego wyczynu, teraz jednak musiała się spieszyć.

⁴⁵) Magdalenka – rodzaj ciastka tradycyjnie podawanego w Hiszpanii do porannej kawy.

Całą drogę się uśmiechała. Usta ciągle jej płonęły. Spojrzała na telefon – kilka nieodebranych esemesów. Od Manuela.

– No tak – westchnęła – zapomniałam o nim. Biedny, pewnie całą noc czekał na mnie... Trudno. Paco jest najważniejszy. I jest mój. Nareszcie mój.

W pociągu wystukała wiadomość w telefonie: „Przepraszam, zdarzyło się coś ważnego w moim życiu. Nie będę już miała czasu dla ciebie. Było pięknie, ale od początku wiedzieliśmy, że to romans na kilka dni. Nigdy o tobie nie zapomnę. Całuję. Marta”. I wysłała. Z wyraźną ulgą. Choć po chwili przypomniały się jej noce z Manuelem i pomyślała, że jeszcze za nimi zatęskni.

Nim dotarła do hotelu, przyszedł esemes zwrotny: „Rozumiem. Żałuję. Jutro wyjeżdżam. Jeśli zmienisz zdanie, wiesz, gdzie mnie szukać. Pragnę Cię. M.”.

Skasowała wiadomość, wzięła klucz z recepcji i poszła do restauracji. Magdalenka to za mało na polski żołądek... Z zadowoleniem stwierdziła, że nigdzie nie widać koleżanek, nie będzie się więc musiała tłumaczyć, dlaczego jest bez makijażu i w pogniecionym ubraniu. Zamówiła omlet na słodko, wypila kolejną kawę, po półgodzinie była w swoim pokoju. Przejrzała szafę, wybrała sukienkę na wieczór, wzięła długie prysznic i zaczęła się szykować do wyjścia na lekcję.

W holu zaczęła na resztę grupy, razem pomaszerowały do metra. W pociągu dziewczyny były zajęte przypominaniem sobie choreografii *sevillanas*, które dzisiaj miały ćwiczyć z Paco.

Obok Marty stanęła Gośka:

– A ty coś taka w skowronkach? – zagaiła.

– Po prostu dobrze mi na świecie.

– Poznałaś kogoś?

– Czy dobrze jest na świecie tylko z powodu facetów?

– A nie? Á propos facetów... Manuel cały wieczór czekał na ciebie w barze. Nie byliście umówieni?

– Nie jesteśmy parą!

– Sprawialiście inne wrażenie.

– To miły facet, ale...

– Aha, poznałaś kogoś!

– Gośka, czy ja się muszę wszystkim spowiadać z mojego życia? Poznałam – nie poznałam. To moja sprawa. Czy ja pytam, z kim ty spędzasz noc? Gdzie chodzisz w dzień? A może byłam w kinie całą noc? Co to kogo obchodzi?! Co tobie do tego? Nie jesteś moją matką, nie jesteś moją siostrą, nie jesteś nawet moją przyjaciółką, więc wybac, ale nie mam powodu, by ci się zwierzać.

– Dobra, dobra. Spokojnie. Po prostu zapytałam. Nie chcesz mówić, to nie. Nie ma sprawy. Cieszę się, że jesteś szczęśliwa. I niech tak trwa. Manuel chyba sobie coś tam wyobrażał, czekał na ciebie i trochę nam tyłek zawracał. Mieliśmy z José inne plany, a musieliśmy się nim opiekować.

– Przepraszam. Nie pomyślałam o tym. Faktycznie, zapomniałam o nim, telefon miałam wyłączony. Nie mogłam przewidzieć, że przyklei się do was.

– Po prostu dosiadł się na chwilę. I został do północy. Tak bywa. Okej. Wsiadamy.

Marta odetchnęła z ulgą. Zupełnie nie miała ochoty na dalszy ciąg tej rozmowy. Gośki trochę się obawiała. Potrafiła tak pytać, że ludzie mówili jej w końcu więcej niż chcieli. Zawsze. Wychoząc więc z metra, tak manewrowała, by być od niej jak najdalej.

W szkole wpatrywała się w Paco z natężeniem większym niż zazwyczaj. Szukała znaków potwierdzających, że ostatnia noc to nie był przypadek, ale on unikał kontaktu wzrokowego. Nie przejmowała się tym. Uśmiech nie zniknął z jej twarzy. Kiedy podchodził, by coś jej pokazać, przytrzymywała niemal ostentacyjnie jego rękę, ocierała się o jego biodra. Dawała ewentualnym obserwatorom do zrozumienia, że coś się między nimi wydarzyło. On przemieniał to w żart. Ale i tak w drugiej części zajęć do akcji wkroczyła Gośka. Zaczęła kręcić się w pobliżu i domagała większej niż zazwyczaj uwagi Paco, właściwie nie zostawiała go na chwilę samego. W tej sytuacji Marta skupiła się na tańcu.

Paco cierpliwie powtarzał z nimi wszystkie zwrotki *sevillanas* – w rzędach i parami. Pozwolił im usiąść dopiero wtedy, kiedy nabral pewności, że jakoś sobie same poradzą w klubie.

– Pamiętajcie, co wam zawsze w Poznaniu powtarzałem? – zapytał, gdy skończyli zajęcia. – Że od kroków ważniejszy jest kontakt z partnerem? Patrzcie mu w oczy i z nich czytajcie intencje. I bawcie się. Bo to jest zabawa. Niby uwodzenie, niby trochę taniec godowy, ale przecież bez konsekwencji w życiu realnym. Akcja i reakcja. Na każdy krok wasz partner odpowie. Tak jak i wy na jego. A czy pomylicie ręce, czy nogi, to bez znaczenia. Pamiętajcie tylko o jednym: że tań-

cem możecie zachęcić lub zniechęcić ewentualnych adoratorów.

– Co?! – wyrwało się kilku dziewczynom jednocześnie. – Przecież przed chwilą powiedziałaś, że to zabawa!

– No tak. Ale *sevillanas* ma swój język – zaczął się śmiać. – No dobra, pokażę wam...

Wyciągnął z grupy Ewę, stanął z nią na środku sali i poprosił, by zatańczyła z nim pierwszą zwrotkę. Kiedy doszli do *pasady*⁴⁶⁾, zatrzymał ją w pół kroku.

⁴⁶⁾ *Pasada* – przejście w *sevillanas*; para zamienia się miejscami, obracając się na ogół twarzą do siebie.

– Widzicie? To przejście na ogół robimy tak, przodem do partnera, ale możemy zrobić je...

– przerwał na chwilę, by ustawić odpowiednio siebie i Ewę – tyłem. I ma to swój ukryty sens. Przodem dajemy wyraz aprobachie, tyłem mówimy, że partner nie ma co liczyć na więcej niż ten jeden taniec. No i na to uważajcie wieczorem. To co? Spotykamy się o ósmej u wejścia do metra Sant Antoni.

Marta zwlekała z wyjściem ze szkoły, mając nadzieję, że chociaż na chwilę zostanie sam na sam z Paco, ale Gośka wyraźnie nie chciała do tego dopuścić. Namówiła całą grupę, by razem wracać do hotelu, a po drodze usiąść w jakiejś knajpie na obiad. Wszyscy więc solidarnie ją ponaglali i nie miała innego wyjścia, jak się im podporządkować. Jedynie Paco wymigał się, tłumacząc, że musi pojechać do siebie do domu, poza Barcelonę.

Usiadły niedaleko od szkoły, zamówiły jakieś proste jedzenie, nie ryzykując wieczornego bólu brzucha zbyt daleko posuniętymi eksperymentami kulinarnymi.

– Dziewczyny – odezwała się Gośka – zostały nam jeszcze trzy dni zajęć. Coś urządzamy na koniec? Jakąś kolację pożegnalną? Czy zrzucamy się na prezent dla Paco?

– Nie, no co mu kupimy? – zapytała Ania. – Kubek z bykiem? Polską wódkę? Bez sensu.

– Idźmy do tej samej knajpy, w której byliśmy po pierwszych zajęciach – zaproponowała Ewa. – Jutro po lekcji mogę tam podejść i zamówić stół. I tak chciałam zwiedzić tamtą okolicę.

– Dobra – zgodziły się wszystkie. – Ale sprawdź, czy coś tam można zjeść normalnego, a nie tylko tę ohydną *paellę*.

– Czyli co? – podsumowała Gośka. – Po ostatnich zajęciach zapraszamy go na kolację. Tak? Dzisiaj go uprzedzę.

Szybko zostały obsłużone, jedząc, opowiadały, co która widziała, co która planuje na najbliższe dni i chociaż do wieczora miały jeszcze sporo czasu, postanowiły pojechać prosto do hotelu, odpocząć, by być w możliwie najlepszej formie wieczorem.

Marta odłączyła się od grupy, potrzebny jej był kwiat do włosów. Niedaleko od szkoły znajdował się sklep Menkes, specjalizujący się w akcesoriach flamenco, postanowiła więc tam go poszukać. Sprawdziła na mapie – musiała dotrzeć do Plaça de la Universitat i skręcić w Gran Vía de les Corts Catalanes. Kiedy stanęła przed witryną, nie umiała ukryć rozczarowania. To, co fantastycznie wyglądało i niezmiennie kusiło ją na stronie internetowej, tu przypominało bazarową wyprzedaż. No ale Paco je uprzedzał, by nie liczyły na zbyt wiele, bo tuż przed wakacjami producenci zmieniają asortyment w swoich sklepach i rzeczy dla profesjonalistów zastępują gadżetami dla turystów, gorszymi gatunkowo, ale za to dużo droższymi. Marta jednak nie miała wyjścia. Weszła do środka. Pierwsze złe wrażenie zniknęło. Jej wzrok przyciągnęły wachlarze, buty, bajecznie kolorowe kolczyki i mantylki.

Z zaplecza wyszła starsza pani, zapytała, w czym może jej pomóc. Marta poprosiła o wachlarz, chociaż wcześniej wcale o nim nie myślała. Kobieta przez chwilę przyglądała się jej...

– A do czego pani potrzebuje wachlarza? Na upał? Na pamiątkę?

– Nie, nie, do tańca – wyjaśniła. – Tańczę flamenco. Potrzebuję dobrego wachlarza. Te, które mam, ciągle muszę naprawiać, bo się rozsypują. Mają słabe nity.

– Aha. W takim razie proponuję wybrać coś z tego... – Kobieta odwróciła się na chwilę plecami do Marty, wspięła po drabince na wysokie półki i zniosła na dół pudełko. Postawiła je na ladzie, otworzyła i wyjęła mniejsze kartoniki. W środku znajdowały się duże *abanicos*, trzydziesto-
dwucentymetrowe⁴⁷⁾). Marta wyciągnęła pierwszy z brzegu, przyjrzała się dokładnie elementowi

łączącemu pióra, pokiwała głową z uznaniem. Nit był porządny, wachlarz na pewno wytrzymałby długo nawet przy bardzo intensywnym wykorzystywaniu. Rozłożyła go jednym, ledwo zauważalnym ruchem nadgarstka, kilka razy zakręciła, pracował idealnie. Kobieta uważnie jej się przyglądała.

47) Centymetry oznaczają długość złożonego wachlarza, w tańcu najczęściej używa się dwóch wielkości: 32 i 27 centymetrów. Przyjmuje się, że rozmiar właściwy to taki, który jest równy długości przedramienia tancerki. Osoby wysokie wybierają więc większy, niskie – mniejszy.

– Piękny, ale za duży dla mnie. Nie ma pani rozmiaru *medio*?

– Proszę poczekać, muszę pójść na tył sklepu. Powinny być jakieś. Rzadko ktoś o nie prosi. Zanim wyszła, schowała wyjęte wachlarze do pudła i odłożyła na bok.

Marta zaczęła się przyglądać stojącym w szafkach butom. Jej pierwsze były z Menkesa, miała sentymentalną słabość do tej firmy. Różnie się mówiło o butach stąd, że skórę mają twardą i że kiedyś robiono lepsze, ale Marta była zadowolona. Idealnie leżały na nogach, wydawały piękny dźwięk przy stepach. Te, które teraz przyciągnęły jej uwagę, były z czarnego nubuku, ozdabiał je misterny haft: na czubkach kolorowe kwiaty, od których odchodziły po zewnętrznej stronie gałązki winorośli, zakończone listkami w okolicach obcasów. Postawić na półce i podziwiać. Może zresztą właśnie po to zostały zrobione?

– Okazało się – z zamyślenia wyrwała ją wracająca z zaplecza kobieta – że został tylko jeden. I to bez futerału, niestety. Ale, proszę, niech pani obejrzy. Obniżę cenę, jeśli się pani zdecyduje.

Marta zobaczyła wachlarz, do którego oczy od razu zaczęły jej się śmiać. Miał piękny żółty kolor, lekko wpadający w pomarańcz, jak ciepłe słońce. Otworzyła go, zakręciła nim nad głową, zamknęła, strzepując. Pracował idealnie, ciął powietrze jak miecz. I miał mocny, piękny uchwyt – nie prosty nit, tylko miedzianą śrubkę z główką grawerowaną w kwiaty. Zapytała o cenę.

– Te wachlarze były po czterdzieści euro... – Marta jęknęła, na taki wydatek nie mogła sobie pozwolić – ale widzę, że umie się nim pani posługiwać, no i, jak mówiłam, nie mogę znaleźć do niego etui, a to były takie specjalne, usztywnione futerały, więc mogę go sprzedać za dwadzieścia.

– Naprawdę? Żartuje pani?! Nawet pani nie wie, jaką mi radość sprawia. To najpiękniejszy wachlarz, jaki kiedykolwiek widziałam. – Marta nie była w stanie ukryć emocji. – Ale wie pani – dodała po chwili – ja tu przyszedłam po coś zupełnie innego. Potrzebuję kwiat do włosów, spinkę. Żółty kwiat. Najlepiej taki jak ten wachlarz.

Kobieta schyliła się i po chwili położyła przed Martą wielką herbacianą różę. To było dokładnie to, co sobie wymarzyła. Teraz mogła już iść na *sevillanas* do klubu.

Zapłaciła, ucałowała kobietę na pożegnanie i dosłownie wybiegła ze sklepu. Jak na skrzydłach popędziła do metra. Oczy ciągle jej się uśmiechały, ludzie patrzyli na nią życzliwie, ustępowali z drogi, by nie rozbić się o strumień energii, jaki z niej wypływał. A ona marzyła: o wieczorze, o Paco, wyobrażała sobie kolejne godziny i co jakiś czas czule dotykała swej róży.

W hotelu wypila kawę i poszła się szykować do wyjścia. Cieszyła się, że w ostatniej chwili przed wyjazdem zapakowała jeszcze swoją ulubioną czarną sukienkę, na wszelki wypadek, na szczególne wyjście. Niewiele miejsca zajmowała, bo była uszyta z jedwabiu. Wyglądała w niej zawsze dobrze. Teraz jeszcze lepiej w połączeniu z opaloną skórą... Związała w hiszpański węzeł swoje gęste włosy, wpięła kwiat, założyła delikatne kolczyki. Była zadowolona z siebie. Do torebki schowała wachlarz. Punktualnie o siódmej zjechała windą na dół. Większość dziewczyn czekała już w holu. Nie wszystkie wystroiły się jak ona, po prostu nie przewidziały tego wcześniej, ale każda miała staranny makijaż i świeżo umyte włosy – widać było, że nastawiły się na wyjątkowy wieczór. Po chwili, już całą ośmioosobową grupą, maszerowały na umówione spotkanie. Zjawiły się sporo przed ósmą. Paco na nie czekał. Był też inny niż zazwyczaj, świąteczny. Z wyraźnym zadowoleniem przyjrzał się dziewczynom.

– Ale jesteście piękne – powiedział im na przywitanie. – Prawdziwy szczęściarz ze mnie. Wszyscy mi będą was zazdrościć.

– Wyglądasz jak szejk arabski z haremem – zaczęły się śmiać.

– Nawet by mi się to podobało... To co? Idziemy? Wracając, zamówcie taksówki. Okolica niezbyt bezpieczna.

Nie planując tego, ustawiły się w pary. Obok Paco znalazły się, jak zwykle, Gośka i Ewa. Marta zupełnie się tym nie przejęła. Była pewna swego. Zresztą Paco przecież był już jej.

Szli jakimiś ciemnymi uliczkami, skręcając raz w prawo, raz w lewo. Za nic nie potrafiłyby tam same trafić. Dzielnica rzeczywiście nie robiła dobrego wrażenia. Z gatunku tych „nie zapuszczaj się sama, bo spotka cię coś złego”. Obtluczone latarnie, śmieci na ulicach, jacyś faceci w bramach. Kompletnie inna Barcelona niż ta, jaką dotąd widziały... W końcu zatrzymali się przed drzwiami z blachy. Żadnego szyldu, żadnych okien. Tylko drzwi w murze, jak na zaplecze sklepu. Paco odwrócił się, spojrzął, czy grupa jest w komplecie, i zastukał. Nic się nie wydarzyło. Pociągnął więc za łańcuch wiszący z lewej strony. Drzwi otworzyły się z hałasem, w progu stanął uśmiechnięty otyły mężczyzna, spojrzął na Paco i przywitał się z nim serdecznie.

– Paco, witaj! Jak leci?

– Witaj, Alberto! Dziękuję, u mnie wszystko dobrze. A u ciebie?

– Też dobrze. Już myślałem, że nie przyjdiesz!

– No coś ty, Alberto! Czy zamawiałbym stół na dziewięć osób, gdybym nie chciał przyjść?

– Och, wiesz, różnie w życiu bywa. Ale... wchodźcie! Wchodźcie do środka! Nie stójcie tak na ulicy! Kogo dziś przyprowadziłeś do nas? – Usta Alberta się nie zamykały. – Same kobiety! I to jakie piękne! Zawsze mówiłem, że nie ma to jak być tancerzem. Sława, piękne kobiety, wszyscy cię kochają. Że też mi Pan Bóg talentu nie dał. Tak to mogę liczyć tylko na ciebie, Paco, że mnie poznasz z jakąś damą. Ale ty się nimi nie dzielisz z przyjacielem, zawsze wszystkie chcesz mieć dla siebie. Skąd tym razem wzięłeś te wspaniałe kwiaty?

– Prosto z Polski.

– Z Polski? Stamtąd był papież, Jan Paweł II, prawda? To bardzo daleko. Czytałem, że to piękny kraj.

– Co panie tu robia? – zagadnął przechodzącą akurat obok Anię.

– Tańczymy flamenco! – odpowiedziała, uśmiechając się.

– Flamenco? No to lepiej trafić nie mogliście. Bo tu gramy wyłącznie flamenco. – Przepuścił przed sobą ostatnią dziewczynę i zamknął drzwi.

Pokazał gestem, dokąd mają iść i ciągnął dalej:

– Wiecie, że to najstarszy klub flamenco w Barcelonie? Przedemną miał go mój ojciec. Tu przychodzą sami najwięksi artyści. I Paco tutaj przychodzi ze swoimi znajomymi. – Poklepał przyjaciela po ramieniu. – Bo tu się wchodzi tylko po znajomości. Nie ma przypadkowych ludzi. To tak, jakby spotykała się rodzina... Popatrzcie na zdjęcia, jacy tu wielcy byli! Wszyscy, o których mówi historia. Mój ojciec ich gościł! A teraz ja goszczę... To co podać? Szampana?

– Tak – odpowiedziały zgodnym chórem.

Alberto zniknął za barem, a one, jeszcze stojąc, dyskretnie rozejrzały się wokół.

Przygotowano dla nich miejsce tuż przy parkiecie do tańca – bardzo małej przestrzeni, na oko wystarczającej dla trzech, czterech par, może pięciu. Starych, zniszczonych stołów nie ozdabiały żadne wazoniki ani serwetki. Wokół stały krzesła o wyplatanych sznurkiem siedzeniach, równie wiekowe jak reszta wyposażenia. Na ścianach wisiały zdjęcia i malarskie portrety tancerzy, gitarzystów i śpiewaków, między nimi gości odwiedzających klub. Tak jak mówił Alberto, samych sław, samych największych. Nie wszystkich rozpoznawały, ale fakt, że byli tu Camarón de la Isla, Paco de Lucía, Paco Peña, Tomatito, Niña Pastori, Diego el Cigala, Eva Yerbabuena, Sara Baras, Farruquito, Rocío Molina, Moraíto Chico, Estrella Morente... przyprawiał o zawrót głowy. Ci wszyscy wielcy siedzieli na tych samych krzesłach, przy tych samych stołach. Może któryś z wiszących na ścianie *mantónów*⁴⁸⁾ należał do nich?

⁴⁸⁾ *Mantón* – wielka chusta, rekwizyt flamenco, zrobiony z jedwabiu i ręcznie haftowany jedwabnymi nićmi; haft jest dwustronny, kwiatowy, jednokolorowy lub wielobarwny. Cały *mantón* ozdabiają długie, jedwabne, ręcznie wiązane frędzle.

Tuż obok parkietu do tańca znajdował się bar. Wąski, długi, zrobiony z poczerńałego ze starości drewna, podparty sękatymi stemplami. Całą ścianę za nim wypełniały butelki z trunkami, o jakich tylko się zamarzyło. Ale równie łatwo można było zamówić też piwo z beczki, kawę, herbatę. Z jedzenia serwowano jedynie drobne przekąski – tapas. Nim Alberto wrócił z kieliszkami i dwiema butelkami *cavy*, jego pomocnik postawił im na stole właśnie tapas – miseczki z orzeszkami, oliwkami, smażonymi krążkami kalmarów, pieczonymi krewetkami i grillowanymi częsttkami ziemniaków przykrytymi odrobiną majonezu.

Dziewczyny, zaspokoiwszy pierwszą ciekawość, zajęły miejsca. Oczywiście najbliżej Paco usadowiły się Gośka z Ewą. Marcie przypadło krzesło przy Goście. Wzniesli toast za wieczór. Z głośników popłynęły *sevillanas*. Po chwili dosiadł się do nich Alberto z kolejną butelką szampana, wyraźnie zachwycony nowymi gośćmi. W oko wpadła mu Marta. Przepijał ciągle do niej i w kółko powtarzał: *Qué guapa!*⁴⁹⁾. W końcu wyciągnął rękę i zaprosił ją na parkiet. Spojrzała przed siebie, na pary, i ze zdziwieniem stwierdziła, że *sevillanas* tu się tańczy zupełnie inaczej niż w Polsce. Chyba w ogóle nie miała dotąd wyobrażenia o tym tańcu. Nie było rozmachu ani szeroko rozkładanych ramion, wszystkie ruchy wyglądały na mikroskopijne, blisko ciała, właściwie sprowadzone bardziej do intencji gestu niż jego pełnego wykonania. Pary drobily kroki, dając miejsce innym obok siebie. Wszyscy uśmiechali się i podejmowali flirt, jaki *sevillanas* narzucały. Było dokładnie tak, jak mówił Paco: patrzeć w oczy, akcja i reakcja. A przy tym tyle erotyzmu, tyle kuszenia, tyle uwodzenia, że Marta, obserwując tańczących, zapomniała o czekającym na nią Albercie. Widząc jej zachwyt, pozwolił spokojnie popatrzeć przez kilka minut na to, co działo się na parkiecie, po czym podszedł i poprowadził ją między pary.

⁴⁹⁾ *Qué guapa!* – Jaka piękna!

– Alberto, ale ja nie umiem tego za dobrze tańczyć – zaczęła się od razu usprawiedliwiać.

– Nic się nie martw. Słuchaj muzyki, patrz mi w oczy i baw się. To jest zabawa. Nic więcej. Chyba... – zawiesił znacząco głos – że będziesz chciała coś więcej. To daj mi znać – uśmiechnął się szeroko – bo ja chętnie.

Stanęła naprzeciwko niego, przyjęła pozycję wyjściową, uniosła ramiona do góry i zaczęła pierwszy krok. Pierwsza zwrotka była najprostsza, nabrała pewności przy ostatnich *pasadach*. Alberto z uznaniem kiwał głową nad jej umiejętnościami. Ale stopień trudności narastał z każdą kolejną zwrotką. Jej partner okazał się jednak świetnym tancerzem, tak ją poprowadził, tak odpowiadał na jej ruchy, że nawet nieunikniona pomyłka przy zwrotce trzeciej stała się zamierzoną figurą. Była do tego stopnia zatopiona w muzyce, w kunsztownej grze gestów, że zupełnie przestała kontrolować przebieg tych *sevillanowych* opowieści. Kiedy wybrzmiał ostatni akord, Alberto pocałował ją w czoło jak dziecko, przytulił mocno i podziękował za taniec. Uśmiechała się do niego z wdzięcznością.

– Pozwól, że ci postawię tequilę. Jesteś wspaniałą kobietą. I bardzo piękną. Paco ma szczęście! Poruszasz się w tańcu jak Hiszpanka.

Marta zaczerwieniła się.

„Czyżby coś wiedział? – pomyślała. – Paco chwalił się mną przed swoimi znajomymi? Czyli ta obojętność jest od początku grą. On też chciał tej nocy, tylko nie wiedział, jak do niej doprowadzić?” – zaczęła rozpędzać się w myślach.

Wypiła wódkę, chwilę poflirtowała z Albertem, który ciągle przypominał jej, że gotów jest na kolejne *sevillanas* i wszystko inne, i wróciła do stolika.

Tymczasem Paco szalał na parkiecie ze swoimi znajomymi, których spotkał tu mnóstwo. Część dziewczyn na gorąco próbowała się douczać, podpatrując innych, część siedziała i rozmawiała, popijając różne trunki. Marta nie miała ochoty na dyskusje. Ktoś postawił na stoliku przy jej miejscu szklankę z whisky. Zapytała siedzącą obok Magdę, czyj to alkohol, a kiedy usłyszała, że jej, że taki prezent dostała od Ewy, upiła potężny łyk.

Nie mogła przestać patrzeć na tańczących. To był prawdziwy teatr. Na parkiecie wszyscy wyglądali niczym kochankowie wyrwani na moment z miłosnego uścisku, ale po tańcu, śmiejąc się jak kumple, wracali do stolików, do swojego towarzystwa, i nawet najdrobniejszym gestem nie da-

wali sobie nadziei na wspólny ciąg dalszy. Bawili się. Sobą i ze sobą. Z wdziękiem, jakiego dotąd Marta nigdy wcześniej nie widziała. Bo w Polsce taniec był sprawą serio. Jeśli ktoś kogoś uwodził, to nie tylko na czas piosenki – wszystko miało swoje konsekwencje. W Hiszpanii widać chwila była chwila, a każda miała być piękna. I tyle.

Paco bawił się w najlepsze. Po znajomych rodaczkach przyszedł czas na polskie uczennice. Zaczął od Ewy. Marta musiała przyznać, że razem całkiem dobrze im to wyszło. Dokładnie wpasowali się w obowiązującą konwencję. Czarowali siebie tak, że można było uwierzyć, że są sobą naprawdę zainteresowani. O takie zdolności aktorskie Ewy nie podejrzewała. Potem zatańczył z Gośką. Tym razem nieco groteskowo – inni przestali tańczyć, zrobili im więcej miejsca i tylko obserwowali, co jeszcze wymyślą. A Gośka, płacząc się w hiszpańskich krokach, zaczęła wstawiać fragmenty polskich tańców ludowych, no i Paco miał z tym niemały kłopot, bo odpowiadać na jej propozycje hołubcami z krakowiaka w żaden sposób nie potrafił.

Obtańczył po kolei wszystkie, które były na wyciągnięcie ręki. Marta czekała na swoją kolej. Ale kiedy już myślała, że wreszcie do niej podejdzie, zniknął z pola widzenia. Zdążyła wypić wszystko, co miała w szklance, i zamówić następną whisky, nim pojawił się znowu. Usiadł przy stole, coś zagadnął do Gośki i Ewy i dał się porwać kolejnej znajomej. Przestała wierzyć, że wpadną sobie w ramiona.

Choć Los Juanele słyneła z *sevillanas*, to jednak i tu zdarzały się całkiem inne utwory. Nagle ktoś puścił wolniejsze piosenki, chyba dla tych, którzy wcześniejsze zaloty traktowali poważnie i chcieli, tuląc się do siebie, poszeptać czule słowa. Po kilku utworach Marta, nie czekając już na nic, podeszła w końcu do Paco z propozycją wspólnego tańca.

- Paco, Paco – zaczęła, gdy przyciągnął ją do siebie. – Nie chciałeś zatańczyć ze mną?
- Bałem się, że mi odmówisz, dlatego czekałem na odpowiedni moment – wykręcił się.
- Że ja ci odmówię?! Po ostatniej nocy niczego nie mogłabym ci odmówić, przecież wiesz.

I wiesz o tym od dawna.

- No właśnie, Marta. Może wyjdziemy stąd na chwilę? – zaproponował.
- Chcesz mi coś ważnego powiedzieć?
- Chodź, proszę. – Pociągnął ją za rękę.

Na zewnątrz, niedaleko wejścia do klubu, między drzewami stały ławki. Nie zauważyła ich wcześniej. Usiedli na jednej z nich.

– Marta, wyjaśnijmy sobie coś, bo zaczyna to być problemem – zaczął Paco, patrząc przed siebie. – Wiesz dobrze, że bardzo cię lubię, znamy się już długo. I nigdy między nami nie było nic, co by wykraczało poza przyjaźń...

- Jak to? – przerwała mu Marta. – A noc w Poznaniu, po ostatnich warsztatach? A listy?

A wczoraj?

– Nie wiem, co się wydarzyło w Poznaniu. Nie pamiętam tego. Przepraszam. Jeśli cię skrzywdziłem, przepraszam z całego serca. Za dużo wtedy było alkoholu. Listy... z mojej strony, jak pamiętasz, były to zawsze listy przyjaciela. Nic więcej.

- A wczoraj? – zapytała, czując, że traci grunt pod nogami.

– Wczoraj? Nie umiem tego wytłumaczyć. Chyba oboje tego chcieliśmy. Magia chwili. Dopiero potem, rano, uświadomiłem sobie, że mogłaś to zinterpretować inaczej niż ja.

Nie wierzyła w to, co słyszy.

– Czyli po prostu zaliczyłeś mnie, myśląc, że nie ma dla mnie znaczenia, z kim idę do łóżka? Że seks dla mnie to jak wypicie wódki przed snem? Taki środek na uspokojenie?

– Nie, to nie tak. Ja ciebie bardzo szanuję. Czasami nastrój, chwila, nie wiem co, ale czasami – tłumaczył się dalej – czasami po prostu to się zdarza, nawet między kumplami. Nie planowałem tego, przecież wiesz.

- I...?

– I chciałbym, żebyśmy wrócili do stanu poprzedniego.

- Żebym zapomniała, tak? – upewniała się, czy dobrze rozumie.

– Tak.

- A nie bierzesz pod uwagę, że dla mnie to było ważne? Że może są w tym jakieś uczucia

z mojej strony?

– Przecież nigdy nie dawałem ci nadziei!

– Nie musiałaś. To ja myślałam, że mnie kiedyś pokochasz. I wczoraj...

– Marta, ale ja kocham inną! Ciebie nie potrafię. Jesteś wspaniała, piękna, mądra. Szczęśliwy ten, kto cię będzie miał. Ale my do siebie nie pasujemy. Nie iskrzy. Rozumiesz? Moje serce od dawna jest gdzie indziej.

– Kochasz kogoś i idziesz do łóżka ze mną?! – Była coraz bardziej zdumiona.

– Tak się zdarzyło. Przepraszam. Nie wiem dlaczego. Nie umiem tego wytłumaczyć. Wiem tylko, że kocham inną.

– Czyli to, co było między nami, kompletnie nie miało znaczenia?

– To też nie tak. Miało znaczenie... inaczej. Jesteś mi na pewno bliższa, ale...

– Paco, nie bądź śmieszny. Potraktowałeś mnie jak...

– Nie mów i nie myśl w ten sposób – przerwał jej. – Ja ciebie szanuję i siebie szanuję.

To było piękne. Po prostu piękne. Ale nie ma perspektyw. Mogę ci tylko zaoferować przyjaźń. Zawsze możesz na mnie liczyć. Chciałbym, by działało to w obie strony...

– Dobra – ucięła jego wywód. – Daj już spokój. Idź sobie. Chcę zostać sama.

– Nie zostawię cię tutaj. Wróćmy i nie psujmy zabawy innym.

– Jasne. Oczywiście. Wróćmy. Muszę się napić.

Wstała i nie oglądając się za siebie, ruszyła w stronę drzwi. Akurat ktoś wychodził, skorzystała więc z okazji, by nie czekając na pomoc Paco, znaleźć się ponownie w klubie. Usiadła na swoim miejscu. Szklanka stała tam, gdzie ją zostawiła. Wypiła duszkiem jej zawartość do końca. Po chwili dosiadła się do niej lekko wstawiona Gośka.

– Oj, coś widzę, że humor straciłaś – zaczęła. – Czyżby nastał czas klęski? – zapytała złośliwie.

– O czym ty mówisz? Jakiej klęski?

– Rano świergoliłaś jak ptaszek, a teraz jakaś rozpacz w oczach... Niech zgadnę... Paco dał ci kosza!

– Nie twoja sprawa.

– Moja, moja. Nawet nie wiesz, jak bardzo moja. Mówiłam ci, żebyś nie zawracała sobie nim głowy, bo on nie jest dla ciebie.

– A dla ciebie?

– Nie, dla mnie też nie. Przede wszystkim dlatego, że mnie taki typ faceta nie interesuje.

Mówiłam, że będziesz leczyć krwawiące serce? Nie chciałaś posłuchać.

– Wiesz co? Daj sobie spokój. Nie zgrywaj przyjaciółki.

– Nie zgrywam. I nawet cię nie lubię. Myślę, że ty go wcale nie kochasz, chciałaś go zaliczyć. Jak Manuela. Biednego Manuela, który zwariował na twoim punkcie. Co on w tobie zobaczył? Ciekawe... Ty jesteś zwykłą kolekcjonerką. Już ci to mówiłam. Faceci jak motyle. Im rzadszy okaz, tym większa potrzeba upolowania. A potem na korkową tablicę szpileczką i niech sobie dyn-da. Takie masz hobby. Całe szczęście, że ci się nie udało tym razem. A przynajmniej nie do końca. Ten motylek nie dla ciebie, kochana. I wcale cię nie żałuję. Wcale. W końcu dostałaś po łapkach... *Bye, bye!* – Wstała i poszła.

Marta przez chwilę siedziała, nie wiedząc, co robić. Dwa uderzenia w głowę, jedno po drugim, nawet trudno powiedzieć, które bardziej bolesne. Podeszła do Alberta i poprosiła, by zamówił jej taksówkę. Czekając, wypiła jeszcze jedną whisky. Potem wyszła, wsiadła do samochodu i powiedziała, dokąd chce jechać.

Całą drogę przesiedziała jak odrętwiała. Nie drgnął jej żaden mięsień. Chyba nawet ani razu nie mrugnęła. Patrzyła przed siebie, myśli przepływały przez nią, nie zatrzymując się nawet na chwilę. Zapłaciła za kurs, wzięła klucz z recepcji, w pokoju zdjęła sukienkę, rzuciła ją w ką, wyszarpnęła kwiat z włosów (upadł tam, gdzie stała), nalala wody do wanny i dopiero wtedy, kiedy zmyła z siebie cały makijaż, zapach dymu i alkoholu, puściła tama – nie była w stanie zahamować łez. Po prostu płynęły.

Przestała płakać równie nagle, jak zaczęła. Kompletnie wyczerpana, ale i jakaś oczyszczona

od środka niedbale wytarła się ręcznikiem i położyła do łóżka. Wyłączyła komórkę i hotelowy telefon. Zegar pokazywał piątą rano.

Przespała śniadanie, przespała obiad, na zajęcia z flamenco nie poszła. Nie miała ochoty widzieć kogokolwiek. Po południu ubrała się, umalowała, powłóczyła się po najbliższej okolicy, zjadła byle jaką zapiekankę w małym włoskim barze, zajrzała do kawiarenki internetowej, sprawdziła swoją pocztę. Odpisywać na maile nie miała ochoty. Zresztą, żaden nie był pilny. Znajomi pytali, jak jej jest w Barcelonie, czy dobrze się bawi. Co miała im odpowiedzieć? Nim nadszedł zmierzch, wróciła do pokoju. Spojrzała na siebie w lustrze i podjęła decyzję:

– Nie, koniec. Tyle lat czekania, by dostać kopa w tyłek! Co za idiotka ze mnie... Nie jest tego wart.

Następnego dnia wcześniej rano spakowała torbę i nie kontaktując się z nikim, pojechała do parku Güell. Miała nareszcie czas na obejrzenie cudów słynnego architekta.

Wysiadła przystanek wcześniej. Chciała gdzieś po drodze wypić kawę, popatrzeć na ludzi zatrzymujących się na moment w drodze do pracy, by zjeść coś słodkiego na śniadanie, przeczytać poranną gazetę albo zamienić kilka zdań ze znajomymi. Bez problemu znalazła odpowiednie miejsce, usiadła w kącie nad *café con leche y una tostada con chocolate*⁵⁰⁾ i wsłuchiwała się w narastający kataloński gwar. Ludzie zaczęli się spieszyć – zbliżała się *primera hora*⁵¹⁾. Rozmawiali o czymś, co ich bardzo poruszało, wyraziście gestykulowali, emocje ujawniały się na twarzach. Nie próbowała zgadywać tematu, nie była w stanie zrozumieć, co mówią, ale z niekłamaną przyjemnością patrzyła na nich. Byli piękni. Widać było, że cieszą się życiem. Przyszło jej do głowy, że chciałaby być taka jak oni. Przypomniała sobie pary tańczące *sevillanas*.

⁵⁰⁾ *Café*... – kawa z mlekiem i tost z czekoladą.

⁵¹⁾ *Primera hora* – pierwsza godzina pracy, w Hiszpanii to najczęściej dziewiąta.

„Tak, życie jest jedno – pomyślała. – Nie ma sensu tracić go na smutki”.

Wypiła do końca kawę, poprosiła o butelkę wody i poszła dalej, uliczką w górę do parku.

Dziwne to było miejsce. Powstało z miłości do angielskich ogrodów. Eusebi Güell, barceloński przemysłowiec i mecenas Antonia Gaudiego, po jednej ze swoich podróży kupił piętnaście hektarów ziemi na obrzeżach stolicy Katalonii. Zamarzył sobie osiedle w ogrodzie. Wydzielił sześćdziesiąt działek, zaplanował rynek i ulice. Do prac przystąpiono na początku dwudziestego wieku. W tysiąc dziewięćset czternastym roku park był gotów, ale budowy osiedla zaniechano, bo zostały sprzedane tylko trzy działki. Jedną z nich kupił sam Gaudi. Wybudował dom, w którym spędził dwadzieścia lat, do czasu rozpoczęcia prac nad Sagrada Família – kiedy pochłonął go kościół, zamieszkał w przygotowanej tam pracowni. Dziś w domu mieści się muzeum architekta. W tysiąc dziewięćset dwudziestym drugim roku cały teren rodzina Güell przekazała miastu i w ten sposób prywatny park stał się publicznym.

Gaudi był zafascynowany zoomorficznością, dlatego jego konstrukcje mają tak dziwne kształty – jakby powielewały model kostny zwierząt albo rdzeń roślin. Miał bliski kontakt z naturą, czerpał z niej. W swoim projekcie wykorzystał naturalny krajobraz, wzmacniał go systemem ścieżek, wiaduktów, mostów, schodów, tarasów. Ozdabiał ławkami, rzeźbami, wymyślnymi pilarami. Najważniejszy element parku to dwupoziomowy plac, którego dolna część, z równomiernie rozmieszczonymi kolumnami, w założeniach miała pełnić funkcję targowiska, a część górna pozwala podziwiać leżącą w dole Barcelonę – to właśnie tu znajduje się słynna wężowa ławka, licząca sto pięćdziesiąt metrów. Uznaje się ją za najdłuższe na świecie dzieło sztuki abstrakcyjnej. Gaudi perfekcyjnie wykorzystał zasady ergonomii, o której wtedy, w jego czasach, niewielu jeszcze słyszało. Podobno zatrudniał ludzi, by siadali na tej ławce i mówili o jej wygodnych i niewygodnych stronach, po czym korzystając z tych uwag, doskonalili siedzisko. Efekt tego jest taki, że kiedy się na nim spocznie, do ponownego podniesienia się zmusić może tylko perspektywa obejrzenia stojącego w dole Piernikowego Domku, który kiedyś mieli zająć administratorzy osiedla, lub niedająca się na dłużej opanować potrzeba pogłaskania mozaikowej jaszczurki, zwanej też często smokiem, a będącej symbolem miasta.

Marta do późnego popołudnia chodziła po parku. Robiła zdjęcia dróżkom wijącym się wśród roślin i kamieni, drzewom, kwiatom, co chwila zatrzymywała się, by posłuchać jakiegoś muzyka czy zespołu. Każdy placyk był sceną. Kupiła nawet płytę któregoś z wykonawców. Gdzieś ktoś grał na harfie, obok na gitarze. Mimo niewielkich odległości między tymi miejscami, dźwięki nie nakładały się na siebie, nie przeszkadzały sobie. To była jedna z tajemnic parku Güell.

Porządnie zmęczona chodzeniem, postanowiła resztę dnia spędzić na plaży. Kilka przystanków metrem i już zdejmowała buty, do których wsypywał się piasek. Z prawej strony widziała World Trade Center, w pobliżu którego znajdowało się słynne barcelońskie Akwarium, z lewej słońce odbijało się w gigantycznej rzeźbie ryby Franka O. Gehry'ego.

Zdjęła sukienkę, wyciągnęła z torby pareo, rozłożyła na gorącym piasku. Położyła się i zamknęła oczy. Szum morza uspokajał ją. Słońce rozgrzewało skórę. Zaczęła myśleć o tym, co się w ostatnich dniach wydarzyło. Może Gośka miała rację? Może faktycznie tę miłość sobie wmówiła? A właściwie dlaczego czuła się urażona przez Paco? Przecież sama zachowała się podobnie wobec Manuela. No i w stosunku do innych, którzy byli wcześniej? Tak, czasami o wszystkim decyduje chwila... I przecież ta chwila nie ma większego znaczenia, pozostaje tylko chwilą. Nawet jeśli jest najpiękniejszą w całym życiu. A co by było, gdyby Paco odpowiedział na jej uczucia? Potrafiliby żyć razem? Może rzeczywiście chodziło o to, by... gonić króliczka, może celem była tylko droga?

Ktoś przyklęknął obok niej i grzecznie zapytał, czy nie chciałaby masażu stóp. Otworzyła oczy, uśmiechnęła się, potakująco kiwnęła głową. Drobną Tajką natychmiast zabrała się do pracy. Po kilkunastu minutach dostała swoje trzy euro i poszła szukać kolejnych chętnych, a Marta poczuła, że mogłaby od nowa przejść cały park Güell.

Jeszcze chwilę posiedziała, popatrzyła na uderzające o falochrony morze i poszła w kierunku Port Olímpic, by właśnie tam zjeść późny obiad. Woda obmywała jej nogi, co jakiś czas schylała się po nową muszlę. Nim dotarła do schodów, którymi planowała wspiąć się na promenadę, miała ich już pół torby. Usiadła na ławce, przejrzała dokładnie zebrane okazy i zostawiła w ręce dwa: płaską muszlę, wielką jak popielniczka, i małą, ze spiralnie skręconym stożkiem, w sam raz dla jakiegoś raka pustelnika. Uśmiechnęła się na myśl, że może pomóc jakiemuś „stworowi” szukającemu tymczasowego domu. Tylko czy w Polsce żyją raki pustelniki? Spojrzała jeszcze raz na morze i z mocnym postanowieniem spędzenia tu całego następnego dnia opuściła plażę. W pobliskiej restauracji zjadła swoje ulubione gazpacho. Ku zaskoczeniu kelnera nie zamówiła nic więcej.

Wróciła do hotelu i dopiero wtedy włączyła telefon komórkowy. Wyświetliły się nieodebrane esemesy: jeden od Manuela, drugi od Paco, trzeci od Ewy. Był jeszcze od Gośki. Ten skasowała bez czytania. Paco pytał, czy wszystko w porządku i dlaczego nie przyszła na zajęcia. Manuel żegnał się z nią przed wyjazdem, podawał swój adres mailowy, prosił, by się odezwała po powrocie do Polski. Ewa prosiła o kontakt. Zadzwoiła do niej z hotelowego telefonu.

– Cześć, Ewa. Tu Marta. Prosiłaś, żebym się odezwała.

– Cześć, Marta. No tak, bo nagle zniknęłaś. Zastanawiałam się, czy coś ci się stało. Nikt nie miał pojęcia, gdzie jesteś, nie było cię na śniadaniach ani w szkole. Wiedzieliśmy tylko, że nie wymeldowałaś się z hotelu, bo to sprawdziliśmy. Coś się stało?

– Och, nic takiego. Wiesz, za dużo wypiałam w klubie i wczoraj cały dzień leczyłam kaca.

– Aha. Trzeba było powiedzieć. Mam świetne lekarstwo na to. A dziś?

– A dziś zwyczajnie mi się nie chciało.

– Ale jutro będziesz? Ostatnie zajęcia. No i wiesz, potem idziemy na pożegnalną kolację. Stoliki już zamówiłam.

– Jasne, że będę. Ostatnia kolacja, to trzeba być. No dobra, wiesz, trochę głowa mnie boli, więc jeśli nie masz nic przeciwko, to zakończymy rozmowę, okej? Chcę się położyć.

– W porządku. To do jutra. Widzimy się rano na śniadaniu? Tak?

– Tak, tak. Na razie.

„Nie, nie – pomyślała, odkładając telefon. – Na zajęcia jutro nie pójdę. Na pewno nie. Na kolację – tak, ale do szkoły nie. Nie mam ochoty patrzeć na triumfującą Gośkę”.

Włączyła telewizor, popatrzyła na pokaz mody flamenco – akurat była prezentacja nowej kolekcji Manueli González – a potem położyła się do łóżka i zabrała się do czytania przywiezionej ze sobą książki.

Rano wysłała esemes do Ewy, żeby na nią nie czekały. Że czuje się nie najlepiej, ale postara się dotrzeć wieczorem do restauracji. Na śniadanie zeszała, kiedy dziewczyny były już w drodze na lekcję. Spokojnie delektowała się owocami, jak pierwszego dnia, popijała kawę i białe wino. Potem, tak jak planowała, pojechała na plażę i do późnego popołudnia spędziła tam czas, czytając hiszpański magazyn o modzie, słuchając gwaru rozmów i zupełnie nie reagując na przychodzące esemesy.

Po obiedzie w Barri Gòtic zajrzała do sklepu Desigual, wybrała jakąś bluzkę do szortów, które miała na sobie, i nowe espadryle, i tak odświeżona powędrowała z powrotem w kierunku morza, na ostatnią wspólną biesiadę. Kiedy weszła do restauracji, wszyscy już siedzieli przy zestawionych w jeden ciąg stołach. Miejsce dla niej trzymała obok siebie Ewa. Chcąc nie chcąc, znalazła się więc w pobliżu Goški i Paco. Była całkowicie obojętna. Zamówiła tym razem mule i białe wino, dołożyła się do szampana dla wszystkich.

Ewa wygłosiła mowę pożegnalną, w której dziękowała Paco za lekcje i opiekę, za spotkanie z Barceloną i flamenco. Niektóre dziewczyny się popłakały, inne maskowały smutek uśmiechem. Marta słyszała wszystko jakby zza ściany. Dla niej ta historia definitywnie się kończyła. W myślach nie tylko żegnała się z Paco, ale też z flamenco, na które na pewno nie miała już żadnej ochoty. Przynajmniej w najbliższym czasie.

Wznosiła toasty, śmiała się z dowcipów i przypominanych komicznych sytuacji, jakie im się tu przytrafiły, i zastanawiała się, co zrobi z pozostałymi do powrotu dniami. Czuli się przygaszona.

W pewnym momencie podszedł do niej Paco.

– Mam dla ciebie dyplom ukończenia kursu – powiedział i wręczył jej tekturową kartkę z ozdobnie wypisanym jej nazwiskiem.

– Nie potrzebuję – odpowiedziała.

– Wszystkie dziewczyny dostały – tłumaczył.

– Fajnie. Ale ja nie zbieram takich pamiątek.

– To co mam z tym zrobić?

– Dobra, daj, wezmę. Ale pozwolisz, że nie oprawię tego w ramkę? – zapytała i bez czytania pozginała dyplom w taki sposób, by zmieścił się w małej torebce, jaką miała przewieszoną przez ramię. – Okej, Paco – powiedziała. – Dzięki za wszystko, mam nadzieję, że ci się w życiu ułoży. Chyba prędko się nie zobaczymy.

– Nie będzie cię w sierpniu na warsztatach w Poznaniu? – zdziwił się.

– Nie, na pewno nie. Muszę wszystko sobie w głowie poukładać od nowa. Może za rok okaże się, że bez flamenco nie potrafię żyć, ale w najbliższym czasie będę z dala od niego.

– Pamiętaj, tak jak powiedziałem, zawsze możesz liczyć na mnie, zawsze, jak tylko będę mógł, ci pomogę.

– Jasne. No to trzymaj się – zakończyła i bez żadnego całowania się, przytulania, ściskania dłoni odwróciła się do niego plecami.

Wzięła lampkę wina i przysiadła się do dziewczyn na krańcu stołu. Planowały następnego dnia wizyty w katedrze i Muzeum Picassa. Zapytała, czy może się wybrać tam z nimi.

Rozdział szósty

Gośka

Po pierwszej nocy wiedziała, że już nie musi szukać szczęścia, że ma swój „gorący romans”. Może nie na hiszpańskiej plaży, ale jednak. Czas José w Barcelonie zgrał się idealnie z jej czasem. Należało tylko zastanowić się nad „priorytetami”, jak mówiła, czyli co ważniejsze: miasto czy ludzie. Zawsze uważała, że świat najlepiej oglądać, trzymając za rękę mężczyznę, bo wtedy ciało i dusza są w idealnej harmonii, a jeśli ów mężczyzna jest tubylcem, to jeszcze dochodzi do tego możliwość zgłębienia lokalnej kultury, niekoniecznie z sal teatralnych czy koncertowych, ale tej zamkniętej w codziennych obyczajach ulicy. Mimo że ten przypadek wymuszał korektę w jej myśleniu o idealnym związku przyjemnego z pożytecznym, i tak nie miała większego problemu z podjęciem decyzji. Przeważały „względy praktyczne” – zwiedzanie zabytków i ciekawostek turystycznych bez żalu zostawiła na ostatni, samotny tydzień.

Wewnętrznie uspokojona, poddała się rytmowi kolejnych dni i nawet nie słuchała opowieści koleżanek, które – miało się wrażenie – urządziły jakiś wewnętrzny konkurs pod tytułem „I ty możesz zostać Japończykiem” i po prostu zaliczały na wyścigi barcelońskie atrakcje, chwając się przy każdej okazji swoimi wyczynami. Patrząc na nie, zastanawiała się, czy przypadkiem nie znalazłaby w ich pokojach map miasta z tyloma wbitymi szpilkami, że przypominałyby jeże.

Powstrzymywała się jednak przed złośliwymi komentarzami. W końcu każdy ma własne wyobrażenie szczęścia. Jednym uchem wpuszczała, a drugim wypuszczała opowieści i cieszyła się, że nikt nie pyta, co ona sama robi w wolnym czasie. No bo jak miałaby streścić swoje „rozpoznanie terenu”? W formie zagadki? Co to jest: powierzchnia lekko brązowa, z dwiema ciemniejszymi wysepkami, dotyk wiatru delikatnie pieści skórę, a krew doprowadza do wrzenia? No kto by zrozumiał?

Z powodu „niemocy Ewy”, jak zwykły określać pierwszy dzień na hiszpańskiej ziemi, lekcje z Paco zaczęły się z dwudziestoczworgodzinnym poślizgiem. Gośka, po spotkaniu z José, szła na nie mało przytomna, ale to nie z powodu nieprzespanej nocy czy intensywności zajęć czuła się wykończona po kilku godzinach tańca przy carrer Aribau – najbardziej dawała się we znaki temperatura w szkole. Wentylatory i klimatyzacja niewiele pomagały. Szklany sufit nad salą zachwycił, ale jednocześnie był przekleństwem, ponieważ nie chronił przed południowym słońcem. Pot spływał z niej ciurkiem, nie miała czym oddychać. Pomyślała, że po tygodniu zajęć w takich warunkach wyschnie jak jesienny liść, zmieni kolor własnej skóry bez leżenia na plaży.

Żarty żartami, problem był jednak poważny – nie za dobrze znosiła duchotę, mdlała w źle wentylowanych pomieszczeniach. Nie należała do osób wysokich, więc jeśli stała w tłumie, powietrza brakowało jej nawet w gotyckich kościołach. Z ulgą przyjęła propozycję Paco, by od następnego dnia zaczynać lekcje wcześniej, mimo że oznaczało to pewne niedogodności związane z krystalizującym się nocnym życiem.

Gośka uwielbiała flamenco, ale wiedziała, że jako tancerka nigdy nie będzie występować, więc z mniejszą histerią niż koleżanki podchodziła do wszelkich nieudanych stepów czy obrotów, a pomyłona choreografia nieustannie przyprawiała ją o śmiech, a nie rozpacz. Oczywiście starała się robić wszystko jak najlepiej, nie hamować grupy w jej pędzie, ale nie była w stanie po każdym zajęciach rozprawiać godzinami o ustawieniu dłoni czy biodra.

Flamenco było piękne, dawało jej możliwość intensywnego ruchu, traktowała je jednak jak coś w rodzaju aerobiku, utrzymującego ją w dobrej formie fizycznej i psychicznej, umożliwiającego systematyczne spalanie zbędnych kalorii. Psychiczej – bo pozwalało oddalić się od problemów, ja-

kie dotykają każdego normalnego człowieka, przestać o nich myśleć choćby przez chwilę. Skupienie na technice porównywała do włączenia komputerowego klawisza „delete” we własnym mózgu, tak to działało. Rzecz jasna, sprawiała też przyjemność duchową – było w końcu częścią kultury, która ją fascynowała. Życia jednak by dla niego nie poświęciła. Dla artysty zresztą też nie. Zwłaszcza artysty flamenco. Miała o nich fatalne zdanie, wolała się z nimi przyjaźnić, niż się w nich kochać. Uważała, że są skrajnymi samolubami, a ten ich egoizm skutecznie pogłębia się dzięki mocno pielęgnowanemu poczuciu misji.

Flamenco, wbrew pozorom, nie jest w Hiszpanii powszechnie tańczone, śpiewane i grane, ale z całą pewnością powszechnie podziwiane. Ci, którzy odnieśli sukces na scenie, uważają się często za wybrańców Boga. Przynajmniej takich właśnie poznała Gośka, kiedy podczas studiów trafiła na pół roku do Andaluzji – niepanujących nad swoimi emocjami, wpadających w skrajności i przy okazji ciągnących innych za sobą po tych uczuciowych dolinach i górach. Niejeden dramat zdarzył się z ich udziałem. Niejeden widziała na własne oczy, z niejednej opresji wyciągała koleżanki. Rozumiała jednak dobrze, że mogą oczarować, zawrócić w głowie, że trudno im nie ulec. Byli wyjątkowi, bez wątpienia. Barwni jak piękne ptaki. I jak te ptaki ciągle przelatujący z miejsca na miejsce.

Paco wyłamywał się z tego schematu. Jego droga do flamenco była zupełnie inna – przede wszystkim dlatego, że późno na nią wstąpił. Interesował się literaturą, teatrem, polityką, gospodarką, nie skupiał wyłącznie na tańcu i muzyce. Gośka miała nadzieję, że i w związku z Ewą zachowa się nietypowo. Bardzo trzymała za nich kciuki. Przede wszystkim z powodu Ewy, bo to ona ryzykowała najwięcej. I nawet nie chodziło o utratę domu czy rozwód, ale o wejście w inną kulturę, co zawsze grozi odrzuceniem, samotnością. Taką całkowitą.

No ale Ewa była dorosła. Gośka mogła jej mówić o swoich obawach, ale nie podejmowała za nią decyzji. Wybrała rolę anioła stróża. Starła się widzieć więcej i słyszeć więcej, pilnować, by jakiś głupi przypadek nie zakłócił rytmu dojrzewania wzajemnych relacji Ewy i Paco. A był on możliwy, bo przecież wszystko działo się w tajemnicy i dziewczyny z grupy, niczego nieświadome, mogły próbować realizacji własnych planów. O te plany, niewypowiedziane, ciągle je podejrzewała.

Jasne, co to za miłość, jeśli by miały ją wstrząsnąć przypadkowe intrygi? Tylko że tu rolę odgrywał czas: Ewa miała zaledwie dwa tygodnie na podjęcie decyzji dotyczącej całego życia i w związku z tym zabrakłoby go na ewentualne prostowanie nagle poskręcanych ścieżek. No więc Gośka czuwała. Ale – oczywiście – nie zapominała też o sobie.

José okazał się nie tylko idealnym kochankiem, takim niemal z filmowych romansów, lecz także dobrym kompanem w zabawie. Odkryła to trzeciego dnia w klubie salsy: mogła z nim tańczyć bez znużenia do białego rana, a w przerwach słuchała opowieści o jego siostrze tancerce i Sarze Baras, którą od wielu lat niezmiennie podziwiała. Z wielkim zapałem tłumaczył jej zawilosci flamenco, wyjaśniał różnice między poszczególnymi szkołami, ot chociażby jerezjańską i madrycką – pierwsza była ostoją tradycji, druga pionierem reform, o czym Gośka nie wiedziała – tłumaczył wpływy innych kultur i wewnętrzne fluktuacje. Po kilku dniach, po tysiącu zadanych pytań, czuła się niemal ekspertem od flamenco. W każdym razie wiedziała o nim więcej niż koleżanki.

Czas z José mijał atrakcyjnie, ale to była tylko wakacyjna przygoda, od początku miała tego świadomość. Nie potrafiła w sobie rozpaść takich emocji jak z Agustinem. Nikt nie był temu winien. Może po prostu pojawił się za wcześnie i dlatego podświadomie zamykała się na jego starania? Kiedy Ewa zaproponowała, by jeden wieczór spędziły razem, bez żalu odwołała wcześniej umówione spotkanie, kupiła butelkę wina i stawiała się w pokoju przyjaciółki.

– Wiesz – zaczęła Ewka, kiedy rozsiadły się wygodnie na łóżku z kieliszkami w rękach – muszę to wszystko przemyśleć od nowa. Prawdę mówiąc, nie wiem, co robić, nie umiem podjąć decyzji.

– Coś się stało?

– Niby nic, niby wszystko okej. Paco jest czuły, troskliwy, pewnie mnie kocha, ale... Gosiu, ja... przecież w ogóle go nie znam! Nie mogę ot tak wszystkiego zostawić.

– A Jacka znałaś, jak za niego wychodziłaś?

– No, nie. Tylko, wiesz, wtedy miałam dwadzieścia lat. Wszystko wydawało się dużo prost-

sze.

- A czym to się różni?
- Doświadczeniem...
- Nie rozumiem.
- Obydwoje mamy za sobą kawał życia. I Paco, i ja.
- No to chyba dobrze?

– Ja wiem, czym może się skończyć zachłyśnięcie się, bo tak było z Jackiem. Szalona miłość, sprinterski bieg do szczęścia, dzieci i... koniec, separacja. A Paco doświadczył miłości, która nie zdążyła rozkwitnąć. Nagle wszystko się przerwało, kiedy dziewczyna zginęła w wypadku. Mieli plany i skończyło się, zanim się na dobre zaczęło. Jest w nim tęsknota, ale chyba do końca nie zdaje sobie sprawy z tego, że życie razem to ciągła praca, że nic samo nie urośnie, że to nie tylko wspólne noce, lecz także dni. Z kupowaniem bułek i mleka na śniadanie, gotowaniem obiadów, zmywaniem naczyń, z moimi migrenami, humorami, jego pracą daleko poza domem, sukcesami i niepowodzeniami.

- Nadal nie rozumiem. Zakładasz, że jest idiotą?
- Nie, to mądry facet. Tylko wiesz, ma trzydzieści parę lat i dotąd, tak naprawdę, nie opiekował się nikim poza sobą.

– No, ale sądzisz, że już niczego się nie nauczy? Że nie chce niczego w swoim życiu zmienić?

- Boję się, że za późno. Poza tym... to artysta... osobny gatunek człowieka.

– Za późno? Na miłość? Na szczęście? O czym ty mówisz?! Szukasz argumentów „za” czy „przeciw”? Z was dwojga, sama mówisz, jesteś bardziej doświadczona, pytanie więc brzmi: czy chcesz go nauczyć, czy chcesz mu dać szansę, czy chcesz wziąć na siebie rolę „strażniczki ogniska”, bo to ty będziesz musiała włożyć w ten związek więcej pracy... A że artysta? Każdy wykonuje jakiś zawód. Sądzisz, że „prawnik” brzmi lepiej? Ja bym się tam właśnie prawnika obawiała. Że wszystko musi podciągnąć pod paragraf, że bez kodeksu sam kroku nie zrobi... Wyobraźnia w zaniku jako element nieużywany, a szaleństwo w ogóle odpada... Powiedz, co cię czeka, jeśli zrezygnujesz? Jak będziesz wtedy żyć?

– Nie wiem... Gosiu... Ja się chyba boję... Po prostu się boję. Z Jackiem to wszystko jest takie ciągle bolesne, świeże.

– To normalne, że się boisz. Powiedz Paco o tym. A o Jacku nareszcie przestań myśleć. Dałaś mu wiele szans na powrót. I co? Woli być sam. Zresztą, wcale nie wiesz, czy jest sam. Dzieci u dziadków, hulaj dusza, piekła nie ma. Zostaw więc to w spokoju. Rozdział zamknięty. Bądź dorosła.

– Mówiłam Paco.

– I co on na to?

– Że też się boi. Ale że jeśli nie damy sobie szansy, to przez resztę życia będziemy żałować. Takie tam ble-ble.

– Żadne ble-ble. Ma rację.

– Tak. Ale... ja nie potrafię żyć, mając z tyłu głowy, że to na próbę, że to rodzaj egzaminu.

– No to nie podchodź do tego w ten sposób. Po prostu daj sobie i jemu szansę, tak jak prosi. Otwórz się. Staraj się, by było jak najlepiej. Jeśli nie wyjdzie, to przynajmniej będziesz miała na starość piękne wspomnienia. Zrozum: z Jackiem to koniec. Czy odezwał się do ciebie? Zainteresował się, jak ci tu jest?

– Nie...

– No widzisz! Jeśli będziesz mimo wszystko tkwiła przy nim, to właśnie taka obojętność czeka cię do końca życia. Samotność, w końcu zgorzknienie... Super perspektywa. I jeszcze do tego pewnie już jesteś dla niego przezroczysta.

– Przezroczysta?

– No tak, po jakimś czasie kobieta zwykle staje się dla swojego męża jak... para spodni... Zawsze pod ręką. Zauważa się je, jak się porwą. A tak, po prostu – są. Czasami je trzeba wyprać i wyprasować. To wszystko. Kiedy Jacek ostatni raz zauważył, że dobrze lub źle wyglądasz? Że

masz nową sukienkę albo nową fryzurę?

– Nie pamiętam...

– No, widzisz. Tak to właśnie jest. Zlałaś mu się z meblami, moja droga. Pewnie jakbyś nawet nago chodziła po domu, nie zrobiłoby to na nim żadnego wrażenia. Właściwie to powinnaś być mu wdzięczna za „Gosię z Bałut”. Los dał ci drugą szansę. Ktoś cię znowu kocha, dla kogoś jesteś ważna.

– No tak... Ale są jeszcze dzieci.

– Nadal będą. Jeśli wam się uda z Paco, mogą przecież tu przyjechać. Co za problem? Nie jesteś pierwszą ani jedyną, której małżeństwo nie wyszło...

– Ale... wiesz... ja jestem starsza od Paco. To też problem.

– Jaki? Widziałaś Hiszpanki? Młodsze od ciebie wyglądają na dużo starsze. Tak to jest z kobietami Południa. Słońce je niszczy. Poza tym wokół coraz więcej takich związków. Wiesz co? Młodszy facet to jak dzieci w późnym wieku – eliksir młodości dla kobiety... Słuchaj, szczęściaro, jeśli masz tylko takie wątpliwości, to znaczy, że twoim problemem jest strach przed fruwaniem. Rozetnij wreszcie gorset, w który cię mama z tatą zapakowali. To twoje życie. Tylko twoje. I tylko jedno. Przeżyj je najpiękniej i najlepiej. I chrzanić konwenanse. Twoje pierwsze życie było pomyłką, nie każdy może wszystko zacząć raz jeszcze. Korzystaj! I nie psuj tego zadręczaniem siebie i jego, bo to bez sensu. Szkoda czasu. Jeśli chcesz się koniecznie o coś martwić, to zadaj sobie pytanie, czy jesteś w stanie funkcjonować w tej kulturze? Dzień po dniu. To jest ważne. Może... najważniejsze... Bo miłość już masz.

Gośka poczuła się wyczerpana. Wygłosiła takie mądrości, jakby całe życie było już za nią. Sama nie umiała sobie poradzić ze sobą, a doradzała innym! Najgorsze, że wierzyła w swoje słowa. Dlaczego więc nie umiała ich odnieść do siebie?

Wypiły resztę wina, opowiadając jakieś zabawne historie, ale rozmowa była w gruncie rzeczy przygnębiająca. Tyle skrupułów zamiast prostego szczęścia.

„Dlaczego ludzie nie rozumieją, że miłość jest darem tak samo wielkim jak wiara w Boga? I tak samo rzadkim? Więc jak się trafi, to po prostu trzeba się cieszyć? – pytała w myślach samą siebie, kiedy znalazła się na korytarzu, w drodze do własnego pokoju. – Dlaczego wszystko komplikują? Dlaczego bronią sobie prawa do szczęścia?”

Zazdrościła Ewie. Nie, że takiego faceta miała obok siebie – zazdrościła jej miłości. Sama skończyła już trzydzieści dwa lata i jakoś nic nie zapowiadało, by cokolwiek w jej życiu miało się zmienić. Zazwyczaj brakowało jej czasu na rozmyślanie o tym, goniła z jednej roboty do drugiej, ale przychodził taki moment, kiedy siadała w fotelu z filiżanką herbaty, z jakąś książką na kolanach, i wtedy myśli szybowwały daleko poza codzienny horyzont. Wokół cisza aż dudniła, pustka bolała. Uciekała wówczas do zaprzyjaźnionego klubu, gdzie przy hałaśliwej muzyce nawet nie dało się rozmawiać, i tańczyła jak w transie, byle zagłuszyć strach. Nie chciała być sama, nie umiała jednak temu zaradzić. Związki z mężczyznami jej nie wychodziły. Ciągle trafiała na niewłaściwych facetów, bliźniaczo podobnych, jakby tylko tacy byli w stanie przyciągnąć jej uwagę. Ale może to działało odwrotnie? Może to ona była magnesem dla określonego typu mężczyzn? Wszystko przypominało jakiś zaklęty krąg, nie wiedziała, jak się z niego wyrwać.

Spojrzała na zegarek, było parę minut po dziesiątej. Chwilę wahała się, w końcu wybrała numer José, umówili się w barze. Kiedy zeszła, okazało się, że mają towarzystwo – nad kieliszkiem koniaku pochylał się samotny Manuel. Bardzo ucieszył się na ich widok, przysiadł się i nie pozwolił im uwolnić się od siebie przez kolejną godzinę. Tak więc wieczór upłynął na rozmowach.

Następnego dnia rano zdumiała się na widok rozpromienionej Marty. Coś się musiało wydarzyć w ciągu ostatnich kilku godzin. Wiedziała już, że nie miało to nic wspólnego z Manuelem. Zagadnęła raz, drugi, trzeci... Marta jednak wszystkie próby nawiązania rozmowy uciniała z wyraźną złością. Instykt podpowiadał Gośce, że powinna jej się uważnie przyjrzeć podczas lekcji. I faktycznie, Marta zachowywała się inaczej. To już nie była wyłącznie próba zwrócenia na siebie uwagi. Przytrzymała dłonie Paco, kiedy tylko nadarzała się okazja, uśmiechy też były inne niż wcześniej. A on wyraźnie czuł się tym skrepowany! Niby żartował, ale Gośka za dobrze знаła i Paco, i hiszpański, by nie nabrać podejrzeń, że coś się za tym kryło. Poprzedniego wieczoru nie był

z Ewą... Czyżby Marta doprowadziła swój plan do końca? Była „spotkaniem biznesowym”, o którym mówił Ewie?

Musiała działać. Nie mogła czekać, aż wszystko się samo rozwiąże. Postanowiła nie spuszczać Marty z oczu, udaremnić jej jakikolwiek ciąg dalszy. Po zajęciach zaproponowała więc całej grupie wspólny powrót do hotelu i szybki obiad po drodze. Widziała, jak Marta kombinuje, by się z tego wymigać, jak marudzi w szatni i robi wszystko, żeby zrezygnowały z jej towarzystwa. Gośka powstrzymywała zniecierpliwione koleżanki, uparcie czekała. Kiedy ze swojego pokoju wyszedł Paco, odeszła z nim na bok.

– Słuchaj – szepnęła mu do ucha – domyślam się, że Marta na ciebie zapolowała, i to skutecznie. Mam tylko jedno pytanie: jest ważniejsza od Ewy?

– Coś ty, Gosia! Kto ci sprzedał tę bajkę? – zaczął się bronić.

– Paco, przestań – syknęła. – Nie jestem idiotką. Mam oczy i rozum. Pytam, czy jest ważna dla ciebie, bo albo tobie pomogę, albo Ewie.

– Nie jest ważna – skapitulował. – Zdarzyło się. Nie wiem, jak i dlaczego... Przypadkiem wczoraj się spotkałiśmy. Jestem zły na siebie. Ewa nie może się o tym dowiedzieć! Proszę.

– Ja jej nie powiem. Ale za Martę ręczyć nie mogę. Lepiej, żebyś nie utrzymywał jej w błędnym przekonaniu, bo chyba coś sobie za dużo wyobraża. Takie kobiety są jak bluszcz – niszczą. Wyprostuj więc ścieżki jak najszybciej. Pomogę ci. I nie idź teraz z nami, dobrze? Wystarczająco kleiła się do ciebie podczas zajęć. Wymyśl coś.

– Dobrze. Dziękuję.

Wróciła do dziewczyn, zastanawiając się, jak przystopować Martę i co zrobić, żeby do Ewy nic nie dotarło. Przez całą drogę trzymała je z daleka od siebie, pilnowała, żeby nawet przez moment nie były same, bez kogoś obok. Pozostawał jeden nierozwiązany problem: jak ten dystans utrzymać przez cały wieczór, kiedy alkohol poluzuje wewnętrzne hamulce?

Z José udało jej się spotkać tylko na chwilę. Wiedział, że od dawna ten wieczór miała zaplanowany w klubie flamenco. Zjawił się w pokoju, kiedy tylko zadzwoniła, by powiedzieć, że już jest.

Przyniósł jej prezent: długie kolczyki. Przypominały kiście winogron, połyskiwały srebrem i kolorowymi kryształkami. Natychmiast je założyła, podpięła włosy, by bardziej je uwidocznić. José patrzył na nią zachwycony.

– Powinnaś zawsze tak się czesać – powiedział. – Masz piękną szyję i śliczne uszy. Wiedziałem, że te kolczyki są dla ciebie stworzone... – Poglaskał czubkami palców jej kark.

– Co ja bez ciebie zrobię? – zapytał po chwili.

– José, nie popadaj w zbytnią przesadę! Jakoś ten jeden wieczór przeżyjesz... – Roześmiała się, ale w duchu pomyślała o tym samym. Jego dotyk niezmiennie ją podniecał, gdyby nie Ewa i ciekawość miejsca, zostałaby z nim w hotelu. W jakiś sposób tęskniła za nim.

„Jeśli ten chłopak potrafi tak uszczęśliwiać kobiety, nie kochając ich, to co się dzieje, kiedy serce mocniej mu bije?” – przeleciało jej przez głowę.

– To nie to, nie tak... Gdyby to o jeden wieczór chodziło! Smutno mi, że nasz czas się kończy. Pojutrze wyjeżdżam. Dzięki tobie Barcelona była piękna. Jeszcze nigdy...

– Ciiii... – przerwała mu, domyślając się reszty. – Nic więcej już nie mów. Proszę. Od początku wiedzieliśmy, że to przystanek na chwilę.

– Ale ja nie sądziłem, że... Ledwo się rozstajemy, a ja już chciałbym być znowu blisko ciebie. Rozumiesz? To wymknęło się spod kontroli.

– José, czego oczekujesz? Że zostanę tu z tobą? Po niecałym tygodniu znajomości? Mam swoje życie w Polsce. Nie przeprowadzę się tutaj. A ty do Polski też nie. Ta historia nie ma happy endu.

– Tak ją od razu przekreślasz? Nie dasz nam szansy?

– Nie dam. Nie chcę przez ciebie płakać. Nie chcę za tobą tęsknić. Nie chcę czekać na maile i w końcu przeczytać, że w twoim życiu pojawił się ktoś inny!

– Ty się boisz.

– Tak. Boję się. Już przez coś podobnego przechodziłam. I to nie było fajne.

– Sądzisz, że jestem taki jak wszyscy? Krzywdzisz mnie.

– Przepraszam. Mam nadzieję, że nie jesteś. Ale pomyśl: prawie dwa tysiące kilometrów.

Nie będziemy mogli co sobota iść na spacer. W mailach ten związek nie przeżyje! To się udaje tylko w filmach.

– Ale chociaż spróbujmy! – nalegał. – Przecież mnie dotyczy to w tym samym stopniu.

Ty też możesz kogoś sobie znaleźć w Polsce i napisać mi, że to koniec...

Nagle uświadomiła sobie, że znalazła się w podobnej sytuacji jak Ewa. Ją namawiała do podjęcia ryzyka, a sama uciekała. A może nie zakochała się w José właśnie ze strachu przed porażką, przed rozczarowaniem? I wtedy, zupełnie niespodziewanie, przypomniał jej się chłopak z samolotu, Artur. Ten jego niesamowity uśmiech. Za kilka dni, być może, spotka go na lotnisku. Jeśli miała dać sobie szansę, to właśnie w związku z Arturem, nie José, tego w jednej chwili stała się pewna.

– Nie, José, nic z tego nie będzie – powiedziała stanowczo. – Przepraszam cię. Wiem to na pewno.

Zdjęła kolczyki, położyła je na wyciągniętej dłoni.

– Zabierz to z powrotem – poprosiła. – Są piękne, ale chyba nie miały być wyrazem tylko sympatii z twojej strony. Czasami wszystko się samo gmatwa.

– Nie oddawaj mi ich, proszę. Kupiłem je z myślą o tobie, nikomu innemu przecież ich nie podaruję, nie mógłbym! Przynajmniej próbowałem... Chyba lepiej będzie, jak już pójdę. Wypijemy jutro pożegnalną kawę?

– Dziękuję. Jasne, że wypijemy. – Uśmiechnęła się. – José, przepraszam...

– Nie przepraszaj. Nie można się zmuszać do życia z kimś.

Wyszedł. Goście było naprawdę przykro. Miała to być nic nieznacząca wakacyjna znajomość, a los sprawił jej takiego psikusa. Jeszcze raz zadała sobie pytanie: czy gdyby mieli więcej czasu, byłoby inaczej? Nie, z całą pewnością nie. Po prostu tym razem motyle w brzuchu nie trzepotały.

Spojrzała na zegar – trzeba było zacząć się szykować do wyjścia. Zrobiła staranny makijaż, poprawiła włosy, chwilę zastanawiała się, co założyć. Uznała, że spodnie i T-shirt będą najodpowiedniejsze. Kolczyki od José nadawały całości odświeżony charakter. Zadowolona ze swojego wyglądu po chwili zjechała windą na parter. Z holu zobaczyła, że José samotnie pije drinka w barze. Nie zauważył jej. Zapatrzone był gdzieś w dal, przed siebie. Przypomniał jej się fragment wiersza...

Dzisiaj odczuwam w moim sercu

gwiazd lekkie drżenie, lecz droga

zatraca się w duszy mgieł,

gubi się w gęstych obłokach.

Światło podcina mi skrzydła,

a smutków moich ból i rozpacz

zanurza moje wspomnienia

A wszystkie róże są białe,

„Nie zdążyliśmy o wszystkim porozmawiać – pomyślała ze smutkiem. – Biedny José... Że też zawsze ktoś musi cierpieć...”

Z zamyślenia wyrwała ją Ewa, wołając, by się pospieszyła. Gośka spojrzała na dziewczyny. Najbardziej wyróżniała się Marta. Włożyła czarną sukienkę, która podkreślała jej figurę, we włosy wpięła żółtą różę. Od Ewy bił delikatny blask kobiety zakochanej, ale Marta miała w sobie energię dziewczyny gotowej podbić świat. Ponownie spojrzała na José, jeszcze raz przypomniał się jej wiersz o białej rozpacz, westchnęła i dołączyła do koleżanek, myśląc sobie, że nastrój, w jaki popadła, nie wróży jej udanego wieczoru. Pół godziny później wysiadały na umówionym przystanku.

Paco wyglądał inaczej niż zwykle. Przyzwyczaiła się, że widzi go ciągle w podkoszulkach do ćwiczeń albo w ciuchach sportowych, na luzie, więc teraz nie mogła się napatrzeć. Przed nimi stał elegancki facet: czarne spodnie, do tego biała jedwabna koszula, czerwony zegarek o nowoczesnym designie – jedyna ekstrawagancja, na jaką sobie pozwolił – odpowiednie buty, dobra woda toaletowa. Tak, można było stracić dla niego głowę. Zwłaszcza że interesujący wygląd uzupełniał piękny uśmiech i ujmujący sposób bycia. Popatrzyła na stojącą nieopodal Ewę – pasowali do siebie, świetnie się uzupełniali. Ewa miała ten rodzaj szyku, który sprawiał, że każda rzecz, nawet zwykła koszulka czy szorty, wyglądała na niej, jakby ubrał ją najlepszy stylistą. Posiadła też niezwykłą umiejętność dobierania dodatków. Teraz założyła czerwoną sukienkę, którą miała na sobie pierwszego dnia – wystarczyło jednak, że omotała biodra pasem o ton ciemniejszego materiału, na rękę wsunęła szeroką bransoletę, na nogi sandały na wysokich obcasach i całość nabrała charakteru kreacji koktajlowej.

Gośka wzięła ją pod rękę i natychmiast zajęła miejsce koło Paco. Po kilku krokach, bez zbędnych wstępów, zapytała:

– No i co? Ogłaszacie dziś światu nowinę?

– To zależy od Ewy. Ja mogę – odpowiedział Paco, wcale niezaskoczony pytaniem.

– Czyście zwariowali?! – syknęła Ewa. – Potrzebne nam kłopoty?

– Jakie kłopoty, Ewciu? – Gośka nie odpuszczała. – Jasność sytuacji nazywasz kłopotem?

– Problem w tym – włączył się Paco – że Ewa jeszcze się nie zdecydowała. Nie wiem, co więcej mogę zrobić, by ją przekonać.

– No widzisz, Paco – zaczęła Ewa – to jest właśnie ten problem! Nie możesz ciągle zrozumieć, że nie zadzwonię do Jacka i nie powiem mu: „Wiesz, zostaję jeszcze tydzień lub dwa, bo pewien facet chce mnie przekonać, że życie z nim może być fantastyczne. Zaopiekuj się dziećmi”. Tak? Tak mam zrobić? A córkom jak to wytłumaczyć? Jeśli nam się nie uda, nie będę miała prawa do powrotu, rozumiesz?

– A jak się uda? – zapytał.

– Wiecie co? – zaproponowała Gośka. – Rzeczywiście, przerwijmy tę rozmowę. Jak ją pociągniemy, to za chwilę tajemnica przestanie być tajemnicą, bo porywają was coraz głośniejsze emocje... To – zmieniła temat – jak to jest z tym klubem, Paco? Faktycznie wchodzi tam tylko wtajemniczeni?

– I tak, i nie – odpowiedział. – Pierwszy raz trudno tam trafić, więc idziesz z kimś. I to chyba cała tajemnica... Takich lokali w Barcelonie jest więcej... No, właśnie doszliśmy na miejsce. Pomyślałabyś, że te drzwi to wejście do Los Juanele?

Wąski kawał blachy z byle jaką klamką wpakowany w odrapany mur nie był widokiem, jakiego się spodziewała. Żadnego szyldu. Niczego, co by potwierdzało, że trafili pod właściwy adres. Jak z gangsterskiego filmu o czasach prohibicji w Ameryce. Brakowało tylko okienka, przez które wychyliłaby się głowa odźwiernego. Skoro jednak Paco twierdził, że tu jest klub flamenco, no to nie było powodu, by mu nie wierzyć.

Gośka odciągnęła Ewę na bok.

– Ewcia, wyluzuj już. Na kilometr widać, że coś się dzieje. Naprawdę ludzie się domyślą, choć tego nie chcesz. Nie miałyby to znaczenia, gdybyś zostawała, ale skoro tego nie wiesz, nie ryzykuj. Dobrze ci szło przez te wszystkie dni, nie psuj tego na koniec. Wiesz, że zawsze znajdą się zyczliwi. Po co masz potem się tłumaczyć? Spróbuj się dobrze bawić.

– To po co zaczęłaś ten temat?! – zapytała ze złością.

– Myślałam, że się już dogadaliście.

– Przecież wczoraj mówiłam ci o swoich wątpliwościach!

– Ewa, to było dwadzieścia cztery godziny temu! Został ci tylko tydzień na decyzję! No dobra, dajmy już spokój. Wracajmy, bo dziewczyny zajmą nasze miejsca – ucięła dalszą rozmowę.

Faktycznie, wszyscy już wchodzili do środka, wpuszczani przez brzuchatego właściciela.

Wnętrze pachniało piwem i drewnem. Miało klimat jak ze starych pocztówek. Muzyka, która wkrótce rozbrzmiała, sprawiła, że Barcelona, pozostawiona za drzwiami, przestała istnieć.

Jakaś para wyszła na środek parkietu i zaczęła tańczyć. Gośka nie mogła oderwać od nich oczu. *Sevillanas*, o których dotąd myślała z niechęcią, nagle pokazały swoją zmysłowość. Nie nudziły – zaczęły intrygować.

Po powitalnym toaście pierwsza poszła zmierzyć się z tańcem Marta, zaproszona przez Alberta, właściciela klubu. Nawet nieźle im to wychodziło. Improwizowali z dużą gracją. Tylko wtajemniczeni mogli się domyślać, że prezentowana przez nich osobliwa choreografia nie była z góry założona, lecz wymuszona przez brak dostatecznych umiejętności partnerki. Nie miało to jednak znaczenia. Obok pojawiły się kolejne pary. Trudno w to było uwierzyć, ale wkrótce przestrzeń, którą Gośka oceniała na sześć, osiem osób, zajęło... dwadzieścia! Ścisk potworny, człowiek niemal na człowieku, ale dzięki temu taniec stawał się coraz bardziej uwodzicielski, blisko ciała, z impulsem, który w pełny gest rozwinąć się nie mógł, jednak jego potencjalność działała na wyobraźnię, kusila niedostępnością. A wszystko pozostało rozmową: każde „pytanie” kobiety wymagało „odpowiedzi” mężczyzny. I odwrotnie. Dokładnie tak, jak o tym słyszały na lekcjach.

Paco ledwo usiadł, został otoczony przez swoich barcelońskich znajomych. Jak się okazało, połowa obecnych gości to byli jego dawni lub aktualni uczniowie. Nie miał wyjścia, musiał wypić z nimi drinka, a potem pójść tańczyć. Kiedy stanął na środku sali, zrobiono mu miejsce. Potraktował to jak profesjonalny występ i dał prawdziwy popis *sevillanas* – tańca namiętnego, ale też bardzo efektownego. Koniec utworu zagłuszyły zasłużone brawa.

Gośka odszukała wzrokiem Martę: była zajęta jakimś chłopakiem. Uznała, że Ewa jest bezpieczna i może teraz nieco czasu poświęcić sobie samej. Podeszła do baru, zamówiła tequilę i usiadła w kącie, z dala od grupy. Nie była w nastroju do zabawy. Miała wyrzuty sumienia w związku z José. Ciągle się zastanawiała, jak to mogło się tak szybko potoczyć? Postawiła przecież od razu sprawę jasno, żeby właśnie uniknąć nieporozumień: romans na tydzień. To wszystko...

„Ciekawe – pomyślała – czy jeszcze tam siedzi...”

Przypomniał jej się znowu wiersz. Zaczęła w myślach mówić:

...Bez światła srebrnego wierzchołka

Drzewa wzrastają daleko,

A psów widnokrąg w oddali

Naszczekuje hen za rzeką.

Już jeżyny i sitowia,

I głogi daleko w tyle.

Tu dla niej pod sploty włosów

Dolek w piasku uczynilem.

Już precz odrzuciłem szal swój.

Ona suknie swoje zdziera.

Ja już pas swój z pistoletem.

Ona swoje gorsety cztery.

Ni tuberozy, ni muszle

Nie mają skóry tak gładkiej

Ani kryształy w księżycu

Nie jarzą się blaskiem takim.

Jak dwie zaskoczone ryby

Jej biodra się wymykają,

Na poły są pełne chłodu,

A na poły pełne żaru...53)

53) Federico García Lorca, *Niewierna mężatka*, tłum. Jerzy Ficowski.

– A potem było tak – zwrócił się do niej siedzący obok młody mężczyzna:

– *Nie powiem, bom jest mężczyzną,*

Co ona mówiła do mnie.

Światło rozumu wskazuje,

Bym był ostrożny ogromnie...54)

54) Tenże.

– Skąd pan wie? – zapytała zdumiona.

– Bo recytowała pani na głos.

– Naprawdę? Przepraszam.

– Nie ma za co. Lorca to Lorca. Jak najbardziej na miejscu. Hiszpan w Hiszpanii.

– No tak. Na miejscu. Ale to głupio musiało wyglądać: siedzi dziewczyna nad pustym kie-

liszkiem i recytuje wiersze – zaczęła kpić z siebie.

– Ten pusty kieliszek jest rzeczywiście dziwny – przyznał jej rację. – Mogę zaproponować jego napełnienie?

Kiwnęła głową.

– Jestem José – przedstawił się.

– Kolejny José! – westchnęła.

– Słucham?

– Nic, nic... Gośka.

– Dziwne imię. Nie jesteś stąd?

– Nie. Z daleka.

– Aha. Rozumiem. Zatańczymy? Chyba że wolisz porozmawiać o poezji albo powodach picia tequili w samotności.

– Nie, dziękuję, wieczorek poetycki może innym razem. Chodźmy.

Próbowała ze wszystkich sił wykrzesać z siebie radość, dorównać chłopakowi, ale to ją przerastało. Co chwila gubiła krok, rytm, coraz bardziej speszona kręciła się w miejscu jak wrzeciono. On udawał, że wszystko jest w porządku, ale nie nalegał, by zostali dłużej na parkiecie. Uciekła, nim zdążył zaproponować cokolwiek innego. Wróciła do stołu, kilka dziewczyn sęczyło drinki, przyglądając się zabawie. Ktoś zapytał, czy kupić jej coś do picia, poprosiła o kolejną tequilę. Dyskretnie rozejrzała się dokoła: Marta nadal była zajęta rozmową z nowym znajomym, Ewa tańczyła z Paco i robili to zupełnie inaczej niż wszyscy wokół. A może jej się tak wydawało? Miała wrażenie, że nie traktowali *sevillanas* jako spektaklu teatralnego, w co zazwyczaj się przemieniały, tylko dopowiadali sobie gestami, spojrzeniami to, czego nie potrafili słowami. Były w tym zachwyty, delikatność, uniesienie. Było uczucie. I Gośce znowu przed oczami stanął José – zamyślony, samotny w barze, tak jak go widziała kilka godzin wcześniej. Zdjęła kolczyki, schowała do torebki. Wypiła wódkę, poprosiła idącą do bufetu koleżankę o następną.

„Tak sobie obiecywałam – pomyślała z goryczą – że już nigdy nie zrobię czegoś tak głupiego, że nigdy nie pozwolę sobie zranić i innych nie zranię. I co? Ale czy można było przypuszczać – pytała siebie coraz bardziej smutna – że po czterech nocach facet się zakocha? Można było! – stwierdziła z żalem. – Można zakochać się od pierwszego spojrzenia... Jakie to wszystko głupie... I ja tu, w tym miejscu dzisiaj – po raz kolejny rozejrzała się dokoła – recytująca wierszyki jak jakaś Rachela Wyspiańskiego! Niezłą minę musiałam mieć, jak ten facet się włączył... – Nagle zaczęła się cicho śmiać. – Jak pomyłona! I potem ten taniec połamaniec... Co on sobie o mnie pomyślał? A w sumie... co mnie to obchodzi?”

Wódka zaczęła działać. Wyciągnęła lusterko z torebki.

– O, rany! Ale się rozmazałam – powiedziała, patrząc na siebie.

Wyjęła chusteczkę, zwilżyła ją w ustach, wytarła sztuczne cienie pod oczami, rozpuściła włosy i w miarę zadowolona z efektu poszukała wzrokiem Paco. Stał oparty o bufet i o czymś dyskutował ze znajomymi. Niewiele myśląc, wypiła tequilę jednym haustem i podeszła do niego, nie prosząc, tylko nakazując wspólny taniec.

– Chyba nie wyobrażałeś sobie – odezwała się trochę niewyraźnie – że uda ci się mnie ominąć? Wystarczająco długo czekałam na swoją kolejkę. Nie przyszedł Mahomet do góry, to góra przysłała do Mahometa. Nie nauczyłeś mnie tańczyć *sevillanas*, więc będziesz miał teraz kłopot – oznajmiła z poważną miną. – Zobaczymy, jak sobie poradzisz z improwizacją! Pozwolę sobie przypomnieć – przyjęła ton nauczycielki – że *sevillanas* to rozmowa. Jest akcja i reakcja. Ja proponuję, ty odpowiadasz. Zgadza się?

– Zgadza się, zgadza – przytaknął coraz bardziej rozbawiony. – Już tyle nie gadaj, bo zaraz wstęp się skończy. Ciekaw jestem tych twoich „akcji”. Idziemy!

Przyjęli pozycję wyjściową. Unieśli ramiona do góry. Lewa ręka w dół, *paso de sevillana*⁵⁵⁾ jedno, drugie... piąte, *pasada* i dalej krzyżak w prawo, krzyżak w lewo, *pasada*, *paso de sevillana*, cztery *pasady*, przerwa...

⁵⁵⁾ Na *sevillanas* składają się cztery różne zwrotki, każda z nich to osobna *sevillana*; *paso de sevillana* to krok podstawowy, charakterystyczny dla tego tańca.

Paco szepnął scenicznie:

– *Sevillana* druga! Na razie nic nowego nie wymyśliłaś.

– Proszę bardzo, *sevillana* druga. Zaraz ci zrzędnie mina, poczekaj – odpowiedziała pewna sobie.

Znowu pozycja wyjściowa. *Paso de sevillana*, przytup, prawa noga do przodu, cofnięcie, lewa noga do przodu, cofnięcie, obrót, *pasada*, *paso de sevillana*, przytup, sześć walczyków, *pasada*, *paso de sevillana*, przytup, wolne obejście na siedem kroków, obrót na finał. Przytulił ją do siebie i pocałował w czubek głowy jak małą dziewczynkę.

– Pięknie! I ciągle bez zaskoczeń. – Uśmiechnął się z aprobatą. – Przypominam, mówiłaś coś o improwizacji.

– Właśnie teraz zaczynamy zabawę... *Sevillana* po polsku! – krzyknęła na całą salę.

Ludzie zatrzymali się w swoim tańcu, zaciekawieni zapowiedzią. Nagle cały parkiet był Gośki i Paco. To, co potem się zdarzyło, pewnie jeszcze długo w klubie wspomniano.

Gośka rozwinęła swój cały talent aktorski. Najpierw zaczęła karykaturalnie przerysowywać sposób tańczenia Hiszpanek – wypięła przesadnie tyłek, pokracznie rozszerzyła nogi i mocno zgięła je w kolanach, naburmuszyła się, jakby coś ją okrutnie bolało, co chwila bez sensu podrzucała głowę. Paco nie mógł się nadziwić, ale kupił ten pomysł i odpowiedział w równie groteskowy sposób. Kompletnie jednak zbiła go z tropu, kiedy zaczęła wprowadzać własne kroki. Nie był w stanie ich powtórzyć: szalonych obrotów z przytupem i podskoków z jednoczesnym uderzaniem obcasa o obcas. W efekcie on znalazł się poza rytmem, a ona zebrała głośne oklaski.

– Co to było?! – zapytał po wszystkim.

– Nasze tańce ludowe – odrzekła z niewinną miną. – Oberek i krakowiak.

– Co?! – nie krył zdziwienia. – Tak się u was tańczy? Przecież można sobie krzywdę zrobić.

– Teraz tak się już nie tańczy – wyjaśniła. – Ale kiedyś każdy to potrafił. I krzywdy nikt sobie nie robił. A co? – Zaśmiała się. – Myślałaś, że tylko Hiszpanie mają patent na trudne tańce? Całego oberka nie dałbyś rady powtórzyć.

– Ten krok jakoś się nazywa?

– Który?

– No ten do wybijania zębów.

– To są hołubce.

– Jak?!

– Hołubce. Jak będziesz grzeczny, to pokażę ci jeszcze kilka innych kroków, a nawet nauczę... na przykład... poloneza. Może ci się przydać. – Puściła do niego oko i zostawiła go tam, gdzie stał.

Kiedy usiadła, poczuła, że lekko kręci się jej w głowie. Miała jednak nadal ochotę na alkohol, podniosła się więc z miejsca, podeszła do baru i tym razem zamówiła gin z tonikiem. Bo dawał się wolniej pić. Właściciel klubu nie chciał pieniędzy.

– Twoja polska *sevillana* była niesamowita! Pierwszy raz widziałem Paco bezradnego.

Do końca wieczoru masz alkohol na koszt firmy – powiedział.

Wypiła łyk od razu, w podziękowaniu za prezent, odwróciła się i zobaczyła, że Paco tańczy z Martą. Nastąpiła zmiana muzycznego nastroju, ktoś puścił jakąś „pościelówę” i Marta zaczęła się przytulać. W połowie utworu Paco wyszedł z nią na zewnątrz.

„No ładnie – pomyślała. – A miał to być «wypadek przy pracy»... Gdzie jest Ewka?”. Rozejrzała się nerwowo.

Na szczęście Ewa była zajęta jakąś rozmową i siedziała tyłem do parkietu. Gośka czekała na rozwój sytuacji, nie ruszając się z miejsca. Po kilku minutach zobaczyła wracającą Martę, zupełnie odmienioną. Za nią szedł Paco. Też jakiś inny. Stał przy barze, wypił szybko wódkę. Marta wróciła do stołu, do swojego drinka.

„Coś się jednak wydarzyło – skwitowała w myślach Gośka. – Wygląda na to, że Paco posłuchał mojej rady i wyprostował ścieżki... Czyli stało się tak, jak przepowiadałam. Boże, ja jakąś wróżką może powinnam zostać? Nie, nie żal mi jej, kompletnie. Samolubna cipka i tyle. Facetów

kolekcjonuje jak motyle. Zalicza. Normalnie zalicza. Łapie, przyszpila i dołącza do już zebranych okazów. Ciekawe, jak bogate ma te zbiory? A oni lecą do niej jak ćmy do ognia. Co w niej widzą?!”

I pewnie by tak stała jeszcze długo i rozmyślała, gdyby nagle obok niej nie wyrósł chłopak od poezji. Był już niezłe podpity.

– Czy ja cię dzisiaj już widziałem? – zaczął się głośno zastanawiać, intensywnie się w nią wpatrując. Po chwili przyszło olśnienie.

– Lorca! Ty jesteś jego wielbicielek! Ja też. Może sobie porecytujemy troszkę? Tańczyć nie umiesz, to prawda, ale wiersze mówić – owszem. Jestem pod wrażeniem. Cały czas. – Przybliżył się tak, że Gośka czuła jego oddech. – Może wyjdziemy na powietrze? Lorca potrzebuje przestrzeni, by brzmieć. Co ty na to?

– Że na wieczór z poezją musisz poszukać kogoś innego – stwierdziła i lekko odepchnęła go od siebie.

Nie było wyjścia, wróciła do stolika. Choć tego nie planowała, usiadła obok Marty. Spojrzała na nią i wypaliła, że cieszy się z takiego końca jej historii. Tak po prostu. Po czym wstała jak gdyby nigdy nic i poszła do toalety, czując, że makijaż wymaga gruntowniejszych poprawek. Kiedy ponownie pojawiła się przy stole, miejsce Marty było puste, a jej samej nigdzie nie dostrzegła. Wzruszyła ramionami. Problem z głowy. Najważniejsze, że Ewa nadal o niczym nie wiedziała. Znowu tańczyła z Paco i znowu Gośka pomyślała, że tylko ślepy by nie zauważył, co do niego czuje.

W głowie jej się kręciło coraz bardziej. Nie wiedziała, co dalej ze sobą robić. Nie chciała już pić, nie chciała tańczyć, nie chciała gadać ani być sama ze swoimi myślami. José nakładał jej się na Artura, powstał z tego jakiś idealny facet, a to oznaczało, że już czas iść spać. Na szczęście wszyscy mieli powoli dość, czekali, kto pierwszy da sygnał do odwrotu. Gośka zdobyła się na odwagę i zaproponowała, by wezwać taksówki. Mniej więcej godzinę później, kładąc się do własnego łóżka, mogła uznać wieczór *sevillanas* za definitywnie skończony.

Kolejne trzy dni nie przyniosły niczego nowego. Wypiła smutną, pożegnalną kawę z José, jeszcze raz powtórzyła, że ich historia nie ma przyszłości, jeszcze raz przeprosiła, że tak się to wszystko ułożyło. Wzięła od niego adres mailowy, dała mu swój, ale nie miało to już żadnego znaczenia.

Zajęcia z Paco toczyły się swoim rytmem, Marta przestała się na nich pojawiać, Gośka więc nareszcie mogła się spokojnie skupić na zawiłościach technicznych kolejnych choreografii. Po lekcjach każdy szedł w swoją stronę, już się wyczuwało zmęczenie życiem w grupie. Nawet na śniadania zaczęły przychodzić osobno.

Gośka, tak jak sobie obiecała, ostatni tydzień poświęciła na zwiedzanie Barcelony. Systematycznie, powoli odhaczała w przewodniku poznane miejsca. Przede wszystkim muzea. To ją interesowało najbardziej.

Na Picassa przeznaczyła całe popołudnie, chociaż obiektywnie rzecz biorąc, dałoby się wszystko obejrzyć w dwie, trzy godziny. Ale ona czytała dokładnie opisy, robiła notatki, wracała do obejrzanych już obrazów czy szkiców, dumiała. No i w ten sposób wyszła z ostatnimi zwiedzającymi.

Ten okres w twórczości Picassa bardzo ją interesował. Bo to były początki. Jeszcze rysował jak inni – wiernie odwzorowywał rzeczywistość, koń wyglądał jak koń, człowiek jak człowiek... Potem, w Paryżu, wyraźnie zafascynowany poznanymi artystami, trochę ich naśladował i stopniowo dochodził do własnego, indywidualnego sposobu obrazowania, odmiennego języka. Widać było, ile pracy to go kosztowało, jak bardzo wszystko było przemyślane i konsekwentne. Właśnie dochodzenie do własnej „osobności” robiło na Gośce największe wrażenie. Prace późniejsze, okres niebieski, różowy, dobrze знаła, ale początki jego twórczości odkrywała dopiero teraz. I dziękowała Bogu, że właśnie w takiej kolejności, cofania się, bo łatwiej zauważało się drogę, jaką Picasso odbył z Hiszpanii na salony świata.

Muzeum Egipskie ją zdumiało, Fundacja Miró zachwyciła, Fundacja Tápiesa była obowiązująca do obejrzenia, jeśli chciało się cokolwiek wiedzieć o sztuce katalońskiej. Casa Batlló śniła jej

się po nocach – okazała się więc idealnym odbiorcą dzieła Gaudiego, bo przecież zaprojektował ten dom, inspirując się sennymi marzeniami. Casa Milá sprawiła, że poczuła się jak gwiazda filmowa. Na dach i rozciągającą się z niego panoramę patrzyła oczami bohaterki filmu Woody'ego Allena *Vicky Cristina Barcelona*, który obejrzała tuż przed wyjazdem do Katalonii, by wprowadzić się w odpowiedni nastrój.

Każdy dzień był niespodzianką, i to niezależnie od tego, co umieściła w programie swojej wycieczki, bo nawet włócząc się po ulicach bez celu, odnajdywała tak zaskakujące zakątki, o tak magicznym klimacie, że zapierały jej dech w piersiach. A to gdzieś dziesięć kolorów farby łuszczącej się pod odpadającym tynkiem, a to bielizna susząca się wysoko na sznurze rozpiętym nad uliczką Barcelonety, a to secesyjna lampa uliczna przypominająca piękny kolczyk tancerki flamenco, stojąca na placu, z którego zniknął niedawno dom i wokół jeszcze leżało pełno gruzu. Albo rower przypięty łańcuchem do kutej kraty okna na drugim piętrze budynku. Albo stroma uliczka równo wypełniona kolorowymi skuterami. Albo urokliwy kawiarniany ogródek niespodziewanie spotykany na podwórku pełnym pustych drewnianych skrzynek po owocach... A obok bogato zdobione kamienice z witrażowymi oknami, eleganckie sklepy najlepszych marek ubraniowych, restauracje z kelnerami we frakach i długich fartuchach do kostek... I plaże do późnej nocy tętniące własnym życiem niczym przedłużenie usadowionych wzdłuż nich dyskotek...

Z każdą chwilą coraz bardziej zakochiwała się w mieście. Kiedy siadała na ławce, na murku, na schodach, po prostu się uśmiechała. Tak sama do siebie, ze szczęścia. Nie myślała o nikim i niczym. Wszystko toczyło się jak samo chciało, bez pośpiechu, a ona chłonęła atmosferę wokół, patrzyła na ludzi, słuchała tego, co mówią i jak mówią, i starała się dokładnie wszystko zapamiętać, by mieć do czego wracać, kiedy będzie już w Polsce.

W końcu nadszedł czas pożegnalnej kolacji. Tak jak było zaplanowane, po ostatnich zajęciach z Paco, wieczorem, wszyscy spotkali się w knajpie, w której niemal dwa tygodnie wcześniej pili powitalną *cavę*. Przyszła też Marta. Nikt nie pytał, co się z nią działo. Gośka od pierwszego spojrzenia wiedziała, że historia z Paco należy już do przeszłości. Uspokojona zajęła się więc własnym talerzem. Zjedli, co mieli do zjedzenia, wypili, co było do wypicia, podziękowali sobie za wszystko, obiecali za rok spotkać się ponownie. Nikt nie chciał przedłużać spotkania, bo każdy na siłę powstrzymywał wzbierające łzy, nie chcąc wyjść na czułostkowego wrażliwca. Co jakiś czas ktoś nerwowo wycierał nos, ktoś dyskretnie dotykał oczu rąbkiem chusteczki... W końcu jednak tama puściła: ostatnie uściski przemieniły się w zbiorowy szloch. Tylko dwie dziewczyny stawily mu opór – Ania i Marta. Paco najpierw dzielnie, po męsku, się trzymał, pocieszał dziewczyny i przytulał, ale w końcu sam też dał głośny wyraz żalowi, że jednak coś się bezpowrotnie skończyło. Na przystanek autobusowy szli w milczeniu w markotnych nastrojach, wdychając ciężko.

A potem, żeby wszystko zamknąć stosowną klamrą, dziewczyny wylądowały jeszcze w hotelowym barze na ostatnim drinku. Zaczęły wspominać śmieszne zdarzenia i jakoś humory im się poprawiły. Przed nimi były jeszcze cztery dni. Na zakupy. Na nacieszenie się Barceloną. Na obejrzenie ostatnich atrakcji z przewodnika. Ktoś wybierał się na Estadi Olímpic Lluís Companys, ktoś do El Parc del Laberint w dzielnicy Horta, ktoś chciał zaliczyć podróż kolejką linową na Montjuïc, zwiedzić jeszcze ogrody i zamek na wzgórzu, ktoś szukał chętnych na wycieczkę do Estació de França, bardziej przypominającej pałac niż dworzec kolejowy, a ktoś po prostu na plażę. W przewodnikach wiele miejsc już odznaczyły, ale ciągle sporo pozostawało do odkrycia. I wiedziały, że czasu na wszystko zabraknie, że muszą tu jeszcze powrócić. To było, w gruncie rzeczy, pocieszające.

Następnego dnia wieczorem Ewa zaprosiła Gośkę do siebie. Usiadły, tak jak poprzednio, na łóżku z butelką wina.

– Wiesz – zaczęła Ewa – odezwał się Jacek...

– O, niespodzianka! I co? – Gośka nie ukrywała ciekawości.

– Odezwał się, bo ja do niego napisałam.

– A co takiego wywołało reakcję?

– Moje pytanie, czy miałby coś przeciwko temu, żebym została jeszcze trzy, cztery tygodnie.

– Napisałaś mu o Paco?!

– Nie, coś ty! Napisałam, że poznałam tu starszych ludzi, którzy zaproponowali mi gościnę w swoim domu w Andaluzji.

– Aha. I co Jacek na to?

– Że nie ma sprawy.

– No proszę, jaki miły.

– Prawda? Gosiu... To straszne! Nagle sobie uświadomiłam, że ja dla tego faceta faktycznie, tak jak mówiłaś, kompletnie nic już nie znaczę. Nie ma różnicy: jestem czy mnie nie ma. Może nawet lepiej, kiedy mnie nie ma... To chyba jeszcze gorzej, niż być przezroczystą. A ja gdzieś tam w głębi duszy się lękałam, że jak zostanie kompletnie sam, to zrozumie, co traci, że to jakoś przemówi mu do wyobraźni.

– Ale to, jak mi się wydaje, wcale nie oznacza, że się zdecydowałaś na życie z kimś innym.

– Nie mogę tak ostatecznie. Nasze spotkania z Paco to czas świąteczny. Wiemy o sobie tyle, co sami powiemy. Nie mam pojęcia, czy podobnie wyobrażamy sobie przyszłość. Nie mam pojęcia, czy po – jak byś powiedziała – „nudnym prawniku”, przewidywalnym, będę umiała się odnaleźć w domu nieprzewidywalnego artysty. Widziałam, jak na niego patrzą inne dziewczyny, jak go próbują oczarować. To nie jest proste! Jeśli się pomylę, to nawet nie będę miała komu się wyplakać! Nie dość, że go prawie nie znam, to i nie znam jego rodziny, nie znam tu nikogo.

– Rodziny? A na co ci ona? Z rodziną masz mieszkać czy z nim?

– Nie znasz tej starej prawdy? Że jeśli chcesz wiedzieć, jaki facet będzie dla ciebie, popatrz, jaki jest w stosunku do swojej matki?

– Ty w to wierzysz? Ewa!

– Tak. Jacek dokładnie powtarza model ze swojego domu. Kiedy moja mama mi mówiła, żebym uważała, nie słuchałam jej. A jego rodzice mrozili świat obojętnością. Tam każde żyło na własną rękę. I nawet nie próbowało dostrzegać potrzeb innych.

– No ale w trzy tygodnie wszystkiego nie sprawdzisz.

– Ale chociaż zobaczę go w życiu codziennym. Tydzień będziemy non stop razem, potem wraca do pracy. Nie wiem... Na razie wzięłam cztery tygodnie urlopu bezpłatnego.

– On wie o tym? Że to na próbę?

– Nie! Nie może wiedzieć. Muszę mieć prawdziwy obraz. Zbyt wiele ryzykuję. Mnie już nie stać na brak rozsądku. Uczucie to nie wszystko. Po jakimś czasie słabnie. Musi być coś jeszcze poza fascynacją, pożądaniami, by to przetrwało.

– Ewa, wiesz, że ci zyczę jak najlepiej. Jesteś mądrą kobietą. Na pewno, jak przyjdzie czas, podejmiesz właściwą decyzję, najlepszą dla siebie. Piję toast za twoje życie. Mam nadzieję, że z Paco. Choć po Jacku rzeczywiście licho wie, jak ci tu będzie. Masz rację, to zupełnie inne światy. I nie samą miłością człowiek żyje.

– A co z tobą?

– Nic.

– Tak „nic-nic”?

– José wyjechał. Dał mi telefon, adres mailowy, ja jemu też, ale to bez przyszłości... Pamiętasz tego chłopaka z samolotu? Nie chciałam ci o nim mówić...

– Tego, któremu wylałaś kawę na spodnie?

– Tak. Ma na imię Artur. Powiedział, że spotkamy się w drodze powrotnej i że zajmie mi miejsce obok siebie.

– No i?

– No i nie mogę o nim zapomnieć. Taka prawda! Nie mam z nim żadnego kontaktu, ale coś tak czuję, że rzeczywiście za cztery dni go zobaczę. Może wreszcie...

– Oj, Gośka, Gośka! – Ewa zaczęła się śmiać. – Jesteś kompletnie szalona. Oberwiesz za to wszystko, zobaczysz. Nie to, żebym ci źle życzyła, ale tyle serc już zламаłaś.

– Ewa, ty sądzisz, że ja to robię z wyrachowania? – zapytała Gośka ze smutkiem. – Też bym chciała kochać i być kochaną jednocześnie. Tak jak ty. Ale to nie takie proste. I oberwałam już wystarczająco wiele razy. José też nie spłynął po mnie jak woda po kacze. Naprawdę mi przykro, że tak to się potoczyło. Ale... muszę troszczyć się o siebie. Przede wszystkim o siebie. Nie jestem ty-

pem ofiary. Chyba to rozumiesz?

– Rozumiem. Przepraszam. Mam nadzieję, że spotkasz Artura w samolocie. Napiszesz mi o tym?

– Jasne! No dobra. Butelka pusta, czarna noc wokół, idę spać. Baw się jutro dobrze. Chyba na wędrówki ze mną po Barcelonie nie dasz się namówić? Kiedy się przeprowadzasz do Paco?

– Kiedy wy będziecie odjeżdżać. Chciałabym jeszcze pojutrze zjeść z wami kolację.

– Okej. Powiesz dziewczynom?

– Nie wiem. Zastanowię się. Chyba nie... Jak ostatecznie podejmę decyzję to i tak się dowiedzą. A teraz? Co to kogo obchodzi?

Gośka ucałowała Ewę na dobranoc i wyszła. W swoim pokoju, kiedy już znalazła się w łóżku, jeszcze przez chwilę myślała o José. Przysłał jej rano esemes, że tęskni za nią i nic na to nie poradzi, i że jeśli zmieni zdanie, to on czeka... Nic mu nie odpisała. Proponowanie przyjaźni nie miałooby sensu. A potem przed oczami stanął jej Artur. Ten jego uśmiech. I naturalne ciepło... I tak ukolysana, wpatrzona w jego twarz, wyobrażając sobie spotkanie w samolocie, zasnęła.

– Hej, dziewczyno! – wołał do niej we śnie przystojny chłopak. – Mam tu miejsce dla ciebie. Nie pamiętasz? Umawialiśmy się.

– My? A czy ja ciebie znam? – żartowała Gośka ze snu, a oczy jej się świeciły z radości.

– Nie zapominam dziewczyn, które wylewają na mnie kawę – odpowiedział, wstając, by mogła przejść na wolne miejsce obok niego. – Tak sobie postanowiłem: zapamiętywać właśnie tylko te.

I kiedy tak przeciskała się między fotelami, chwycił ją za ramiona i pocałował. Mocno. Jakby życie jej tym ratował. A ona chciała, by trwało to całą podróż. I kiedy coraz bardziej przytulała się do niego, coraz bardziej czuła jego usta, niespodziewanie zadzwonił dzwonek.

Dźwięk budzika wyrwał ją nagle z ramion Artura. Uśmiechnięta wyskoczyła z łóżka. Plan na dziś był napięty, musiała szybko się umyć, ubrać, zjeść śniadanie i pędzić na kolejne spotkanie z miastem. A właściwie z całą Hiszpanią w pigułce. Dzisiaj planowała El Poble Espanyol, czyli Wioskę Hiszpańską, zwaną także Miastem Rzemieślników. Przedziwne miejsce, cztery razy większe niż stadion Camp Nou – zgromadzono tam repliki budynków reprezentujących style charakterystyczne dla poszczególnych regionów Iberii. Nie ruszając się z Barcelony, można tu zobaczyć białe uliczki Andaluzji i – na przykład – kościół z Aragonii. No i potem wypić wino w El Tablao Carmen, gdzie wieczorami odbywają się pokazy flamenco.

Nasyciwszy się nieco kiczowatą urodą Wioski Hiszpańskiej, następny dzień postanowiła dla odmiany spędzić w miejscu wyrafinowanym: Muzeum Sztuki Współczesnej, słynnej MACBA. A potem przyjrzeć się bliżej dzielnicy Raval, odnaleźć znanego z pocztówek kamiennego Kota i stare *mercado*⁵⁶⁾ z pięknym zadaszeniem, przypominającym japońską pagodę.

⁵⁶⁾ *el mercado* – rynek, targ

El Raval to jedna z najstarszych części Barcelony, w niektórych fragmentach jeszcze średniowieczna. Zaledwie kilka kroków od La Rambla i Barri Gòtic. Kiedyś dzielnica czerwonych latarni, złodziei, kabaretów i nocnych klubów. I miejsce legendarnych zbrodni, o których powstawały powieści. Enriqueta Marti zyskała dzięki nim sławę równą Kubie Rozpruwaczowi. Była prostytutką i seryjną morderczynią, która porывała dzieci, zabijała je i... przerabiała na lecznicze mikstury dla zamożnych klientów. Niezależnie od tego, czy to prawda, czy nie, ta historia mroziła krew w żyłach i wzmagala zainteresowanie okolicą. El Raval miał zresztą więcej podobnych opowieści – był wszak barcelońskim Chinatown⁵⁷⁾ i jako taki prowadził się zupełnie inaczej niż reszta miasta. Długo uchodził za niebezpieczny. Nad poprawą jego wizerunku zaczęto pracować pod koniec dwudziestego wieku; dziś jest dzielnicą artystów i miejscem spotkań wielu kultur, bo obok siebie mieszkają zarówno Hiszpanie, jak i Pakistańczycy, chrześcijanie i muzułmanie, mieszkańcy Afryki i Dalekiego Wschodu.

⁵⁷⁾ El Raval po raz pierwszy zaistniał jako Barri Xino (Dzielnica Chińska) w 1925 roku; tak nazwał tę część miasta lokalny dziennikarz Ángel Marsa i nazwa ta przyjęła się od razu.

Nim dotarła do Białego Muzeum, jak powszechnie nazywa się Museu d'Art Contemporani de Barcelona⁵⁸⁾, zahaczyła o La Boquerię⁵⁹⁾, istne dzieło sztuki handlowej, targowisko niemające sobie równych. Każdy stragan mienił się tysiącami kolorów, kuśił wyrafinowanymi formami, zbudowanymi z najbardziej egzotycznych warzyw i owoców. Niektórych nie potrafiła nazwać. Ani po polsku, ani tym bardziej po hiszpańsku. Nawet pokawałkowane ryby i pokrojone mięso przyciągały wzrok pomysłami ekspozycyjnymi. Wszystko kusilo wyglądem, unoszącymi się zapachami, zdumiewało atrakcyjnością. Gośka za każdym razem, kiedy takie cuda widziała, zastanawiała się, ile czasu każdego dnia zajmuje układanie i chowanie towaru, o której właściciele straganów zaczynają swoją pracę. Nie mogła się powstrzymać: wyjęła aparat i zaczęła fotografować stoiska. Za każdym razem tak robiła, na każdym hiszpańskim targowisku. I za każdym razem myślała podobnie, że polskich handlowców należałoby tu przysłać na kursy.

⁵⁸⁾ Białe Muzeum, czyli Muzeum Sztuki Współczesnej; czasami nazywane tak z powodu koloru budynku.

⁵⁹⁾ La Boqueria, czyli Mercat de Sant Josep de la Boqueria – rynek, targ, na którym handluje się mięsem, rybami, owocami, warzywami, słodyczami; atrakcja turystyczna z powodu architektury i estetyki wystawianych produktów; każdy stragan przemienia się w precyzyjnie wykonane dzieło sztuki. Pierwsze wzmianki o La Boquerii pojawiły się w kronikach barcelońskich w 1217 roku, obecny kształt rynek przybrał w roku 1840.

No ale nie targ był głównym celem wycieczki. Wąskimi uliczkami przedzierała się w kierunku MACBA. Zaskoczyło ją to pudełko ze szkła, jak je później nazwała. Wyłaniało się dość nagle ze starej architektury. Kupiła bilet i zanurzyła się w świecie, który od zawsze ją fascynował: w sztuce. Każde piętro budynku oferowało coś innego. Wszystko składało się na opowieść o przełomie dwudziestego i dwudziestego pierwszego wieku. Gośka kochała przede wszystkim fotografię. Uważała ją za dziedzinę najlepiej korespondującą ze współczesnością.

Po kilku godzinach nie miała już siły na dalsze zwiedzanie zgodnie z planem. Usiadła na murku przed muzeum i zaczęła przyglądać się popisom deskorolkarzy. Zaanektowali cały plac. Nikomu to nie przeszkadzało. Obok grupa miejscowych meneli popijała wino wprost z butelek. Mieszały się dwa światy dzielnicy. Historia i terażniejszość El Raval.

Poszła prosto przed siebie, zdając się na intuicję. Wąskie uliczki nie przypominały reszty Barcelony. Trochę jak miasto w mieście. Na placu, którego nazwy nie zapamiętała, wśród palm szalały papugi, jakiś starszy pan w kolorowej koszuli łamał chleb i rzucał na ziemię. Ptaki siadały jak zaproszone do stołówki. Nieopodal Chińczycy rozłożyli na płachtach wachlarze i torebki, gdzieś ktoś śpiewał, ktoś grał na gitarze. Wybrała kolejną uliczkę, kierując się nie wiadomo czym, i poszła dalej. Ku swojemu zdziwieniu dotarła do sklepów vintage. Pierwszy raz widziała je w Barcelonie. Zastanawiała się nawet, czy tu nikt nie lubi second-handów. Paco, pytany o takie miejsca, bezradnie rozkładał ręce i robił dziwną minę. A tu nagle cała ulica z tanimi starymi ciuchami!

Obeszła wszystkie sklepy, w jednym kupiła czarną mantylkę. Nie mogła się oprzeć. Delikatna koronka, misterna, ręcznie robiona. Zakreśliła ją na szyi. Poczuli się jak z drogocenną biżuterią. Stwierdziła, że nie będzie już szukać Kota z Raval⁶⁰⁾ ani dziwnego targowiska, na które zwróciła uwagę, kiedy szła z dziewczynami do Los Juanele. Trudno. Może następnym razem. Zaczęło się ściemniać, wołała wracać do hotelu. Nawet jeśli El Raval był już bezpieczną dzielnicą, nie czuła się tu zbyt pewnie.

⁶⁰⁾ Kot z Raval – rzeźba Fernanda Botera, zakupiona przez Barcelonę w 1987 roku; stoi przy La Rambla del Raval.

Następny dzień miał być już ostatnim. Żałowała, że jednak nie wzięła przykładu z koleżanek i przez pierwszy tydzień smakowała wyłącznie życie. Teraz przeglądała przewodnik i nie mogła się zdecydować, co zaserwować sobie na deser. Nie zobaczyła Sagrada Família ani parku Güell, nie była w Akwariium ani w Pałacu Muzyki, nie pojechała nocą na Plac d'España, by przyjrzeć się Magicznym Fontanom, Barri Gòtic też nie zwiedziła tak, jak chciała... Z perspektywy czasu

stwierdziła, że dokonała złego wyboru, ale niczego nie mogła już cofnąć. Ostatecznie zdecydowała się na okolice katedry i kościół Santa Maria del Mar, kolejne miejsce znane jej z książek i od dawna budzące ciekawość.

Barri Gòtic urzekło każdą uliczką, każdą latarnią, każdym placem i placykiem. Kark już ją bolał od ciągłego podnoszenia głowy. Poprzednio dość oszczędnie używała aparatu fotograficznego, teraz jednak nie mogła powstrzymać się przed robieniem zdjęć wszystkiemu, obok czego przechodziła. Przede wszystkim zbliżenia i detale. Właśnie szczegóły zachwyciły ją najbardziej. Jakieś rysy na murach, kołatki przy drzwiach, głowy smoków przy rynnach czy osobliwe ceramiczne tablice, dawniej pokazujące jeźdźcom bądź właścicielom bryczek kierunek ulicznego ruchu. Początkowo skrupulatnie zapisywała nazwy zwiedzanych miejsc, w końcu doszła do wniosku, że szkoda na to czasu, bo przecież o klimat chodzi, a nie topografię miasta. Zachwycona widokiem wokół, maszerowała, przecinając czasami jedną i tę samą ulicę wielokrotnie, za każdym razem odnajdując kolejne fragmenty warte fotograficznego utrwalenia. Do Santa María del Mar dotarła po kilku godzinach włóczęgi.

Najpierw zatrzymała się na Plaża de Santa María. Podobno kiedyś był tu cmentarz. Spojrzała na kościół. Bogato zdobione wejście z charakterystycznymi blendami po bokach, wielką rozetą umieszczoną nad portalem. Wielopoziomowy dach, otwarta przestrzeń, solidne przypory i ośmioramienne, płasko zakończone wieże... Jak mówiono, lokalnym architektom „podały się mury”. To, co stworzyli, nazywano typowo katalońskim gotykiem. Przypomniała sobie *Katedrę w Barcelonie* Ildefonsa Falconesa. Wyobraziła sobie, jak ludzie pracujący przy budowie kościoła dźwigali na własnych grzbietach bloki z kamieniołomu w Montjuïc. Weszła do środka i zamarła z zachwytem. Nigdy czegoś podobnego nie widziała. Oglądane kiedyś zdjęcia nie oddawały całego piękna tej przestrzeni. Wielki, niemal pusty kościół, bez zdobień.

Pierwszy projektant chciał, by jego wnętrze wypełniało wyłącznie światło padające przez witraże. Przy ołtarzu – Matka Boska z drewnianym statkiem. Nic więcej. Zdumiewała biel ścian. Zdumiewała doskonała prostota stylu. Zdumiewała cisza jakby wkomponowana w nawy świątyni. Mimo woli ukłękła i zaczęła się modlić. Ten kościół wzbudził w niej uczucia, jakich nie wywołała nawet Bazylika świętego Piotra w Watykanie... I pomyślała, że ogień, który tu kiedyś wybuchł⁶¹, był nie tyle katastrofą, ile darem bożym, bo gdyby nie on, ściany nadal zakrywałyby bezsensowny barokowy przepych, jaki z czasem wdarł się w pierwotny wystrój świątyni.

⁶¹ Chodzi o pożar z roku 1936; kościół Santa María del Mar zaprojektował Berenguer de Montagut, prace nad nim trwały od 1329 do 1383 roku.

Późnym popołudniem stawiała się na Plaża Reial, gdzie dziewczyny wyznaczyły sobie miejsce na spotkanie przed ostatnią kolacją w Barcelonie. Najpierw zrobiły pamiątkowe zdjęcia przy latarniach zaprojektowanych przez Gaudiego, a potem poszukały restauracji z dwoma wolnymi stolikami obok siebie. Zamówiły trzy butelki białego wina, grillowane krewetki, kalmary, mule, jakieś sery i pieczone ziemniaki, obiecując kelnerowi, że za jakiś czas zdecydują się na coś jeszcze. Na placu, zgodnie z panującym tu zwyczajem, trwały występy. Po akrobatach pojawili się polityczne ognia, a potem mocno wymalowana tancerka zatańczyła tuż przy nich coś, co sama zapewne określała jako flamenco, ale co w gruncie rzeczy niewiele z nim miało wspólnego. Mimo to, wrzucone artystycznym zaangażowaniem dziewczyny, wrzuciły kilka euro do kapelusza, który zaczął krążyć między stolikami.

– No i co? – zaczęła Gośka, gdy nastąpiła przerwa w ulicznych pokazach. – Barcelona spełniła wasze sny?

– A jak myślisz? – Dziewczyny się roześmiały. – Szkoda tylko, że to już koniec. Tyle jeszcze zostało do obejrzenia.

– No przecież biegaliście jak japońscy turyści – zażartowała złośliwie.

– Dobrze wiesz – odezwała się Ania – że nawet w tym tempie pół roku to byłoby za mało.

– Wiem. Niestety, wiem. Cóż... – Gośka powiedziała to, o czym inne myślały – jest powód, żeby przyjechać ponownie. Może za rok? Co wy na to?

– I co? – Dziewczynom zaiskrzyły oczy. – Znowu do szkoły Paco? Taniec i zwiedzanie?

– Można spróbować – ciągnęła Gośka. – A może u kogoś innego wtedy? Nawet w Barcelonie jest kilka dobrych szkół. Paco mówił, że poza jego, liczy się co najmniej siedem. Mamy trochę czasu, by sprawę przemyśleć.

– Dziewczyny – odezwała się nagle Ewa. – Ja jutro z wami nie wracam.

– Co?! – wyrwało się wszystkim naraz. – Dlaczego? Co się stało? Zakochałaś się? Znalazłaś tu pracę? Ewa, mów!! – zaatakowały ją pytaniami.

– Nic takiego. Kiedy wy zwiedzałyście Barcelonę, ja przecież nie siedziałam w hotelu. Owszem, pierwszego dnia. Ale potem też miałam swój plan wycieczek. Może bardziej skupiony na tak zwanym codziennym życiu, ale jednak... W każdym razie – płynnie brnęła przez kłamstwa – któregoś dnia, na samym początku pobytu, poznałam parę ludzi... Spotykaliśmy się potem niemal codziennie...

– Akurat! – Dziewczyny zaczęły się śmiać. – Parę ludzi! No chyba że dwóch facetów.

– Nie, starsze małżeństwo z Andaluzji – wyjaśniała spokojnie Ewa.

– No i?

– No i zaprosili mnie do siebie.

– Tak po prostu? – Koleżanki nie kryły zdziwienia.

– Tak po prostu – przytaknęła Ewa. – Okazało się, że mają sentyment do Polski, ich córka kilka lat spędziła w Krakowie jako nauczycielka hiszpańskiego czy coś takiego... A że nie mam żadnych naglających spraw na głowie, no to przyjąłam zaproszenie i jutro jadę z nimi do Kadyksu.

– Szczęściara! Takiej to dobrze! A nie chcieliby zaprosić jeszcze kogoś?

Gośka uśmiechnęła się porozumiewawczo do Ewy, która odetchnęła z ulgą. Dziewczyny kupiły jej historyjkę, zajęły się kieliszkami, talerzami i podziwianiem kolejnych ulicznych artystów. Po tapas stwierdziły, że nic już w sobie jednak nie wcisną, zapłaciły rachunek i wróciły do hotelu. Trzeba było się pakować, bo rano, zaraz po śniadaniu, miały jechać na dworzec autobusowy, a stamtąd na lotnisko w Gironie.

Gośka rozłożyła walizkę, zaparzyła sobie herbatę, zamyśliła się. Dwa tygodnie przeleciały tak szybko. Miała głowę pełną pięknych obrazów, czuła się, jakby wdarło się do jej wnętrza słońce i teraz grzało, rozświetlało. Mimo historii z José. Była przekonana, że odtąd wszystko będzie się dobrze układać, miała wrażenie, jakby Barcelona pomogła rozplątać każdy supełek zawiązany przez ostatni rok w jej duszy, że błędne koło, w jakim tkwiła teraz, nareszcie uda się jej przerwać. W każdym razie, czas wcześniejszy, ten sprzed wakacji, wydawał się odległy o całe lata świetlne. Uśmiechała się na myśl o przyszłości.

Sięgnęła po aparat leżący na łóżku, zaczęła przeglądać zdjęcia. Tak... Barcelona była niezwykła. Jej siła, jej energia wynikały wprost z historii. Tyle razy musiała walczyć z przeciwnościami losu, zmieniać sposób funkcjonowania, balansować na granicy otwartości i zamknięcia, że to musiało odzwierciedlić się w sztuce, architekturze, planowaniu przestrzennym, w ludziach. Gośka odwiedziła wiele miast na świecie, ale w żadnym nie czuła się tak dobrze. Za żadnym nie tęskniła tak mocno już niemal w chwili zamykania się drzwi hotelu. Żal jej było każdej godziny, której nie udało jej się spędzić na ulicy. To miasto było jak ona. Boleśnie doświadczona, ale nieprzestająca się uśmiechać.

Spojrzała na zegarek.

– Mam dwie godziny, żeby wyjść i wrócić bez kłopotów metrem...

Wzięła aparat i wybiegła z pokoju. Po drodze zastanawiała się, dokąd pojechać: Magiczne Fontanny czy Sagrada Família? Wybrała kościół. Po kilkunastu minutach była na miejscu.

Jeszcze w metrze postanowiła nie zatrzymywać się przy współczesnej fasadzie zachodniej, ukazującej męczeństwo i śmierć Jezusa, tylko cały czas poświęcić fasadzie wschodniej – Narodzenia. Tej, nad którą Gaudi pracował osobiście i którą zdążył ukończyć, nim tragicznie zginął pod kołami tramwaju⁶²).

⁶²) Antonio Gaudi pracował nad bazyliką Sagrada Família od 1883 do 1926 roku. W czasie wojny domowej spłonęła niemal cała dokumentacja kościoła, do budowy powrócono w latach 50. XX wieku. Prace posuwają się dzięki pieniądзом turystów (szacuje się, że co roku świątynię odwiedza około dwóch milionów osób) i darowiznom przekazywanym na konto Fundacji Sagrada Fa-

mília. Ukończenie budowy planowane jest na 2026 rok. Świątynia ma pomieścić 5500 wiernych.

Centralne miejsce zajmuje tu Portal Miłości. Przedstawia narodziny Chrystusa i symbol miłości – pelikana. Na lewo znajduje się Brama Nadziei, na prawo – Wiary. Oczywiście wzrok przykuwało zielone drzewo z gołębiami, zwane Drzewem Życia, tak oświetlone, że w nocy wydawało się, jakby prawdziwe ptaki krążyły między kamiennymi gałęziami. Gośka stała i nie wiedziała, na czym skupić wzrok. Przeskakiwała z detalu na detal, od kolumienki do girlandy, od jednej sceny biblijnej do drugiej. W końcu, nieco podłamana natłokiem informacji zapisanych na ścianie budowli, zaczęła wszystko fotografować jak leci, z nadzieją, że później, już w domu, znajdzie czas na dokładne przyjrzenie się zdjęciom.

Trudno było uwierzyć, że to dzieło powstawało na gorąco, bez planów, że Gaudi miał tylko ogólne założenia. Wiedział, że chce stworzyć trzy fasady i osiemnaście wież: dwanaście upamiętniających apostołów, cztery – ewangelistów, jedną – Matkę Boską i jedną – Chrystusa. Za jego życia wybudowano cztery. Świątynia Pokutna Świętej Rodziny... Budowla, którą chciano zburzyć po śmierci architekta jako absurd trudny do zaakceptowania. Tego kompletnie nie mogła zrozumieć. Bo, owszem, jej zamysł zaprzeczał wszystkim zasadom wówczas obowiązującym, ale czuło się tu myśl geniusza. I natchnienie.

Ze smutkiem żegnała się z tym miejscem. I gratulowała sobie decyzji, by tu przyjść choćby na tę krótką chwilę. Niemal symboliczne zwieńczenie jej czasu barcelońskiego. Kropka nad i. Teraz mogła już spokojnie zabrać się do pakowania walizki.

W pokoju, jeszcze wewnątrz rozwibrowana jak po jakimś teatralnym spektaklu, przejrzała dopiero co zrobione zdjęcia. Nie wszystkie się udały, ale cieszyła się na pracę nad nimi w domu, na obróbkę i śledzenie szczegółów, których gołym okiem by nie dostrzegła. Tak, Picasso i Gaudi to były jej największe zdobycze z tej wyprawy. Była szczęśliwa. Uśmiechając się do własnych myśli, wybrała ubranie na drogę, dołożyła do niego niedawno kupioną mantylkę, nastawiła budzik na odpowiednio wczesną porę – tak, by spokojnie doprowadzić się, jak mówiła, do „stanu używalności”. Na wszelki wypadek, gdyby jednak okazało się, że w samolocie spotka Artura.

Rano, przy śniadaniu spotkała Ewę.

– I co? – zapytała. – Paco przyjedzie tu po ciebie?

– Tak, tuż przed końcem doby hotelowej. Gosiu, boję się...

– Czego? Przecież nie jest kanibalem ani sultanem. Ani cię nie zje, ani nie zamknie w haremie – zażartowała.

– Coś mi szepcze z tyłu głowy, że to pomyłka, że nic z tego nie będzie. Wiesz, kiedy wychodziłam za Jacka, miałam stuprocentową pewność, że jestem tylko ja, że świat poza mną nie istnieje. Byłam spokojna i szczęśliwa. A tu... nie wiem... nie rozumiem wszystkiego, jest bariera językowa, muszę się nauczyć czytać znaki.

– Boisz się, bo właśnie nie wszystko rozumiesz. Ale wiesz, to ma swoje dobre strony: nie będziecie rozmawiać o głupstwach, dzielić włosy na czworo, tylko skupicie się na sprawach najważniejszych.

– Gosiu, ale na gestach i niedomówieniach życia się nie zbuduje.

– Ciągle wracasz do tego samego, szukasz dziury w całym. Właściwie... Dlaczego zostajesz?

– Bo Jackowi wszystko jedno. Sama wiesz. Dwa tygodnie czekałam na cud. Gdyby napisał: „Wracaj!”, nie zastanawiałabym się ani minuty... Ja naprawdę byłam gotowa budować nasze małżeństwo jeszcze raz. To strasznie boli. Tyle lat, dom, przyjaciele...

– Tak, wiem. Mówiłaś... Ewa, wygląda na to, że cały czas bardziej zależy ci na Jacku niż na Paco. Chociaż Jacek cię tak strasznie skrzywdził. Bez powodu. Okazał się skrajnym egoistą i chłopcem w krótkich gaciach... Dlaczego ty nie chcesz o tym pamiętać? Naprawdę mogłabyś mu po raz drugi zaufać?

– Sama nie wiem. Nie potrafię Jacka tak po prostu przekreślić. To jest pół mojego życia! Paco jest cudowny. Wrażliwy, czuły, romantyczny. Popatrz: pierwszego dnia dostałam od niego taki piękny wachlarz, nie pokazywałam ci... – Sięgnęła do torebki, by go wyjąć. – Nie mogę go zna-

leżć. Chyba zostawiłam u niego.

– Byłaś w jego domu? Przecież to kawalek za Barceloną! – Gośka nie kryła zdziwienia.

– On tu, niedaleko szkoły, też ma mieszkanie. Czasami nie wraca do siebie. Jak ma kilka dni zajęć pod rząd, nocuje właśnie tam. Nie chciałam spotykać się z nim w hotelu, bałam się, że w końcu natkniemy się na którąś z dziewczyn. Chyba tam zostawiłam wachlarz. Piękny, żółty, z autografem Sary Baras. Powiedział, że zdobył go specjalnie dla mnie, że to jego przyjaciółka i ją poprosił. Bo mu mówiłam, jak bardzo ją podziwiam. No więc widzisz: jest cudowny, skupiony na mnie. Ale... nie wiem, o co tu chodzi... nie potrafię mu do końca zaufać. Nie potrafię uwierzyć, że taki... taki zjawiskowy facet może chcieć spędzić życie ze mną! Z kobietą starszą od siebie. Gdybym chociaż była prawdziwą tancerką flamenco. A tak? Dlaczego?

– No cóż, ja ci na to pytanie nie odpowiem. Może jemu je zadaj? Pewnie jest jakiś powód, dla którego tak o ciebie zabiega. Wiesz... tak sobie myślę, że – niezależnie od wszystkiego, niezależnie od tego, jak się wam ułoży – dobrze, że postanowiłaś spróbować. Jeśli masz rację, że coś jest nie tak, prędzej czy później to wyjdzie, a gdybyś wróciła teraz do domu, żal by w tobie narastał, a wyobraźnia budowała nieistniejące życie. Paco stałby jak Jezus na ołtarzyku twoich wspomnień. Nie miałabyś teraźniejszości, nie miałabyś przyszłości, tylko przeszłość. A jeśli by... w międzyczasie... Paco się ożenił, umarłabyś z żalu. Ewa, nie można być w ciąży tylko trochę, więc nie rozmyślaj teraz – miej oczy i uszy szeroko otwarte i bierz od życia, ile się da. I... pamiętaj, że jest internet, więc jak będziesz chciała pogadać, to zawsze mnie znajdziesz. Okej?

– Okej. Masz rację... Mam nadzieję, że spotkasz dzisiaj Artura.

Dokończyły kawę, pożegnały się, Gośka poszła po bagaż do pokoju, Ewa postanowiła poczekać na dziewczyny przy recepcji, by jeszcze raz uściskać je na do widzenia.

W autobusie do Girony Gośka z każdym kilometrem czuła coraz większe zdenerwowanie. Wątpliwości Ewy sprawiły, że sama zaczęła się zastanawiać nad własnymi przecuciami. Na czym bazuje intuicja? Jakie wiadomości bierze pod uwagę, budując komunikat „wchodź w to” albo „daj sobie spokój”? Dlaczego nie umiemy swego strachu racjonalnie wytłumaczyć? Paco wydawał się facetem poważnym, skąd więc te rozterki? Gośka uważała siebie za przenikliwą obserwatorkę. Szybko potrafiła określić drugiego człowieka i – jak życie pokazywało – rzadko się myliła. Co prawda, pierwsze wrażenie Paco zrobił na niej fatalne: kolekcjonera takiego jak Marta. Ale to było lata temu i odkąd zbliżyli się do siebie, mogła o nim mówić tylko dobrze. Może coś przeczyła? Może zagłuszyła? Może po prostu chciała, by Ewie się udało, i podświadomie odpychała od siebie jakieś ostrzegawcze sygnały?

A Artur? Czy przypadkiem nie stał się wytworem jej pragnień?

Na lotnisku pilnowała się, by nie zacząć go szukać. Jednym dziewczynom pomagała uporać się z bagażami, innym trzymała miejsce w kolejce do odprawy paszportowej, zaangażowała się też jako tłumaczka kobiety, która nie mogła sobie poradzić z celnikiem. Wszystko, żeby zająć czymś głowę, żeby nie myśleć, żeby nie czekać...

Kiedy jednak znalazła się po drugiej stronie bramki, natychmiast go zauważyła. Siedział samotnie przy kawiarnianym stoliku i w skupieniu czytał gazetę. Gośka nie wiedziała, co powinna zrobić: podejść czy udać, że go nie widzi?

Dziewczyny skupiły się wokół niej, zastanawiając się głośno, co robić z czasem, jaki pozostał do odlotu. Jedne chciały już się ustawiać w kolejce czekającej na wejście na płytę lotniska, by zająć potem w miarę dobre miejsca w samolocie, bo tanie linie, z których korzystały, nie sprzedawały biletów numerowanych, inne marzyły o wydaniu ostatnich euro w sklepach z kosmetykami, jeszcze inne namawiały, by napić się spokojnie kawy. Gośka chciała zostać sama, ale nie wiedziała, jak im to powiedzieć. Pierwszy raz spędzała wakacje w takiej gromadzie i miała już dosyć. Dorosłe kobiety robiły rejewach jak dzieci.

Zerknęła w stronę stolika. Artur im się przyglądał. Grupa hałasujących kobiet siłą rzeczy zwracała na siebie uwagę. Kiedy napotkał jej wzrok, podniósł się z miejsca i uśmiechnął. Gośka odetchnęła z ulgą. Natychmiast zostawiła koleżanki i podeszła do niego.

– Cześć. To jednak była prawda – odezwała się pierwsza.

– Co? – zapytał zdziwiony.

– Że będziemy wracać razem. Tak mówiłeś dwa tygodnie temu.

– Wtedy, kiedy postanowiłaś ufarbować moje spodnie? – zażartował.

– Och, od razu ufarbować! – obruszyła się. – Mówiłeś, że nie będzie plamy. Mogę zapłacić za czyszczenie. Albo kupić ci nowe.

– Spokojnie! Nie ma plamy. To tylko włączenie się w rozmowę... – próbował rozładować jej zdenerwowanie. – To co? Kawa?

– Tak, chętnie – zgodziła się z uśmiechem.

Kiedy szedł w stronę bufetu, przyglądała mu się z niekłamaną przyjemnością. Szczupły, dobrze zbudowany, wysoki. Bez przesadnej dbałości o wygląd, styl sportowy, ale w dobrym gatunku. Podobał jej się, chciałaby z nim chodzić po ulicach. Zerknęła na zostawioną gazetę. „El País”, strony gospodarcze...

„No, to nawet rozmawiać będzie o czym” – pomyślała.

– Obym tylko tego nie schrzaniła – powiedziała do siebie po cichu, krzyżując palce lewej dłoni. – I obym się nie myliła – dodała po chwili.

Artur postawił na stole filiżanki.

– Przez całe dwa tygodnie myślałem o tobie – zaczął, siadając.

– Ja też myślałam – przyznała. – Prawdę mówiąc, to myślenie przeszkadzało mi trochę w zwiedzaniu Barcelony.

– Bałem się, że się nie spotkamy. Nie wymieniliśmy się telefonami.

– Też się bałam. Ale intuicja mi podpowiadała, że wszystko będzie dobrze. I widzisz, jest!

– Może jesteś czarownicą?

– Może...

– To ciekawe. – Zaczął się śmiać i sięgnął do torby stojącej przy krześle. – Kupiłem ci prezent... – Postawił pudełko na stole.

– Prezent? – zdziwiła się. – Co?!

– Otwórz, zobacz – zachęcił.

Zdjęła wieko pudełka, rozchyliła miękkie bibułki i wydobyla z nich... szklaną kulę. W środku stał byk. Cały z drobnej ceramiki, jak by to zrobił Gaudi. Potrząśnięta kula obsypywała byka złotym confetti.

– Nie jest to kula czarownicy, ale może potrafisz i z niej przepowiedzieć przyszłość?

Roześmiała się. Pochyliła się nad kulą, poruszyła nią, by jeszcze raz byka przykryło złoto...

– Nie widzę wyraźnie, ale... chyba w najbliższym czasie czeka cię podróż, jakiś samolot w chmurach... Mnóstwo ludzi. Wszyscy coś mówią. Okropny hałas. Obok ciebie dziewczyna, brunetka, nieduża... Na stolikach kubki... Z kawą? Tak, to kawa. Nie bardzo wam smakuje...

– Pasażerów lotu siedemset sześćdziesiąt osiem do Poznania prosimy do wyjścia numer dwa. Powtarzam... – opowieść Goški zagłuszył komunikat z głośnika. Uśmiechnęli się, szybko dokończyli kawę, zapakowali kulę z powrotem do pudełka i ustawili się na końcu kolejki.

Rozdział siódmy

Paco

Nie wiedział, jak dotrzeć do Ewy. Ciągle mu się wymykała. Jego argumenty wyraźnie jej nie przekonywały. Chciał z nią żyć. Pragnął jej. Jak nikogo od czasu Anny. Ale był bezradny wobec strachu, który jej nie opuszczał. Wiedział, że Ewa jest wrażliwa i delikatna. Nie mógł zanadto naciskać, bo płoszyła się jak dzikie zwierzątko. Mógł tylko czekać. I kochać. I dawać wszystko, co najlepsze. Zgodził się na jej warunki, że spotkania w tajemnicy, że nikt nie może się nawet domyślić związku, jaki ich łączy. Usiłował nie patrzeć na nią podczas zajęć, nie zabiegać o miejsce obok, gdy całą grupą dokądś szli. Wiedział, że jedyną wtajemniczoną w tę historię osobą jest Goška. I to ona dbała, by Ewa jak najczęściej była w jego pobliżu. Miała tę przewagę nad innymi, że pełniła funkcję tłumacza. Jednocześnie wszyscy wiedzieli o przyjaźni dziewczyn. Nic więc nie mogło wzbudzać podejrzeń.

Po powitalnej kolacji zamierzał wrócić prosto do domu. Nie zdążył Ewie powiedzieć, że ma mieszkanie w pobliżu szkoły, że z myślą o niej zostawił je na czas wakacji, choć teraz nie było mu niezbędnie konieczne do życia. Co innego jesienią, zimą, wiosną – wtedy faktycznie się przydawało. Pokonywanie niemal codziennie ponad stu czterdziestu kilometrów do Barcelony i z powrotem, po zajęciach i próbach, było ponad jego siły, ale latem nie prowadził zbyt wielu kursów, a dodatkowe lokum mocno nadszarpywało budżet, nie mógł jednak wymyślić nic lepszego, by móc spokojnie spotykać się z Ewą. Miał nadzieję, że po prostu wprowadzi się tutaj, a nie do hotelu...

Kawalerkę dzielił z kolegą. Podczas roku szkolnego obowiązywał ich grafik – szczęśliwie, nigdy nie potrzebowali jej w tym samym czasie, a gdyby jednak tak się stało, mieli jeszcze dodatkowy materac. Teraz współlokator wyjechał na wakacje, nie było więc żadnego problemu. Po prostu zamiast wynająć na lato mieszkanie komuś obcemu, jak to dotąd robili, Paco płacił za nie sam. I to wszystko.

Tego wieczoru nie czekał na telefon od Ewy. Wszyscy byli zmęczeni pierwszym dniem zajęć, wypitym alkoholem. Odprowadził dziewczyny na przystanek autobusowy i nie za bardzo się spiesząc, szedł do siebie.

Lubił nocą przemierzać ulice Barcelony. Lubił jej mroczne zaułki i rozproszone światło starych latarni. Zwykle gdzieś jeszcze przysiadł na szklankę piwa i wsłuchiwał się w odgłosy miasta. Czasami spotykał starych znajomych, miał ich już wielu. Tym razem zatrzymał się dopiero na La Ramblí; choć robiło się późno, ciągle jeszcze uliczni artyści zamieniali się tu w żywe rzeźby. Niezmiennie zachwycił go facet w złotym garniturze. Cały pomalowany na złoto: włosy, twarz, koszula, krawat, skarpety, buty, teczka... Ciekawe, co by było, gdyby zaczął się śmiać! Zęby też byłyby złote? I język? Miał smutną minę. Ustawiał się jak ktoś spieszący się do pracy: jedna ręka z przodu, druga, z teczką, z tyłu, jedna noga na chodniku, druga odstawiona po dopiero co zrobionym kroku, poły marynarki wywinięte przez wiatr, krawat powiewający za plecami. Włosy na sztorc, zmierzwiłone podmuchem i pośpiechem. Doskonałe napięcie mięśni. Stał w tej pozycji jak zaklęty w kamień. Albo w bryłę złota – jakby go dotknął król Midas. Obok leżał kapelusz. Też złoty. Wrzucony pieniądz wprowadzał postać w ruch. Powoli, nieco przesadnie odgrywając wielką ulgę, strząsał z siebie napięcie, pozował do zdjęć i po chwili ponownie zastygał w przygotowanej pozycji. Ciągle takiej samej. Perfekcyjnej.

Paco obserwował go od kilku dni. Nie mógł wyjść z podziwu. Codziennie wiele godzin spędzanych tak samo. Wyobrażał sobie, jak umęczony musiał być, gdy kończył pracę. Miał ochotę z nim pogadać, ale nie wiedział, kiedy i jak podejść. Czekał na przypadek, a tymczasem wrzucał mu

za każdym razem do kapelusza kilka euro.

Teraz usiadł dalej, w pobliżu pary tańczącej tango. Kilka kroków i stop-klatka. Raz z podniesioną nogą, raz w półobrocie albo w przykłęku. Zamówił kawę. Na La Rambli tętniło życie, jakby noc nie istniała. Miało się wrażenie, że z każdą minutą gwar wokół wręcz się nasila. Myślami krążył wokół Ewy. Dzisiaj obserwował, jak tańczy. Było w niej tyle namiętności, tyle uczucia i tyle niepewności! Nie zdawała sobie z tego sprawy, ile informacji mu przekazała. Był coraz bardziej ciekaw jej i tego, czy coś się w niej z czasem zmieni.

Dziwna to była znajomość. Z gatunku niemożliwych. Poznali się podczas warsztatów. Od razu zwrócił na nią uwagę. Te oczy, ten blask... Przypominała mu Annę. Najpierw chciał sprawdzić, na ile była do niej podobna, a potem, po pierwszej nocy, po prostu zaczął o niej marzyć. Tym intensywniej, im mniej prawdopodobny był ciąg dalszy. Po pół roku spotkali się znowu, na chwilę. Niemal w biegu. Nie był w stanie dać jej wiele czasu. Był bardzo zajęty warsztatami i koncertami, które współorganizował. Kilka słów na boku, kilka pocałunków w pośpiechu...

I nagle ma ją tutaj, niemal na wyciągnięcie ręki. I czuje, że wszystko musi zaczynać od nowa. Bo jest wystraszona, niepewna, zamknięta w sobie, przerażona uczuciem, które jej przynosi. O nikogo dotąd tak nie musiał zabiegać, nikogo tak przekonywać do siebie, tak ciągle się starać... Przecież, kiedy znalazła się w Barcelonie, nie chciała się z nim spotkać! Intuicja mu podpowiadała, że tak może się zdarzyć, więc nie odpuszczał, nie przestawał się do niej dobijać. Był gotów niemal siłą wdrzeć się do pokoju. Kiedy ostatni raz dzwonił, siedział już w samochodzie, jechał do niej do hotelu...

Ewa była inna niż wszystkie znane mu dziewczyny z Polski. Nie zabiegała o jego względy...

Posiedział jeszcze chwilę nad pustą filiżanką, sprawdził wzrokiem, czy w pobliżu nie ma kogoś znajomego, zapłacił rachunek, wrzucił dziesięć euro facetowi ze złota i poszedł do siebie, po drodze jeszcze uśmiechniętym spojrzeniem obrzucając kamiennego Kota, którego mijał na La Rambli del Raval.

Dzwonek powiadomił go o nadejściu esemesa od Ewy. Miał dla niej ustawiony osobny dzwonek w komórce. Pisała, że następną noc będą mogli spędzić razem. Była jego. To stało się jasne w jednej chwili. Teraz należało cierpliwie czekać i robić swoje. Bez naciskania, bez poganiania, bez dopytywania. Decyzja o pozostaniu w Barcelonie musiała wyjść od niej. Czuł się jak szachista, który wygrał pierwszą partię.

Następnego dnia po zajęciach z dziewczynami pojechał do domu na obrzeża miasta. Ewa złamała wachlarz, tańcząc *guajirę*. Pomyślał, że zrobi jej przyjemność, dając wachlarz Anny. Nie, nie miał zamiaru jej opowiadać tej historii. Ale skoro tak bardzo mu przypominała dawną miłość i uwielbiała Sarę Baras, uznał, że właśnie ten wachlarz będzie dla niej najodpowiedniejszy. On sam bardzo chciał już się odciąć od wspomnień. To, co zostało w głowie, wystarczało, by jeszcze czasami Anna mu się śniła, kot każdym swoim spojrzeniem, każdym machnięciem ogona przywracał przeszłość, zdecydowanie chciał „odczarować” rzeczy.

W hotelu pojawił się, kiedy zmierzch odkrył pierwsze gwiazdy. Poczł się zaskoczony tym, co zobaczył, gdy otworzyły się drzwi pokoju Ewy. W progu witała go zupełnie inna kobieta, niż się spodziewał: pewna swej magii, swej kobiecości. Miała na sobie zwiewną suknię, kuszącą półprzezroczystością. Każdym ruchem zapraszała go do siebie. Dziękował jej za to całą noc. Obsypywał pieszczotami, pocałunkami, żółtymi płatkami róż z przyniesionego bukietu. Dostał w zamian tyle namiętności, że czuł się najszczęśliwszym człowiekiem na ziemi. Wychodząc, wręczył jej zawiniątko z wachlarzem. Nie czekał, aż je rozpakuje. Chciał, aby podpis Sary Baras odkryła bez niego, w samotności. Kilka godzin później, na zajęciach, widział w jej oczach, że prezentem sprawił jej radość.

Dawkował wrażenia. Nadal rozgrywał z nią partię szachów. Przemyślał każdy ruch i każdą możliwą reakcję. Żółte kwiaty – wiedział, że wprawiają ją w zachwyt. Sara Baras tak samo. Teraz należało odkryć kolejną tajemnicę. Że jest mieszkanie, które czeka na nią. Była zaskoczona, ale i chętna, by zobaczyć je zaraz po lekcjach. Pod pretekstem przedyskutowania jakichś spraw organizacyjnych wymówili się więc od wspólnego obiadu z grupą. Początkowo towarzyszyła im Gośka,

na szczęście rozumiała, że jest tylko „dymną zasłoną”. Kiedy zniknęli z oczu reszcie towarzystwa, powiedziała im *hasta luego*⁶³⁾ i poszła w swoją stronę.

⁶³⁾ *hasta luego* – do widzenia

Zjedli obiad w małej knajpce, potem lody, których domagała się Ewa, i skierowali w stronę kamiennego Kota. Patrzył na nią z rozbawieniem, kiedy niczym mała dziewczynka próbowała się wdrapać na grzbiet krągłej i idealnie wypolerowanej rzeźby. Krążyła wokół, szukała miejsca, gdzie mogłaby zaczepić czubek buta, zdejmowała sandały, sądząc, że lepszą przyczepność osiągnie bosymi stopami. Na próżno. Trud to był daremny, ale nie chciał pozbawiać ją złudzeń i zabawy, a siebie pięknego widoku. Robił jej zdjęcia, tak jak prosiła. I zastanawiał się, czy zna już przypowieść o Kocie z Raval, że tego, kto wejdzie sam na jego grzbiet, szczęście nigdy nie opuści? Miał nadzieję, że upór, z jakim próbowała sforsować kamień, wynikał z jej charakteru. Wiedział, że wierzy w różne znaki, obraca się przez lewe ramię, kiedy mija ją zakonnica, i chwyta za guzik, gdy obok przechodzi kominiarz. Na wszelki wypadek wołał więc o kamiennym Kocie niczego nie opowiadać.

W mieszkaniu natychmiast przytulili się do siebie. Ewa nazwała je *el Edén*⁶⁴⁾. Nie mogli się sobą nacieszyć. Choć byli zmęczeni po ostatniej nocy, nie darowali sobie ani jednej minuty. Nie mogli, nie chcieli. Tym bardziej że Paco miał zajęty wieczór.

⁶⁴⁾ *el Edén* – raj

Pracował nad nowym programem, planował wyjazdy na koncerty ze swoim zespołem. Wyniknęły problemy, trzeba było się spotkać w trybie natychmiastowym i wszystko jeszcze raz omówić.

Najgorsze było to, że kolejna noc też wymykała się ich planom. Dziewczyny bardzo chciały odwiedzić klub flamenco, obiecał im Los Juanele, a to oznaczało, że będzie mógł obejmować Ewę tylko w tańcu.

Tymczasem sycili się sobą tak, jak tylko to było możliwe. Spoceni wyrównywali oddech. Upał rozleniwiał, a czas gnał do przodu po swojemu, nie oglądając się na nic. Podał jej lampkę wina, sam wziął drugą. Z kieliszkiem, butelką i wachlarzem, którym Ewa przed chwilą się chłodziła, poszedł do łazienki, usiadł na stojącym centralnie szezlongu, odstawił wszystko na stolik i zamyślił się. Czy wie, co robi? Czy na pewno potrafi dla tej kobiety zrezygnować ze swoich przyzwyczajzeń? Będzie chciała jeździć z nim po Hiszpanii?

Dlaczego wcześniej o tym nie pomyślał? Spojrzał na ścienny zegar. Musiał się pospieszyć. Wziął prysznic, ogolił się dokładnie, uczesał, ubrał. Kiedy wrócił do pokoju, Ewa spała z podciągniętymi niemal pod brodę kolanami. Chwilę się jej przyglądał. Była piękna. Dotknął delikatnie jej ramienia.

– Evita, kochanie, obudź się, muszę gonić na spotkanie. Albo... poczekaj tu na mnie, choć nie wiem, o której wrócę.

– Nie, nie. – Otworzyła oczy. – Pojadę do hotelu. Muszę odpocząć. Przy tobie to niemożliwe.

Wstała, starannie pościeliła łóżko, jakby chciała zakryć ślady swojej obecności, umyła kieliszek, z którego piła, ubrała się bez korzystania z łazienki. Powiedziała, że chce jak najdłużej zatrzymać na sobie jego zapach, skoro wieczór mają spędzić osobno. Wyszli, trzymając się za ręce. W metrze pożegnali się i Paco pojechał do Tibidabo.

W Gran Hotel La Florida był umówiony z Ángelem, swoim gitarzystą. Problemem okazał się pierwszy z planowanych występów, ponieważ chłopak grający na *cajónie*⁶⁵⁾ znalazł się w szpitalu i miał niewielkie szanse, by wyjechać z nimi w trasę, nie mówiąc o udziale w najbliższych próbach. Trzeba było znaleźć kogoś na jego miejsce. Albo zrezygnować z instrumentu. Paco nie chciał nikogo innego. Uznał, że jak tylko Marco wyzdrowieje, szybko do nich dołączy, może już podczas drugiego występu.

⁶⁵⁾ *Cajón* (czyt. kahon) – skrzynka perkusyjna; instrument wymyślony w Afryce, ale najczęściej wykorzystywany we flamenco.

Kiedy zaczęli rozmawiać o swoich prywatnych sprawach, zadzwonił telefon. Rozpoznał głos Marty. Była wystraszona. Tłumaczyła, że się zgubiła i nie wie, jak wrócić do hotelu. Zapada zmrok, wokół żywej duszy, boi się. Nie żartowała. Poprosił, by odszukała tabliczkę z nazwą ulicy. Carrer de Arrabassada. Na szczęście Tibidabo, na szczęście wiedział, gdzie to jest, i mógł w miarę szybko do niej dotrzeć. Powiedział, by nie ruszała się z miejsca. Ángel podwiózł go w pobliże samochodem. Kiedy zobaczył majaczącą w mroku postać, pospiesznie pożegnał się z przyjacielem i poszedł w jej kierunku.

Nie widziała go. Autentycznie się wystraszyła, gdy dotknął jej ramienia. Przytuliła się niczym ocalona od zguby. Nie wiedziała, jak to się stało, że zaszła tak daleko. Rzeczywiście bardzo oddaliła się od głównej ulicy, turystów rzadko spotykało się w tej części miasta nawet za dnia. Wziął ją za rękę i zaprowadził na dół, do metra. zaproponował kolację w centrum Barcelony.

Niedaleko swojego mieszkania znał małą pizzerię. Tam właśnie poszedł z Martą. Siedzieli, pili piwo, rozmawiali. O Barcelonie, o życiu. Nawet nie wiedział, jak to się stało, że w końcu zaprosił ją do siebie. No i potoczyło się. Chwila zapomnienia... Nie umiał sobie tego potem wytłumaczyć. Dość, że zamiast całować się z Ewą, robił to z Martą. I z nią spędził noc. Rano czuł się zażenowany sytuacją i zły na siebie. Nie potrafił wydusić z siebie słowa. Marta tego nie zauważała. Po prostu wstała z łóżka, pobiegła do łazienki, wyraźnie się spiesząc, po drodze krzyknęła tylko, by zrobił jej kawę.

Szybko wciągnął spodnie, narzucił koszulę, włączył ekspres, przygotował słodkie śniadanie. Zastanawiał się, co robić dalej. Wiedział, że zachował się głupio, dając się porwać chwili. Gdyby Marta była dziewczyną stąd, potraktowałiby to po prostu jako formę „przyjacielskiego układu”, ale w tym wypadku interpretacje mogły zdarzyć się różne. Doświadczył już tego nieraz w Poznaniu. Mógł mieć tylko nadzieję, że Marta nie wyciągnie zbyt daleko idących wniosków. Przecież – pocieszał się – już zdarzało im się spędzać noc w jednym łóżku i nadal pozostawać przyjaciółmi... Oczywiście, zdawał sobie sprawę, że ona pragnęła czegoś więcej.

Chciał ją odprowadzić do metra, ale nim zdążył to zaproponować, wstała, pocałowała go w policzek i wybiegła, trzaskając głośno drzwiami.

Zostały mu trzy godziny do zajęć, położył się jeszcze na chwilę do łóżka. Trochę się wystraszył. Gdy o tym myślał teraz na chłodno, na miejscu Marty nabrałby jednak przekonania, że między nimi możliwe jest coś poza przyjaźnią. Jak delikatnie wyprowadzić ją z błędu, nim będzie za późno? Zachował się wobec niej jak drań. Nie udawał przed sobą, że było inaczej.

Na zajęciach – zgodnie z wcześniejszą obietnicą – przeciwiczył z dziewczynami *sevillanas*. Wieczorem miały je tańczyć w klubie. Powtarzał im ciągle, żeby nie stresowały się tym, że czegoś nie pamiętają, nie potrafią, że coś płaczą, bo najważniejszy jest dialog, jaki nawiążą z partnerem. Jeśli będą umiały odpowiedzieć na jego gesty, albo same narzucą własną rozmowę, taniec stanie się tym, o co chodzi: zabawą, flirtem, uwodzeniem. Co dalej? To ich indywidualna decyzja. Prosił je jednak, by uważały, bo Hiszpanie bywają gorący, namiętni, ale ta fala, która ich nagle unosi, równie łatwo i szybko po wszystkim opada, po co więc miałyby potem przeżywać rozczarowanie... Miał nadzieję, że ten komunikat odczyta też Marta i wyciągnie właściwe wnioski.

Ona jednak, tak jak przypuszczał, najwyraźniej uznała, że przekroczyli granicę przyjaźni. Zaczepiała go na różne sposoby, prowokowała, czyniła aluzje. Obracał wszystko w żart, ale czujnie obserwował Ewę, czy niczego się nie domyśla. Ona, na szczęście, odkąd porzuciła wcześniejsze obawy, ufała mu bezgranicznie – widział to i wiedział już na pewno. Tym gorzej czuł się w sytuacji, którą sprowokował. Normalnie wzruszyłby ramionami i poszedł dalej, tu jednak zdawał sobie sprawę, że igra z ogniem i że jeśli wybuchnie pożar, spali dokładnie wszystkie swoje nadzieje.

Dziewczyny po zajęciach chciały iść razem z nim na szybki obiad. Zgodził się, po chwili jednak wycofał się z pomysłu. Za radą Gośki. Domyśliła się wszystkiego i zaoferowała pomoc. Pod jednym warunkiem: że jeszcze dziś tę historię zakończy. A teraz podpowiadała, by nie kusił losu i zniknął z pola widzenia. Pod jakimkolwiek pretekstem. Powiedział więc, że musi przed wieczorną eskapadą wpaść do domu po stosowne ubranie.

Wieczorem zaprowadził je do klubu. Ostrzegł, że dzielnica nie jest zbyt bezpieczna i lepiej, aby po zabawie wracały do hotelu razem, taksówkami. Przyglądał się im po kolei. Cała ósemka

warta była grzechu. Miał nadzieję, że dziewczyny poradzą sobie z nadmiarem adoracji, która je niechybnie czekała, a on w tańcu przytuli się mocno do Ewy i wszystko powróci do poprzedniego stanu. Dyskretnie obserwował Martę, nie mógł się zdecydować na rozmowę, przesuwał ją w czasie, unikał tak długo, jak tylko się dało. W końcu to ona go dopadła. Wtedy, kiedy najmniej się tego spodziewał.

Zabawa trwała w najlepsze. Dziewczyny były rozechwytywane. Marta zresztą też. Alberto, właściciel Los Juanele, nie mógł od niej oderwać oczu. Nie dziwił się, była piękną kobietą. Myślał więc, że problem rozwiąże się sam, zajął się spokojnie Ewą i znajomymi, których wielu tu spotkał. Pił, tańczył, żartował. Tulił Ewę, kiedy tylko okoliczności na to pozwalały.

Idyllę przerwała Gośka. Była już porządnie wstawiona. Widział, że miała zły dzień, nie pytał dlaczego. Podeszła i powiedziała, że też chce z nim pójść na parkiet, ale ostrzegła, że będą to dziwne *sevillanas*. Zajęli miejsce, zaczęli tańczyć, wszystko toczyło się zgodnie z ustalonym schematem: pierwsza zwrotka, druga... Nawet nie musiał jej podpowiadać kolejnych figur czy kroków. I nagle krzyknęła: *sevillana polaca!* Ludzie się rozstąpili ciekawi, co to oznacza. A ona zaczęła jakieś dziwne obroty z przytupami, jakieś podskoki. Początkowo dawał radę jej towarzyszyć, ale kiedy zobaczył, że skacząc wysoko, jednocześnie uderza obcasem o obcas, stanął zdumiony i nie wiedział, co dalej robić. Jak uczeń, który nagle zapomniał choreografii. Dostała ogromne brawa. Jego poklepywano po ramieniu, pocieszając, że to się może najlepszym przydarzyć. Alberto płakał ze śmiechu i zapowiedział, że Gośka ma do końca wieczoru drinki za darmo. A on tylko zapytał, co to było?! Usłyszał dziwną nazwę: „holubce”, czy jakoś tak... Krok krakowiaka, polskiego tańca ludowego. Skąd Gośka to знаła? Jak to się stało, że zębów sobie nie wybiła?

Alberto, chcąc mieć Martę bliżej w ramionach, nagle zarządził zmianę muzyki. To się tu jeszcze nigdy nie zdarzyło: żeby zamiast *sevillanas* puszczano jakieś „przytulanki”! Jedna, druga, trzecia... W porządku. Można i tak! Tylko że przy czwartej Marta podeszła do Paco i zaproponowała taniec. Poszedł za nią na parkiet, nie mógł inaczej, nie wypadalo. Zaczęła się mocno przyciskać, szeptać coś do ucha. Wziął ją za rękę, zaproponował, by wyszli na zewnątrz. I tam jej powiedział, że niepotrzebnie czyni sobie nadzieje, że ją przeprasza, że to była chwila, ale jej nie kocha i nie pokocha nigdy, że jego serce jest zajęte... Było mu jej żal, widział, jak się zmienia na twarzy, jak radość przemienia się w smutek, jak szarzeje. Miał ochotę ją przytulić, ale wiedział, że absolutnie nie może tego zrobić. Spodziewał się najgorszego, wyzwisk, łez, policzka... A ona wysłuchawszy wszystkiego, stwierdziła tylko, że ma ochotę na wódkę i wróciła do klubu. Poszedł za nią. Stanął przy barze, poprosił o tequilę, wychylił ją duszkiem, bez soli i cytryny.

Dołączył do znajomych, żeby zabawą zagłuszyć myśli, potem zajął się Ewą. Martę nie chciał więcej zwracać sobie głowy.

Z Ewą właściwie nie rozmawiał. W jej oczach, w jego oczach było wszystko. Delikatnie prowadził ją w tańcu, gestem, ruchem, każdym obrotem opowiadał o tym, jak bardzo ją kocha, jak pragnie. Ich *sevillanas* nie były żartem, teatrem tworzonym dla publiczności, to była prawdziwa opowieść o miłości, o dojrzewaniu do bycia razem. Jak w piosence, którą kiedyś tłumaczył im na zajęciach: że chłopak zakochał się w dziewczynie i prosi, by zechciała pójść z nim na randkę, ona najpierw jest zainteresowana, potem udaje, że jej to nie obchodzi, on coraz bardziej stara się o względy, ona trzyma go w niepewności, a w końcu ulega i jest pięknie, bo miłość wybucha jak jasny płomień i tańczą szalone *sevillanas*, nie mogą nacieszyć się sobą...

To właśnie opowiadał Ewie na środku parkietu, wśród innych par. A ona uśmiechała się, rozpoznając własną historię. I poddawała się jego pomysłom, w pełni ufając, że wie, co robi.

I tak dotrwali do końca, do czasu, kiedy dziewczyny uznały, że czas zakończyć zabawę...

Przez kolejne trzy dni Marta nie pojawiała się na zajęciach. Nie przejął się tym za bardzo, w końcu jednak wysłał do niej esemes z pytaniem, czy coś się stało. Nie odpisała. Uznał to za dobry znak, wiedział od Ewy, że nie wyprowadziła się z hotelu. Skupił się na innych dziewczynach. Był zaskoczony postęпами, zwłaszcza jednej z nich – Ani. Wysoka, piękna, dumna... Potrzebowała wyraźnie więcej czasu, by się otworzyć. Owszem, czasami rozmawiali, ale ona szybko urywała każdy temat, niepewna swojego hiszpańskiego, chociaż całkiem dobrze się nim posługiwała. Nie to jednak było największym zaskoczeniem. Ania najlepiej ze wszystkich radziła sobie z elementami tańca

klasycznego. Jej piruety były niemal idealne. Zaczął dociekać, skąd ta umiejętność. Okazało się, że jako dziecko uczyła się w szkole baletowej. Zapytała, czy mógłby udzielić jej lekcji indywidualnej, bo potrzebowała pomocy przy wymyślonej przez siebie choreografii. Umówili się na dzień po kolacji pożegnalnej.

Z Ewą wszystko toczyło się tak, jak powinno: zaraz po zajęciach spotykali się w swoim Raju. I czuli się szczęśliwi. Choć o nic jej nie pytał, byłby zdziwiony, gdyby mu powiedziała, że wraca z dziewczynami do Polski. Cierpliwie budował ich związek, kochał ją i sam był coraz bardziej kochany. Nie pamiętał, kiedy ostatni raz doznawał takiej czułości. Chyba nawet Anna nie dawała mu tego, co Ewa. Nie ulegało wątpliwości, że stawała się dla niego osobą najważniejszą w życiu. Szukowali razem kolacje, popijali wino, w pokoju zawsze były świeże róże. Żółte. Tak jak lubiła. Kochali się, oswajali ze sobą.

Ostatnie zajęcia zakończyły się kolacją z całą grupą. Marta wreszcie się pojawiła. Nieco odmieniona, bardziej refleksyjna, mniej głośnie, ale jakoś to nikogo nie prowokowało do pytań o to, co się stało. Usiadła tuż przy Ewie. Ani razu nie spojrzeli na siebie. Czuł się głupio. Nie miał już jednak ochoty cegokolwiek zmieniać, prostować. Postanowił wszystko pozostawić czasowi. Może wróćą do dawnych relacji, może nie. Trudno.

Najlepiej przy stole bawiła się Ania. Widać było, że odnalazła swoje miejsce w grupie. I jako jedyna, nie licząc Marty, nie płakała, kiedy zaczęli się żegnać. Paco jej się przyglądał. Intrygowała go coraz bardziej. Od czasu wieczoru w Los Juanele wyraźnie rozkwitła. Musiał przyznać, że była bardzo pociągającą dziewczyną.

Spotkali się nazajutrz późnym popołudniem. Słońce ukośnie zaglądało przez szklany sufit szkoły. Co jakiś czas dotykało promieniami Ani przesuwającej się wzdłuż ścian. W ciszy podciągała się na drążku, próbowała jakieś kroki, rozciągała nogi i ramiona. Rozgrzewała ciało przed lekcją. Szukając odpowiedniej muzyki, Paco ze swojego miejsca na podeście przyglądał się jej z zaciekawieniem. Była bardzo skoczna i lekka. Miała wiele wdzięku. Nagle pomyślał, że mógłby z nią przygotować osobny projekt, zbudowany z połączenia flamenco i tańca klasycznego. Dwa światy, dwa sposoby myślenia, dwie kultury... Mogłoby coś z tego wyniknąć interesującego. Nawet wiedział, do jakiej muzyki.

– Słuchaj, chciałbym potem z tobą porozmawiać. Czy to możliwe? Czy spieszysz się? – zapytał od razu.

– Wiesz, mój hiszpański...

– Damy radę. Mam propozycję dla ciebie. Luźną. Teraz mi to przyszło do głowy. Ale pogadamy po lekcji.

Ania chciała, by wymyślił dla niej choreografię do *rumba flamenca*, którą mogłaby zatańczyć na weselu brata. Wzięli się do roboty. Bawili się przy tym świetnie, część kroków zaproponował Paco, część ona. Czuł, że dobrze by się im tańczyło nie tylko flamenco. Po trzech godzinach mieli całość opracowaną, zarejestrowaną jako filmik w aparacie fotograficznym. Pozostawało tylko skopiowanie CD z muzyką. Okazało się, że w szkole skończył się zapas płyt, zaproponował więc krótką wizytę u siebie w mieszkaniu.

Po drodze kupili chińskie jedzenie na wynos i butelkę wina. W domu ona zajęła się przygotowaniem kolacji, on kopiowaniem utworu. Usiedli przy stole w kuchni, wzniesli toast za flamenco i przyszły występ Ani. A potem opowiedział jej o swoim pomysle...

– Nie wiem, co z tego wyjdzie, może nic. Ale... jeśli się zgodzisz... możemy w Poznaniu, podczas kolejnych warsztatów, nad tym popracować. Wybralibyśmy teraz muzykę – zapalał się coraz mocniej – zaczęlibyśmy od jednego utworu. Każde z nas przygotowałoby własną choreografię, we własnym języku, ty – klasycznym, ja – flamenco, i zobaczymy, co z tego wyniknie. Co ty na to?

– Super! Tylko nie wiem, czy dla mnie... Mam jedynie szkołę podstawową...

– Przecież nie mówimy o *Jeziorku łabędzim*! Gdybym cię nie widział, nie proponowałbym ci tego. Wiem nawet dokładnie, od którego utworu powinniśmy zacząć pracę!

Podszedł do półki z płytami, chwilę na niej czegoś szukał, po czym wrzucił dysk do odtwarzacza. Paco de Lucía. Przerzucał się z utworu na utwór, w końcu popłynęła *Mantilla de feria*... Wysłuchali jej w skupieniu. Potem puścił ją jeszcze raz i jeszcze. Ania zdjęła buty, zaczęła tańczyć.

Ostrożnie, biorąc pod uwagę ograniczenia przestrzeni, raczej sprawdzając, czy pewien ruch jest możliwy. Oczy jej błyszczały. Paco patrzył na nią i zachwycał się coraz bardziej. Miękkie prowadzenie dłoni, tak bliskie flamenco, a tak bardzo u niej klasyczne, niemal go rozczulało. I wyprowadzanie nogi, prostowanie stopy... Stał obok, by jej partnerować. Zauważyła to, podeszła bliżej i pewna, że w razie niepowodzenia ją przytrzyma, zaczęła kręcić piruety: jeden, drugi, trzeci... Przy czwartym straciła równowagę, znalazła się w jego ramionach. I nagle muzyka stała się tylko tłem.

Płyta dawno przestała grać, a oni, nadal pozostając w jej rytmie, tworzyli własną, cichą choreografię. Przyszła do nich w tak naturalny sposób, że nie mieli innego wyjścia, jak się jej poddać! Teraz zmęczeni leżeli, trzymając się za ręce. Wsłuchani we własny rytm powracali powoli do rzeczywistości.

Paco wstał, otworzył okno, wpuścił szmer fontanny z dziedzińca. Zapalił papierosa i usiadł na fotelu. Patrzył na Anię jak na piękne dzieło sztuki. Pod wilgotną skórą uwypuklały się jej idealne mięśnie, drobne piersi unosiły się rytmicznie w górę i w dół. Podeszedł do niej i pocałował w ramię. Spojrzała na niego z uśmiechem, przyzwoleniem, zagarnęła do siebie. Więc jeszcze raz, w ciszy, delektował się chwilą, którą nieoczekiwanie los mu zesłał.

Potem Ania poszła do łazienki, wzięła prysznic, on zrobił jej kopię kolejnej płyty, wyjął z lodówki dwa piwa, otworzył. Chłodząc się nim, jakby nic się nie stało, wrócili do przerwanej rozmowy o projekcie, umówili się na próby w Poznaniu. W końcu odprowadził ją na przystanek autobusowy.

Spojrzał na zegarek: zbliżała się północ, do Ewy już nie było sensu dzwonić. Zresztą i tak rano mieli się spotkać. Wrócił do siebie.

Leżąc w łóżku, jeszcze raz wysłuchał *Mantille*...

– Tak – powiedział głośno. – To dobry pomysł. Jeśli coś z tego wyjdzie, to będzie jej utwór, na jej popis. Na puentach. Koniecznie na puentach i w paczce. Jak baletnica z obrazów Degasa.

Uśmiechnął się do marzeń. Zasnął.

Rano obudziło go stukanie do drzwi. Zerwał się nieprzytomny, założył szlafrok, otworzył. W progu stała Ewa.

– Jeszcze śpisz? – zapytała. – To nie budź się, proszę. Bardzo chcę jeszcze pod kołderkę.

Rzuciła torebkę na krzesło w przedpokoju, rozebrała się i pobięła do łóżka. Spojrzał na zegarek. Zasnął. Obiecał jej śniadanie i wycieczkę po Barcelonie. Ale... skoro... ona woli poleżeć? Dołączył do niej. Wstali, gdy dzwony okolicznych kościołów obwieszczały dwunastą.

Zupełnie nie chciało im się wychodzić, ale przeleżeć cały dzień to też nie był dobry pomysł. Zamiast zwiedzania zaproponował popołudniowy spacer brzegiem morza. Przedtem – obiad w jego własnym wykonaniu.

Zajrzał do lodówki i zamrażarki. Wszystko było pod ręką. Zabrał się do gotowania. Ewa przeglądała płyty. Najpierw włączyła to, co było w odtwarzaczu. Paco po pierwszym utworze poprosił, by poszukała czegoś innego. Nie powiedział jej o Ani, o pomysłach, jaki się wczoraj zrodził. Ale coś go ukłuło w sercu, kiedy przypomniał sobie, jak się z nią kochał. Jakie to było inne! Takie normalne, naturalne, oczyszczające. Sztuka dla sztuki, nic więcej. I to jej niezwykle ciało, takie naprężone, a jednocześnie kruche, nieprawdopodobne... I krótka czupryna, figlarnie opadająca na oczy...

– Hej, coś się przypala! – krzyknęła Ewa. – Nad czym się tak zamyśliłeś?

– Ach, wiesz, Ángel do mnie wczoraj dzwonił – skłamał. – Marco zostanie w szpitalu dłużej, niż myśleliśmy.

– Marco? Jaki Marco? – zapytała.

– Cajonista. Z naszego zespołu. Mówiłem ci, że za miesiąc zaczynam koncerty z nowym programem. Chłopak się rozchorował i teraz nie wiemy: czekać na jego powrót czy szukać zastępstwa?

– Kiedy te koncerty? – zapytała z niepokojem.

– Evita, spokojnie! Nie zostaniesz na pół roku sama. Zresztą, jeśli tylko będziesz chciała, pojedziesz z nami.

Wrócił do obiadu. Wylał spalony tłuszcz, umył patelnię, wysuszył i zaczął od nowa. Ryż,

przyprawy, warzywa, kurczak w kawałkach. Pamiętał, z jakim obrzydzeniem patrzyła na *paellę* w restauracji, kiedy okazało się, że mięso jest z kośćmi. Teraz więc starannie wszystko oczyścił, drobno pokroił i zaserwował jej taką zmodyfikowaną wersję. Do tego wino, którego butelkę przyniósł z łazienki. Stało tam od kilku dni, ledwo napoczęte, na szczęście było porządnie zakorkowane. Spróbował – smakowało dobrze. Taką samą *paellę* przygotowywał dla Anny, też nie lubiła dużych kawałków mięsa i nadmiaru tłuszczu...

Ewa po długich poszukiwaniach zdecydowała się na płytę Tomatita. Przygrywał im teraz do obiadu razem z mistrzami jazzu. Miała na sobie szlafrok. Jeden z dwóch wiszących przy kabinie prysznicowej.

– Dlaczego właściwie masz dwa szlafroki? – zapytała, siadając do stołu.

– Jeden jest mój, a drugi Pabla – wyjaśnił.

– Pabla? A któż to znowu? Nie za dużo facetów jest wokół ciebie? – zażartowała.

– Można by tak pomyśleć. Ale, jak zauważyłaś, nie mam problemu z akceptacją kobiet, a z jedną lubię nawet być dość często i blisko...

– Och, to może jesteś biseksualny? Wśród artystów to chyba nie jest aż takie rzadkie?

– Nie jest. Ale Pablo też, o ile mi wiadomo, woli kobiety. Razem wynajmujemy to mieszkanie.

– Znowu zagadka. Jak możecie wspólnie tu mieszkać i kochać kobiety? Czworokąty?

O co chodzi? – nie odpuszczała.

– Evita, słonko ty moje... – zaczął spokojnie tłumaczyć. – Mieszkania w Barcelonie są bardzo drogie. Mój dom jest na obrzeżach. Kosztuje miesięcznie mniej niż ta kawalerka. Rozumiesz? Ale czasami potrzebuję przespać się tu, w mieście. Dogadałem się z Pablem. Pracujemy w tej samej szkole. Żaden z nas nie jest w Barcelonie non stop. Na ogół się wymieniamy. Każdy z nas ma swoją pościel, swoje ręczniki, swoje gacie i koszule. Jeśli musimy nocować w mieszkaniu w tym samym czasie – wyciągamy dodatkowy materac spod łóżka. To wszystko. Uroczyście ci przysięgam, że nie śpimy ze sobą. A ten szlafrok na tobie jest akurat mój.

– A dlaczego nie poznałam Pabla?

– Bo teraz jest na Majorce. W czasie wakacji wynajmujemy to mieszkanie. Za czynsz. Znajomym. W tym miesiącu na chwilę wynająłem je sobie. Żeby być z tobą. Wiesz już wszystko?

Kiwnęła potakująco głową.

– No to bierzmy się do jedzenia, bo nie ma nic gorszego niż *paella* na zimno.

Zjedli, dokończyli wino. Była piąta, kiedy wychodzili z mieszkania. Nad morze poszli na piechotę. Było niedaleko. Obok Kota z Raval Ewa znacząco się uśmiechnęła. Paco pomyślał, że pewnie w ten sposób dała mu znać, że go jeszcze zdobędzie.

Morze lekko burzyło się od wiatru. Podwinęli nogawki od spodni i brodząc po kostki w wodzie, pomaszrowali dalej. Spojrzał na Ewę: wpatrywała się w fale, jakby tylko one istniały. Gdyby zniknął, nawet by tego nie zauważyła. Spróbował coś do niej powiedzieć – nie usłyszała. Była w innym świecie. Szli więc w milczeniu tak długo, aż sama zdecydowała, że to koniec drogi. Znaleźli się przy Złotej Rybie i tam zawrócili. Jeszcze kawałek plażą, a potem wspięli się schodami na bulwar La Barceloneta. Ewa niemal cały czas miała twarz zwróconą do morza. Odwróciła się do Paco dopiero w pobliżu Muzeum Morskiego. Ręką pokazała na Cabeza de Barcelona, Głowę Barcelony, rzeźbę zdobiacą promenadę portową.

– Wygląda, jakby ją zrobił Miró – powiedziała.

– Też tak myślałem. Okazało się, że to projekt Roya Lichtensteina. Kiedy Barcelona szykowała się do olimpiady, pojawiło się wiele rzeźb. Czasami dziwnych. – Uśmiechnął się. – O, widzisz? – wskazał na dzieło stojące kawałek dalej. – Takich jak ta Krewetka, na przykład. Maskotka igrzysk.

– Dużo wiesz o Barcelonie – stwierdziła.

– To chyba normalne, że chcesz znać miasto, w którym żyjesz?

Przygarnął ją do siebie, pocałował w policzek. Nie wzbraniała mu tego, choć przecież w pobliżu mogła być któraś z koleżanek. Przyjął to za dobrą monetę.

– Moglibyśmy gdzieś usiąść na kawę? – zaproponowała.

Poszukali więc miejsca, usiedli, zamówili, co chciała.

– Evita – zaczął Paco, kiedy kelner ustawił wszystko na stole. – Kończy się twój czas w Barcelonie. Co postanowiłaś w związku z nami?

Ewa uważnie spojrzała mu w oczy. Prawą ręką zgarnęła lok, który opadł mu na czoło, pogładziła po policzku i dopiero po dłuższej chwili wolno odpowiedziała:

– Zostaję, Paco. Z tobą...

Natychmiast przesunął jej dłoń z policzka do ust i pocałował. A potem uśmiechnął się jak ktoś, komu подарowano gwiazdkę z nieba.

– Nawet nie wiesz, jaki jestem szczęśliwy. Kocham cię, *mi solete*. I pragnę. Jak nikogo.

– Paco... a teraz chcę już jechać do hotelu. To był długi dzień. Jestem zmęczona. Co robimy jutro?

– Zaczniemy od śniadania. Jak dzisiaj.

– Jak dzisiaj? – Zaśmiała się.

– No nie, już nie zaśpię. Obiecuję. Przyniosę bułki, zrobię kawę. I tak dalej. Na którą wszystko ma być gotowe?

– Będę po śniadaniu. O dziesiątej. Poproszę tylko o kawę. Nie lubię tej hotelowej. A teraz już mnie odprowadź na przystanek. Dobrze?

Przywołał gestem kelnera, uregulował rachunek, wstali. Patrzył na nią i nie wierzył. Mimo wszystko nie wierzył, że za kilka dni będzie ją miał dla siebie na zawsze.

Następnego dnia wstał wcześniej rano. Poszedł na targ, kupił świeże kwiaty i owoce. I szampana. Pomyślał, że trzeba koniecznie uczcić to, co wczoraj usłyszał. Szybko posprzątał pokój, sprawdził, czy w łazience o niczym nie zapomniał. Ustawił nowe świece na podłodze, poprawił ręczniki, na szeszlony rzucił jedną różę. Czuł się jak przed pierwszą randką. Denerwował się. Było to irracjonalne, ale nie umiał się opanować. I ciągle w myślach powtarzał: „Jest moja, Ewa jest moja, mój promyczek...”

Parę minut po dziesiątej otwierał jej drzwi i już w progu całował.

– Nie wiem dlaczego – szepnęła – ale bałem się, że nie przyjdiesz.

Uśmiechnęła się, pogładziła go po twarzy jak kilka godzin wcześniej. Poważnie patrząc mu w oczy, oznajmiła:

– Paco, ja już zostaję. Z tobą. I jeśli ty mnie nie opuścisz, nigdzie nie odejdę. Rozumiesz?

Trochę mu oczy zwilgotniały, gdy to usłyszał. Pocałował ją w czoło, w oczy i zaprowadził do stołu. By ukryć wzruszenie, natychmiast zajął się przygotowywaniem kawy.

– Na wieczór mamy szampana. Żeby to uczcić – stwierdził.

– A teraz... co będziemy robić? – zapytała.

– Chciałbym najpierw pokazać ci najpiękniejszy teatr w Europie – Liceu⁶⁶.

⁶⁶ Gran Teatre del Liceu – jeden z największych teatrów w Europie (32 tys. metrów kwadratowych powierzchni, 2292 krzesła na sali głównej). Wybudowany w 1847 roku, dwukrotnie płonął – najpoważniej ucierpiał w 1994 roku. Po odbudowie utworzył swoje podwoje w 1999 roku.

– Pójdziemy na spektakl?

– Nie, ale można go zwiedzać jak muzeum. Z przewodnikiem.

– A potem?

– Potem dam ci wybór: jest wiele miejsc, które warto zobaczyć.

Do teatru mieli parę minut spacerem. Kupili bilety i poczekali na swoją kolej. Pięć minut później pojawiła się przewodniczka, przeliczyła grupę, zapytała, ile osób życzy sobie mieć tłumaczenie w języku angielskim i poszli schodami na górę.

Najpierw Sala Lustrzana wypełniona portretami kompozytorów i śpiewaków operowych. Przepychy zdobień utrudniał skupienie się na obrazach. Nie zatrzymali się tu na długo. Celem wycieczki była scena główna. Kiedy otworzyły się drzwi na widownię, Paco zauważył, że Ewa wstrzymała na chwilę oddech. Chyba nie spodziewała się takiego widoku. Parter i kilka pięter balkonów wypełniało ponad dwa tysiące foteli. W każdym oparciu monitor z możliwością wyboru języka tłumaczenia, bo właśnie tam puszczano transkrypcję libretta. Miejsca z ograniczoną widocznością wy-

posażono w telewizory. Specjalnie skonstruowane plafony nad widownią zmieniały swoje malunki wraz z tytułami oper. Ewa – widział to – przyglądała się wszystkiemu z zachwytem. Miał nadzieję, że wkrótce uda mu się zaproponować jej w tym miejscu jakieś przedstawienie. I właśnie od tego zaczął, kiedy znaleźli się ponownie na ulicy. Szybko ustalili, że jesienią, w nowym sezonie, muszą się wybrać na operę. Ewa nie mogła ochłonąć...

– Paco – powiedziała – czy możesz to sobie wyobrazić, jak ta sala wygląda, kiedy wszyscy zajmą swoje miejsca? Ponad dwa tysiące ludzi! Wszystkie balkony. Boże! Tu tak wiele osób chodzi na spektakle?

– No, chodzi – przyznał. – Kiedy trwa sezon, wieczorem jakaś część La Rambli pustoszeje.

– Mój Boże – westchnęła. – Gdyby tak się udało usłyszeć tutaj Plácida Dominga!

– Może się uda, zobaczymy. Wiele gwiazd tutaj występuje... To teraz dokąd? – zmienił temat.

– Chciałabym zobaczyć dzielnicę żydowską... – poprosiła.

Prześli La Ramblę, zagłębili się w Barri Gòtic i po chwili mijali domy, które przed wiekami zajmowała społeczność *aljama*⁶⁷⁾. Trudno było się zorientować, gdzie przebiegały granice El Call. Krążyli między katedrą a Placą de Sant Jaume, szukając śladów jej historii.

⁶⁷⁾ *Aljama* (czyt. *alhama*) – określenie innowierców, w XI wieku odnosiło się zarówno do Żydów, jak i Arabów. Barcelonę Żydzi zamieszkiwali od IX stulecia. Ich dzielnicę nazywano El Call.

Potem wrócili przed operę. Niedaleko ustawił się, niezmiennie fascynujący Paco, facet w złotym garniturze. Znaleźli w jego pobliżu knajpkę, zamówili grillowanego tuńczyka i piwo. Po oddychali atmosferą ulicy nabierającej wieczornego pędu i wrócili do swojego Raju.

Paco włączył muzykę, przygotował kąpiel, zapalił świece. Kiedy Ewa zanurzyła się w pachnącej pianie, wyjął z lodówki *cavę* i poszedł do niej. Bez słowa otworzył butelkę, napełnił kieliszki. Pablo Alborán akurat śpiewał swój największy przebój, *Solamente tú*:

...Tú y tú y tú y solamente tú,

Haces que mi alma

Se despierte con tu luz

Tú y tú y tú...⁶⁸⁾

⁶⁸⁾ *Tú y tú y tú...* – ty i ty, i ty, i tylko ty / sprawiasz, że moja dusza / budzi się do życia / ty i ty, i ty...

Spojrzał głęboko w jej oczy.

– Eva... Evita, tylko ty... Za nasze życie! – wzniosł toast.

A potem Ewa powiedziała: „chodź do mnie”, zdjął więc ubranie, usiadł naprzeciw i patrzył. Po cichu pili szampana. I kochali się przy świetle świec jakoś inaczej, odświeżenie. Jakby to kochanie wiązało ich życia na zawsze, jakby z dwóch światów czyniło jeden.

Była późna noc, kiedy Ewa postanowiła wracać do hotelu. Tym razem nie pozwolił jej samej jechać autobusem, wsiedli razem do taksówki. Już się żegnali, gdy sobie przypomniał:

– Evita, jutro od rana mam próbę. Zapomniałem ci wcześniej o tym powiedzieć.

– Ja mam wieczorem kolację z dziewczynami. Czyli nie widzimy się? – zapytała.

– Nie wiem, co wolisz: zwiedzać dalej Barcelonę czy wpaść do mnie do szkoły? Będę tam na pewno do drugiej. Potem możemy coś zjeść razem.

– A tę próbę musisz mieć?

– Muszę. Ángel wyjeżdża na kilka dni, ja też chcę mieć wolne ze względu na ciebie.

– To może wpadnę. Nie wiem o której. Muszę się wyspać. To przede wszystkim.

Pocałował ją, zwolnił taksówkę, postanowił wracać do domu na piechotę.

Nocą powietrze Barcelony stawało się lekkie, czyste. Szedł, patrzył na grupy rozbawionej młodzieży przelewającej się między kawiarniami, klubami, dyskotekami i zastanawiał się, jak to teraz będzie. Pojutrze miał zabrać Ewę z hotelu, dostał wreszcie to, o czym marzył od tak dawna. Nigdy o żadną kobietę tyle czasu nie zabiegał. Nawet o Annę. Ale z Anną wszystko było inaczej. Jak? No właśnie – jak? Przez chwilę szukał właściwego słowa... Z Anną było... prościej. Tak... Prościej i naturalniej. Spotkali się i od razu byli. Czy to coś znaczy?

Wyjął telefon. Nie sprawdzivszy godziny, wybrał numer Ángela. Odebrał natychmiast.

– O, Paco! – zdziwił się. – Coś się stało?

– Nie, wszystko dobrze – uspokoił przyjaciela. – Chciałem ci tylko powiedzieć, że jutro, no... dziś już raczej – poprawił się – poznasz Ewę.

– To ta z Tibidabo?

– Coś ty! Ewa... Ta, o której ci opowiadałem. Że chciałbym, żeby została...

– No wiem, ale była też jakaś na Tibidabo.

– To nie ta. I lepiej, żebyś w ogóle o niej nie wspominał. Ewę zobaczysz jutro. Prawdopodobnie będzie na próbie. Trzymaj język za zębami, proszę. Ja w sumie nie wiem, na ile ona rozumie hiszpański.

– Dobrze, dobrze. Nic nie powiem. Przecież chcę twojego szczęścia, nie? – Zaśmiał się serdecznie. – Ale to może wolisz nie mieć tej próby?

– No co ty! Praca to praca. Im szybciej się do tego przyzwyczai, tym lepiej. Wszystko tak, jak wcześniej było uzgodnione. Pojutrze ją zabieram do siebie i przez tydzień na pewno nie będziemy się spotykać. To do jutra. Cześć.

– Cześć, szczęściarzu! Uważaj na siebie. Jakby co, będę gadał po katalońsku, tego na pewno nie zrozumie!

Był już na swojej ulicy. Szybko przebył odcinek dzielący go od bramy, wbiegł na trzecie piętro, otworzył drzwi, rozebrał się w przedpokoju i rzucił do łóżka. Dopiero teraz poczuł potworne zmęczenie. Zasnął natychmiast.

Rano dziękował Bogu, że jeszcze przed wyjściem z Ewą nastawił budzik, bo inaczej by nie wstał. Był tego pewien. Szybki prysznic, kawa z magdalenką i już pędził do szkoły. Przy drzwiach zastał Ángela. Przepraszył za spóźnienie, przebrał się, zaczął rozgrzewkę. Nogi, kark, ręce. Ángel w rogu sali stroił gitarę.

– Dobra – zawołał po chwili. – Jestem gotowy. Zaczynamy od *alegrías*. *Un-dos-tres*... – rozpoczął liczenie.

Kilka akordów wstępu i popłynęła melodia. Po kilku taktach przerwał ją niezadowolony z własnej choreografii. Coś spróbował na „sucho”, jeszcze raz i jeszcze... I zaczęli wszystko od początku.

Mniej więcej po dwóch godzinach pojawiła się Ewa. Nie przerwał próby, wzrokiem tylko dał znać, że ją zauważył. Usiadła z boku na krześle – tak, by nie przeszkadzać, ale i widzieć. Ćwiczyli dalej. Mozolnie budowali kolejne fragmenty, powracali do początku, sprawdzając, czy wszystko się zgadza. Paco był mokry od potu. W końcu zarządził przerwę i wtedy podszedł do Ewy.

– Dzień dobry, *mi solete!* Pozwól, że ci przedstawię Ángela, najlepszego gitarzystę w Barcelonie.

Uśmiechnęli się do siebie jak starzy znajomi, ucałowali.

– Ángel – kontynuował prezentację. – Oto światło mojego życia, Evita.

Zaczęli się śmiać. I o to chodziło. Żeby było wesoło i dobrze. Zmienił koszulkę, przemysł twarz, wypił parę łyków wody i wrócił do tańczenia. Teraz poszło lepiej. Po kolejnych dwóch godzinach stwierdził, że jakiś zarys utworu już mają, nad jego dopieszczeniem mogą popracować później, na kolejnej próbie.

Pożegnał się z Ángelem, nie zaproponował mu wspólnego obiadu, Ewie szepnął, że za pięć

minut będzie gotowy i zniknął w łazience pod prysznicem. Kiedy wyszedł, siedziała dokładnie tam, gdzie ją zostawił. Zamyślona. Uznał, że lepiej o nic nie pytać. Nie patrząc więc nawet w jej stronę, zawołał:

– Idziemy? Jemy w knajpie czy w domu?

– W domu – odpowiedziała. – Mamy dziś mało czasu dla siebie. Wieczorem jestem umówiona z dziewczynami. Pamiętasz?

– To biegiem! – zarządził.

Po drodze zrobili szybkie zakupy, bo lodówka świeciła pustkami. Najpierw nacieszyli się sobą, potem Ewa przygotowała sałatkę ze świeżych warzyw i tuńczyka, wypili odrobinę wina.

Kiedy został sam, poczuł się znowu zmęczony.

„Intensywne to moje życie ostatnio – pomyślał. – Dobrze, że jutro wszystko się zmieni. Ciekawe, jak kot Anny zareaguje na Ewę?...”.

Rano zdjął pościel do prania, spakował zużyte ręczniki, ubrania, do drugiej torby włożył jedzenie z lodówki. Wyłączył wszystko, zamknął drzwi, poszedł do garażu, który był oddalony o kilkadziesiąt metrów od kamienicy.

Po Barcelonie nie jeździł własnym samochodem. Wszystko trwało tu bardzo długo i trudno było w ciągu dnia o miejsca parkingowe. Najszybsze okazywało się metro i z niego korzystał najczęściej. No ale teraz musiał zawieźć do siebie Ewę, jej bagaże, rzeczy stąd. Było tego sporo. Spojrzał na zegarek. Miał jeszcze trochę czasu. Zadzwoił do sąsiadki, która zawsze opiekowała się kotem, kiedy wyjeżdżał, by uprzedzić, że La Gata⁶⁹⁾, jak mówiła Anna, dzisiaj wróci do siebie.

⁶⁹⁾ *La Gata* – kot, właściwie kocica

Anna nie dała kotu imienia. Uważała, że nie powinna. Dlaczego? Nie rozumiał. Zostało tak, jak chciała. Kot i tak na „imię” nie reagował. Nie miało to więc żadnego znaczenia. Był z nim jeden problem: przyzwyczał się, że jest najważniejszy w domu. Znosił sąsiadkę, rozumiał, że czasami musi być właśnie z nią, ale kiedy zjawiał się Paco, świat ograniczał się do ich dwojga. Na trzecią osobę La Gata syczała, zawsze była zazdrosna.

Zastanowił się, czy wszystko zabrał. Kwiaty! Zapomniał o kwiatkach. Miał jeszcze chwilę, wysiadł z samochodu, pobiegł na rynek po róże. Nie było żółtych. Wziął jasnorożowe. Trudno. Coś wymyśli. Jakies usprawiedliwienie. Usprawiedliwienie? Nie, bez sensu! Przecież nie obiecywał, że zawsze będą tylko żółte...

Wskoczył do samochodu, pod hotel zajechał równo o dwunastą – tak jak byli umówieni.

Ewę zobaczył w barze. Siedziała nad filiżanką kawy. Podeszedł, położył kwiaty na stoliku, pocałował w policzek, usiadł na fotelu obok. Spojrzała na niego z uśmiechem.

– Gotowa? – zapytał.

– Tak. Możemy jechać. Dziewczyny pewnie już lądują w Poznaniu. – Sięgnęła po bukiet, powąchała, musnęła wargami delikatne płatki.

Kawę zostawiła niedopitą. Wziął jej walizkę i plecak. Słońce grzało tak samo mocno jak pierwszego dnia, kiedy przyjechała. Miało się wrażenie, że wszystko zaraz się spali. Poprowadził ją do samochodu, zapakował bagaże, otworzył drzwi, by mogła usiąść, i ruszyli.

Z powodu zatłoczonych ulic podróż zajęła im około dwóch godzin. Choć ciągle administracyjnie byli w Barcelonie, po dotarciu na miejsce Ewa nie ukrywała zdumienia.

– Zupełnie jak na wsi! – powiedziała.

– Tak, dlatego bardzo lubię to miejsce. Miasto niemal za zakrętem, a tu spokój, cisza. Wszyscy się znają, wszyscy uśmiechają. Będziesz się czuła jak w rodzinie. Tylko... – zawiesił głos na chwilę – czeka cię mała przeprawa.

– Przeprawa? Co to znaczy? – zapytała lekko zaniepokojona.

– Kot.

– Kot? – nic nie rozumiała.

– Mam kota. Bardzo do mnie przywiązanego i bardzo zazdrosnego o innych. Pewnie będzie potrzebował czasu, by się do ciebie przyzwycząić.

Zaczęła się śmiać.

– No tak. Jeśli to dziewczyna, to może szybko zrozumie, że stawianie wszystkiego na ostrzu noża nie bywa sensowne, a jeżeli facet – to raczej ty będziesz miał problem, nie ja...

– Dziewczyna.

– Tak czy inaczej, wiele zależy od ciebie.

Wysiedli, zamknęli samochód, stanęli pod domem.

Rząd jednakowo wyglądających drzwi i podjazdów. Cała ulica szeregowo zabudowana.

Z malutkim trawniczkiem przed wejściem, krzakiem lub drzewkiem na granicy każdej działki. Jedne z tych drzwi wiodły do niego. Ewa rozglądała się z zaciekawieniem, czekając, aż Paco rozładuje bagażnik. Nagle przy jego nogach zaczął miauczeć rudy kot. Wziął go na ręce, przytulił, pogłaskał, ucałował.

– To La Gata – przedstawił Ewie. – Na razie zlekceważ ją. Nie zauważaj, dopóki sama nie wskoczy ci na kolana.

– Ładna.

– I bardzo stęskniona.

– Co z nią robisz, kiedy wyjeżdżasz?

– Mariza się nią opiekuje. Sąsiadka. Jedyna kobieta, którą toleruje.

Weszli do środka. Prosto z korytarza do salonu. Jasnego, z wielkim, rozsuwanym oknem i widokiem na mały ogród – można było się tam dostać przez drzwi w kuchni. Ta ostatnia, tak jak w mieszkaniu w El Raval, była oddzielona od pokoju jedynie niewysokim murkiem. Większa niż tamta, z dużym stołem jadalnym, ale tak samo laboratoryjnie sterylna. Salon skromnie wyposażony. Telewizor, wieża, stolik, kanapa, dwa fotele. Kilka książek na podłodze, stojak na płyty.

Otworzył drzwi do ogrodu. Pierwsza przez nie wyskoczyła La Gata, za nią poszła Ewa.

Usiadła przy stole pod drzewem.

– Chcesz czegoś do picia? – zawołał.

– Nie, nie, dziękuję!

– Rozejrzyj się po domu – zaproponował – a ja pójdę do Marizy podziękować za opiekę nad kotem i zrobię zakupy, bo pusto w lodówce.

– Może zaprosz ją na kolację? – odpowiedziała.

– Dobrze, zaproszę.

Zamknął drzwi, uśmiechnął się do siebie i zapukał do sąsiadki. Otworzyła mu kobieta mniej więcej w jego wieku, ubrana w spodnie i cienką bluzkę na ramiączkach. Wycierała ręce w ścierkę do naczyń.

– Paco? – upewniła się, że dobrze widzi. – A już myślałam, że twój kot mi zginął. Miałam zaraz iść go szukać. Nie mówiłeś, o której wrócisz. Tak wcześnie za często ci się nie zdarzało...

– Kot już w domu. Chciałem ci podziękować za opiekę i zaprosić na kolację. Przyjdiesz?

– Coś się stało?

– Nie. Tak. Przywiozłem Ewitę. Chcę ci ją przedstawić.

– Zostaje z tobą?

– Wygląda na to, że tak. Przyjdź o ósmej. Jeszcze nie wiem, co będzie, ale coś wymyślę. Pa! – zakończył.

W sklepie stanął między półkami i nie mógł przez dłuższą chwilę na nic się zdecydować. Wahał się między mulami a mięsem. W końcu sięgnął po niezbyt tłuste żeberka. Zrobi je na dziko, pieczone w sosie musztardowo-miodowym. A przedtem krewetki w porach, z majonezem. Do koszyka dołożył owoce, sery, szynkę, dobrą kawę, dwie butelki białego wina, dwie butelki *cavy*, a po chwili zastanowienia – czerwoną rioję, jedzenie dla kota, lody, polewę czekoladową, kilka opakowań *crema catalana*, oliwki, pieczywo.

Wrócił do domu po godzinie, obwieszony siatkami. Ewę zastał dokładnie w tym samym miejscu, gdzie się z nią żegnał: na krześle w ogrodzie. Ku swojemu zdumieniu zobaczył, że na jej kolanach śpi, całkiem tam zdomowiona, La Gata.

– Cały czas tu przesiedziałaś? – zapytał po odłożeniu siatek w kuchni.

– Cały. Zaprzyjaźniałam się z kotem. Czas niezarnowany.

– No, widzę, widzę. – Uśmiechnął się. – Trudno w to uwierzyć, ale widzę. Masz ochotę tym

razem coś wypić? Coś zjeść? Kolacja dopiero o ósmej.

- Lody bym zjadła, ale chyba nie masz.
- Czy waniliowe z polewą czekoladową mogą być?
- Żartujesz? Kupiłeś?
- Tak. Odczytałem twoje myśli...

Po kilku minutach siedział obok niej i patrzył, jak wyjada to, co dostała w miseczce. A potem zaprowadził ją na piętro, by mogła oswoić tamtą przestrzeń, rozpakować walizkę. Jedną komodę w garderobie szybko opróżnił ze swoich rzeczy, zdjął z wieszaków kilka koszul. Patrzył, jak wypełnia miejsca swoimi ubraniami. Pomyślał, że wkrótce będą musieli pójść na jakieś zakupy. Nie może przecież ciągle chodzić w tych samych ciuchach! Na koniec pokazał jej łazienkę. Tak samo obszerną, jak tamta w centrum miasta. Zamiast szezlonga – fotel. No i jeden szlafrok na wieszaku. To cała różnica. Okno wychodzące na ogród, kwiat obok fotela i mały stolik na gazety i książki. W jednym rogu trójkątna wanna, w drugim – kabina prysznicowa. Lustro od sufitu po podłogę, zamontowane między umywalką a drzwiami wejściowymi. Drugie, ruchome, blisko kranu... Ściany, sufit, podłoga w różnych odcieniach grafitu i szarości. Chłodne. W sam raz na to słońce na dworze.

Patrzył, jak wodzi palcami po półkach, ścianach. Jak się przygląda. Próbował spojrzeć na swoje królestwo jej oczami. Czy dobrze będzie się tu czuła? Co zmieni? Bo to było wnętrze męskie, tylko jego i dla niego. Nie był w stanie odgadnąć z wyrazu jej twarzy, o czym myśli. Zapytała tylko, czy może zająć część półki nad umywalką i szybko rozłożyła tubki z kremami. Malutkie. Turystyczne. Takie na dwa tygodnie.

Pomyślał o kolejnym wydatku równie ważnym, jak ubrania. To jeszcze pamiętał z czasów Anny. Kosmetyki.

– Jutro zainstaluję dodatkową półkę dla ciebie – zadeklarował. – I może kupimy jakąś szafkę do łazienki? Żeby ci było wygodnie?

- Jest wygodnie. Nie zaczynamy naszego życia od mebli – powstrzymała go.
- No dobrze – przystał. – Ale jak już się tym umęczysz, to powiedz. Wtedy kupimy.

Podał jej czyste ręczniki i zostawił samą. Musiał przygotować kolację.

Tak się bał tego pierwszego dnia! A tu wszystko toczyło się tak, jakby Ewa wróciła po prostu do domu z dalekiej podróży. Otworzył butelkę wina, nalał sobie kieliszek, upił łyk, włączył muzykę i zabrał się najpierw do rozpakowywania siatek, a potem szykowania jedzenia.

Punktualnie o ósmej zapukała do drzwi Mariza. To było do niej niepodobne. Zawsze spóźniała się piętnaście minut, pół godziny. Musiała być bardzo ciekawa Ewy i chciała chyba zrobić na niej dobre wrażenie.

Usiedli w ogrodzie – było zbyt pięknie, by zamykać się w domu. Zaczęli od szampana. „Za nowy początek!” – jak powiedział, wznosząc toast. Później wrócił do kuchni. Kiedy mógł wreszcie na dłużej zająć swoje miejsce przy stole, z zadowoleniem zauważył, jak dziewczyny z każdą minutą dogadują się coraz lepiej, jak oczarowują siebie nawzajem. Był pewien, że się polubiły. Mógł już spokojnie myśleć o powrocie do pracy, o dniach, kiedy Ewę zostawi tu samą.

Kolejne dni mijały właściwie jednostajnie: mościli swoje gniazdko, kochali się, kiedy tylko mieli na to ochotę, dbali o przyjemności duże i małe, świętowali swoje nowe życie. Pokazał jej najbliższą okolice, poznał z kilkoma sąsiadami. Nie burzył nastroju opowieściami o normalnym trybie jego życia. Wiedział, że zaakceptowanie tego może być dla niej na początku trudne. Czasami pytał, co chciałaby robić, czym się zająć zawodowo? Sugerował, że wolny pokój obok sypialni mógłby przerobić na gabinet, jeśli tylko będzie chciała. Prosiła, by nie poganiał, by dał jej czas na zastanowienie...

Tydzień przeleciał nie wiadomo kiedy. W niedzielę obudził ją kawą i rogiem z konfiturą przyniesionymi do łóżka.

- Rozpieszczasz mnie! – powiedziała z uśmiechem.
- Mam w tym swój cel.
- Jaki?
- Chcę, żebyś wiedziała, że z nikim ci nie będzie tak dobrze jak ze mną.
- I tak przez całe życie będziesz mi podawał śniadanie?

– Nie, bo przestaniesz to doceniać.
– Mądry chłopczyk! – pochwaliła. – Muszę wymyślić, w jaki sposób ja mam dogadzać tobie.

– Och, to nietrudne. Nieskomplikowane ze mnie urządzenie.

– Myślisz tylko o jednym! – zażartowała.

– Jak wszyscy faceci. Evita... – zmienił temat. – Jutro wracam do pracy.

– Pojadę z tobą. Powłóczę się po Barcelonie.

– Niemożliwe. Jeśli dobrze nam będzie szło na próbie, zostanę na noc i wrócę pojutrze wieczorem.

– A jaki to problem? Łóżka się pozbyłeś?

– Łóżka nie, ale mieszkania – owszem. Tak, jak ci mówiłem. Latem ono zarabia na siebie.

– No, a ty? Gdzie będziesz spał?

– U Ángela.

– A ja nie mogę?

– Nie. Nie ma miejsca.

– Skoro tak mówisz... Jakoś dam radę. Duża jestem.

– Kiedy wstaniesz, spójrz do lodówki i zastanów się, co ci dokupić. Dobrze? Wracając, wstąpimy do sklepu.

– Skąd wracając?

– Dzisiaj tu, u nas, jest pchli targ. Pomyślałem, że pójdziemy popatrzeć, może coś interesującego się trafi?

– Super. To zaraz się ubieram.

Rzeczywiście, śniadanie połknęła niemal w biegu. Pół godziny później zamykał już drzwi od domu. Rynek był niedaleko, sprzedawców nieprzebrana rzesza. Chodzili od stoiska do stoiska, oglądali rozstawione skarby, pytali o cenę, czasami próbowali się targować. W końcu wybrali stary skórzany fotel. Jak z angielskiego klubu dla gentlemanów. I stolik do kompletu, mały, na filiżankę kawy i gazetę. Do gabinetu Ewy. Bo chociaż jeszcze nic nie powiedziała, czy chce mieć miejsce tylko dla siebie, pomyślał, że na pewno ucieszy się z takiego prezentu. Wcześniej czy później. Każdy przecież chce mieć taki kąt, gdzie może się schować przed światem. Przekonał się o tym przy Annie...

Jakoś donieśli meble do domu, zatrzymując się co parę kroków, by odpocząć. Fotel był bardzo ciężki. Porządna przedwojenna robota. Nim wybrali się po kolejne zakupy, minęło więc trochę czasu.

Potem skorzystał z pomocy Ewy, by wnieść meble na piętro do pokoju gościnnego. Ustawił je przy oknie. Rozejrzył się dokoła.

– Evita, pomyśl, co tu dołożyć, by ci było miło. Lampa? Kanapa? Kwiaty? Biurko? Stół do pracy? Co chcesz. Za dwa tygodnie można znowu czegoś poszukać wśród staroci, ale możemy też pójść w coś zupełnie innego.

Widział, że jest zaskoczona.

– Paco? Bardzo chcesz mnie udomowić... – powiedziała.

– Udomowić?

– No tak. Żebym szybko stała się częścią tego świata – wyjaśniła.

– A na co czekać? Skoro zostałam? Skoro zdecydowałam się żyć ze mną? To chyba normalne, że chcę, byś jak najszybciej poczuła się tu jak u siebie? Co ja mówię! Jesteś u siebie! I chcę, żeby ci było wygodnie. Żebyś czuła się tu tak dobrze jak ja.

– Czuję się tu dobrze. Już ci mówiłam: mebli mi nie potrzeba.

– Ewa, musi tu być coś, co jest twoje. Może ty tego nie potrzebujesz, ale ja – tak. Bo inaczej mam wrażenie, że przyjechałam tylko na wakacje, na chwilę, że zaraz spakujesz walizkę i znikniesz. Chcę, żeby jak najszybciej to była nasza wspólna przestrzeń. Także materialnie wspólna. Za chwilę zacznę ci kupować nowe sukienki, kremy, szampony – wszystko, co ci jest potrzebne do życia. I cieszę się, że te rzeczy będą zakłócały mój dotychczasowy porządek. Że muszę już uważać, by nie użyć twojego dezodorantu przez pomyłkę.

– Dobrze. Masz rację. W takim razie jutro zajmę się tym pokojem. Jak ciebie nie będzie.

Mogę pomyszkować?

– Możesz. Możesz robić, co tylko chcesz.

Rano wyszedł, kiedy Ewa jeszcze spała. Zostawił na stole w kuchni kartkę, że w przerwie próby zadzwoni, że na siłę nie będzie na pewno w Barcelonie zostawał, że jeśli coś pójdzie nie tak, wróci jeszcze dzisiaj. I że... pięknie wygląda, kiedy śpi.

Po godzinie parkował samochód na swoim miejscu w garażu, w pobliżu mieszkania.

W szkole znalazł się przed resztą zespołu. Zostawił otwarte drzwi, przebrał się i zaczął rozgrzewkę. Pół godziny później pojawił się Ángel.

– I co? Jak nowe życie? – zapytał na powitanie.

– Świetnie! Choć trochę dziwnie.

– Bo?

– Bo dawno już nikogo nie miałem przy sobie tak każdego dnia. I przez cały dzień. I przez cały tydzień.

– Stary, to dopiero początek! Albo się przyzwyczaisz, albo uciekniesz. Nie ma innego wyjścia.

– Wiem. Pytasz, to odpowiadam. Nie jest łatwo. Ciągle muszę uważać, żeby nie użyć jej dezodorantu... – Zaczął się śmiać. – Trochę mi brakuje poprzedniej samotności. Trudno jest milczeć we dwojkę. A milczenie czasami lubię. Ale... przyzwyczaję się! Na pewno...

– A ona? Dobrze się z tobą czuje?

– Mam nadzieję! Robię, co mogę... – Zamyślił się. – Tak, robię, co mogę. Kocham ją.

Wczoraj zacząłem urządzić jej gabinet.

– Chyba zwariowałeś! – powiedział całkiem poważnie Ángel. – Trzeba było zacząć od jakiejś sukienki, perfum, pierścionka, a nie od razu gonić ją do roboty.

– Gonić do roboty? Co masz na myśli?

– Stary, jeśli szykujesz jej gabinet, to oczekujesz, że będzie z niego korzystać, tak? Książkę może czytać w salonie, w ogrodzie, nawet w kuchni. Gabinet to poważna sprawa. Sugerujesz, że chcesz, żeby zaczęła pracować.

– No, w sumie byłoby dobrze. Przecież nie może tylko podlewać trawnika, kiedy mnie nie ma, i biegać z odkurzaczem! Ona była bardzo aktywna zawodowo w Polsce.

– Jako kto?

– Jest prawnikiem. Była radcą prawnym w jakiejś firmie.

– I co? Tu ma też być radcą? W jaki sposób?

– Może inne rzeczy robić. Pisać, tłumaczyć...

– A pytałeś, czy chce? Daj jej czas, niech się zastanowi! Nie poganiaj.

– Czyli... co? Skopałem sprawę?

– Tego nie wiem. Ale meble sobie odpuść. Raczej po próbie idź do jubilera. Jakieś kolczyki albo co...

– Masz rację. Dzięki... Ale bałwan ze mnie! No dobra, wypijmy kawę i bierzmy się do roboty.

Poszedł do pokoju nauczycieli, wstawił czajnik z wodą, przygotował filiżanki dla całego zespołu. Kiedy wracał na salę z tacą, wszyscy już na niego czekali. Ustalili, od czego zaczynają, i zabrali się do mozolnego szlifowania repertuaru.

Pierwszy dzień po przerwie zawsze jest trudny. Paco miał kłopot ze skupieniem się, ciągle powracały mu w myślach słowa Ángela. Wiedział, że będzie mu się ciężko pracowało, dopóki nie naprawi tego idiotycznego błędu. Dlatego po kilku godzinach przeprosił wszystkich i zapytał, czy wieczorną próbę mogą odbyć nazajutrz, a kolejny dzień cały poświęcić na pracę, inaczej niż to pierwotnie planowali. Nikt nie miał nic przeciwko temu, zadzwonił więc do Ewy i powiedział o zmianach i swoim powrocie.

Prosto ze szkoły poszedł do jubilera. Sklep prowadziła jego dawna uczennica, mógł więc liczyć, że pomoże mu wybrać coś odpowiedniego. Na pierścionek było za wcześnie. Naszyjnik albo kolczyki. Tak postanowił. Najpierw spojrzał na wystawę. I już wiedział: na stojaku wisały, jakby

dla Ewy wymyślone, średniej wielkości koła z czerwonego złota. Właściwie nie koła tylko elipsy. Wszedł do środka, przywitał się z Juaną, zapytał, co by mu radziła na prezent dla ważnej dla niego kobiety. Niewiele się zastanawiając, położyła na tacy wyłożonej czarnym aksamitem kolczyki... z czerwonego złota, elipsy średniej wielkości... Uśmiechnął się w duchu, poprosił o zapakowanie. Po drodze kupił jeszcze różę. Czerwoną. Jedną.

Dwie godziny później wchodził do domu. Ewę zastał w ogrodzie. Z kotem na kolanach i książką. Książką Anny... Serce mu zabiło mocniej. Wziął głęboki oddech na uspokojenie i podszedł. Ucałował w policzek, położył przed nią kwiat i pudełko. Zdziwiona popatrzyła na niego, sięgnęła po prezent. Otworzyła i jeszcze raz spojrzała mu w oczy.

– A to z jakiej okazji? – zapytała.

– Jesteśmy razem od tygodnia – powiedział. – Chciałem ci za to podziękować. Podobają się?

– Bardzo! – Uśmiechnęła się. – Nawet wiem, gdzie je kupiłeś. Niedaleko szkoły, prawda? Oglądałam je. Chciałam je mieć. Dziękuję. I za to, że już jesteś również. I że jesteś w ogóle. Siadaj, przygotuję dla nas kolację.

Ucałowała go, założyła kolczyki i poszła do kuchni. Przyniosła mu lampkę wina i ponownie zostawiła samego. Kot, po chwili wahania, poszedł za nią. Paco spojrzał na książkę. Pierwsza powieść Anny. Pracowała nad nią, kiedy zamieszkali razem.

„Jakie to wszystko dziwne – zamyślił się. – Ze wszystkich kobiet na świecie musiałem wybrać tę podobną do Anny, ze wszystkich leżących tu polskich książek Ewa musiała wybrać akurat tę... Aniu, może to ty do mnie wróciłaś? Tak tęsknię za tobą. I tak bardzo próbuję o tobie zapamiętać...”

Ewa zjawiła się z talerzami. Pomidory, mozzarella, ocet balsamiczny, usmażone polędwiczki wołowe, bagietka, butelka wina... Smakowało mu. Strząsnął z siebie wspomnienia.

Do Barcelony wrócił nazajutrz po południu. Całą grupą ostro wzięli się do pracy, dobrze im szło. Późną nocą stwierdzili, że mogą już zrobić sobie przerwę do następnego ranka. Poszli razem jeszcze na piwo, a potem każdy w swoją stronę. Dopiero wtedy Ángel zapytał, co Paco kupił i jak na prezent zareagowała Ewa.

– Miałaś absolutną rację – powiedział. – Była zaskoczona, oczy jej się uśmiechnęły. To był piękny wieczór. Najpiękniejszy od tygodnia.

– Ech, ty znawco kobiet od siedmiu boleści. – Zaśmiał się Ángel. – Następnym razem pytaj prawdziwego eksperta.

– Taki z ciebie ekspert, a sam jesteś jak palec!

– To mój świadomy wybór.

– Akurat...

– Wiesz, ile czasu spędzam w podróży? Ponad dwieście dni w roku. Która by to wytrzymała?

– Ale miałbyś do kogo wracać.

– Za każdym razem musielibyśmy wszystko zaczynać od początku... Jeśli miałbym zacząć od nowa – Ángel zaczął żartować – to wolę to robić za każdym razem z inną dziewczyną, a nie ciągle z tą samą.

– A dzieci? – Paco zapytał poważnie.

– Nie stać mnie. Mam jeden pokój. W nim rodzina się nie zmieści.

„A mnie o co chodzi?! – zastanowił się Paco. – O kaprys? Chwilę czy życie? Co mogę dać Ewie? Czy ona to wszystko wytrzyma? Czy ona w ogóle wie, jak ja żyję? Z Anną było inaczej. Byliśmy młodzi, na początku drogi, bez przyzwyczajień. Zresztą, każde miało swoje sprawy, w których sobie nie przeszkadzaliśmy. A tu, ledwo wróciłem do pracy, już mam wyrzuty sumienia, że ona siedzi sama w domu, że pewnie się nudzi i żałuje swojej decyzji. I może tak jest. Anna brała mnie takiego, jakim byłem. Wiedziała, że jest najważniejsza, że wszystkie inne, które były, to tylko chwila, moment bez większego znaczenia. O nic nie pytała, ale przecież wiedziała, jestem tego pewien. Ja też nie pytałem o to, co się działo, gdy była osobno, daleko. A Ewa? Jak by zareagowała, gdyby dowiedziała się o Marcie, o Ani? Jak będzie znosić moje wyjazdy, podróże?”

– Hej, coś się tak zamyślił? – Trącił go w ramię Ángel.
– Tak jakoś... Może masz rację... – zaczął Paco.
– Mówisz tak po tygodniu? Ej, Paco, co jest grane?
– Nie wiem. Ale... Tak na nią czekałem, a teraz... Bardziej mi w sumie to życie ciąży, niż cieszę...

– Co?! – Ángel zatrzymał się zaskoczony tym, co usłyszał. – Nie rozumiem.

– Nie wiem, jak ci to wytłumaczyć – powiedział Paco. – Sam tego nie pojmuję. Nigdy o żadną kobietę tak nie walczyłem. Kiedy ją po raz pierwszy zobaczyłem, przypominała mi Annę. Coś miała w oczach takiego... kociego... jak Anna. I niezwykłą energię. Kiedy kochałem się z nią, wszystko stawało się jakieś niezwykle. *Duende*⁷⁰⁾ na mnie spływało. Nie śmieję się! Ten sam rodzaj magii, co w sztuce. Potem długo się nie widzieliśmy. Były tylko listy. Niezwykłe. Krótkie, ale pełne emocji, marzeń, nadziei. Nie wiem, może ja te listy pokochałem? Ona nie знаła dobrze hiszpańskiego, więc musiałem bardzo starannie dobierać słowa, precyzyjnie. Żadnej poezji. Rozumiesz? Ona też tak pisała. Ale mimo to były niezwykle. No i teraz, jak przyjechała z tą swoją grupą, też musiałem walczyć. O każdą godzinę. Takie trochę szczeniackie ukrywanie się przed innymi. Ale było w tym coś podniecającego. Jak bym za każdym razem spotykał się z inną dziewczyną. Ona chyba też nie wiedziała od początku, czy zostanie. Szarpała się. Ale to dodawało jej niezwykłego uroku: raz spięta, raz rozluźniona, potem zła, zdenerwowana... Wszystko minęło, kiedy grupa wróciła do Polski, a ona przeprowadziła się do mnie. Nagle złagodniała, stała się przewidywalna, wszystkie dni są takie same. No i nie wiem, co dalej. Jak to ułożyć, żebyśmy się nie zaczęli nudzić ze sobą. Wiesz, że potrzebuję trochę wolności. Teraz jestem z tobą, moglibyśmy pójść się zabawić tak, jak dawniej, a ja mam wyrzuty sumienia. Że będę pił, tańczył, śmiał się, a ona siedzi sama. Tylko z kotem i książkami. Ewentualnie z sąsiadką. Jak jestem z nią, nie myślę o tym, ale teraz... nie wiem, czy właśnie tego chcę.

⁷⁰⁾ *Duende* – rodzaj ekstatycznego przeżycia, emocja przypominająca katharsis.

– I ty to wszystko mówisz po tygodniu? – zapytał Ángel poważnie. – Wiesz co... żał mi jej. Tak jak cię lubię, to mam ochotę dać ci w pysk.

– Dlaczego? – Paco nic nie rozumiał.

– Sukinsynu, jesteś najbardziej egoistycznym draniem, jakiego spotkałem. Ty nie w niej się zakochałeś. Ty się zakochałeś w swoim marzeniu. Przez przypadek to marzenie ma na imię Ewa. Ty nie o nią się troszczysz. Nie myślisz o niej, tylko o sobie. Potraktowałeś ją jak zabawkę, której nie mogłeś dostać. Teraz masz, nacieszyłeś się i już jesteś gotów odłożyć na półkę. Mam nadzieję, że to ona pierwsza cię kopnie. Nie chcę o tym więcej słyszeć. I uszanuj to, bo inaczej do żadnego koncertu nie dojdzie.

Resztę drogi do mieszkania Ángela przebyli w milczeniu. Nie odzywając się też więcej do siebie, poszli spać. Rano – próba, potem przerwa i ciąg dalszy pracy.

„Może faktycznie to tylko marzenie, tym silniejsze, im mniej dostępne? Może powinienem kupić jej bilet powrotny do Polski? – myślał, jadąc wieczorem do domu. – Ale jak mam powiedzieć, że to pomyłka? A jeśli to nie pomyłka?”

Ewa czekała na niego z kolacją, radością w oczach i kieliszkiem wina. Zasypała go pytaniami o próby, o wieczór z przyjacielem. Nie bardzo umiał o tym opowiadać. Potem pozwolił, by go w wannie umyła jak dziecko, wymasowała plecy, ramiona, nogi. Poddał się też jej w łóżku. I to było zaskoczenie. Miła odmiana w dotychczasowym kochaniu.

Następny dzień rozpoczęli od wyprawy do sklepu. Obsypał ją prezentami i sprawiło mu to radość. Pomyślał, że to, co mówił Ángelowi, było wynikiem chwilowego zniechęcenia, złego nastroju, niczym więcej. Bo przecież, gdy przymierzała sukienki kupione przez niego, kiedy potem krzątała się po domu, pomagając przygotować stół do obiadu, cieszył się, że ją ma, że nie tylko kotu może opowiadać o wszystkim, co go zachwyca albo boli. Znowu był gotów walczyć o nią do ostatniego tchu, gdyby okoliczności tego wymagały. Zasypywał ją pocałunkami, nie mógł przejść obok, by jej nie dotknąć. Zasnęli wtuleni w siebie i dokładnie w takiej samej pozycji obudzili się nazajutrz. A po śniadaniu pojechali razem do Barcelony. On do pracy, ona zwiedzać miasto. Mieli spo-

tkać się dopiero wieczorem.

Cały dzień ciężko pracował. Sjętę ograniczył tylko do szybkiego obiadu. Koledzy przyjęli to ze spokojem. Wiedzieli, że im bliższy jest czas koncertu, tym bardziej Paco staje się nerwowy. Zresztą jego osobiste zawirowania sprawiły, że z dużym opóźnieniem zabrali się do prób. Mieli za niecały miesiąc wystąpić, a program był gotowy zaledwie w połowie. Pod koniec dnia umówili się, że cały następny tydzień poświęcają na pracę: od rana do nocy, bez żadnych usprawiedliwień.

Po próbie Paco przeprosił Ángela.

– Nie byłem sobą. Nie wiem, co mnie naszło – powiedział. – Bardzo kocham Ewitę. Chcę, żebyś o tym wiedział. Boję się zmian, jakie muszą nastąpić, to prawda. Może to dlatego?

– Okej. Niech będzie, że hormon szczęścia ci zaszwankował. Zapomnijmy o tym. Oczywiście możesz przez ten tydzień mieszkać u mnie.

Uścisnęli sobie dłonie na pożegnanie i rozeszli się. Paco wysłał esemes do Ewy z pytaniem, gdzie ją znajdzie. Odpisała, że przy kamiennym Kocie. Dzieliło ich od siebie kilka minut drogi. Zobaczył ją z daleka: krążyła wokół rzeźby jak za pierwszym razem.

– Nadal próbujesz się do niego dobrać? – zawołał, podchodząc.

– Kot nie będzie mi grał na nosie! – rzuciła w jego stronę.

– Mam czekać, aż wejdiesz, czy wracamy do domu?

– Wracamy, wracamy. Nasz kot pewnie już wszystko zniszczył z tęsknoty. A tego i tak zdobędę. Kiedyś.

Choć był bardzo zmęczony, dał się porwać emocjom. Obraz Ewy próbującej wspiąć się na Kota roztkliwiał go. Kiedy w domu zobaczył, jak bawi się z La Gatą, jak próbuje wynagrodzić jej pieszczotami godziny spędzone w samotności, pomyślał, że jest idiotą – bo tylko ktoś, kto postradał rozum, mógłby chcieć wyrzec się takiej kobiety. Szybko przygotował kolację, otworzył szampana. Ewa zapytała go wzrokiem, o co chodzi.

– Mija nasz kolejny tydzień – wyjaśnił. – Pomyślałem, że warto to uczcić.

Uśmiechnęła się, podeszła do fotela w salonie i z rzuconej tam torebki wyjęła pudełeczko.

– Chciałam ci to dać w niedzielę, ale skoro dziś świętujemy, to... proszę!

Rozwiązał wstążkę, podniósł wieczko. W środku był zegarek. Obejrzał dokładnie – na kopercie znalazł wygrawerowane imię: Ewa. Podeszedł do niej, pocałował. A potem wziął ją na ręce i zaniósł na górę do sypialni. Kolacja musiała zaczekać.

Tym razem z informacjami dotyczącymi pracy nie czekał do niedzielnego wieczoru. Jeszcze w piątek powiedział Ewie o planach prób, przeprosił, że będzie przez tydzień sama. Całe dwa dni więc nie rozstawali się nawet na chwilę, zrezygnowali z proszonej kolacji u sąsiadów, odwołali spotkanie z Marizą. Sycili się sobą, by wspomnień wystarczyło na długo. Paco walczył z wyrzutami sumienia, był zły na siebie, że choć przez chwilę mógł myśleć o Ewie jako o pomyłce. Dawno nie czuł się tak spełniony, tak uspokojony właśnie ową przewidywalnością czasu, na którą niedawno narzekał.

Z prawdziwym żalem wyruszał w poniedziałek do Barcelony. Przez cały tydzień nie pozwalał sobie na rozmyślanie, czy życie w pojedynkę jest lepsze od życia we dwójkę, przywoływał obrazy wspólnych nocy i ciężko pracował. Dedykując każdy taniec Ewie. Tak jak Annie przed laty.

W domu pojawił się ponownie w piątek wieczorem. Ewę zastał przy stole jadalnym, wśród świec i talerzy, promieniejącą radością. Był bardzo zmęczony. Kiedy znaleźli się w sypialni, tylko przytulił się do niej i od razu zasnął. Noc wynagrodził jej dopiero nad ranem. Obudził ją delikatnymi pocałunkami, nim wzeszło słońce. Kochali się długo i tęsknie, pozwalali, by pierwsze promienie dnia ślizgały się po ich nagich ciałach. Potem zostawił ją zmęczoną w skotłowanej pościeli, zszedł do kuchni, przygotował kawę, na tacy położył croissanty z czekoladą i wrócił na górę ze śniadaniem. I znowu cieszyli się sobą, opowiadali o spędzonym osobno czasie. Był szczęśliwy. Patrzył na Ewę i wiedział, że nie żałuje swojej decyzji. Miała to wypisane w oczach.

Wyszli z domu dopiero wieczorem. Na krótki spacer do pobliskiego parku. Ciągłe było gorąco, pod drzewami jednak mniej się czuło temperaturę powietrza. Ewa wypytywała go o hiszpańskie nazwy różnych roślin, próbowała je zapamiętać. Przez cały tydzień – jak mówiła – wkuwała słówka, by lepiej rozumieć. A potem znowu, tak jak tydzień wcześniej, sycili się sobą aż do zmę-

czenia, bo poniedziałek zbliżał się nieuchronnie, a z nim kolejne długie rozstanie. Byli dla siebie dobrzy, byli serdeczni, empatyczni, próbowali w lot chwycić swe myśli, odgadywać pragnienia. Wydawać by się mogło, że nareszcie stworzyli świat idealny.

Zdziwił się trochę siłą pożegnania, kiedy w poniedziałek wychodził z domu, ale uznał, że to przejaw wznoszącej się fali uczuć. Tak to przecież jest, że każdego dnia kocha się inaczej.

Pojechał spokojny, myśląc tylko o tym, jak to dobrze jest mieć pewność, że ktoś na ciebie czeka.

W przerwie między poranną a popołudniową próbą poszedł do znajomego jubilera. Wybrał pierścionek z małym brylantem. Postanowił, że w weekend poprosi ją o rękę. Nie będą się spieszyć. Wiadomo – ona jeszcze bez rozwodu, ale to da jej pewność, że proponuje siebie na zawsze.

Następnego dnia, nieoczekiwanie, dostał esemes od Ewy, że jest w Barcelonie, siedzi w restauracji El Tango, niedaleko od szkoły, i czeka, aż do niej przyjdzie na obiad. Pół godziny później siedział obok niej, wybierali dania i wino. Ucieszył się bardzo. Wiedział, że wszystko musi się zdarzyć w swoim czasie. I właśnie teraz był ten moment, kiedy Ewa całą sobą mówiła, że jest, że wybrała jego i Barcelonę. I dlatego uległ jej prośbie, by przeprowadzili się do centrum miasta, i z uśmiechem przyjął deklarację, że sama zajmie się szukaniem niedrogiego mieszkania.

Odprowadził ją na dworzec, wrócił do pracy. Szczęście go rozpiekało. Koledzy wypytywali, co się stało.

– Nic – odpowiedział. – Po prostu życie. Nie sądziłem, że jeszcze może być tak piękne. Miłość to fajna rzecz, wiecie?

– Wiemy, wiemy! – Pokleпали go po plecach. – Ale niech ci świata całego nie przysłoni. Mamy robotę. Dużo roboty. Zejdź więc z obłoków na ziemię.

– Spokojnie – zapewnił. – Mam teraz tyle energii, że się zdziwicie. Sami padniecie, a ja będę jeszcze tańczył. No, zaczynamy.

I faktycznie, był niezamordowany we wszystkich powtórkach. Płynnie przechodził od tańca do tańca, od emocji do emocji, chociaż jedne *palos* były nasiąknięte smutkiem, a inne radosne jak żart. W *alegrías* wyrzucał taką falę szczęścia, że wszystkim się to udzieliło i ich oczy błyszczały z podniecenia. To była dobra próba. Czuli, że nareszcie znaleźli odpowiedni wyraz dla muzyki. I tak się to toczyło do końca tygodnia. Zrobili więcej, niż zakładali.

W piątek odebrał wygrawerowany pierścionek. Na obrączce od wewnętrznej strony były wyryte dwa imiona – jego i Ewy, i rok, kiedy się poznali. Obejrzał wszystko dokładnie, schował pudełeczko do kieszeni i z uśmiechem wszedł do samochodu. W komórce wybrał numer Ewy, by uprzedzić, że wraca, i zapytać, czy czegoś po drodze nie kupić do jedzenia. Odpowiedziała cisza. Po chwili spróbował jeszcze raz. Skutek podobny. Pomyślał, że może wyszła na spacer albo jest w ogrodzie. Zatrzymał się przy sklepie, by kupić butelkę *cavy* i kwiaty. Jak zazwyczaj wybrał żółte róże. Wyobrażał sobie zdziwienie Ewy, kiedy zobaczy pierścionek.

Podjechał pod dom, zaskoczył go widok ciemnych okien. Nigdy dotąd tak nie było. Naciśnął klamkę – drzwi zamknięte. Wyciągnął z kieszeni klucze, otworzył. Wokół panował dziwna cisza. Wszedł dalej, zapalił światło.

– Evita! – zawołał. – Jesteś tu? Czy coś się stało? Dobrze się czujesz?

Pobiegł na górę, w sypialni jej nie zastał. Ani w gabinecie. Zszedł do salonu. Dopiero teraz zobaczył leżący na kanapie wachlarz. Żółty wachlarz Anny, który podarował Ewie. Szukał go w mieszkaniu w El Raval, kiedy poprosiła go o to parę dni temu, ale nie znalazł. Co tu robił? Rozejrzał się wokół. Dostrzegł na stole w kuchni dwie kartki. Jedna to był list od Ani. Szybko przeczytał. Zbladł.

– Chryste Panie! – zawołał. – Eva to przeczytała... Ten wachlarz... – zaczął szeptać. – Eva... Evita... Coś ty pomyślała?

Sięgnął po drugą kartkę. Rozpoznał pismo Ewy.

Rozdział ósmy

Ewa

Pierwsza kolacja z Paco, powitalna, całej grupy, przeciągnęła się na tyle, że Ewa nawet nie myślała o wspólnej z nim nocy. Zresztą, nie byłoby na nią szansy, bo kiedy dotarła do hotelu, poszła jeszcze z Goską, Martą, Anią i Magdą na drinka do baru. Było to dobre miejsce na nocne rozmowy, poprzez szklaną ścianę otwarte na hol recepcyjny, a jednocześnie, dzięki ustawieniu stołów i foteli, lampom kinkietowym i świecom, stwarzające ciepły, intymny klimat. Dziewczyny miały ochotę opowiedzieć jej o nowych znajomych. Okazało się, że wszyscy, w tym właśnie poszerzonym gronie, wybierali się nazajutrz do klubu salsy. Ewa dostała propozycję, by pójść z nimi. Najpierw wyraziła wątpliwości, czy powinna, skoro mężczyzn i kobiet miało być tyle samo, potem, dość nieoczekiwanie, dała się przekonać do pomysłu i głośno zaczęła się z tego powodu cieszyć, ale jej radość, której nie kryła, wcale nie wiązała się z perspektywą nocy w rytmie *latino*, tylko z nagle pojawiającą się perspektywą bezpiecznego spotkania z Paco, bez jakichkolwiek krętaństw i kombinacji, bez obaw, że natkną się na którąś z dziewczyn i ich tajemnica nagle przestanie być tajemnicą. Po prostu dostała wspaniały prezent. Kiedy wróciła do pokoju, natychmiast wysłała do niego eśemes, że tęskni mocno, że ciągle czuje jego zapach w pościeli, że życzy mu pięknych snów i że jutro mają całą noc dla siebie w jej hotelu. Odpisał krótko: *Te amo, Evita! Que bien! Buenas noches y hasta mañana, mi solete*⁷¹⁾. Zasnęła uśmiechnięta, wtulając się w poduszkę, na której leżał wczoraj.

⁷¹⁾ *Te amo, Evita!*... – Kocham cię, Ewuniu! Jak dobrze! Dobranoc i do jutra, mój promyczku.

Następnego dnia cztery godziny lekcji upłynęły w mgnieniu oka. Czowała się lekka jak ptak, fruwała. Cieszyła się, że akurat spędzali czas, doskonałym *guajirę*. Nie musiała wyobrażać sobie kochanka. Każdy gest kierowała do Paco. To jego kokietowała, to przed nim wyczarowywała świat możliwej namiętności. Wachlarz pracował lekko, ręka się nie męczyła. Nie było żadnego stresu, żadnego napięcia. Miała wrażenie, że jest na sali sama. I nawet się nie zdenerwowała, kiedy jej wachlarz nie wytrzymał siły ruchów i drewniane pióro złamało się wpół jak zapalka.

– Trudno – roześmiała się.

I wyrzuciła swój *abanico* do kosza na śmieci.

– Najwyżej nie będę już tańczyć tu z wami *guajiry!* – dodała, wzruszając obojętnie ramionami.

– Nie ma tak lekko. – Usłyszała od Paco. – Widziałaś wczoraj, w skrzyni zawsze coś znajdziesz dla siebie.

Była spokojna. Czekwała na nocne spotkanie, nie miała żadnych wątpliwości, czego chce od życia. W każdym, nawet najbardziej niewinnym zdaniu odnajdywała komunikaty wysyłane specjalnie do niej, zapowiedzi tego, co miało się zdarzyć za kilka godzin. Dopiero w hotelu, kiedy spojrzała na laptop leżący na łóżku, uświadomiła sobie, że ani razu przez cały dzień nie pomyślała o Jacku. Bardziej z przyzwyczajenia niż nadziei włączyła komputer. Sprawdziła pocztę: żaden mail od niego nie przyszedł. Tym razem nie miała nawet listów od córek. Czowała się rozgrzeszona. Na jej twarzy pojawił się lekko smutny uśmiech kobiety oddającej się przeznaczeniu. Wyłączyła laptop, schowała go do szuflady nocnej szafki, zaparzyła kawę i sięgnęła do szafy po muślinową sukienkę.

To była bardzo piękna suknia, czerwona w odcieniu malinowym, z wielkim dekoltem w kształcie litery V, długa do ziemi, tak uszyta, że pokazując wiele, nie odkrywała wszystkiego. Uda, piersi, ramiona prześwitwały zza materiału, ale pośladki i łono pozostawały intrygująco za-

kryte. Zmarszczona tkanina falowała przy każdym ruchu, ale nigdy niczego w całości nie odsłaniała. Ewa nosiła tę kreację z halką uszytą jak druga sukienka, tym razem jednak niczego pod spód nie założyła. Mimo że miała zastrzeżenia do własnej figury, w powłóczyści muślinu sama siebie oceniała dobrze. Wysuszyła świeżo umyte włosy, przeczesła szczotką, by nabrały puszystości, skropiła się perfumami o orzeźwiającym, cytrusowym zapachu i pomalowała paznokcie u nóg. Nie przestawała się uśmiechać do własnych myśli. O dziewczyny nie musiała się martwić, Gośka domyśliła się, że na salsę na pewno z nimi nie pójdzie.

Kiedy za oknem zapadł zmierzch i księżyc zaczął przyglądać się światu, rozległo się delikatne pukanie do drzwi. Otworzyła, na progu stał Paco. Tak samo piękny jak pierwszej nocy. Znowu miał ze sobą róże, znowu żółte. Bukiet z poprzedniego spotkania zastąpiła nowym. Czowała jego spojrzenie na sobie, wiedziała, że śledzi każdy jej ruch, że muślinowa sukienka czyni z niej najbardziej pożądaną kobietę. Stał za nią, poczekał, aż się odwróci, objął i pocałował zaledwie muśnięciem warg, jakby była płatkiem kwiatu. A potem ukląkł, wtulił się w jej brzuch i talię i ustami zaczął rozsuwać zakładki tkaniny, odkrywać powoli to, co materiał próbował ukryć.

Cała noc była jak uniesienie. Jak poemat pisany o kochaniu. Każde dotknięcie czułe, z głębi serca. Bez wstydu, z pełnym oddaniem. Rozsmakowywali się w sobie, rozpoznawali swe ciała niczym młodzi kochankowie, jak kiedyś, dawno temu, pierwszy raz, w Polsce. W zachwycie, w odurzeniu. A w końcu zapach ich ciał zmieszał się z aromatem płatków róż rozsypanych na pościeli. Coraz spokojniejsze oddechy utuliły ich do snu.

Rozstawali się, kiedy poranne słońce zaczęło zaglądać przez okno. Zmęczeni i szczęśliwi, przekonani, że los nie połączył ich ze sobą na chwilę.

Na progu Paco odwrócił się i sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki.

– Evita, mam dla ciebie prezent. Wachlarz. Niezbyt nowy. Tylko taki miałem pod ręką. Ale jest na nim coś, co cię chyba ucieszy.

Podał jej zawiniątko, pocałował w czoło i wyszedł, cichutko zamykając za sobą drzwi.

Zdjęła papier. Wachlarz był żółty. Z piękną klamrą spinającą pióra. Mocną, dobrze umocowaną. Delikatnie go rozłożyła. Na jedwabnym materiale czernił się autograf gwiazdy. Gwiazdy najbardziej przez Ewę podziwianej... Sary Baras.

Położyła się do łóżka, oka jednak już nie zmrzyła. Wspomnienia, uniesienie nie pozwalały się uspokoić. Dotykała swych ramion, piersi i ciągle nie mogła uwierzyć, że przed chwilą była tak czule kochana. Jak przez nikogo nigdy wcześniej. Niespodziewanie zrobiło jej się smutno, oczy wypełniły się łzami. Dlaczego Jacek nigdy tak się z nią nie kochał? Nawet wtedy, kiedy dopiero zaczęli wspólne życie?

Po zajęciach wymknęli się grupie. Paco chciał jej pokazać swoje mieszkanie. Okazało się, że poza domem na obrzeżach Barcelony miał kawalerkę nieopodal szkoły, w dzielnicy artystów, blisko La Rambli del Raval. To rozwiązywało problem zatajanych przed dziewczynami spotkań. Dziwiło ją tylko, że tak długo trzymał tę informację w tajemnicy. Wytłumaczył, że chciał jej zrobić niespodziankę...

Zjedli obiad w jakiejś knajpce po drodze, chciała jeszcze czegoś słodkiego, jak dziecko. Z lodami w ręku usiedli na ławce, wśród wydeptanej zieleni środkowego pasa szerokiej ulicy. Przed nimi stał Kot. Wielki kamienny Kot. Uśmiechnięty. Jak kot z *Alicji w Krainie Czarów*. Gładki, bez jednej krawędzi, bez jednego kąta załamania, bez jakiegokolwiek szczeliny, zadraśnięcia, idealnie wypolerowany, lśniący. Ewa długo mu się przyglądała. Nagle podała Paco aparat fotograficzny i powiedziała:

– Wiesz, muszę na niego wejść. Nie mam pojęcia, jak to zrobić. Ale muszę spróbować.

A ty wszystko fotografuj!

Zacząła się wdrapywać, podskakiwać, podciągać na rękach. Obeszła go wkoło chyba z dziesięć razy, czule głaszcząc po powierzchni i próbując w ten sposób znaleźć jakieś odrapanie, uszkodzenie, cokolwiek, o co dałoby się zaczepić czubkiem buta. Na próżno. Zdjęła sandały, myśląc, że może bosa stopy choć przez moment utrzymają ją nad ziemią. Nie udało się. Po półgodzinie usiadła obok Paco zmęczona i zrezygnowana.

– Jak można było coś takiego tu ustawić? – zapytała z dziecięcą pretensją w głosie. – Prze-

cież to nieludzkie. Wiadomo, że na takie rzeźby się wchodzi. A tu co? Obiekt do patrzenia?

Paco uśmiechnął się i przygarnął ją do siebie.

– Ale przynajmniej próbowałaś – powiedział. – A to się liczy. Może najbardziej. Nie cel jest ważny, Evita, lecz droga. To ona nas buduje, rozwija...

Oddał jej aparat i wstał.

– Chodź, pójdziemy wreszcie do mnie. To już niedaleko.

Spojrzał na zegarek.

– Mamy mało czasu – stwierdził.

– Coś się stało? – zapytała zdumiona.

– Tak, o szóstej mam spotkanie. Szykujemy trasę koncertową. Wyniknął jakiś problem. Nie wiem, o co chodzi. Nie zdążyłem ci powiedzieć. I nie wiem, o której będę wolny.

– Nie martw się. – Uśmiechnęła się ze zrozumieniem. – Dziś i tak nie miałabym na nic siły.

– A na małe co nieco teraz? – zapytał z błyskiem w oku.

– A będzie miód? – odpowiedziała pytaniem.

– Ile tylko zechcesz...

– No to chodźmy!

Podala mu rękę i pomaszrowali dalej.

Próbowała zapamiętać drogę, żeby móc tu później trafić. Nie była skomplikowana. Wystarczyło skręcić za Kotem w pierwszą ulicę w lewo, potem w prawo i już, po kilku krokach, wchodziło się przez bramę do kamienicy, w której mieszkał Paco. Wewnętrzny dziedziniec z fontanną kusił umiarkowanym chłodem, ale oni wspinali się na trzecie piętro, do kawalerki, którą wkrótce zaczęli nazywać Rajem.

Nim znaleźli się w łóżku, zdążyła tylko zauważyć, że w wielkim pokoju z aneksem kuchennym panował wyrafinowany minimalizm. Było tu dużo powietrza i okno, przez które przedzierał się szmer fontanny. Kochali się szybko, łączywie, czując, że energii dzisiaj mają mniej. Ale nadal było w tym wszystkim wielkie zaskoczenie własnym spotkaniem.

Upał nieznośnie dawał się we znaki. Dobrze, że miała wachlarz ze sobą. Bardzo pomagał. I tak zmysłowo pieścił...

Zaproponował prysznic. Odmówiła.

– Nie, nie – powiedziała. – Skoro to wszystko na dzisiaj, to chcę tobą pachnieć przez cały wieczór.

Podał jej lampkę czerwonego wina, sam wziął ze sobą drugi kieliszek, otwartą butelkę, jej wachlarz i poszedł do łazienki szykować się do wyjścia. Kiedy wrócił, spała zwinięta w kłębek jak kot. Zanim dotknął jej ramienia, by ją obudzić, czuła przez sen, że się jej przyglądał. Natychmiast otworzyła oczy, spojrzała radośnie, sięgnęła po kieliszek, wypila wino do końca, wstała z łóżka, starannie je zašlała, ubrała się i oznajmiła, że jest już gotowa.

Wyszli razem do metra, trzymając się za ręce jak dzieci. Każde poszukało swojej linii, mocno przytulili się na do widzenia i poszli w dwie różne strony. W drodze do hotelu wystukała w telefonie pytanie do Goški, czy mogłaby spędzić z nią dzisiejszy wieczór. Po chwili przyszła odpowiedź, że tak, wstąpiła więc jeszcze do sklepu i kupiła butelkę dobrej riojy.

Wraz z upływem czasu dochodziło do głosu zmęczenie, a z nim – wątpliwości. Wyraźnie obniżał się poziom serotoniny. Kiedy godzinę później wpuszczała do swojego pokoju Goškę, po dawnym radosnym nastroju nie było najmniejszego śladu. Pozostały tylko pytania i strach przed decyzją, czy dalsze życie planować w Barcelonie, czy wracać do Polski.

Goška, choć młodsza, wizualizowała jej przyszłe lata, jakby sama doświadczyła już nie wiadomo czego, dopytywała się o powody niepokoju, pokazywała, jak są irracjonalne. Niemal nakazywała podjęcie ryzyka. Tego właśnie Ewa potrzebowała – żeby ktoś za nią, w gruncie rzeczy, cokolwiek postanowił. Pierwszy raz znajdowała się w takiej sytuacji i czuła się zagubiona. Miała wrażenie, że podświadomie szuka argumentów, które pozwoliłyby jej niczego nie zmieniać.

Dotąd wszystko właściwie działało się poza nią: to los decydował, gdzie się w danym momencie znajdowała. Tak było ze studiami – po prostu wygrała olimpiadę i wraz z nią indeks na uczelnię, tak było z Jackiem – pojawił się, oszołomił miłością, dobrocią, stylem, w jakim się sta-

rał o jej względy, więc kiedy poprosił, by została jego żoną, zgodziła się bez wielkiego rozmyślania, szybko. Dzieci też nie były planowane. Miejsce pracy – czysty przypadek: przechodziła obok budynku firmy, nagle weszła do środka, do sekretariatu, zapytała, czy dyrektor może ją przyjąć, akurat był obok, zaprosił do siebie, chwilę porozmawiali i następnego dnia miała już własne służbowe biurko.

I tak płynęła przez życie niczym drewnianka rzucona na falę: gdzie powiał wiatr, tam ją przeganiało. Pierwszy raz tak naprawdę sama coś zrobiła, z pełną świadomością wyboru, dopiero w związku z flamenco. Sama zdecydowała o zapisaniu się na warsztaty z Paco, sama je wybrała! No właśnie... to nie był przypadek. Tak musiało być. I dlatego jest teraz tu i nie ma co już dzielić włosa na czworo. Los zesłał jej tego faceta w jakimś celu. Musi zostać w Barcelonie, by się dowiedzieć po co... Tak, tak właśnie zrobi. Nie będzie się już zadrećcać, nie będzie hodować wyrzutów sumienia. Zresztą... Dała szansę Jackowi, wystarczyło, żeby przysłał jeden esemes, jeden mail z własnej, nieprzymuszonej woli. Niech by było tylko pytanie, jak się czuje. Ale milczał. Jakby oddawał ją innemu. Na pożarcie obcemu miastu. Albo był pewny, że nic się nie może wydarzyć. Przecież dawno temu ją przekreślił, uznał, że nie może już nikomu się podobać, że nikt nawet nie pomyśli o wypiciu z nią kawy... Stara, nieatrakcyjna baba, matka... Czy taka może być kochanką? Tak pewnie myślał... Że też ludzie zawsze oceniają innych swoją miarą! Jakie to żalodne. Sami egocentrycy, same pępki świata, wyrocznie... A potem dziwią się, że życie nagle pokazuje im figę. Przeciwnika nie należy lekceważyć. Także żon. I tyle. Separacja to nie rozwód! Pewnie sądził, że to on będzie dyktował warunki ewentualnego rozwodu, a tu niespodzianka! Bo to ona zrobi pierwszy krok, ona pierwsza podejmie decyzję... Tak, zostanie z Paco. Nawet jeśli to wszystko potrwa tylko chwilę. Gośka ma rację. Przynajmniej wspomnienia zostaną. Będzie się w nich grzała na starość. I łatwiej zniesie samotność, jeśli jej pisana. A poza tym przecież nie może wykluczyć, że wszystko potoczy się jak w bajce „i żyli długo i szczęśliwie”. Tak też czasami bywa...

Gośki dawno już nie było w pokoju, kiedy Ewa kończyła rozmowę z samą sobą. Wraz z ostatnim łykiem wina poczuła się całkowicie przekonana i gotowa na prawdziwe spotkanie nowego życia. Znowu bez strachu, znowu bez obaw. Kiedy więc następnego dnia wieczorem zjawiała się wraz ze wszystkimi przy wejściu do metra Sant Antoni, by spędzić kilka godzin w klubie flamenco przy carrer Aldana, nie próbowała już ukrywać swych uczuć. Choć i nie obwieszczała ich w specjalnym komunikacie. Co będzie – to będzie. Jak ktoś zapyta, nie zaprzeczy, a jak sprawa pozostanie niezauważona, tym lepiej dla sprawy. Bo stare powiedzenie mówi: jeśli chcesz coś zrobić, nie chwal się tym – zawsze znajdzie się mnóstwo osób gotowych ci w tym przeszkodzić. I mocno w to wierzyła.

Los Juanele było miejscem, w którym można się zakochać od pierwszego wejrzenia. Zachwyty wzbudzało i zakonspirowane wejście, przywodzące na myśl filmy o Ameryce lat trzydziestych ubiegłego wieku, i stare, sękaty belki przy barze, i wydeptana podłoga, i archaiczna toaleta zamknięta na skobel. Miała wrażenie, że wszędzie unosi się wiekowy kurz pamiętający jeszcze czasy La Argentinity⁷²⁾ lub Carmen Amayi⁷³⁾. Oczywiście prawdopodobieństwo dawnej wizyty w klubie obu gwiazd było znikome, ale atmosfera pobudzała wyobraźnię. Przyglądała się z zaciekawieniem lokalowi i ludziom. Zwłaszcza ludziom. Bo tak tańczących, tak bawiących się nigdy dotąd nie spotkała. To było wyjątkowe doświadczenie: powietrze nasycane radością – czysta radość spotkania! Zараżająca. Od samego progu nie przestawała się więc uśmiechać. Szybko poddała się rytmowi słyszanych *sevillanas*, nie mogła usiedzieć na miejscu. Tańczyły jej oczy, jej palce na szklance z alkoholem, jej nogi pod stołem. Poproszona, poszła na parkiet, nie zastanawiając się ani chwili, czy pamięta układ i wszystkie kroki. Jeden utwór, drugi, trzeci... I już poczuła się częścią tej *sevillanowej* społeczności, uwodzącej i dającej się uwodzić. Dla samej sztuki uwodzenia. Była skupiona na sobie. Chłoneła klimat. Wracała do stołu tylko na moment – by ostudzić rozgrzane ciało i myśli. Jedyne, co ją interesowało poza tańcem, to Paco. Ale widziała, że też dobrze się bawił. Z dziewczynami z grupy, ze znajomymi, których – jak się okazało – było tu całe mnóstwo. W końcu *sevillanas* i ich połączyły. Były zupełnie inne niż te poprzednie. Już bez udawania, bez żartu. Całkiem poważnie uwodziły, przemyślnie sugerując ciąg dalszy. To, czego nie mogli sobie powiedzieć, przekazali gestami, wzrokiem.

72) La Argentinita – wł. Encarnación López Júlvez, jedna z największych tancerek flamenco, żyjąca na przełomie XIX i XX wieku, związana między innymi z El Teatro Falla de Cádiz i El Teatro Español de Madrid.

73) Carmen Amaya – żyjąca w pierwszej połowie XX wieku, jedna z ikon i legend flamenco, przez wielu nazywana największą tancerką wszech czasów.

Nad ranem wróciła z dziewczynami do hotelu. Nie mogła zasnąć od nadmiaru emocji. We śnie tańczyła jeszcze piękniej niż w Los Juanele. To był prawdziwy spektakl, z nią i Paco w rolach głównych. Kiedy się obudziła, zaśmiała się głośno na wspomnienie tego. „Jak Ginger i Fred...” – pomyślała.

Na zajęciach ledwo przestępowała z nogi na nogę. Kilka dziewczyn w ogóle nie przyszło. Wszyscy byli zmęczeni. Lekcję skrócili bez żalu. Bez wielkiego wysiłku wymigała się od wspólnego powrotu do hotelu, tłumacząc, że coś koniecznie musi kupić. Tym sposobem znalazła się sam na sam z Paco. I ten schemat powtórzyła następnego dnia – zakupy były wymówką, którą wszyscy łatwo rozumieli. Mieli więc czas dla siebie. W Raju, jak ciągle nazywali mieszkanie w El Raval.

Stopniowo odkrywała w sobie takie pokłady czułości, o jakie wcześniej nawet się nie podejrzewała. Miała wrażenie, że jej zegar się cofnął, że znowu ma dwadzieścia lat i eksperymentuje z życiem na progu dorosłości. Pozwoliła wyobraźni działać bez ograniczeń, spełniała wszystkie swoje emocjonalne zachcianki. Czowała wolność i nieskrępowanie. Jak przy pierwszej miłości.

Dziewczyny niczego nie zauważały. Martwiły się nagłym zniknięciem Marty, gdy przestała się pojawiać i na śniadaniach, i na zajęciach. Traktowały ją dotąd jako najbardziej zwariowaną na punkcie flamenco, jej nieobecność była więc mocno zagadkowa. Tym bardziej że nie odbierała też telefonu – ani komórkowego, ani hotelowego.

Drugiego dnia sprawdziły w recepcji, czy przypadkiem się nie wymeldowała. Usłyszawszy, że nie, zaczęły żartować, że może jednak Manuel, chłopak, u którego widać było od pierwszego dnia wielkie zainteresowanie Martą, powrócił i zabrał ją do siebie.

Ewa wysłała jej esemes z prośbą, by się odezwała. Oddzwoniła wieczorem, tłumacząc zdawkowo, że źle się czuje, ale wybiera się nazajutrz do szkoły i na pożegnalną kolację. Nie miała, co prawda, głosu tak radosnego jak wcześniej, ale nie budził też szczególnego niepokoju. Na zajęcia nie przyszła, na kolację się spóźniła. Kiedy usiadła przy stole, trudno było nie zauważyć bijącego z jej twarzy smutku. Ewa uznała, że jednak nie ma prawa wypytywać o powody tej zmiany, nie były przyjaciółkami. Skupiła się na Paco, wyraźnie zmęczonym.

Spędzili razem kilkanaście pięknych i pracowitych dni. Paco dał im więcej, niż się spodziewały. Żyły na pełnych obrotach, najmniej czasu poświęcając na sen. Wykorzystały pobyt tutaj maksymalnie. Teraz wszystkie nagromadzone emocje powoli wypływały. Kiedy więc zaczęli wznosić pożegnalne toasty, nikt nie hamował łez. Ona sama, choć powodu do płaczu nie miała, nie potrafiła oprzeć się wzruszeniu. Coś się definitywnie kończyło.

Nagle uświadomiła sobie, że ta kolacja jest zamknięciem pewnej historii. Trochę kiczowatej, jak z taniego filmu albo powieściowego romansidła, i to ją rozbawiło. Szybko wytarła oczy, wzięła Goškę i Paco pod rękę i pomaszerowała z nimi na przystanek autobusowy. Szli znowu, jak pierwszego wieczoru, blisko jachtów, lekko kołyszących się na wodzie, pełnych ludzi i świateł. I zabawy, której nigdy dość w Barcelonie.

Rano zajęła się porządkowaniem swoich spraw. Postanowiła przedłużyć pobyt na razie o cztery tygodnie. Zadzwoiła do firmy, do koleżanki, z prośbą, by wypisała za nią wniosek o bezpłatny urlop, potem do szefa, by uprzedzić o przedłużeniu nieobecności. Na szczęście było lato, nie pilnego się nie działo i raczej wydarzyć nie mogło. Kiedy uspokoiła wszystkich, że to tylko nagle pojawiająca się okazja zwiedzenia Hiszpanii, usłyszała życzenia udanego ciągu dalszego. Z firmą sprawa była w miarę prosta.

Gorzej z Jackiem. Jak to rozegrać? Separacja separacją, ale mieszkają ciągle razem. No i dzieci. Miały zostać na kolejne tygodnie u dziadków? Włączyła laptop, otworzyła pocztę. Znalazła dwa nieprzeczytane listy od córek. Informowały, że wróciły już do domu, opiekują się ogrodem

i psem, że starają się utrzymywać porządek, że tata zatrudnił panią do sprzątnięcia i że za chwilę, na parę dni, zjadą do domu ich szkolne koleżanki – mają w planach wyprawę nad rzekę i nocowanie w namiocie rozbitym na przydomowym trawniku. „Baw się, mam, dobrze i o nic się nie martw. Jest fajnie!” – kończyły optymistycznie. Rozkleiła się. Jej córki już właściwie jej nie potrzebowały... Kobieta do sprzątnięcia... No tak...

„Ciekawe, że nigdy nie chciał zatrudnić żadnej pomocy, kiedy byliśmy małżeństwem – pomyślała gorzko. – Nie zauważał, że było mi ciężko pogodzić dom i pracę zawodową? Dopiero teraz, jak sam musiał wejść w rolę sprzątaczkę, praczki, kucharki... Ciekawe, czy zatrudni też opiekunkę do dzieci...”

Napisała do Jacka:

Witaj, Jacku!

Barcelona jest najcudowniejszym miastem na ziemi. Czas leci jak szalony. Zostały cztery dni. Jak pomieścić w nich wszystko to, co jeszcze zostało do obejrzenia? Poznałam niezwykłą parę Hiszpanów. Starsze małżeństwo. Ich córka kilka lat spędziła w Polsce jako nauczycielka hiszpańskiego. Zaproponowali mi gościnę w swoim domu w Kadyksie i wspólne zwiedzanie Andaluzji, gdybym chciała. Mam nadzieję, że zgodzisz się na to i jakoś poradysz sobie z dziewczynkami przez trzy, może cztery tygodnie. Jeśli nie – oczywiście wrócę w zaplanowanym terminie. Odpowiedz mi jeszcze dziś, proszę – E.

Była ciekawa, jak zareaguje. Po półgodzinie dostała odpowiedź:

Skoro ci się nadarza taka okazja, to – oczywiście – skorzystaj. Z dziećmi sobie poradzę.

Przeczytała kilka razy te dwa zdania, trochę się dziwiąc.

„Tak, kompletnie już go nie obchodzi! – pomyślała ze smutkiem. – Nie ma co się łudzić. Cudu naprawdę nie będzie. On jest najzwyczajniej szczęśliwy, że mnie nie ma”.

Napisała:

Masz rację. Nikt mi tak nie pokaże Andaluzji jak ludzie tam mieszkający. Zostaję w takim razie. Dziękuję. E.

A potem jeszcze do córek:

Kochane Kwiatuszki Moje!

Cieszę się, że tak wspaniale radzicie sobie beze mnie. To dobrze, że tatuś zatrudnił panią do pomocy, mam jednak nadzieję, że nie zapomnicie, do czego służą zlew i odkurzacz. Nad rzeką, proszę, uważajcie, a pomysł z namiotem jest świetny. Córeńki, zostaję jeszcze na jakiś czas w Hiszpanii. Nadarzyła się okazja zwiedzenia tej jej części, która jest dla mnie bardzo ważna ze względu na flamenco – Andaluzji. Dbajcie o siebie i tatę. I oczywiście o naszego Pluszaka. Całuję Was mocno. Mama

Nie było sensu rozpisywać się o datach... Zostaje. Trzy lub cztery tygodnie. Albo na zawsze. Jeszcze musi zabukować bilet lotniczy. Weszła na stronę tanich linii, wystukała datę, okazało się, że jest miejsce wtedy, kiedy chciała, zarezerwowała, zapłaciła. Wyłączyła komputer. Wszystko załatwione. Sięgnęła po telefon, zadzwoniła do Goški, zaproponowała wspólny wieczór. Ubrała się i wyszła. Musiała zająć czymś głowę, byle nie myśleć o Jacku, o domu, o dzieciach. Miała wrażenie, że jeśli zostanie w pokoju, zacznie wyc jak zranione zwierzę. Tak bardzo czuła się dotknięta. I porzucona. Właśnie teraz. Przez kogoś, z kim spędziła większość swego życia. Całą dorosłość. Jego zdrada tak nie zabolęła jak teraz ta ostentacyjna obojętność.

Zwiedziła całe osiedle w pobliżu hotelu. Przyglądała się wieżowcom, które wyglądały jak osiedle Rusa w Poznaniu, małym skwerkom i ławkom. Skupiała się na kotach przycupniętych wśród krzaków i obserwowała ludzi spieszących skądś dokądś, umęczonych, jak wszyscy ludzie o tej porze na całym świecie, po pracy pędzący do domów. W końcu się uspokoiła. Weszła do sklepu, kupiła butelkę wina, jakąś kanapkę i wróciła do hotelu. Godzinę później opowiadała Goście o mailu od Jacka i o kolejnych wątpliwościach. Bo przecież były. To, co planowała, można przyrównać do rewolucji! Zmieniała nie tylko kraj, musiała też zweryfikować całe swoje myślenie, cały system wartości. Życie z artystą mogło być jak wyprawa kajakiem przez Amazonię. Dotąd zgromadzone doświadczenie niekoniecznie dawało gwarancję bezpieczeństwa. Z tego zdawała sobie sprawę, jak i z tego, że w tę podróż wybiera się z kimś, kogo wcale dobrze nie poznała. Zaufanie opierało się na domniemaniu dobrej woli, ale nie na pewności. Niemniej, przyznawała Goście rację, że nie podejmując wyzwania, nigdy się nie przekona, co ta miłość tak naprawdę znaczy. Klamka zresztą zapadła, Jacek nie zdał egzaminu, nie było odwrotu.

Następnego dnia pojawiła się rano w mieszkaniu Paco. Zdziwiła się, że otworzył jej zaspany, otulony szlafrokiem. Nie pytała dlaczego, uznała to za miłą prowokację, szybko sama zdjęła z siebie ubranie i wskoczyła do ciągle ciepłego łóżka. Potem zjedli obiad i poszli nad morze. Tego potrzebowała najbardziej. Morze ją uspokajało, przyciągało do siebie jak magnes. Czasami żartowała, że w poprzednim życiu musiała być syreną. Kiedy stawała nad jego brzegiem, zapominała o całym świecie. Nie słyszała słów, nie słyszała muzyki, niczego. Była tylko ona i fale. Mogła stać i patrzeć godzinami. Nieruchoma. Woda przyplływała, odpływała, zabierała piasek spod stóp, czule głaskała. Morze snuło opowieść o przemijaniu, pożegnaniach i powrotach, szeptało tajemne przepowiednie. Uparcie próbowała je zrozumieć. Wraz z kolejnymi falami powracała jasność myśli. Tak było zawsze. Czuła wdzięczność, że Paco jej nie przeszkadzał, że pozwolił na to oddalenie. Musiała pobyc sama ze sobą, właśnie tak, zanurzona w monotonnym rozgadaniu morza.

Po spacerze łagodnie powiedziała, że zostaje z nim...

Kolejne dni dzielili między siebie i Barcelonę. Postanowiła, że przeniesie się do niego dopiero po wyjeździe dziewczyn. Kiedy nadszedł czas ostatniej kolacji, powiedziała im to samo, co Jackowi. Nikt nie zorientował się, że to nieprawda, a przynajmniej nikt nie dał tego po sobie poznać.

Wieczorem spakowała walizkę, chciała jeszcze pogadać z Gošką, ale jej nie zastała. Zeszła więc do baru na ostatni koniak. Zobaczyła przy jednym ze stolików Anię i Magdę. O czymś rozmawiały z wielkim ożywieniem. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie podejść do nich, ostatecznie uznała, że woli pobyc sama. Wypiła w towarzystwie barmana zamówionego napoleona i wróciła do siebie. Nie miała już nic do roboty. Jutro zaczynała nowe życie.

Rozpoczęła je od śniadania z dziewczynami, od kolejnych słów pożegnań, machania chusteczką, gdy ruszały zamówionymi taksówkami na dworzec autobusowy. W czasie, kiedy zajmowały miejsca w samolocie, zjeżdżała windą do recepcji, by oddać klucz od pokoju. Z walizką przeniosła się do barku na jeszcze jedną kawę. Usiadła przy stoliku tyłem do wejścia i czekała. Zegar, jak zwykle w takich sytuacjach, przesuwiał swoje wskazówki nieznośnie powoli – dziesięć minut trwało co najmniej pół dnia, takie miała wrażenie.

Nagle zobaczyła przed sobą bukiet róż. Uśmiechnęła się. Paco usiadł tuż obok. Był punktualnie o umówionej porze. Lekko przyciągnął ją do siebie i pocałował. Muśnięcie motyla. Oblała ją fala ciepła i jak mała dziewczynka, zostawiwszy filiżankę z niedopitą kawą, dała się poprowadzić za rękę do samochodu. Kiedy usiadła obok niego, powiedział tylko „dziękuję” i ruszył. Przez całą

drogę się nie odzywał, jedynie zerkał na nią od czasu do czasu. Nie myślała o niczym. Było jej dobrze. Przyglądała się drodze, zatłoczonym ulicom, małym domom w wielkich ogrodach, jakie wkrótce zastąpiły zwartą zabudowę wielkomiejskich osiedli. Barcelona znowu ją zaskakiwała – tym razem coraz bardziej widoczną sielskością wsi, choć przecież granic miasta nie przekroczyli.

W końcu wjechali w wąską ulicę szeregowych domków. Przed jednym z nich Paco zatrzymał samochód. Ledwo wysiedli, pojawił się kot. Rudy. Jego. Ucieszyła się. Koty zawsze ją fascynowały, choć nigdy swojego nie miała. Jej rodzina wołała mieć psa, i to dużego, a ona czuła potrzebę nianżenia jakiegoś małego stwora, grzania się w jego futrzanym ciepłe. Wraz z Paco zyskiwała więc kota... Kota do oswojenia. Bo – jak usłyszała – nietolerującego w domu nikogo poza swoim panem.

Weszli do środka. Wnętrze przypominało mieszkanie z centrum Barcelony. Też mało mebli, męski klimat. Było jednak zdecydowanie mniej dopieszczone. I to nie z powodu widocznego kurzu, naturalnego po tylu dniach nieobecności, ale jakiegoś małego starania o to, by była w nim domowa atmosfera. Od razu się czuło, że salon, kuchnia to nie są ulubione miejsca gospodarza. Nie zatrzymując się tu na dłużej, przeszła do ogrodu. Właściwie ogródka, biorąc pod uwagę jego wielkość. Niewielki trawnik, wzdłuż płotu różne krzaki, na środku rozłożyste drzewo – tak duże, że jego korona stawała się parasolem nad stojącym obok stołem. Właśnie tam usiadła. I została, kiedy Paco poszedł po zakupy.

Ogród jej się podobał, choć był zbyt monotony jak na jej gust. Lubiła różnorodność, dziwność. W wyobraźni zaczęła więc od razu planować nowe nasadzenia burzące czystą linię, dodające poprzez kwiaty koloru i zmienności formy. Z marzeń wyrwał ją kot. Najpierw pocierał się o jej nogi, a potem najzwyczajniej w świecie, jak by była poduszką rozłożoną na krześle, wskoczył na jej kolana i dźwiękiem przypominającym pracę zardzewiałej zębatki dał kilkuminutowy wyraz swemu zadowoleniu, a po chwili zasnął. Tak doczekała powrotu Paco, nie ruszając się z miejsca choćby o milimetr.

Dopiero teraz pokazał jej sypialnię na piętrze, garderobę, łazienkę i pokój gościnny, który postanowił od razu oddać do jej wyłącznej dyspozycji. Przestraszyła się. Nie chciała takiego zakotwiczenia. Nie teraz, kiedy ciągle nie wiedziała, czy bilet powrotny będzie jej potrzebny za cztery tygodnie, czy o nim zapomni.

Łazienka, tak jak salon, do złudzenia przypominała tę w centrum Barcelony – była chłodna i przestronna. I tak jak cały dom, bardzo męska w charakterze. Ustawiła na półce swoje kosmetyki. Małe, turystyczne tubki z kremami. Czuła się dziwnie. Nigdy dotąd nie wprowadzała się do gotowego domu, zawsze wszystko musiała urządzać sama, od początku. Paco zostawił ją ze stertą ręczników. Pozwoliła sobie na luksus kąpieli z bąbelkami, w prywatnym jacuzzi, zajmującym miejsce w rogu.

Wieczorem, podczas kolacji, poznała Marizę, sąsiadkę, która od czasu do czasu opiekowała się Kotem-Bez-Imienia, jak mówiła o rudzielcu. Kot rzeczywiście nazywał się Kot, La Gata. Ktoś tak go ochrzcił i tak pozostało.

Mariza okazała się sympatyczną, gadatliwą dziewczyną, która od kilku tygodni próbowała ułożyć sobie życie od nowa, po wyeksmitowaniu z domu dotychczasowego partnera. Nie przeżywała tego za bardzo. Z uśmiechem powtarzała, że „jego wartość bankowa nie pozwalała jej na zachowanie płynności finansowej”, więc „zarządzanie zasobami ludzkimi” zaczęło przekraczać jej własne możliwości. Była ekonomistką z wykształcenia, ale pracy, jak wielu młodych Hiszpanów, od dawna nie mogła znaleźć. Żyła z zasiłku i tego, co dorobiła, pomagając w okolicznych domach, a to sprzątając, a to zajmując się ludźmi chorymi lub dziećmi, a to sprzedając uszyte przez siebie obrusy, poduszki, firany. Nie narzekała, regularnie wysyłała CV do różnych firm i w różne strony świata. Miała nadzieję, że los się odmieni. Ewa polubiła ją od pierwszej chwili. Mariza nie ukrywała z kolei radości, że Paco coś zmieniał w swoim życiu, i deklarowała im wszelką pomoc.

– Zajmuję się kotem, mogę zająć się i tobą – mówiła.

– To Paco nie wystarczy?

– Paco to artysta. Wkrótce zobaczysz, co to znaczy. – Mariza uśmiechnęła się wymownie.

– Czy jest coś, o czym powinnam wiedzieć? – Ewa zwróciła się do obojga.

– Spokojnie, nie morduje nikogo. No, czasami sąsiadów... stukami...

– Stukami?

– Stepami. Ćwiczy dużo. A to jest niezły hałas, jak wiesz. Zwłaszcza w nocy się niesie...

– I co jeszcze? – Spojrzała na nich rozbawiona.

– Czasami wyjeżdżam na koncerty i warsztaty, ale to nie tajemnica – dopowiedział Paco. –

Jedyna poszkodowana wtedy to La Gata. A ty, Mariza, nie strasz mi tu Evity, bo zaraz opowiem o twoich niecnych praktykach. – Puścił do niej oko.

– O czym? – zainteresowała się Ewa.

– No, ciekawie niedawno było... – zaczął. – Tego swojego narzeczonego wyrzuciła w samych gaciach w środku nocy. Nie powiedziała ci o tym? A wrzeszczała! Jakby zastała go *in flagranti* z kochanką...

No i tak to się zaczęło. Pierwszy wspólny dzień napawał optymizmem. Zyskała dwójkę przyjaciół: kota i Marizę. Wszystko poszło o wiele szybciej, niż się spodziewała.

Wiedziała, że wkrótce Paco wróci do swego normalnego rytmu życia i pracy, próbowała więc wykorzystać maksymalnie tydzień, który jej podarował. Chciała poznać jego przyzwyczajenia, oswoić nową przestrzeń. Zasypiali razem, budzili się razem, krzątali po domu, poznawali swoje zmęczenie i złe nastroje, uchylali i zatraskiwali furtki do własnych myśli. Ciągłe jeszcze potrzebowali czasu, by dopasować się do siebie. Co chwila potykali się o dawne nawyki, przepraszaali za nieporadności, za gwałtowne reakcje i niezrozumienia. Ale było dobrze. Zupełnie inaczej niż w Polsce z Jackiem.

Gośka miała rację: ruch, jaki wokół panował, wewnątrz nich i na zewnątrz, sprawiał, że życie mieniło się od kolorów dawno przez nią zapomnianych. Nawet zwykłe picie wina było obudowane jakąś emocją intymnego spotkania. Każda czynność miała swoje teksty i podteksty, każda komunikowała oddanie, uczucie, którego tak potrzebowała. Myślała, że codzienność szybko ostudzi pierwotny stan euforii, ale tak się nie działo. Odkryła w sobie konieczność ciągłego bycia dobrą. Czas świąteczny nie mijał. Była tym zdumiona.

W końcu jednak rzeczywistość zapukała do drzwi – Paco wyjechał. Nie na kilka godzin, ale od razu na całe dwa dni. Tak zapowiedział. W czekanie na niego nie mogła nic włożyć. Wszystko, do czego się zabierała, by nie myśleć, nie tęsknić, natychmiast tę tęsknotę potęgowało. Cały dom po tak krótkim czasie był pełen wspomnień ciągle zbyt gorących. Na szczęście po południu zadzwonił, że wraca, że próba nie za dobrze mu idzie, że wieczorem zjedzą razem kolację. Sprawdziła, co może przygotować do jedzenia, a potem wzięła książkę – jedną z tych, które znalazła w pokoju gościnnym, napisaną po polsku przez Annę hiszpańską historię Cyganki i torreadora – i poszła do ogrodu.

La Gata natychmiast usadowiła się na jej kolanach, jak to od niedawna miała w zwyczaju. Było leniwie ciepło, zaczytała się. I tak zastał ją Paco. Najpierw dostała od niego pocałunek, potem uśmiech, czerwoną różę, a na końcu – pudełko. Kiedy je otworzyła, zobaczyła kolczyki, które bardzo chciała sobie kupić, ale nie zdążyła. Widziała je u jubilera niedaleko szkoły. Były piękne. Średniej wielkości, owalne, z lekko miedzianym połyskiem. Usłyszała, że to za pierwszy tydzień ich życia. Założyła je i poszła zająć się kolacją.

Potem, jak każdego dnia, kochali się długo. To, że niezbyt namiętnie, tłumaczyła zmęczeniem Paco, może złym humorem z powodu nieudanego przedpołudnia. Rano przyniosła śniadanie do łóżka, nie wychodzili z niego aż do obiadu. W końcu wstał, ubrał się, spakował i pojechał z powrotem do pracy, uprzedzając, że tym razem na pewno nie wróci na noc. Została sama. Zrobiła sobie dzień piżamowy. Na koszulkę zarzuciła cienki szlafrok i poszła do pokoju obok.

Stał już tam fotel i stolik, które kilka dni wcześniej kupił dla niej na targu staroci. Razem je wybrali, choć nie miała pojęcia, że to miał być prezent. Ciężkie angielskie meble. Usiadła w fotelu, wygodnie zapadł się pod nią. Można w nim było całymi dniami czytać książki i gazety. Na stoliku do kawy postawiła laptop. Włączyła go. Po raz pierwszy odkąd tu się wprowadziła. Spojrzała na listy. Jeden od Gośki, kilka od córek. Od Jacka nie było nic. Zeszła do kuchni, zrobiła sobie kawę, pogłaskała kota, wróciła na górę.

Gośka pisała, że z Arturem spotkała się na lotnisku i odkąd usiedli obok siebie w samolocie,

tak ciągle są razem. Radziła Ewie pozbyć się głupich myśli i otworzyć na to, co los jej dawał. Bo – kończyła niemal filozoficzną sentencją – „tylko zmiany, choć niosą ryzyko, sprawiają, że życie jest piękne”...

Córki informowały o dalszym ciągu wakacji, o wyprawach z koleżankami i nocowaniu w namiocie. Ani razu nie napisały, że tęsknią, za to życzyły jej wielu przyjemności w Andaluzji.

„W Andaluzji! Prawie o tym zapomniałam – pomyślała ze zdziwieniem. – Muszę przy najbliższej okazji kupić im jakieś drobiazgi. I chyba poczytać o Barcelonie i Kadyksie, bo nikt w te moje bajki nie uwierzy, kiedy wrócę. No właśnie... – zamyśliła się. – Wrócę?”.

Rozejrzała się dokoła.

„A jeśli zostanę? Paco ma rację: jakoś muszę zagospodarować przestrzeń po swoim. Tak, ten pokój mógłby być mój. Coś przecież będę musiała robić. Zwłaszcza kiedy jego nie ma”.

Sięgnęła po ołówek i kartkę ze stosu leżącego na parapecie, narysowała kilka projektów pokoju. Potrzebowała szafki na drobiazgi, półek, stołu do pracy, kilku lamp. To wszystko. Popatrzyła na książki piętrzące się na podłodze przy oknie. Dopiero teraz zauważyła, że większość stanowiła jedną serię wydawniczą. Zaintrygowana sięgnęła po nie, przejrzała strony informacyjne: Wydawnictwo Kres, Warszawa. Autorzy – Méndez, Fuquero, Albin, znowu Méndez i jeszcze raz... Tłumaczenie z hiszpańskiego: Anna Krzeszowska.

„Więc to ta Anna – uświadomiła sobie. – No tak, jemu się wydaje, że tak jak ona najbardziej na świecie potrzebuję miejsca tylko dla siebie. Do pracy. Że też nie pomyślałam. Przecież faktycznie kiedyś mi mówił, że tłumaczyła... Ta książka, którą mam na dole, to pewnie też jej”.

W wyszukiwarce internetowej wpisała jej nazwisko. Niewiele znalazła. Nekrolog, kilka tytułów.

Od następnego dnia zaczęła systematycznie korzystać ze swojego komputera, gromadząc informacje o Barcelonie i Andaluzji. Na wszelki wypadek, gdyby jednak z tego wspólnego życia nic nie wyszło. Postanowiła poszukać kilku ciekawostek, które mógłby przekazać tylko tubylec. Wbiła w Google różne hasła dotyczące muzeów, miast i szlaków, a nawet pojedynczych domów czy ulic. Notatek robionych na gorąco przybywało w tempie dość zastraszającym. Ale czas dzięki temu szybko mijał.

Niemal niepostrzeżenie nadszedł dzień, kiedy znowu mogła się odnaleźć w ramionach Paco. Dwa dni osobno dobrze im zrobili. Był jej spragniony jak za pierwszym razem. Uważny i czuły. Nie chcieli się rozstawać, pojechali do Barcelony razem. On do pracy, ona zwiedzać. A właściwie szukać drobiazgów, które mogłaby przywieźć dzieciom jako prezenty z Andaluzji.

Sklepów z gadżetami dla turystów było mnóstwo. Stroje do flamenco, tanie i drogie wachlarze, grzebienie, kastaniety, na których zagrać nie sposób... W Barri Gòtic, w pobliżu Muzeum Picassa, które – zachęcona opowieściami Goški – bardzo chciała zwiedzić, znalazła mały sklepik Kitch z hiszpańskimi drobiazgami. Jedynym problemem było wybranie takich, na których brakowało napisu „Barcelona”. Poprosiła o ozdobne grzebienie z plastiku przypominającego szylkret, kilka malutkich wachlarzy, dających się zmieścić w torebce, świetnych do walki z upałem, i koronkową bluzkę z falbanami dla siebie. Zaszła jeszcze do jubilera. Wybrała męski zegarek, poprosiła o wygrawerowanie na kopercie swojego imienia.

Po obejrzeniu obrazów Picassa pokręciła się po uliczkach El Bornu, sąsiadującego z Barri Gòtic, wypiła kawę na jednym z licznych placyków i w końcu zawróciła w kierunku Plaça Reial, przecięła La Ramblę, by znaleźć się w pobliżu Kota z Raval. Nie mogła sobie darować przyjemności popatrzenia na jego roześmiany pysk. Ledwo do niego dotarła, zadzwonił Paco z informacją, że jest już wolny. Czekaając, aż przyjdzie, okrążała kamiennego stwora z uwagą detektywa. Przyglądała się płaszczyźnie kamieni z nadzieją, że jednak znajdzie jakąś wskazówkę, jak dostać się na górę, na jego grzbiet. Oczywiście niczego takiego nie dostrzegła, ale Kot stał się już sprawą honoru, wiedziała, że go zdobędzie. To była tylko kwestia czasu.

Wieczorem, już w domu, gdy Paco podszedł do niej z lampką szampana, by uczcić kolejny tydzień wspólnego życia, wręczyła mu pudełko z zegarkiem. Był wyraźnie zaskoczony i wzruszony...

Kiedy po weekendzie ponownie została w domu sama, postanowiła dowiedzieć się czegoś

o Kocie z Raval. Wśród kilkudziesięciu wyświetlonych w internecie stron jedna przywoływała związaną z nim przypowieść. Choć rzeźba stała w Barcelonie dopiero od roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego siódmego, mieszkańcy podobno wierzyli, że przynosi szczęście tym, którzy wejdą na nią bez niczyjej pomocy. Uśmiechnęła się smutno do siebie.

– Czy to coś znaczy? – zapytała śpiącą jak zawsze na jej kolanach La Gatę. – Nie udało mi się wdrapać na tego cholernego Kota. Ciekawe, czy ktokolwiek zdołał... W każdym mieście muszą być takie miejsca. Syrenka w Kopenhadze, Syrenka w Warszawie... A tu ten Kot...

Zamknęła komputer, delikatnie obudziła La Gatę, wyszła przed dom. Zapukała do Marizy.

– Masz dzisiaj czas wieczorem? – zapytała.

– Mam mnóstwo czasu – powiedziała Mariza z uśmiechem. – Nie pamiętasz? Nie pracuję.

– Może zjadłybyśmy razem kolację? Paco w Barcelonie...

– Jasne. Chętnie. O ósmej?

– Świetnie.

Poszła do sklepu, by kupić coś ekstra. Tęskniła za polską kuchnią. Wybrała mięso wołowe i wieprzowe, wzięła ziemniaki, słoik pokrojonej marchewki i puszkę groszku, butelkę czerwonego wina. W domu zmieliła mięso, ze starego pieczywa zrobiła tartą bułkę. Obrała ziemniaki, zabrała się do przygotowywania mielonych kotletów. Pichcąc, sprzątając, popijając wino, doczekała wieczoru. Mariza była zaskoczona podaną potrawą, ale smakowała jej. Przy kawie zaczęły rozmawiać o Annie.

– Znałaś ją?

– Annę? Coś ty. Oni mieszkali razem w Madrycie. Tu Paco pojawił się rok po wypadku.

– Nic o niej nie wiesz?

– Coś tam wiem. On mówił, sama poszukałam... Wiesz, co ci powiem? To był dla niego straszny dramat. Ona była w ciąży. Na samym początku ciąży, jak się okazało. Ty wiesz, że wyjechała do Malagi, że do wypadku doszło, kiedy wracała?

– Tak, to wiem. Ale o ciąży – nic. Co się stało?

– Z tego, co Paco kiedyś mówił, wynikało, że zrobiła test ciążowy właśnie tam, w Maladze.

Była romantyczna. Pisarka. No i chciała tak uroczyście jakoś go o tym poinformować. Napisała list. Nie mail, nie esemes, tylko list. Rozumiesz? Piórem, na papierze. Podobno czasami tak go informowała o ważnych rzeczach. Że go kocha na przykład. No i wtedy też napisała list, wrzuciła do skrzynki i wróciła do swoich obowiązków. Ale list nie doszedł tak szybko, jak myślała. Czekala na reakcję Paco, a on o niczym nie wiedział i nie reagował. No więc postanowiła nagle skrócić pobyt, zrobić mu kolejną niespodziankę. Wsiadła do samochodu i... Nikt nie wie, jak to się stało. Czy ktoś jej zajechał drogę, czy zasnęła... Śmierć na miejscu. On się załamał. Trudno się dziwić. Dwa dni potem przyszedł list. Ktoś ze znajomych przyniósł mu go razem ze stosem rachunków, położył na stoliku i tam przeleżał ileś dni. Tydzień czy dłużej. I, rozumiesz, facet jakoś się otrząsnął, rodzina wyprawiła pogrzeb w Polsce, on nie pojechał, zabrał się do porządkowania domu, przegląda korespondencję i nagle trzyma w rękach list od Anny. Jak wiadomość zza grobu. A w środku radosna informacja o ciąży...

– O matko!

– O matko... Masz rację. Facet załamał się po raz drugi. Przez rok z tego wychodził. Tak mówił. Ja myślę, że znacznie dłużej.

– A potem?

– Potem – wiadomo: życie na pełny gaz. Przeprowadził się tu, bardzo mu pomógł Duarte. Zmusił, by wrócił do flamenco. A jak zaczął tańczyć, to bez opamiętania. Ciężko pracował, dużo występował. A przy okazji – wiadomo...

– Dużo wiesz.

– Dużo. Nie miał tutaj nikogo. Człowiek nie może być sam. Bo się udusi od własnych myśli.

– A... dziewczyny...?

– No wiesz, jak to u artystów bywa. Panny lgną jak ćmy do światła. Bo im się wydaje, że z innej gliny są ulepieni. Że tak jak tańczą, tak i żyją.

– A nie jest tak?

– Żartujesz? Wiesz, ile razy pożyczał ode mnie chleb i coś do chleba? Bo zapomniał, że ma pustą lodówkę? Na krótką metę jest pewnie wspaniały, jako kumpel – ekstra, powyglupiać się z nim zawsze można. Ale żyć? Chyba że jest się artystką.

– No... to... pocieszyłaś mnie...

– Pytasz – to mówię. Ale... widzę, że przy tobie się zmienia. Jeszcze z żadną kobietą nie był tak długo. I tak przy żadnej się nie zachowywał. A znam go ładnych parę lat.

– Nie jestem artystką.

– Ludzie się zmieniają. Może tak szalał, bo szukał ciebie? I teraz już dość?

– Może.

– Evita, Anna była ważna. Musiał jej odejście odreagować. Teraz jesteś ty. Od dwóch lat nie wspomina o niej.

– A inne kobiety? Dał sobie spokój?

– Nie wiem. Tu ich nie widziałam. Od dawna.

Kiedy Mariza poszła do siebie, Ewa siedziała jeszcze przez jakiś czas oszołomiona informacjami. Następnego dnia sięgnęła po karton stojący w rogu salonu, o którym wiedziała, że jest wypełniony pamiątkami po Annie. Paco niewiele o niej mówił, a ona nie pytała. Teraz chciała wiedzieć. Zrozumieć, poczuć.

Podniosła wieko. W środku fotografie. Anny, Paco, ich razem, Anny z kotem. La Gata to był kot Anny. Kilka portretów. Patrzyła z nich lekko uśmiechniętymi zielonymi oczami dziewczyna o rudych, długich włosach. Eteryjna.

Między zdjęciami listy. Zastanawiała się, czy powinna je przeczytać. Odłożyła na bok. Wyjęła z dna poślódkę gazetę. Przejrzała ją dokładnie. Na jednej ze stron znalazła kilka zdań o wypadku Anny. Że zginęła na miejscu, że miała tyle a tyle lat, że samochód na numerach madryckich.

Nazajutrz znowu zajrzała do pudła. Wyjęła listy z kopert i zaczęła czytać. Drobne, staranne pismo, zielony atrament. Pisała, że kocha, że tęskni, że każdego dnia dziękuje życiu za podarunek miłości... W jednym wspominała ich pierwsze spotkanie, na koncercie Sary Baras, i że kiedy jej smutno, wyjmuje wachlarz, na którym jest jej autograf, pamiątka tamtego spotkania z gwiazdą w jej garderobie, o który on poprosił specjalnie dla niej, podpis na żółtym wachlarzu...

„Wachlarz? – wstrząsnęło nią. – Czy to nie ten sam, który dostałam od niego? Nic mi nie mówił, że to po Annie. Gdzie on jest?”

Pobiegła na górę, wyciągnęła walizkę. Przetrasnęła wszystkie zakamarki – nie znalazła. Przejrzała półki z ubraniami – też nic. Torebkę – to samo. Usiadła i zaczęła odtwarzać historię wachlarza od momentu, kiedy go jej wręczył. Pamięć kończyła się na mieszkaniu w El Raval. Tam się nim chłodzili po którymś kochaniu. Co potem? Musiał zostać...

Zła na siebie wysłała esemes do Paco z prośbą, by sprawdził, czy wachlarz nie spadł pod łóżko.

Próbowała pozbierać wszystkie informacje. Gubiła się w domysłach, kim on jest. Z jednej strony wielka miłość, jakich mało, do Anny, a z drugiej cyniczne zabawy z dziewczynami, by zapomnieć... Jakoś nie wierzyła, że ktoś o takiej wrażliwości mógłby zafundować sobie podobny lek na zapomnienie. Może to była jego prawdziwa natura? Kim ona jest w tej układance? Może Mariza ma rację, że to nie jest facet na całe życie? Zrobiło jej się gorąco. Wytarła spocone ręce. Myśli goniły jedna za drugą. Każda coraz bardziej mroczna.

– Nie, to się nie może udać – zaczęła powtarzać z coraz większym przekonaniem. – Ja jestem tylko w zastępstwie Anny... Ten gabinet to też jakby dla niej, bo przecież potrzebny by mi był, gdybym pisała, jak ona. Nawet nie wie, czym chciałabym się zająć, ani razu o to nie zapytał! Czy ja przypadkiem nie oszukuję samej siebie? Czy nie wyobrażam sobie więcej, niż powinnam? Gdzie mój rozsądek? Ta namiętność z czasem ostygnie i co wtedy? Będzie znowu pocieszał się w czyichś ramionach? A co ze mną? Co ja wtedy zrobię? Jestem chyba naiwna, sądząc, że facet w tym wieku może się zmienić...

Usiadła do komputera. Otworzyła pocztę. Zobaczyła listy od córek. Nie czytając ich, zabrała się do pisanania maila do Goški:

Gosiu kochana!

Brakuje mi Ciebie. Wszystko się jakoś rozeszło między szwami. Nie wiem, czy nie ładuję się w głupotę. Bardzo go kocham. Nie, nie wiem. Może kocham to, że on mnie kocha? Może zresztą i jemu się tylko wydaje, że kocha? Myślę, że kocha we mnie wspomnienie Anny, jakoś muszę mu ją przypominać. Wiesz, że ten wachlarz, który mi podarował (żółty, z podpisem Sary Baras – pamiętasz?), był pamiątką po Annie? Dzisiaj przypadkiem się o tym dowiedziałam. On słowem o tym nie wspomniał. Mam też kota Anny. Rudego jak ona sama. Ciągle mi siedzi na kolanach. Czytam książki Anny, bo tylko takie tu są po polsku. Mam wrażenie, że chciałby we mnie widzieć jej kolejne wcielenie. Jestem całymi dniami sama. Dowiaduję się od sąsiadki o jego rozlicznych romansach, potrzebie wchodzenia w intymne bliskości ze zbyt wieloma kobietami. Czy on jest w stanie być MÓJ? Czy za chwilę nie będę musiała się nim dzielić z innymi? Tak jak Jackiem? I jeszcze do tego wachlarz zginął. Gdzieś się zapodział. Nie mam go...

Dopiero teraz mogła przeczytać, co dzieci pisały do niej. Właściwie ciągle to samo – że dobrze się bawią, a tata dba o nie. Doszło tylko, że tęsknią i pytają, kiedy wróci do domu...

Nim skończyła im odpisywać, przyszła odpowiedź od Goški:

Nie jesteś reinkarnacją Anny. Niczyją. I nie możesz dać się namówić do życia cudzym życiem. Być może nic z tego nie będzie. Ale za mało wiem. Pamiętaj, że opieram się wyłącznie na tym, czego dowiaduję się od Ciebie. Proszę Cię: nim go skreślisz, ostudź emocje, nie podejmuj pochopnych decyzji. Wszystko może wyglądać zupełnie inaczej. Jego czas dzieli się na ten „przed” Tobą i ten „z” Tobą. Za to „przed” nie możesz go rozliczać. Patrz na to, co jest dzisiaj. I przede wszystkim zastanów się, czy potrafisz się odnaleźć w tym świecie. Jego świecie. Obydwoje jesteście porażeni. Ale musisz myśleć wyłącznie o sobie. Nie nągaj się. Jeśli sam nie będzie chciał się zmienić, ty go do tego nie nakłanisz. Nie ma co się łudzić. Potrafisz zaufać raz jeszcze?

Nie wiedziała, co o tym myśleć. Wierzyć własnej intuicji czy posłuchać rad Goški? Czula coraz wyraźniej, że coś jest nie tak. Paco, przez te wszystkie dni pochłonięty pracą, ani razu nie zadzwonił. To ona co wieczór dowiadywała się, jak mu się bez niej żyje. Uczucia stygły, nie znajdując wzmocnienia z drugiej strony. Z narastającą goryczą myślała, że najtwardszym spoiwem ich związku jest seks, właściwie wszystko kręciło się wokół niego, kiedy byli razem. Zaczynała dostrzegać coraz więcej drobiazgów, które przeszkadzały jej w – jak jej się wydawało koniecznym – bezwarunkowym kochaniu. Coraz mniej była też pewna, czy wyobraża sobie siebie za rok, za kilka lat tu, w tym miejscu, obok tego mężczyzny, czy chce życia budowanego na ciągłym czekaniu na niego.

„Może człowiek zdolny jest kochać prawdziwie tylko raz? – pytała samą siebie. – Może właśnie taki limit dostajemy od losu? I teraz on goni cienie, a ja nadzieję? I w sumie tworzymy świat pozoru? Ułudę jakąś? Co będzie, jak chemia zniknie, czym zastąpimy dzisiejsze zauroczenie?”

Nie miała przed kim się wyzalić, Marizy nie chciała obarczać swoimi wątpliwościami. Zresztą, nietrudno było przewidzieć jej radę, skoro potrafiła tak łatwo porządkować własne życie. Nie wiedziała, jak opisać Goške swoje rozterki, sama nie umiała powiedzieć, skąd nagle się wzięły, nie było przecież żadnych konkretnych powodów. Coś ją drażniło, coś kłuło, nic więcej... Postanowiła czekać, nie ujawniać swych obaw, zachowywać się tak, by Paco niczego nie zauważył. Jednego była pewna – nie może po raz drugi dać się skrzywdzić. Musi wziąć odpowiedzialność za siebie

samą. Przecież o to jej chodziło kilka tygodni temu, kiedy zostawała w Barcelonie: o spokojne przyjrzenie się sobie w tym wspólnym życiu.

Paco wrócił do domu w piątek wieczorem. Przygotowała kolację przy świecach. Ku swojemu zdziwieniu, robiła to z przyjemnością, czując narastającą radość, że go w końcu zobaczy. Przywitał się z nią bardzo czule. Oczy mu się skrzyły, nie odrywał od niej wzroku. Czowała to. Może więc jednak to miłość?

Był tak zmęczony, że zasnął zaraz po przyłożeniu głowy do poduszki. Nazajutrz przywitała go uśmiechem, gorącą kawą, magdalenkami. Próbowwała unieważnić te puste dni bez niego. Zagłuszyć dopadające ją obawy. Zgadzała się na wszystkie pomysły dotyczące spędzenia czasu, nawet kochała się z namiętnością, która ją samą zaskoczyła. Pozornie było tak jak zawsze. Tylko obserwowała go uważniej – niczym prokurator zbierający dowody winy. Tak, mimo woli szukała ostatecznych argumentów, by podjąć decyzję o odejściu. A właściwie utwierdzających ją w chyba już podjętym postanowieniu. Listy córek obudziły w niej wyrzuty sumienia, łzy napływały jej do oczu, kiedy czytała, jak bardzo za nią tęsknią. W nocy budziła się i myślała, co ma ze sobą zrobić i dlaczego to właśnie teraz pojawiły się te wszystkie wątpliwości, po tylu tygodniach spędzonych razem? Pięknych tygodniach, oceniając sprawy obiektywnie...

W poniedziałek Paco pojechał znowu do Barcelony. Pożegnał ją czule jak zawsze, ucałował. Przytuliła się do niego całą sobą, jakby przeproszała za nocne rozmyślenia, o których nic nie wiedział. Trochę się zdziwił, uśmiechnął, zażartował, że nie jedzie na wojnę...

Została sama. Znowu. Poszła do sklepu, lodówka świeciła pustkami. Kiedy wróciła, zanurzyła się ponownie w pudle z pamiątkami. Jeszcze raz, spokojnie, bez pośpiechu, przeczytała listy Anny, także ten ostatni „zza grobu”. I coś w niej pękło. Rozszlochała się. Nie umiała tego powstrzymać.

Po południu zabrała się do generalnych porządków. Z dziką pasją myła okna, podłogi, czyściła obicia foteli i kanapy. Nie przestawała nawet na chwilę. Pot oblewał jej ciało. Nie myślała o niczym. Posuwała się jak robot, centymetr za centymetrem, aż do całkowitego wyczerpania. Po wszystkim wzięła prysznic, nałala sobie wina i wróciła do przerwanych jakiś czas temu poszukiwań o Andaluzji. Nikt jej w tym nie przeszkadzał.

„A może to mój strach przed ostateczną decyzją? – pomyślała, surfując po internecie. – Niedługo data graniczna. Albo wsiądę do samolotu, albo nie. Nie szukam przypadkiem dziury w całym? Każde z nas kiedyś kochało albo było kochane. Jego miłość stała się dla niego legendą. Urosła, wyolbrzymiała. A przecież nie wiadomo, jak by to było, gdyby nie ta śmierć. Wcale nie musiało kończyć się dobrze. Wcale! Byli razem tylko dwa lata! Tak... wyobraźnia pchnęła mnie chyba nie w tę stronę. I co w tym dziwnego, że były potem inne? Przecież był, jest młodym atrakcyjnym mężczyzną. Nie złożył ślubów czystości. Człowiek się zmienia, jest coraz starszy. Dziś może czegoś innego potrzebować niż wczoraj – przekonywała siebie. – A że nie dzwoni? Skupił się na pracy i jest pewien, że ma tu wszystko poukładane. Przecież nie skarżyłam się! Tak, histeryzuję. Przesadzam. Gośka nie może inaczej odpisać, jeśli taki komunikat jej wysyłam. Dzisiaj napisałabym może co innego i ona by musiała inne wnioski z tego wyciągnąć. Jutro pojadę do Barcelony... I pójdę z Paco na obiad. Albo lepiej: zadzwonię do niego już z restauracji... Dostyc głupiego myślenia!”

Rano wsiadła do pociągu. Czterdzieści minut później była na Plaża de Catalunya. Spojrzała na zegarek: miała dla siebie ponad trzy godziny. Poszła w kierunku portu. Popatrzyła na jachty, o tej porze nieco uśpione, na krzątających się kelnerów w okolicznych knajpkach, szykujących stoły do lunchu. Usiadła na ławce w pobliżu wody. Z niezmiennym zachwytem rozglądała się wokół. Nie mogła się nadziwić, że takie miejsce istnieje na świecie. Spełniał się jej sen. Barcelona stawała się jej miastem.

„Barcelona... – przypomniały jej się słowa kolegi z pracy – ...daje dużo i jeszcze więcej zabiera...”. Tak, jej duszę zabrała na pewno. Chciałaby tu żyć. To było „jej miejsce na ziemi”.

Co do tego nie miała żadnych wątpliwości.

Powinna była codziennie tu przyjeżdżać, zamiast katować się rozbuchaną wyobraźnią. Uśmiechnęła się, zawróciła i zanurzyła w uliczkach El Bornu, swojej ulubionej dzielnicy. Przyglądała się z uwagą każdej bramie, każdej kracie w oknie. Każdej twarzy mijanej po drodze. Czowała

w sobie przyptyw dobrej energii. Musi namówić Paco do przeprowadzki. Woli zamiast domu z ogrodem na przedmieściach malutkie mieszkanie w centrum Barcelony. Potrzebuje jej rytmu, jej szaleństwa, jej gwaru. Musi wtulić się mocno w to życie.

Znalazła przytulną knajpkę w pobliżu szkoły Paco, wysłała do niego esemes. Pół godziny później podszedł do niej uśmiechnięty.

– A to niespodzianka! – przywitał ją. – Coś się stało?

– Nic, stęskniłam się za tobą. I za Barceloną – odpowiedziała.

– Nareszcie! Myślałem, że nigdy tu sama nie przyjedziesz.

– Jak to? To chciałeś? Nic nie mówiłeś. A jak kiedyś miałam ochotę przyjechać z tobą, to mnie wstrzymałeś.

– Wtedy faktycznie. Bo chciałaś nocować. A ja miałem spać u Ángela, pamiętasz? Ale w ogóle to chciałem. Tylko wolałem, żeby to od ciebie wyszło naturalnie. Żebyś czuła, że musisz.

– Nie rozumiem.

– Nie wiedziałem, ile czasu potrzebujesz, by zobaczyć siebie tu, w Barcelonie. Żeby poczuć, że to już twoje miejsce. Nie chciałem cię poganiać. Popełnić błędu jak z tym gabinetem. Każdy ma swoje tempo.

– No tak, gabinet rzeczywiście trochę mnie zmroził. Ale... wiesz co? Tak sobie pomyślałam, że może byśmy jednak się przenieśli tutaj, do centrum? Nie musiałbyś wtedy wynajmować mieszkania z Pablem.

– Jeśli znajdziesz coś w miarę taniego...

– Mam czas, mogę szukać!

Sięgnęli po *menu del día*⁷⁴, dodatkowo zamówili butelkę białego wina. Paco zaczął jej opowiadać o przygotowaniach do koncertu, w jaki sposób skomponowali program, skąd przyszły już zaproszenia.

⁷⁴ *Menu del día* – najbardziej ekonomiczny obiad w Katalonii. Niemal każda restauracja między 13.00 a 16.00 (poza sobotą i niedzielą) proponuje wybór kilku zestawów w ramach „menu dnia”. W cenie od 8 do 15 euro mieszczą się dwa dania, deser, pieczywo i napoje.

– Udało ci się wdrapać kiedyś na Kota z Raval? – zapytała nieoczekiwanie.

– Nie próbowałem. Dlaczego pytasz? – nie krył zaskoczenia.

– Nie, nic. Myślałam, że wszyscy w Barcelonie wiedzą, że szczęście sprzyja tylko tym, którzy na tym Kocie usiądą...

– Co?!

– Tak się o nim mówi: że przynosi szczęście. Przeczytałam to w internecie.

– I w to uwierzyłaś?

– W każdej plotce jest ziarno prawdy. Muszę któregoś dnia tam się znaleźć. Na jego grzbiecie. Na wszelki wypadek... – Zaczęła się śmiać.

– Mogę cię podsadzić – zaproponował.

– Nie. Widzisz, rzecz w tym, że to trzeba samemu.

Zamiast deseru zamówili kawę. W Barcelonie piło się dużo kawy. Nagle uzmysłowiła sobie, że prawie nie pamięta, jak smakuje herbata, zwykła czarna herbata z cytryną albo zielona z miętą... Zateęskniła za nią.

Paco zaproponował, że odprowadzi ją na pociąg. Poszli, jak kiedyś, trzymając się za ręce. Potem ona zjechała ruchomymi schodami na peron, on wrócił do pracy. Było spokojnie, dobrze.

Resztę dnia spędziła w ogrodzie z La Gatą na kolanach i książką na stole. Stare myśli odganiała jak natrętną muchę. Postanowiła nie dać się więcej złapać w pułapkę „pesymistycznej wizji świata” – jak to napisała zaraz po powrocie w krótkim mailu do Goški. Przepraszyła ją za poprzedni list, wytłumaczyła jego nastrój burzą hormonów starzejącej się kobiety, widać nie dość pewnej swoich atutów, opowiedziała o spotkaniu z Paco i pomyśle zmiany adresu.

Musiała teraz się zastanowić, jak o swojej decyzji poinformować dzieci i Jacka... Przede wszystkim dzieci! Żeby nie poczuły się zdradzone, odepchnięte, żeby nie pomyślały, że przestała je kochać. Miała na to jeszcze kilka dni. Słowa trzeba było dobrać starannie. Uspokojona wtuliła się

w poduszkę, wdychając zapach wody toaletowej jej mężczyzny, jej Paco. Zasnęła, uśmiechając się do wspomnień.

Rano obudziło ją pukanie do drzwi. Narzuciła na siebie szlafrok i pobiegła otworzyć. W progu stała Mariza z przesyłką w ręku.

– *Hola!* – przywitała ją. – Wczoraj był listonosz. U was w domu nikogo nie zastał, więc starym zwyczajem zostawił to u mnie.

– Wejdiesz na kawę? – Ewa zaprosiła ją do środka.

– Chętnie. – Położyła paczuszkę na stoliku w korytarzu. – Co słyhać? Gdzie byłaś? Bo Paco pewnie tańczy?

– Tak, ciężko pracuje. Wczoraj pojechałam do Barcelony. Nagle za nią zatęskniłam.

– Rozumiem. Też muszę ją odwiedzić przynajmniej raz w tygodniu. Kiedyś możemy się wybrać razem.

– Wiesz, Marizo, namówiłam Paco, żebyśmy się tam przenieśli, do centrum. Obiecałam znaleźć coś taniego. Mam dużo wolnego czasu, mogę spokojnie szukać.

– O! To widzę, że postanowiłaś zostać na zawsze. Cieszę się. Bo już się bałam, że cię wystraszyłam tym swoim gadaniem. Nawet chciałam przyjść i ci powiedzieć, żebyś nie traktowała tego zbyt serio.

– A to nie była prawda?

– Prawda, nieprawda, ludzie się zmieniają. Każdemu trzeba dać szansę. Mój też do mnie wraca.

– Poważnie?! Pogodziliście się?!

– Tak, znalazł pracę. Nie mogliśmy żyć dłużej z jednego zasiłku i tego, co dorobiłam. Ja sama. Bo on przestał szukać. Teraz coś znalazł.

– Kiedy go poznam?

– W przyszłym tygodniu. No chyba że się do tego czasu wyprowadzicie...

– Dobrze wiesz, że to tak szybko się nie uda. Mamy raczej ograniczone fundusze.

– No, a skoro zostajesz... To masz jakiś pomysł na siebie?

– Przede wszystkim muszę się nauczyć porządnie języka. Kiedy już się przeprowadzimy, zaczęę się rozglądać. Czytałam, że coraz więcej moich rodaków tu przyjeżdża, może coś wymyślę w związku z nimi? A może zatrudnię się w szkole Paco? Nie wiem. Na razie muszę wrócić do miasta. To najważniejsze. Potrzebuję jego rytmu. Choć tu cudownie się mieszka. Jakby człowiek był cały czas na wakacjach. Dla Paco to też będzie wygodniejsze. No i nie będziemy musieli co chwila się rozstawać na tak długo.

– No tak. Rozumiem. Też bym się przeniosła. Ale mnie nie stać. Jak dostanę wreszcie gdzieś pracę, to może. Muszę lecieć. Zajmuję się dzisiaj dziećmi Juanity Fernández. Znasz ją?

– Poznałam. Coś się stało?

– Tak! Dostała pracę!!! Po trzech latach szukania. Wyobrażasz sobie?

Odprowadziła Marizę do domu. Zrobiła jakieś zakupy na miejscowym targu: trochę warzyw, owoców, świeże kwiaty. Wróciła, przygotowała obiad i przypomniała sobie o przesyłce. Wzięła ją ze stolika. Biała koperta wielkości kartki papieru. Jej uwagę przyciągnęła informacja o nadawcy: Ania... Co za sprawę mogła mieć do Paco? Odłożyła kopertę na miejsce. Poszła do kuchni, sięgnęła po napoczęty kieliszek wina.

„Ania? – Intensywnie zaczęła krążyć wokół tematu. – Skąd miała adres Paco? Przecież nie rozdawał. Kiedy mogli ze sobą rozmawiać? Owszem, miała z nim indywidualną lekcję. Mówiła, że uczył jej rumby na wesele. Może to gościniec ze ślubu?”

Podeszła jeszcze raz do koperty, podniosła na wysokość oczu, jakby przez papier i bąbelkowaną folię mogła zobaczyć jej zawartość. Przesunęła palcami delikatnie po całej powierzchni, próbując wyczuć kształt tego, co w środku. Wąski patyk, szeroki jak... No właśnie: jak... wachlarz...

– Nie, to głupie! – skarciła siebie. – Po co miałaby mu przysyłać z Polski wachlarz?! Zaraz wymyślę, że to narzędzie zbrodni. Czy ja zwariowałam?! Agata Christie się znalazła!

Odłożyła przesyłkę, wzięła kieliszek i poszła do ogrodu. Usiadła przy stole, wypila wino do końca. Nagle wstała, wróciła do domu, sięgnęła po nóż i jednym zdecydowanym ruchem rozcię-

ła brzeg koperty. Ze środka wyjęła żółty wachlarz. Nie wierzyła własnym oczom. Rozłożyła. W środku, na kilku piórach czernił się podpis Sary Baras. Jej wachlarz, wachlarz Anny... Zagubiony wachlarz...

Był też list. Bez wahania rozłożyła kartkę i zaczęła czytać:

Kochany Paco!

Przed wszystkim chciałam Ci powiedzieć, że Twoja rumba flamenca zrobiła furorę. Dostałam ogromne brawa, brat był zaskoczony. Dziękuję Ci bardzo.

Odsyłam wachlarz. Nie wiem, jak to się stało, że znalazł się w mojej torebce. Widocznie musiałam go zgarnąć z innymi rzeczami u Ciebie w łazience. Byłam wtedy... sam rozumiesz... trochę „zdekoncentrowana”. Okoliczności, mam nadzieję, mnie usprawiedliwiają? Wybacz, że dopiero teraz ta koperta trafiła do Ciebie – nie miałam wcześniej czasu, by się tym zająć.

Nie przywiązuję specjalnej wagi do takich zdarzeń jak to nasze spotkanie, ale muszę Ci powiedzieć, że TO było piękne. I nie miałabym nic przeciwko, gdyby miało nam się zdarzyć kiedyś jeszcze raz.

Zaczęłam pracować nad utworem tak, jak o to prosiłeś. Będę gotowa na Twój przyjazd. Do zobaczenia w Poznaniu. Nie mogę się doczekać.

Całuję

Ania

Opadła na fotel kompletnie oszołomiona. On kochał się z Anią! I to wtedy, kiedy jej mówił o miłości, kiedy namawiał na wspólne życie! Po prostu przyprowadził do siebie i w tym samym łóżku, na tym samym prześcieradle, wśród tych samych poduszek... W ich Raju! Jak ma z nim żyć? Jak mu wierzyć? Jak ufać? To tak jakby w dniu ślubu zdradził ją z orszakiem druchen. Obrzydliwe. A kilka godzin później znowu ją trzymał w ramionach. I mówił, że kocha jak nikogo na świecie... To... którą jest dla niego? Pierwszą? Drugą? Dziesiątą? Z iloma jeszcze ma się nim dzielić? O co w tym wszystkim chodzi?!

Przesiedziała jak sparaliżowana dobrą godzinę. Nie popłynęła ani jedna łza. Patrzyła przed siebie, w jeden punkt na ścianie. Potem wstała, poszła na górę do komputera, sprawdziła dostępność miejsc w samolocie na następny dzień, wykupiła bilet. Z garderoby zabrała swoje rzeczy. Tylko te, które przywiozła ze sobą. Starannie je spakowała do walizki. Wzięła La Gatę na ręce i poszła z nią do Marizy, zapytała, czy może zaopiekować się kotem, jak dawniej, do powrotu Paco...

– Wyjeżdżasz? – zapytała Mariza, biorąc kota od Ewy. – Myślałam, że się wam uda. Wczoraj nawet w to uwierzyłam. Ale to trudne, wiem.

– Wiesz... – cicho odpowiedziała – on ciągle spotykał się z kobietami. Tylko nie tu. W swoim mieszkaniu, w centrum...

– Evita, ale to nic nie znaczy!

– Może nic, może wiele... I chyba nie o to chodzi, nie to jest najważniejsze. Choć nie umiem tego zrozumieć, zaakceptować.

– No to...?

– Kiedy jest obok, myślę tylko o nim i wydaje mi się, że bez niego nie potrafię żyć. Muszę przyjrzeć się temu spokojnie, z daleka. Nie widząc go. Pogubiłam się. Kocham go, ale może nie powinniśmy być razem. Nie wiem... Drugi raz mnie coś takiego spotyka. Najpierw mąż, teraz Paco.

To nie jest fajne. Rozumiesz?

– Rozumiem. Napisz do mnie kiedyś. O kota się nie martw. Mam coś Paco powiedzieć?

– Nie. Nic mu nie mów. Sama mu powiem. Dbaj o siebie. Do widzenia. Napiszę...

Wróciła do domu. Jedyne, co czuła, to smutek. Zebrała z półek drobiazgi, włożyła je do walizki. Zamówiła taksówkę na następane popołudnie. Usiadła do komputera, by napisać list.

Paco,

myślałam, że nam się uda. Gotowa byłam zaryzykować swoje życie dla Ciebie. Już meblowałam nasze nowe mieszkanie... Ale Ty mnie zdradziłeś...

Skasowała wszystko. Zaczęła od nowa:

Kochany Paco,

tak bardzo chciałam żyć tu z Tobą, ale okazało się dzisiaj, że Ty mnie nie kochasz...

Też źle. Głupio. Poza tym – mailem? Jak Jacek kiedyś? Wyłączyła laptop. Wzięła kartkę ze stołu, pióro, zeszła do kuchni. Wypiła wolno kolejny kieliszek wina, zastanawiając się nad słowami. W końcu napisała:

Wybacz, myślałam, że to możliwe, ale się pomyliłam. Kocham Cię, jednak nie potrafię z Tobą żyć.

Kartkę zostawiła na stole. Obok położyła klucze.

Przesiedziała całą noc w salonie, słuchając muzyki. W kółko powtarzała w myślach pytanie: dlaczego? Dlaczego dała się zwieść? O co mu chodziło? Dlaczego namawiał ją na wspólne życie? Przecież wiedział, że zdrada musiałaby ją zabołec. Jak ma siebie przekonać, że to nieważne? Ile było tych kobiet, odkąd są razem? Może oczekiwała za wiele? Może jednak jest jakieś wytłumaczenie? Tylko powinna na nie poczekać? Dać szansę?

Zasnęła, kiedy świtało. Po kilku godzinach się obudziła. Wzięła prysznic, zrobiła makijaż, ubrała się, sprawdziła jeszcze raz, czy niczego nie zapomniała. Na taksówkę poczekała w ogrodzie.

Poprosiła o kurs na lotnisko. Myśli krążyły ciągle wokół Paco, wokół tego, co z nim przeżyła i co się już nie zdarzy. Wtedy pociekły łzy... Nie była w stanie ich powstrzymać.

Kiedy zbliżali się do centrum Barcelony, spojrzała na zegarek. Nagle zwróciła się do kierowcy:

– Muszę na chwilę podjechać na La Ramblę del Raval. Może mnie pan tam zawieźć?

W okolicy rzeźby Kota. Wie pan, gdzie to jest?

– Tego z kamienia?

W lusterku wstecznym złapała wzrok starszego mężczyzny. Przyglądał jej się uważnie.

– Niech pani nie płacze – poprosił. – Na pewno wszystko da się jakoś wytłumaczyć, poukładać. Na samolot zawsze pani zdąży. A wrócić może nie być do czego...

– Skąd pan wie? – zapytała zdziwiona.

– Długo żyję, niejedno widziałem. A skoro pani chce do Kota...

– Wie pan, co on znaczy?

– Wiem... jestem stąd. – Uśmiechnął się nieznacznie.

Samochód zatrzymał się tuż przed Kotem. Kamienny zwierzak stał jak zawsze z przyklejonym uśmiechem Giocondy. Wysiadła z taksówki. Chwilę wpatrywała się w wypolerowane kształty. Nagle chwyciła ławkę znajdującą się obok i zaczęła ciągnąć w stronę rzeźby. Taksówkarz spokojnie obserwował jej zmagania. Nie podchodził, by pomóc. Wiedział, że nie może. Ławka była ciężka, stawiała opór na piachu, ale powoli, centymetr po centymetrze dawała się przesuwac coraz bliżej. W końcu Ewa stanęła na niej, ręce zarzuciła na błyszczący w popołudniowym słońcu koci grzbiet i podciągnęła się. Znalazła się na górze, usiadła. Uśmiech ulgi i zwycięstwa pojawił się na jej twarzy. Rozejrzała się wokół. Ktoś stojący w pobliżu gestem gratulował jej wyczynu. Taksówkarz zaczął bić brawo. Spojrzała na niebo i krzyknęła w jego stronę:

– Ma pan rację. Na samolot zawsze zdążę. Niech pan wypakuje walizkę. Posiedzę tu jeszcze chwilę... Proszę z torebki wyjąć pieniądze i odliczyć sobie należność.

– Może przyjechać po panią o jakiejś godzinie? Z bagażem będzie pani trudno wędrować. Do metra kawałek, a walizka ciężka – zaproponował. – Mieszkam tam, gdzie pani, kończę pracę o dziesiątej.

– Nie wiem... Na razie nic nie wiem, ale możliwe, że będę tu czekać. – Uśmiechnęła się.

„Na samolot zawsze zdążę – powtórzyła w myślach słowa kierowcy. – Ale jak to wszystko poukładać? Dlaczego znowu mnie to spotkało? W przypadku Jacka jakoś umiałam zrozumieć, nie było nam dobrze ze sobą, ale Paco? Przecież to dopiero początek! Coś ze mną jest nie tak? Może powinnam jego zapytać?”

Wiatr bawił się jej włosami, jacyś ludzie robili zdjęcia. Taki widok zbyt często się nie zdarzał: kobieta na Kocie...

„Czy ja tak chcę? – pytała siebie w myślach. – Czy o takie szczęście mi chodzi? Uzależniłam się od miłości Jacka i nie radziłam sobie, kiedy mnie zostawił, uwierzyłam, że to wszystko moja wina. Uwierzyłam, że tylko przy nim jestem kobietą. Że moja wartość maleje, kiedy jego nie ma obok. Godziłam się na to, by mnie nie kochał. Byle tylko był. I w końcu dostałam kopniaka. Podjął za mnie decyzję o moim życiu! A teraz? Czy nie będę od mężczyzny uzależniona jeszcze bardziej, bo zdana tylko na niego? Czy o to chodzi? A jeśli coś się stanie i znowu zostanę sama? Co znaczę dla siebie samej? Tysiące kobiet żyje w cieniu swych mężczyzn... tylko dla nich... Może to jest szczęście? Sama nie wiem”.

Spojrzała w dół. Stała się sensacją dla przechodniów. Pomachała do nich ręką i zsunęła się na ścieżkę. W pobliskiej knajpce poprosiła o przechowanie bagażu. Usiadła na ławce w pobliżu Kota. Spojrzała na niego i zapytała:

– Czy to będzie moje życie? Czy jest tu miejsce dla mnie? Czy tego chcę?

Jeszcze chwilę popatrzyła w oczy Kotu, nagle wstała, poprawiła ubranie, z tkliwością pogłaskała gładki kamień rzeźby. Spojrzała na zegarek. Miała ciągle dużo czasu.

„Tak, na samolot zawsze zdążę” – pomyślała jeszcze raz.

Spis treści

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

Dedykacja

Część pierwsza

Rozdział pierwszy – Ewa

Rozdział drugi - Paco

Rozdział trzeci - Gośka

Rozdział czwarty - Marta

Część druga

Rozdział piąty - Marta

Rozdział szósty - Gośka

Rozdział siódmy – Paco

Rozdział ósmy - Ewa

